

Cień nocy

Coulter Catherine

Książka II z Płomień nocy



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTHER

CIEŃ NOCY

Prolog

Londyn, Anglia, wrzesień 1814 rok u

Knight wysunął się z Danielle i podniósł na kolana. Spojrzał w dół na jej ciało blade niczym lód i tak cudownie tajemnicze, jak tylko może się jawić nagość kobieca, połyskująca w poświacie księżycy w ciemną noc. Musnął jej piersi. - Cudowna! - powiedział.

Otworzyła oczy, spojrzała na mężczyznę, którego kochanką była już od niemal czterech miesięcy. - O tak! - szepnęła instynktownie, nieświadoma wypowiedzianych słów. Przesunęła dłońmi po jego piersi, potem niżej, po kędzierzawej gęstwie, gładkich mięśniach i aż westchnęła, gdy sięgnąwszy podbrzusza, dotarła do celu.

Knight jęknął.

- Jesteś nienasycona - wyrzucił ze zduszonym śmiechem.

- Możliwe - nie przestawała go pieścić - ale z ciebie także jurny mężczyzna.

- Żebyś wiedziała - z tymi słowami Knight wtargnął w nią jednym mocnym pchnięciem. Aż sapnęła, zaskoczona, i zaraz uniosła się ku niemu, a on zamknął jej biodra w jeszcze mocniejszym uścisku.

Przymknęła powieki, zacisnęła usta. Wycofał się i obserwował jej twarz; w oczach kochanki dostrzegł rozczarowanie.

- Bestia - szepnęła i szarpnęła biodra ku górze. Gdy wszedł w nią ponownie, jęknęła i oplotła go nogami.

Teraz jestem jej więźniem, pomyślał, wypełniając ją, sięgając głęboko. Zbliżyła się do momentu szczytowania. Zdażył już dobrze poznać sygnały jej ciała - delikatne spazmy naprężających się mięśni brzucha, biodra napinające się raz po raz, wrywający się z ust jęk - dziki, brzydki i... prawdziwy. Poruszał się wciąż tym samym rytmem: szybkie, płytkie pchnięcie na przemian z wolnym, głębokim, coraz głębszym. Wreszcie krzyknęła, pięściami uderzając w jego ramiona.

- Knight!

Uśmiechnął się i powiedział łagodnie: - Już dobrze. - Sięgnął dłonią między ich złączone ciała, doświadczonymi palcami pieścił ją, a ona krzyczała, wyginała się w górę i spoglądała na niego szalonymi, niewidzącymi oczami; na jej czole perliły się kropelki potu.

Nagle poczuł się niewypowiedzianie samotny, a zarazem cudownie potężny. Odkąd po ukończeniu dziewiętnastu lat poznał sztukę dawania kobiecie rozkoszy, nigdy nie dopuścił, by jego partnerka nie doznała satysfakcji. Nie pozwolił się także oszukiwać - zbyt dobrze poznał kobiety. I teraz również, dopiero widząc, jak Danielle leży pod nim nieruchoma i rozluźniona, i w pełni zaspokojona, pozwolił się ogarnąć fali rozkoszy.

- Cóż - powiedział po chwili, bardziej do siebie niż do niej, gdy serce znowu biło mu spokojnym rytmem - chyba poszło nam należycie.

Obdarzyła go tym swoim uśmiechem zaspokojonej kobiety, jak każda po w pełni satysfakcjonującym seksie, i ponownie poczuł swą siłę. Dłonią delikatnie odsunął jej z policzków kosmyki włosów, wargami musnął jej usta i wstał. Przeciągnął się, zaświecił lampę i przykłęknąwszy przy kominku, podłożył do ognia.

- Chłodna dziś noc - stwierdził kilka minut później, ochlapując się w stojącej na gotowalni miednicy.

Patrzyła na wspaniałe ciało, widoczne w blasku ognia i delikatnym świetle świecy umieszczonej w lichtarzu na gzymsie kominka. Przystojny z niego mężczyzna, pomyślała, z tymi gęstymi, niemal czarnymi włosami. Ani śladu granatowego odcienia, tak częstego u irlandzkich hultajów, których nieraz spotykała, nie są też brązowoczarne jak jej własne - przetykane ciemnoczerwonymi refleksami. Gęste, intensywnie czarne, wiły mu się na karku.

Przede wszystkim jednak przyciągały uwagę jego oczy: brązowe, z żółtymi plamkami; lisie, inteligentne, przebiegłe i cyniczne. Ciało miał piękne: smukłe i twarde. Wysportowany, znany ze swych osiągnięć, należał do najlepszych jeźdźców w Klubie Czterech Koni - słyszała, gdy tak o nim mówiono. Był także ulubionym uczniem pana Jacksona, sławnego zapaśnika, który ostatnio udzielał lekcji boksu zamożnym mężczyznom. Według jego słów, wicehrabia Castle-rosse odznaczał się znaczną wiedzą, wytrwałością fizyczną i zręcznością. Nie wiedziała, o co chodziło z tą wiedzą, ale i tak określenie brzmiało nader pochlebnie, cieszyło ją więc, gdyż wicehrabia należał do niej, przynajmniej na jakiś czas. Już cztery miesiące. Jakże szybko przeleciały! Kiedy będzie miał jej dość? Nieświadomie potrząsnęła głową, broniąc się przed rozmyślaniami o tak przerażającej perspektywie.

Cóż, żadna kobieta nie ma do niego dostępu, pocieszała się, nawet z tych dobrze urodzonych, a ona do nich nie należała. Ileż to razy ze śmiechem mówił bez ogródek, że nie dla niego małżeńskie więzy i głosił te dziwaczne poglądy swego ojca, podpisując się pod nimi całkowicie: rozsądny mężczyzna o zdrowych zmysłach żeni się nie wcześniej niż po czterdziestce i to z dziewczyną liczącą nie więcej niż osiemnaście lat, zdrową jak koń, płodną, no i łagodną niczym owieczka. Należy spłodzić dziedzica, a potem zostawić go do chowania innym, by dziecko nie nasiąkło słabościami ojca.

Knightsowi Winthropowi, wicehrabiemu Castleros-se, daleko jeszcze było do owego doniosłego wieku czterdziestu lat, jako że przed trzema miesiącami osiągnął dopiero dwudziesty siódmy rok życia. Był zatwardziałym kawalerem, sardonicznym w swym cynizmie, ale rzadko świadomie złośliwym.

Obserwowała, jak myje swe długie, muskularne nogi. Miał ruchy płynne i pełne wdzięku. Tak też się kochał, zawsze bez pośpiechu, zawsze zachowując kontrolę nad nią i nad sobą, i zawsze niesłychanie umiejętnie. Wyczuwała jednak, a wręcz wiedziała, że pozostaje z dala od niej, całkiem sam. Gdzieś poza nią, pomyślała pewnego razu, obserwując jego twarz w chwili, gdy osiągał rozkosz. - Nawet stopy masz cudowne. Uniósł wzrok i roześmiał się. - Co powiedziałaś? Moje stopy, jakie?

Danielle potrząsnęła głową. Nieświadomie wyraziła swoje myśli na głos. Nie powinna tak głupio się zdradzać. - Ależ nie, mój panie - wycofała się natychmiast. - Powiedziałam, że masz brudne stopy i powinieneś je umyć jak całą resztę. - Jemu nie zależało na poznaniu jej uczuć. Odesłałby ją, gdyby wyczuł, że pragnie mieć w nim kogoś więcej niż szczodrego opiekuna. Nie zachowałby się niemile czy okrutnie, ale odszedłby. Uniosła się lekko i, leżąc na boku, przeciągnęła

się ospale, wiedząc, że na nią patrzy. Potem równie leniwie opadła na łóżko.

- Włóż coś na siebie, bo to się źle dla ciebie skończy - powiedział ochryłym głosem. Znów go rozpalila, przybrawszy obojętną pozę; wyciągnięta na boku demonstrowała swe obfite, ściśnięte teraz piersi, gładką linię biodra, jeszcze mocniej widoczną w przyjętej przez nią pozycji. Miała czarne włosy, typowe dla Włoszek, ciało białe jak - nie, nie jak śnieg, nawet w myślach nie pozwalał sobie na używanie banalnych określeń. Była blada, to wszystko. W czarnych, wyciętych w kształcie migdałów oczach malowała się namiętność - jej neapolitańskie dziedzictwo. Rzucił jej peniuar, brzoskwińową piankę, którą kupił dla niej przed kilkoma tygodniami.

Patrzył jak okrywa się ruchami tak wyszkolonymi, że zdawały się równie naturalne jak u dziewicy. - Herbaty, panie?

Przytaknął ruchem głowy. Nagle zaburczało mu w brzuchu. - Jest coś do jedzenia?

- Czyż nie najadłeś się do syta na przyjęciu weselnym?

Skrzywił się. - Zbyt się zdenerwowałem. Boże, państwo młodzi nawet na moment nie chcieli się od siebie oderwać. Okropnie irytujące! A te wszystkie damy w różnym wieku! Chichotały i patrzyły na mnie, jakbym był głuszcem wystawionym do odstrzału. Podśledzałem, jak jedna matrona mówiła do drugiej, że jej córka nadaje się w sam raz dla wicehrabiego Castle-rosse. Wyobraź sobie bezczelność tej starej wariatki!

Danielle roześmiała się i wyszła z sypialni. Jej pokojówka Marjorie dawno już poszła spać, a kucharka i gospodyni nie zostawały w domu na noc. Po piętnastu minutach wróciła z tacą z zimnym kurczęciem, kromkami chleba, masłem, miodem i czajniczkiem wykwentnej indyjskiej herbaty.

Knight właśnie wkładał szlafrok. Pomógł Danielle porozstawiać wiktuwały na łóżku. Gdy z powrotem wspinała się na łożo, klepnął ją po pośladkach. Zachichotała. - Ach, to do tego ci jestem potrzebna, panie wicehrabio?

Pochwycił nóżkę kurczęcia, odgryzł duży kawałek. - Moje potrzeby - powiedział między jednym a drugim kęsem - obecnie koncentrują się w ustach, równie we właściwym miejscu w tym momencie, jak kiedy indziej.

Zauważył, że nie zrozumiała i tylko uśmiechnął się, podając jej skrzydełko.

Przez chwilę jedli w zgodnym milczeniu, aż Danielle poprosiła: - Opowiedz mi o ślubie i o przyjęciu. Zdaje się, spotkałeś tam parę bliskich przyjaciół.

Wiedział, że uwielbia słuchać o jego znajomych z wyższych sfer. Przypuszczał, że słucha z pewną dozą zazdrości, ale chętnie zaspokoił jej ciekawość. - Masz na myśli Burke'a i jego żonę Arielle?

- Jest hrabią Ravensworth, czyż nie?

- W istocie. Pojawili się oczywiście, jako że panna młoda była kiedyś jego szwagierką. Oboje z Arielle wyglądali znakomicie, sprawiali wrażenie niezmiernie szczęśliwych.

- Nie pochwalasz ich małżeństwa? Hrabia nie osiągnął jeszcze czterdziestki.

- A więc zapamiętałaś?

- Jak sobie przypominam, deklarowałeś wicehrabio tę swoją zasadę już co najmniej trzy razy.

Knight parsknął śmiechem. - Mam nadzieję, moja kochana, że nie staję się nudziarzem. Zgadza się, Burke'owi jeszcze daleko do czterdziestki. W istocie jest w moim wieku. A co do jego żony, cóż - przerwał, przypominając sobie Arielle, gdy po raz pierwszy spotkał ją w Ravensworth Abbey. - Chyba już wyzdrowiała.

- Wyzdrowiała? A na co cierpiała?

- Według mnie, bardziej na dolegliwości duszy niż ciała. - Obficie posmarował masłem i miodem

grubą kromkę chleba. - To piękna dziewczyna. Jest też dzielna i lojalna. Lubię ją.

- Czy to oznacza, milordzie, że zmienisz zdanie co do małżeństwa?

- Mój Boże, w żadnym wypadku! Ona jest idealna dla Burke'a, nie dla mnie.

- Gdy hrabia przebywał w Londynie, jego zainteresowaniem cieszyła się Laura.

Knight zrobił nieco zakłopotaną minę. - Całkiem o tym zapomniałem. Był wtedy w podłym nastroju: tak bardzo pragnął Arielle, a nie mógł jej mieć. No wiesz, jeszcze nie byli małżeństwem. A czyż Laura ostatnio nie związała się z lordem Eaglemere?

Danielle skinęła głową. - Nie przepada za nim. Ten świntuch żąda od niej zachowań wbrew naturze.

Knight wzruszył ramionami. - Poradź jej, by od niego odeszła.

Tylko spojrzała na niego w milczeniu. Czasami potrafił być taki niedomyślny! Nie przyszłoby mu do głowy, że Laury nie stać na porzucenie lorda Eaglemere. Przynajmniej dopóki nie wyciągnie z niego więcej pieniędzy. Postanowiła zmienić temat. - Nie lubisz dzieci?

- Nic podobnego. Tyle że nie znam żadnych.

- W każdym razie znałeś siebie.

- Nie ma powodu, bym zajmował się jakimiś bachorami. Jak sobie przypominasz... Czyżbym chciał to powiedzieć już czwarty raz? - Mój ojciec nie zawracał sobie mną głowy. Pozwolił mi dorastać z moimi zaletami i bez jego wad. Przy tych nieczęstych okazjach, gdy się spotykaliśmy, chętnie powtarzał, że wszystkie błędy, jakie popełnię, będą moją zasługą i nic nie mam mu do zawdzięczenia. Dla ewentualnych dzieci Burke'a i Arielle zostanę czułym wujkiem, choć z daleka. A teraz, kochana Danielle, proszę o jeszcze jedną filiżankę herbaty, a potem precz z tym irytującym peniuarem. Przekąska i nasza pogawędka zaostrzyły mi apetyt innej natury.

Okolice Brukseli, Belgia, wrzesień 1814 roku

Tristan Monroe Winthrop zanucił pod nosem, przyspieszając kroku. Odczuwał satysfakcję ze swej przebiegłości i z odniesionego sukcesu. Nucąc uśmiechał się, wcale niezaskoczony, że jedno i drugie udaje mu się równocześnie. Był głęboko przekonany, że nic dla niego nie jest niemożliwe. Pomyślał o Lily, czekającej na niego z dziećmi, i niemal pobiegł truchtem. Nie było go zaledwie trzy dni, a tak mu ich wszystkich brakowało. Oczywiście tęsknota za dziećmi to nie to samo, co brak Lily. Piękna Lily, która wnet zostanie jego żoną. Owszem, bezwstydnie wykorzystał dzieci jako przynętę, ale podziałało. Jego maluchy i fakt, że tak naprawdę nie miała innego wyboru. Jest taka młoda, nie ukończyła nawet dwudziestu lat, a całkiem sama w obcym mieście; no i spadły na nią koszty pogrzebu ojca i uporządkowanie jego rzeczy. Jej rodzic, szalony lecz pozbawiony szczęścia baron Markham, był przyjacielem Tristana. Ileż to razy przyszło mu chronić tego pechowca przed hazardowym piekłem, oszczędzić mu konieczności oddania - wbrew woli - córki w ramach pokrycia długów. I nagle stary gracz, łapiąc się za pierś padł na ziemię, a Lily stała nad nim jak wryta, patrząc i nic nie rozumiejąc, aż wreszcie po jej policzkach popłynęły łzy. Stary żył jeszcze dwa dni. Potem umarł i zostawił ją bez niczego, poza ubraniami w szafie.

I wówczas z pomocą pospieszył Tris. Lily lubiła go, a jego dzieci kochała z wzajemnością. Zaprosił ją, by z nimi zamieszkała. Cóż, oczywiście odmówiła, a wtedy zaproponował jej miejsce guwernantki swych dzieci. Dopiero dwa miesiące temu zgodziła się zostać jego żoną. Wtedy już przekonała się co do jego obyczajów, poznała jego inteligencję i poczucie humoru, a dzieci - niech je Bóg błogosławi! - przyłgnęły do niej, znajdując w niej lojalność i kochające serce.

Lily Tremaine. Dziewczyna o urodzie zapierającej dech. I zachwycająco nieświadoma efektu,

jaki wywierała na mężczyznach. Miała gęste, falujące, o wręcz niewiarygodnej barwie miodu włosy i choć nie poświęcała im zbytnej uwagi - związywała je wstążką lub zaplatała w warkocz okręcony wokół głowy - nic nie mogło przyćmić jej urody. Jej blado-szare, spokojne oczy pogodnie spoglądały na świat; choć spokój ten, co do tego nie miał wątpliwości, to z pewnością starannie wzniesiona fasada. Dziewczyna kryła w sobie pasję, którą z niej wydobędzie, gdy zostanie jego żoną. Znowu przyspieszył kroku. Boże, jak bardzo jej pragnął! I co z tego, że była od niego młodsza o siedemnaście lat! Przy tym swoim ojcu-dziecku musiała szybko dorosnąć już przed laty. Siedemnaście lat to niewiele. Jak na jego gust była za szczupła, ale to się zmieni, gdy urodzi mu dziecko. To te wszystkie zmartwienia, pięcioletnia opieka nad ojcem, uroklivym obieżyświatem, niepewność, czy będzie miała co zjeść na obiad, a czasem, choć nieczęsto, okazje, by wybierając się na bal, przywdziać brylantową biżuterię i jedwabie.

Lojalna, dzielna Lily. Wciąż widział ją, jak wraz z dziećmi macha mu na pożegnanie. Jaka szkoda, że nie może jej się pochwalić, jak wyjątkowo mu się tym razem udało! Lily, pojął to w końcu, miała w sobie pewien, czasami wręcz niepokojący rys uczciwości, dziwny, zważywszy jak wielkim nicponiem był jej ojciec, tyle tylko że równocześnie okazał się pechowcem. A on także nie zamierzał wyznać swym dzieciom, że za rodzica mają złodzieja, i to nie pospolitego, ale mistrza w fachu i wyśmienitego stratega. I potrafił okazać bezwzględność, a przynajmniej tym razem. Według jego obliczeń, Monk i Boy powinni już siedzieć w więzieniu. W Paryżu. Z dala od niego i jego rodziny. Wysokość żądanej łapówki wprawdzie zaparła mu na chwilę dech, ale naprawdę warto było. Wreszcie te zimne, pozbawione sumienia dranie przestaną go nachodzić.

Udał mu się prawdziwie mistrzowski ruch! Jako zwycięzcy przypadło mu wszystko. Już nigdy więcej nie będzie się martwił o zapewnienie dzieciom pożywienia i dachu nad głową. Może dać wszystko zarówno im, jak i Lily.

Już niemal dotarł do małego piętrowego domku przy Alei LaRouche. Cicha ulica, po dwóch stronach obrośnięta topolami, w każdym calu szacowna, ale o wiele za uboga dla kogoś, kto właśnie ma osiągnąć wyższy poziom życia.

Już niczego nie trzeba będzie sobie odmawiać. Dobijając trzydziestego siódmego roku życia, wreszcie poczuł smak sukcesu, i to trwałego. Nikogo nie zabił ani nie skrzywdził. Monk i Boy nie liczyli się. Teraz był bogaty, tak bardzo, że przerastało to nawet jego bujną wyobraźnię.

Gdy za plecami ochrypli głos powiedział: - Ty parszywy, cholerny draniu! - nie zdążył się nawet odwrócić, dostał nożem w plecy. Jeden głęboki cios, ale nawet tego nie zauważył. Poczł dotkliwy chłód i zadrzał, przyspieszając kroku. I nagle nastąpiła straszna chwila. Usłyszał drugi głos, niski, paskudny i przerażający niczym samo piekło, i rozpoznał Monka: - No cóż, brachu, dostaniesz za swoje, ale wpierv gadaj, co zrobiłeś z błyskotkami.

Tristan nie mógł uwierzyć własnym uszom. Powoli odwrócił twarz ku swemu byłemu współnikowi, Monkowi Buschowi, człowiekowi o powierzchowności pirata z początków osiemnastego wieku, o szpetnych rysach i ciemnej karnacji. - Monk! - szepnął.

- A gdzież to ci tak spieszo, Tris? Boy, chodź no tu. Już się nam nie wymknie!

Nagle Tris potknął się i Monk ujrzał rozszerzającą się na jego plecach czerwoną plamę. - Boy, ty przeklęty idioto! Dźgnąłeś go nożem w plecy! Mówiłem, kretynie, byś uważał.

- Eh!Arretez! Qu'est-ce qui se passe? Monk zaklął. Ta cholerna, brukselska straż! Tristan krzyknął jak najgłośniej zdołał, naprzód po angielsku, potem po francusku: - Na pomoc! Aidez-moi!

Rozległ się przenikliwy gwizd.

Monk i Boy wymienili spojrzenia i rzuciwszy wiązaną przkleństw, uciekli. Tristan przez moment jeszcze spoglądał za nimi, potem wolno, bardzo powoli osunął się na kolana. Jak bardzo pragnął jeszcze raz zobaczyć Lily i dzieci. - Lily... - szepnął, padając. Nagle dotarło do niego, że powinien był powiedzieć jej o swym dokonaniu. Należało ją uspokoić, zapewnić, że nigdy ani jej, ani dzieciom niczego nie zabraknie, jeżeli tylko ona potrafi przełamać swą pryncypialność. Boże, żeby ujrzeć ją jeszcze choć raz! Nie było mu to jednak pisane, już nic nie mógł jej powiedzieć, zostawić wskazówek, gdzie powinna szukać. Ostatnią twarzą, jaką zobaczył, było oblicze pochylającego się nad nim młodego konstabla.

Damson Farm, Yorkshire, Anglia, październik 1814 roku

Lily siedziała z podwiniętymi nogami na swym wąskim łóżku, wokół niej przycupnęli Theo, Sam i Laura Beth. Znajdowali się w jej małej sypialni na drugim piętrze Damson House, w pokoiku dla służby. Już zdołała opanować drżenie, jakie ogarnęło ją po ataku Arnolda; w końcu uspokoiła się i na chłodno rozmyślała, co teraz ona i dzieci powinni uczynić. Tu, w domu siostry Trisa, Gertrudę, nie mogli pozostać ze względu na jej męża Arnolda. Dzieci Gertrude tolerowała, natomiast do Lily zapałała wyraźną niechęcią i złośliwie traktowała ją jak „lepszą” służącą. Wnet odkryje romansowe zapędy męża, i to nie jemu pokaże drzwi, tylko Lily; i nie pozwoli jej zabrać dzieci.

Co za sytuacja! I wszystko przez Arnolda, przez jego brak opanowania! Naprzód jęczał i błagał ją, by mu się oddała, potem stał się bardzo nieprzyjemny, jak to potrafią nędznicy wykorzystujący swą pozycję. Theo - nad miarę poważny i zbyt odpowiedzialny na swój wiek, zachował się jak jej opiekun i przeszkodził Arnoldowi, gdy ten, przypierając ją do ściany na schodach, zamierzał ją zgwałcić.

- Zabiję go! - Sam energicznie wysunął bródkę. - Theo powinien był to uczynić.

- Zamknij buzię, Sam - napomniął Theo sześćioletniego braciszka swym zadziwiająco poważnym, dojrzałym tonem. - Niczego nie zrobisz. Powstrzymałem go, ale mu nie ufam. On jest głupi i niehonorowy.

Theo potrafi wysławiać się jak pastor, pomyślała Lily, pochyliwszy się, by klepnąć go po ramieniu. W istocie Arnold Damson to obleśny, złośliwy bydlak i do tego agresywny. Theo uratował ją, głośno chrząkając, wysuwając się z pięściami gotowymi do ciosu. Napastnik cofnął się, pojąwszy, że w tym momencie nie ma wyboru. Nie mógł jej zgwałcić w obecności chłopca, do tego swojego bratanka.

Przesunęła wzrok po twarzyczkach dzieci: Theo, za wysoki i za chudy na swój wiek, z odziedziczonymi po ojcu jasnoniebieskimi oczami, błyszczącymi niezwykle inteligencją; Sam, mocny i porywczy, niezależny, radosny i beztroski wiercipięta; w końcu mała Laura Beth, zaledwie czteroletnia, spokojna i tak śliczna, że Lily ze wzruszeniem patrzyła na jej drobną twarzyczkę, na usteczka, w których teraz tkwił wciśnięty mocno kciuk. Laura Beth była podobna do swej matki, Elizabeth, pięknej, jak Lily wiedziała, kruchej, delikatnej brunetki o jedwabistych włosach i oczach o barwie tak głębokiego granatu, że w pewnym oświetleniu zdawały się czarne.

Odchrząknęła i obdarzyła dzieci spokojnym uśmiechem. - Odejdziemy wszyscy razem.

Theo westchnął. - Chyba nie mamy innego wyboru. Nie zdołam chronić cię przez cały czas.

Zaprzagnęła zarzucić ramiona na szyję temu zbyt dorosłemu na swój wiek chłopcu i ścisnąć go do utraty tchu. - Rzeczywiście, nie możesz - przyznała z nieco nerwowym uśmiechem.

- On jest paskudny - oświadczyła Laura Beth, wyjmując kciuk z buzi. - Także tłusta ciocia Gertruda.

- To prawda - przyznała Lily. Ujęła w dłonie rączki Laury Beth, w nadziei przytrzymania kciuka dziecka choć na chwilę z dala od jej ust. Mała nie stawiała oporu i obdarzyła Lily spojrzeniem wyraźnie dającym do zrozumienia, że jej na to łaskawie pozwala.

- A teraz, posłuchajcie mnie - zaczęła Lily. - Wasz ojciec przed śmiercią, kilka miesięcy temu, powiedział mi, że jeżeli cokolwiek mu się przydarzy, mam was zabrać do jego siostry Gertrude. I wiecie też, że nie mieliśmy innych możliwości, musieliśmy tak postąpić. Zostaliśmy bez grosza. A teraz ten paskudny Arnold pokazał, kim naprawdę jest, więc odejdzemy. Wasz ojciec miał kuzyna. Nazywa się Knight Winth-rop, jest wicehrabią Castlerosse, a mieszka przeważnie w Londynie. To miała być nasza druga możliwość, gdyby nie ułożyło nam się z Gertrude.

- Czy on jest paskudny? - zapytała Laura Beth. Wyciągnęła rączkę z dłoni Lily i kciuk odnalazł swe miejsce w buzi.

- Nie mam pojęcia. Sądzę, że wasz ojciec wyznaczył go jako naszą ostatnią deskę ratunku, bo wicehrabia jest kawalerem.

- Nie podoba mi się ten pomysł - oświadczył Theo.- Skąd możemy wiedzieć, czy on także nie spróbuje cię skrzywdzić, Lily, tak jak Arnold.

- Arnold to paskudny drań - włączył się Sam. - Obrzydliwiec.

Lily aż mrugnęła. Skąd mały przyswoił sobie podobne wyrażenia? Były jednak absolutnie adekwatne i trafiały w sedno. - Tak, to prawda - zauważyła obojętnie. - Być może, Theo, masz rację, ale nie dano nam wyboru. Zostało mi akurat tyle pieniędzy, by starczyło na podróż do Londynu. Do tego kuzyna. Jeżeli posiada choć w najmniejszym stopniu poczucie obowiązku, to zajmie się przynajmniej waszą trójką.

- Nie opuścimy cię - oświadczyli zgodnie Theo i Sam, a Laura Beth z powagą skinęła głową. Theo, po chwili zastanowienia, podjął temat: - Chyba nie powinnaś mówić temu panu, tak jak cioci Gertrude i Arnoldowi, że byłaś narzeczoną ojca. Wujostwo potraktowali cię jak oszustkę, nie damę.

- Nie możesz także być guwernantką - dodał Sam. - To by było jeszcze gorzej. Ten kuzyn mógłby cię odesłać, a nawet skrzywdzić.

- Sam ma rację - przyznał Theo z powagą. - Musisz przedstawić się inaczej.

- Jesteś moją mamusią - powiedziała nagle Laura Beth, wysuwając kciuk tylko na czas złożenia tego zaskakującego oświadczenia.

Lily spojrzała na dziecko zdumiona, ale Theo ucieszył się: - Rzeczywiście, wyborny pomysł. No wiesz, Lily, nikt nie uznałby cię za mamę moją i Sama, jesteś na to o wiele za młoda. Ale gdybyś bardzo młodo została żoną taty, mogłabyś być mamą Laury Beth. I ten kuzyn nie mógłby cię odesłać. Musiałby zaopiekować się nami wszystkimi. A jako wdowę potraktuje cię z szacunkiem.

- Mamusia - powtórzyła Laura Beth i sadowiąc się Lily na kolana, przytuliła się do jej piersi; kciuk prawej ręki trzymała w buzi, a z drugiej nie wypuszczała carycy Katarzyny, swojej laleczki.

No to decyzja podjęta, pomyślała Lily.

Rozdział 1

Londyn, Anglia, październik 1814 roku

Wybiła właśnie godzina ósma, gdy Knight Winthrop, wicehrabia Castlerosse, który ten deszczowy czwartkowy wieczór spędzał u siebie w Winthrop Ho-use przy Portland Square, siedział w wysoko sklepionej, typowo męskiej bibliotece, zajmując swe ulubione, wyściełane skórą krzesło. Na jego udzie leżał, do góry grzbietem, egzemplarz Kandyda Woltera. Wicehrabia, z kieliszkiem francuskiej brandy w ręce, wpatrywał się w płomień od czasu do czasu pojawiające się jeszcze wśród żaru na kominku. Wyłożony boazerią pokój był słabo oświetlony, pełen cieni; jedyna plama jasności spływała ze świecznika obok prawej ręki wicehrabiego. W tym przytulnym pomieszczeniu Knight w pełni mógł rozkoszować się poczuciem komfortu i relaksu, i przyjemnego zmęczenia.

Uśmiechnął się na wspomnienie miny sir Edwarda, gdy Allegory, berberyjska kasztanka Knighta, wyhodowana w stadninie w Desborough, zerwała się i w połowie ostatniej prostej przed linią finiszu, wyznaczonego przez Klub Czterech Koni na Hounslow Heath, zostawiła za sobą w pyle drogi sir Edwarda i jego szkapę. Knight obstawił Allegory wysoko, licząc na jej szybkość i nieposkromionego ducha, jak i na własne umiejętności, więc tor wyścigowy opuszczał o tysiąc funtów bogatszy - na niekorzyść sir Edwarda Brassby'ego.

Allegory nienawidziła przegrywać chyba jeszcze bardziej od niego samego. Na widok zbliżającego się innego konia w oczach kasztanki pojawiał się złośliwy błysk. Knight nie był pewien, czy klacz po nim miała to paskudne spojrzenie, czy odziedziczyła je po swym sławnym ojcu, Latającym Davie.

Pociągnął następny łyk brandy, odchylił głowę i przymknął oczy. Życie zdawało mu się wręcz niemożliwie wspaniałe. Nie miał żadnych powodów do narzekania, żadnej potrzeby zwracania się do sił wyższych o poprawki. Czuł się w pełni zadowolony. Zdrowie mu dopisywało, zęby miał białe, proste i mocne, i nic nie zapowiadało łysiny. Aktualna kochanka zaspokajała każdą jego seksualną zachciankę i nic, poza od czasu do czasu zakupionym nowym ogierem, nie zakłócało jego cudownej wręcz egzystencji. Zaiste, czuł się wybrańcem fortuny.

Uniósł książkę i z roztargnieniem przerzucił strony.

- Milordzie.

Na dźwięk cichego głosu Knight otworzył oko. Choćby w domu panowała idealna cisza, i tak nie usłyszałby kroków nadchodzącego Ducketta. Liczący niepełny metr sześćdziesiąt wzrostu, cały okrągły niemal tak jak jego prawie zupełnie pozbawiona owłosienia głowa, kamerdyner posiadał dar nieograniczonej percepcji, przy tym znał swego pana lepiej niż osobisty pokojowiec Knighta, Stromsoe, i starał się trzymać wicehrabiego z dala od wszelkich uciążliwości.

- Co jest, Duckett? Mam nadzieję, że nic kłopotliwego.

- Tego nie umiem powiedzieć, milordzie.

Knight uniósł także drugą powiekę i spojrzał na kamerdynera. - Słucham?

- Młoda osoba i trzy bardzo młode osoby przyszły się z panem zobaczyć, milordzie. Ale najpierw ta młoda osoba prosi o rozmowę.

- Ta młoda osoba, to znaczy w przeciwieństwie do bardzo młodych osób? - Druga cecha Ducketta to kompletny brak poczucia humoru, przemknęło Knightowi przez myśl. Ani śladu. - No cóż, powiedz tej osobie, że wyjechałem na wieś, powiesz jej... jemu?

- To ona, milordzie.

- ... że wpadłem do Morza Północnego, i powiedz jej... kto to, u diabła?

- Podaje się za wdowę po pańskim kuzynie.

- Czym po moim kuzynie? Po Trisie? - Knight wpatrywał się w Ducketta z niedowierzaniem. Tristan nie żyje? Wicehrabia zamyślił się, próbował sobie przypomnieć, kiedy miał od kuzyna ostatnią wiadomość. Na Boga, minęło co najmniej pięć lat! Podniósł się i poprawił pognieciony strój. - Wprowadź ją, Duckett. A co do tych trzech bardzo młodych osób, to pewnie dzieci Tristana, przekaż je pani Allgood. Nakarmi je czy czego tam te bardzo młode osoby potrzebują o ósmej wieczorem.

- Tak, milordzie.

Tristan nie żyje. Głęboko w duszy poczuł ucisk smutku, wszak znał Tristana jeszcze jako chłopiec. Kuzyn był od niego starszy o dziesięć lat i nieczęsto go widywał, jednak wręcz za nim przepadał, adorował go. Ten wesoły, zuchwały jak diabeł mężczyzna fascynował kobiety, przynajmniej tak zaobserwował piętnastoletni wtedy Knight, gdy kuzyn, odwiedzając Castle Rosse, zaliczał każdą młódkę w okolicy, i to bez najmniejszego wysiłku czy starań.

A oto pojawia się wdowa po nim wraz z tymi trzema bardzo młodymi osobami, zapewne dziećmi Trisa. Z jakiego powodu? Knight zwrócił twarz w stronę właśnie otwieranych przez Ducketta drzwi. Kamerdyner odsunął się na bok i zaanonsował wyciszonym głosem: - Pani Tristanowa Winthrop, milordzie.

Do pokoju weszła kobieta niemal od stóp do głów okryta praktyczną brązową peleryną.

- Jak się pani miewa - powitał ją uprzejmie.

- Witam - odrzekła Lily, w jej głosie zabrzmiało zmęczenie. - Mam przyjemność z lordem Castlerosse?

- Owszem, proszę do środka. I proszę oddać mi okrycie. Ogrzeje się pani przy kominku. Niezbyt przyjemny mamy wieczór, nieprawdaż?

- Raczej nie. Ale dzięki Bogu zastaliśmy pana w domu; to dla mnie wielka ulga.

Knight pomógł jej zdjąć pelerynę i natychmiast pożałował, że nie pozostawił jej szczelnie otulonej. Przez chwilę lustrował ją wzrokiem, ale zaraz przywołał się do porządku i zaproponował jej krzesło w pobliżu kominka. Była blada i chyba bardzo zmęczona; włosy gładko odczesane od twarzy i ściągnięte w skromny koczek, suknia pomięta i nie najlepszej jakości. Ale uroda tej kobiety sprawiła, że poczuł ból w najdalszych zakątkach swego ciała. Złapał się na natarczywym przyglądaniu się jej i pospiesznie zaproponował: - Proszę usiąść i powiedzieć mi, w czym mogę służyć pomocą.

Lily usiadła, z wdzięcznością przyjąwszy propozycję. Być może to przyćmione światło, pomyślał. Żadna kobieta nie może tak wyglądać, w każdym razie nie w jaskrawym blasku dnia. - Każę podać herbatę. Jest pani głodna? Może kanapki, ciastka?

- Dziękuję, z ochotą.

- Poleciłem Duckettowi, by przekazał dzieci pani Allgood, ona zajmie się nimi.

Jednak pani Allgood nie było pisane wywiązać się z zadania. Nagle za ścianą biblioteki zadudniły biegnące stopy i zabrzmiały ożywione głosy, ktoś - dorosły - krzyknął i zaraz drzwi stanęły otworem i trzy bardzo młode osoby wtargnęły do środka. Lily zerwała się z krzesła. - Wielkie nieba! - nic więcej nie zdążyła z siebie wydusić.

- Mamusiu! - Laura Beth z krzykiem przywarła jej do nóg. Theo i Sam opiekuńczo zajęli pozycje po obu jej stronach.

- Nic ci nie jest? - zapytał Theo, wzrokiem badając jej twarz.

Roześmiała się, nie zdołała się powstrzymać. - Czuję się wyśmienicie. Co się stało? - Ujrzała stojącą w drzwiach starszą kobietę, wyraźnie skonsternowaną, i pospiesznie dodała: - Pani Allgood? Bardzo przepraszam, ale dzieci... niechętnie zostawiają mnie samą z obcymi... to znaczy, z obcymi mężczyznami i...

- To chyba całkiem zrozumiałe - przerwał jej Knight. Czyżby te bardzo młode osoby uznały go za agresywnego bydlaka? Zważywszy na urodę wdowy Winthrop, ogólnie rzecz biorąc, rozumiał ich opiekuńcze instynkty. - Na razie dziękuję - zwrócił się do służących. Pani Allgood natychmiast się wycofała, Duckett wyszedł za nią.

Lily wzięła głęboki oddech, lekko położyła dłoń na ramieniu Theo. - To Theo, najstarszy Trisa - przedstawiła chłopca Knightowi.

Chudy wyrostek wbił w niego niezwykle intensywne, szacujące spojrzenie. - Panie - zaczął łamiącym się młodzieńczym głosem - proszę nam wybaczyć porywczosć. Wolimy nie zostawiać naszej mamy samej z nieznanymi.

- Nie mam wam tego za złe, Theo - zgodził się Knight. - Ja też bym jej nie zostawiał.

- A to Sam - pospiesznie włączyła się Lily. - Samie, to hrabia Castlerosse, twój kuzyn.

- Witam, proszę pana. - Ton wypowiedzianych słów wyraźnie kłócił się ich treścią. Głos Sama brzmiał wojowniczo i równie agresywnie jak sposób, w jaki wysunął swą małą bródkę. Małe, solidnie zbudowane ciało było spięte, gotowe do walki.

- Witaj Samie - swobodnie rzucił Knight. Spojrzał w dół, na dziewczynkę, która ssła paluszek i przyciskała do piersi lalkę. Mocno przywarła do nogi matki.

- A to Laura Beth. Ostatnio wielka z niej przylepka. Podróż mieliśmy długą i... no cóż, nie do końca byliśmy pewni, czy zniesie pan... - Lily urwała. Zdawała się niezdolna do przedstawienia właściwymi słowami tego, co czuje, do podania sensownego wyjaśnienia.

- Ależ rozumiem, niech mi pani wierzy - uspokajał ją Knight. - Witaj, Lauro Beth.

Mała zwróciła twarzyczkę w stronę wysokiego mężczyzny. - Pan nie jest bardzo stary - stwierdziła, wpatrując się w niego bez zmrużenia oka.

- Lauro Beth! - napomniął ją Theo. - Zachowuj się grzecznie.

- To chyba komplement, Theo. - Knight zauważył spojrzenie, jakie Sam rzucił bratu. Osobno żaden z chłopców wyglądem nie przypominał Trisa, ale gdy stali obok siebie i można było połączyć ich rysy, podobieństwo do kuzyna stawało się uderzające.

- Jak tak stoją tu razem, bardzo przypominają mi swojego ojca - stwierdził.

Lily spojrzała na Theo. Laura Beth, wciąż przywierając do nóg matki, tak mocno trzymała ją za suknię, że materia opięła się na biodrach i udach Lily.

Knight aż przełknął ślinę. Cóż za idiotyzm odczuwać pożądanie do matki trójki dzieci? Ale to chyba niemożliwe, pomyślał, ta kobieta jest o wiele za młoda. Potrząsnął głową i wsłuchał się w

dźwięk jej głosu. Gdy zwracała się do dzieci, brzmiał miękko, przepełniony słodyczą.

- ... a więc Theo, zajmijcie się z Samem położeniem Laury Beth do łóżka. Jesteście jeszcze głodni? Nie? Świetnie, więc poproszę tę miłą panią Allgo-od i...

- Nie chcemy zostawiać cię z nim samej - rozległ się donośny szept Sama. - Laura Beth ma rację, mamó. On nie jest stary, a nawet jest o wiele młodszy od Paskudnego Arnolda, a przypomnij sobie, co tamten zrobił...

- Próbował zrobić - poprawiła go Lily stanowczo; w tym momencie chętnie udusiłaby tych swoich dwóch, zbyt głośnych opiekunów. - Dość tego, naprawdę wystarczy. - Już dawno nie czuła się taka zawstydzona. Właśnie miała wyjąkać jakieś przeprosiny, ale wicehrabia przerwał jej spokojnie:

- Przysięgam na honor, jako dżentelmen i wasz kuzyn, że nie zachowam się w stosunku do waszej mamy niewłaściwie. A teraz proszę, pójdźcie z panią Allgood. Mama wnet do was dołączy - przerwał i uśmiechnął się do Lily. - Pozwoliłbym już teraz, by oddaliła się z wami, ale widzicie, nie mam najmniejszego pojęcia, o co tu chodzi. Nie żebym podejrzewał, by któreś was mogło okazać się niebezpiecznym łotrem czy złoczyńcą, przybyłym, by mnie obrabować, ale chyba pojmujecie moją przezorność.

- Widzicie więc - włączyła się Lily - wicehrabiemu należy się wyjaśnienie tej sytuacji. Proszę cię, Theo. Puść mnie, Lauro Beth. A ty, Sam, zdaje się masz ochotę na biskopata?

- On ma rację - przyznał Theo. - Nic o nas nie wie, moglibyśmy okazać się łotrami. Pójdziemy z tą panią...

- Ale - dodał Sam, z zaciśniętymi w pięści, wspartymi na biodrach dłońmi - będziemy patrzeć na zegar. Mamie nie wolno zostać tu zbyt długo.

- Zatrzymam ją tyle czasu, ile wystarczy, bym się upewnił, że nie jest jednym z pozostałych w naszym kraju napoleońskich szpiegów.

- W porządku - zgodził się Sam, z akcentem aprobaty w głosie.

Zawołano więc panią Allgood. Laurę Beth przekonano, by oderwała się od Lily i poszła z gospodynią. Mała włożyła rączkę w dłoń starszej kobiety i uśmiechnęła się do niej. - Sam i ja chcielibyśmy ciasta.

- Cuthbert piecze wyśmienity placek z malinami - oznajmiła pani Allgood.

Lily w milczeniu spoglądała na zamknięte drzwi biblioteki. Za jej plecami rozległ się głos wicehrabiego: - Dobrze się nimi zaopiekuje. Proszę się nie martwić. I niech się pani nie niepokoi, nie rzucę się na panią; to naprawdę nie w moim stylu. Proszę bliżej, o tu, niech pani usiądzie. Każę Duckettowi podać herbatę, ciasto malinowe i inne smakołyki.

Lily posłuchała wicehrabiego. Była bardzo zmęczona, głównie niepewnością przyjęcia przez kuzyna Tristana, opadła więc na miękkie poduszki fotela z westchnieniem głębokiej ulgi.

Wydawszy polecenie Duckettowi, Knight zauważył, że młodej kobiecie z senności wręcz zamykają się oczy. Cicho podszedł i powiedział łagodnie: - Jeżeli wolałaby pani udać się teraz na spoczynek, porozmawiamy rano.

- Och, nie. Wielce pan uprzejmy, wicehrabio, jednak powinien pan dowiedzieć się, z jakiego powodu tu jesteśmy; pewnie się pan zastanawia i...

- Być może, ale zapewne sprawa wcześniej czy później się wyjaśni. O jesteś, Duckett, liczę, że wszystko zostało przygotowane. Z pewnością dopilnowałeś, czego trzeba. Postaw tacę przed panią Win-throp. O tak, dziękuję.

Duckett ociągał się z odejściem, przez chwilę coś przestawiał na tacy, ale ciche napomnienie hrabiego w końcu zmusiło go do opuszczenia biblioteki.

- Nie jestem pewna, czy on pochwała moją tu obecność - powiedziała Lily, odprowadzając służącego wzrokiem.

- Tak bywa, jak się ma służących, którzy znają nas od czasu, gdy chodziliśmy w krótkich spodenkach. Niech się pani nie martwi o Ducketta. A teraz, pani Winthrop ... To brzmi jakoś dziwnie, wie pani, gdyż ja też jestem Winthrop. Nazywam się Knight Winth-rop. - Skłonił się.

Wstała i oddała ukłon. - Jestem Lily Winthrop, wdowa po Trisie, milordzie. Z żalem powiadamiam, że pański kuzyn zmarł miesiąc temu, w Brukseli.

- Bardzo mi przykro. Jak to się stało? Czy długo chorował?

Lily odwróciła wzrok, ale Knight zdążył dostrzec ból w jej pięknych oczach. - Nie, zabito go, zamordowano. Napadły go jakieś rzezimieszki, jak powiedział mi konstabl. Morderców nie złapano, w każdym razie nie ujęto ich do czasu, gdy wyjechałam z dziećmi z Brukseli.

- Gdzie dotąd przebywaliście. Mamy już niemal koniec października. O przepraszam, proszę usiąść, pani Winthrop.

Podziękowała mu czarującym uśmiechem i zaraz znów przybrała poważny wyraz twarzy; zrobiła to tak szybko i zręcznie, jakby zakręcała kurkiem wodę. - Byliśmy u siostry Trisa w Yorkshire.

- O niech to, zupełnie zapomniałem o Damso-nach. Tak się nazywają, czyż nie?

W milczeniu przytaknęła ruchem głowy.

Zamyślił się, spojrzał na nią. W blasku płomieni z kominka jej miodowe włosy nabierały delikatnych, złocistych odcieni. Przełknął ślinę. U diaska, przecież on nawet nie lubi miodu! - Jak się domyślam, mówimy o Paskudnym Arnoldzie?

- Tak, jest mężem Gertrude. To niezbyt szczęśliwe stadło. Wyjechaliśmy stamtąd przed czterema dniami. - Lily nie była pewna, czy Gertruda nie uzna za swój obowiązek upomnieć się o dzieci, więc wymknęły się o świcie.

- To długa podróż. Jak sądzę, przybyliście dyliżansem?

- Oczywiście.

- Jednak nie uwierzę, by była pani matką Sama czy Theo. Jest pani na to za młoda. Nawet Laura Beth...

- Ona jest moim dzieckiem. Ma cztery lata. Theo i Sam są moimi pasierbami. Pierwsza żona Trisa zmarła jakieś sześć lat temu. - Nawet to było kłamstwem, gdyż matka chłopców zmarła przed czterema laty, wydając Laurę Beth na świat.

Knight zamyślił się na chwilę, potem powiedział, jakby bardziej do siebie niż do niej: - Wydaje się, że pani jest zbyt młoda na matkę nawet czteroletniego dziecka.

Lily zebrała siły. Musi go przekonać. - Mam dwadzieścia trzy lata - oznajmiła z tak stanowczym wyrazem twarzy, że Knightowi pozostało tylko wycofanie się ze swych wątpliwości.

Postawił sobie krzesło naprzeciw niej i usiadł. - Proszę napić się herbaty. Sandwicze Cuthberta też są nie do pogardzenia. Ale dlaczego opuściliście Damsonów?

Oczywiście znał odpowiedź. Na widok tej kobiety każdy mężczyzna mógł kompletnie stracić głowę, rozsądek, honor oraz wszelkie pozytywne cechy, jakie posiadał. Knight sam nawet nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie.

- Nie byliśmy tam szczęśliwi ani specjalnie mile widziani. No i właśnie, problemy z Paskudnym Arnoldem... Dzieci go tak nazwały. Widzi pan, kilka miesięcy temu Tris powiedział mi, że gdyby coś

mu się przydarzyło, powinniśmy udać się do Damsonów, a jeżeli pobyt u nich nie będzie nam odpowiadał, mamy poprosić o schronienie pana, jego kuzyna. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jesteśmy tu, bo nie mamy dokąd pójść. I proszę mnie źle nie zrozumieć, milordzie. Sama poradziłabym sobie, ale nie zdołam zająć się dziećmi. Są wspaniałe i zasługują na więcej, niż potrafiłabym im zapewnić.

- Tris zostawił was bez środków? - zapytał wprost, ale już wiedział, że tak właśnie życzyła sobie wdowa Winthrop.

- Tak, prawie bez niczego. Po załatwieniu spraw pogrzebowych sprzedałam, co się dało, i zostało nam zaledwie czterdzieści funtów. - Na chwilę zamilkła i ujrzał, jak palcami nerwowo zaplata włókna wełnianej sukni. Spojrzawszy na dzbanek z herbatą, zwrócił się do niej swobodnie: - Należy pani?

- Oczywiście.- odrzekła zachwycona, że przez chwilę ma czym się zająć.

Obserwował ją, podziwiał jej wdzięk i nie miał wątpliwości: była damą, kobietą dobrze wychowaną, damą pomimo braku środków i perspektyw w tym akurat momencie życia.

- Odrobinę mleka.

Zauważył lekkie drżenie jej dłoni i poczuł wyrzuty sumienia. Była przecież bardzo zmęczona, zmartwiona, a nawet wystraszona, czy nie odeśle jej i dzieci na ulicę.

Pospieszył więc zapewnić ją swym głębokim, uspokajającym głosem: - Wszystkim się zajmę, proszę się już więcej nie martwić. Powinna pani coś zjeść, a potem nasza gospodyni, Allgood, zaprowadzi panią do sypialni. Będziecie, pani i dzieci, całkowicie przy mnie bezpieczni. Ja nie jestem paskudnym Arnoldem. Zaopiekuję się wami. - Ledwie wypowiedział te słowa, przeraził się. Co on u diabła obiecał?

Lily spojrzała na niego i powiedziała cicho: - Dziękuję, milordzie.

Podsunał jej talerz kanapek z ogórkiem. - Proszę się częstować, Cuthbert świetnie je przyrządza. Niech pani je. Tristan był moim ulubionym kuzynem, mimo że nie widzieliśmy się od ponad pięciu lat. Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci.

Rozległo się pukanie do drzwi. - Tak? - zawołał Knight.

Pani Allgood, najwyraźniej zmieszana i czymś bardzo zdenerwowana, wsunęła głowę do pokoju. - Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, milordzie, pani Winthrop, ale mała płacze za panią. Jest wystraszona. To dla niej obcy, nieznan dom.

Lily natychmiast wstała. - Przepraszam, milordzie.

Szybko podeszła do drzwi, nagle coś sobie przypomniała i odwróciła się. - Dziękuję. Teraz udam się do dzieci, potem do łóżka. Do zobaczenia jutro, milordzie.

Knight nie zdążył się nawet podnieść, a Lily już nie było; pani Allgood pospieszyła za nią. Drzwi biblioteki zamknęły się. Knight odwrócił się w stronę kominka. Płomienie przygasały. Miał nadzieję, że się wystarczająco rozgrzała. Tej chłodnej nocy wilgoć przenikała do kości. Spojrzał na egzemplarz Kandyda na poręczu swego obitego skórą krzesła. Zmarszczył brwi. O czym to on myślał? O tak, że życie jest wspaniałe, a on w pełni zadowolony, niczego by w życiu nie zmienił.

A teraz w jego domu przebywa troje dzieci i bardzo piękna młoda wdowa.

Potrząsnął głową. Nawet gdyby była nieurodziwa, bez wahania pospieszyłby jej z pomocą. Lily. Cudowne imię. Czy ma zdaje się jasnoszare? A może błękitne? Rano musi to sprawdzić.

Troje dzieci.

No tak, to rzeczywiście coś. O dzieciach nie miał bladego pojęcia. Wiedział tylko, że maluchów nie odłącza się od matki. A to podobieństwo chłopców - gdy wymieszać ich rysy - do ojca? A niech cię, Tris! Dlaczego nie byłeś ostrożniejszy?

A gdyby tak akurat w momencie ich przyjazdu nie było go w domu? Duckett zapewne by ich wpuścił. Jednak Knight dobrze pamiętał, jak wielokrotnie przy kamerdynerze pozwalał sobie na dwuznaczne uwagi dotyczące posiadania dzieci.

* * *

Na piętrze, w pięknej, gościnnej sypialni Lily usiadła przy szlochającej Laurze Beth. Theo i Sam bezradnie stali obok.

Gospodyni Winthrop House wydawała uspokajające odgłosy. Lily zwróciła się do niej wprost: - Bardzo dziękuję, pani Allgood. Teraz ja się nimi zajmę. Będą spali tutaj, ze mną. To żaden kłopot.

Pani Allgood nie wiedziała, co robić. Kiedyś w Winthrop House na drugim piętrze był pokój dla dzieci, ale dawno już zmieniono go na pomieszczenie dla służby. Od niepamiętnych czasów nie mieszkały tu dzieci. Gdzie ma umieścić chłopców?

Lily domyśliła się. - Może są tu dwie sąsiadujące ze sobą sypialnie? Jutro, za zgodą milorda, przeniesiemy chłopców. Ale dzisiaj mogą ułożyć się na podłodze.

Pani Allgood została pokonana. Pospieszyła wydać polecenia, by przyniesiono koce.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, Laura Beth przestała płakać. Posłała Lily zadowolony z siebie uśmiech.

- Wydawało mi się, że coś nie tak z tym twoim histerycznym szlochem - stwierdziła Lily z rękami wspartymi na biodrach. - No więc...

- Udawała, specjalnie - przyznał Theo. - Chcieliśmy się wiedzieć, czy nie spotkało cię nic złego. Nasz kuzyn wydaje się dżentelmenem, ale pewności mieć nie mogliśmy. W końcu byłaś z nim sama, a wiesz, co się dzieje, gdy przebywasz sama z mężczyznami...

- Mógł zamknąć drzwi i wrzucić klucz do kominka, a potem... - włączył się Sam.

Lily uniosła dłoń. - O nie, zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Chodźcie tu wszyscy. Przytulmy się do siebie na łóżku, zanim pani Allgood wróci z pościelą.

- Udawałam - powiedziała Laura Beth, wtulając główkę w piersi Lily. Theo i Sam z podwiniętymi nogami zasiedli po drugiej stronie łóżka.

- Owszem, nawet na mnie zrobiłaś wrażenie. Biedna pani Allgood bała się, że czymś cię wystraszyła. To piękny pokój - ciągnęła Lily, dopiero teraz zwróciwszy uwagę na delikatne odcienie błękitu i jasnego beżu. Na ustawionym na podeście łóżku leżała wełniana kapa w ciemnoniebieskim kolorze. Podłogę przysłaniał kremowy dywan z Abusson, na oknach wisały jasnoniebieskie zasłony.

- Pokój dla dziewczyny - zawyrokował Sam z lekką pogardą w głosie. - Miękki i nijaki.

Lily była zbyt zmęczona, by skwitować uwagę chłopca czymś więcej niż uśmiechem. Skąd oni biorą tyle energii? Poczula jak rączka Laury Beth opada, i mała w jednej chwili zasnęła. Jedno padło, pomyślała Lily, tłumiąc ziewnięcie.

- Przynajmniej nie trzyma już kciuka w buzi - zauważył Theo. - Sam ma rację, to dziewczynski pokój.

- Właśnie - podsumował jego brat.

- Jesteś pewna, że on zachowa się honorowo, mamó? - upewniał się Theo.

Lily ujęta jego dłoń, lekko ją uściśnięła. Od czasu wyjazdu z Damson Farm obaj chłopcy niemal demonstracyjnie przy każdej okazji nazywali ją mamą. Teraz stało się to już absolutnie naturalne. -

Tak sędę - odrzekła. - Nie muszę wam chyba mówić, że zaskoczyło go nasze nagłe pojawienie się u jego drzwi. Ale zachował się wobec mnie grzecznie i z szacunkiem. O, jest już pościel dla was dwóch.

Jak mogła najdelikatniej zsunęła Laure Beth z kolan i okryła ją kocem. Podziękowała pani Allgood, wyraźnie dając jej do zrozumienia, że poradzą sobie sami. Z pomocą chłopców rozłożyła pościel na wręcz nieprzyzwoicie grubym dywanie. - Teraz zgaszę świece i możecie się rozebrać - oznajmiła, obdzielając każdego uściskiem i całusem. Żadnego tulenia, tylko lekkie cmoknięcie w policzek; w końcu to chłopcy.

* * *

W ciągu trzydziestu minut Lily i jej rodzina spali już głęboko. Knight, wciąż na dole, w bibliotece, zaskoczony spojrział na gospodynię. - Co pani powiedziała?

- Wszyscy śpią w jednej sypialni, milordzie. Zniosłam chłopcom dodatkową pościel.

- Ależ to absurd! Proszę natychmiast ich przenieść. Ta młoda kobieta jest wyczerpana i potrzebuje odpoczynku. Czwororo w jednym pokoju, coś takiego...

- Dama tak właśnie sobie życzyła - stanowczo powiedziała pani Allgood. Pamiętała wicehrabiego jeszcze z okresu, gdy liczył sobie zaledwie trzy lata; wtedy domagał się spełnienia swych zachcianek podobnym tonem. - Rano sprawy powrócą do normy. Dobranoc, milordzie. Czy coś jeszcze?

- Nie, dziękuję, pani Allgood.

- Domyślam się, że dzieci pozostaną tu jakiś czas?

- Tak sędę - odrzekł Knight. - Czy zna się pani na dzieciach, pani Allgood?

- Oczywiście, milordzie. Wprawdzie moja Gladys już dawno wyrosła z dzieciństwa, ale teraz ma dwójkę własnych maluchów. Widuję je co tydzień.

Knight nagle poczuł się dziwnie nieswojo. Nawet nie wiedział, że pani Allgood jest babcią. Była przy nim niemal od zawsze, a jemu nigdy dotąd nie przyszło do głowy, że mogłaby mieć własne, prywatne życie. - Rozumiem - tyle tylko zdołał powiedzieć.

- Rano pan Duckett i ja przeniesiemy ich do dwóch sąsiadujących ze sobą pokoi. Nie ma pan powodu do niepokoju.

Starła się jak najdelikatniej dać mu do zrozumienia, by nie zajmował się nie swoimi sprawami. Nie zdołał powstrzymać uśmiechu. - W porządku. Proszę przekazać Duckettowi, by przyszedł po tacę. Pani Winthrop nie miała zbyt wielu możliwości zaspokoić głodu.

- Dobrze, milordzie. Dobranoc.

Rozdział 2

Gdzie u diabła ona się podziewa? O dziesiątej rano Knight nerwowo chodził po bibliotece. Wreszcie poddał się i zadzwonił po Ducketta.

- Milordzie?

- Dobry Boże, czy musisz wślizgiwać się niczym jakiś cholerny duch? Wystraszyłeś mnie niemal na śmierć.

- Przepraszam, milordzie. Życzył pan sobie czegoś?

- Owszem. Gdzie się podziewa pani Winthrop? O tej porze pewnie zdążyła wstać, ogarnąć się i jest gotowa na śniadanie.

- Już się dowiadywałem, milordzie. Śniadanie posłano jej do sypialni. Życzyła sobie - jak zapewne każda matka - pozostać z dziećmi.

Życzenie wdowy po Trisie, zapewne racjonalne, nieco jednak raniło miłość własną jej gospodarza i wybawcy, jej potencjalnego opiekuna w tym zimnym, obcym świecie. - Zawiadam panią, że czekam na nią w bibliotece.

- Tak jest, milordzie.

- Oczywiście, niech przyjdzie, kiedy będzie jej wygodnie.

- Zapewne nie chciałby pan wydać się apodyktyczny, milordzie.

- A niech cię, Duckett, racz zachować swe opinie dla siebie.

- Jak pan sobie życzy, milordzie.

- Pewnego dnia zostaniesz zamordowany we własnym łóżku, Duckett.

- Ja, milordzie? - Ciemne brwi kamerdynera wystrzeliły w stronę jego łysiny.

- O tak, zlecę to Stromsoe'owi.

- Pański pokojowiec, wybaczy mi pan śmiałość, milordzie, nie znosi przemocy w żadnej postaci.

Widziałem jak zbladł na widok rozgniecionej pluskwy.

- Och, odejdz wreszcie.

- I ugryzła go. Bardzo dziwne.

- Precz!

* * *

Trzy minuty później pokojówka Betty przekazała Lily wiadomość od hrabiego. Dygając, powtarzała dokładnie i powoli: - Pan Duckett mówi, że pani może postąpić, jak jej wygodnie, proszę pani. Jego lordowskiej mości nadmiernie się nie spieszy, po prostu chce się z panią zobaczyć, nim upłynie zbyt dużo czasu.

- Dziękuję, Betty. Schodzę natychmiast.

- Po co on chce się z tobą widzieć? - Zaniepokoił się Theo. - Ta dziewczyna dziwnie się zachowywała - drażył temat. - Paplała zupełnie bez sensu.

- I chce widzieć ciebie samą? - Sam natychmiast stał się podejrzliwy. - Dlaczego nie poprosił nas wszystkich? Przysięgam, wydrapię mu oczy.

- On nie jest stary - ogłosiła Laura Beth, wyjąwszy kciuk z buzi.

- Wszyscy jesteście strasznie podejrzliwi - stwierdziła z rozbawieniem Lily. - Z pewnością chce poznać nasze plany, a raczej nasze plany w stosunku do niego. Może zadomowilibyście się w waszej nowej sypialni. Theo, proszę, uważaj na Laure Beth. Sam, nie zrób niczego okropnego. Dobrze?

- Jak na przykład? - zainteresował się wielce Sam.

Theo posłał mu jeden z tych swoich wystudiuowanych spojrzeń dorosłego mężczyzny. - Jak choćby wywieszenie z okna liny z powiązanych ręczników, z notatką informującą, że jesteś w tym domu więziony, wariacie.

- Aha, tego rodzaju okropności.

- Jeżeli przychodzą wam do głowy podobne pomysły - przestraszyła się Lily - to obawiam się, że będę miała kłopoty. Proszę tylko, byście nie zrobili nic, czego musielibyśmy się wstydzić, a wicehrabia wyrzuciłby nas ze swego domu. Wracam za chwilę.

Złożyła jeszcze króciutką wizytę przed przepyszny lustrem w ubieralni, wsunęła na swoje miejsce zbląkane pasemko włosów, westchnęła na widok swych białych policzków i podkrążonych oczu, wiedząc, że nic się nie da z tym zrobić, i wyszła z sypialni.

Nie zauważyła, że jej wielkie oczy od zmartwień stały się jeszcze bardziej szare i ciemne, co natomiast nie umknęło uwagi Knighta. Miał ochotę wyć i przeklinać, gdyż kilka minut wcześniej wznosił modły, by ta nieprawdopodobnie piękna istota z poprzedniego wieczora z nadejściem poranka zmieniła się w zwykłą matkę. Nic z tego. Nie włożyła nic wyjątkowego ani powabnego, niewiele miała na sobie koronek i żadnych falbanek - suknię z długimi rękawami i wysokim stanem pod szyją wykończyła stójka - a jednak udało jej się oszołomić go pełnością piersi i smukłością kibici. Skromnie ściągnęła od czoła włosy, czym uwydatniła kości policzkowe, nieco egzotyczne łuki brwi, delikatne uszy i wąski, klasyczny nos.

Była najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, a przy tym wdową po jego kuzynie, odpowiedzialną za trójkę dzieci. Wyśle ich do Castle Ros-se, zdecydował. Ona uda się tam z dziećmi już w najbliższej przyszłości; a on będzie mógł wrócić do swego spokojnego i w pełni zadowolającego trybu życia. Ten sztorm u jego brzegów wydał mu się zdecydowanie niepożądany.

- Milordzie - powitała go, skłoniwszy się skromnie.

- Proszę mówić do mnie Knight. Przecież wiesz, jesteśmy spowinowaceni.

- W taki razie proszę nazywać mnie Lily.

- To niecodzienne imię.

- Mojego ojca, Francisa Tremaine, barona Markham trudno by uznać za człowieka pełnego zalet, ale jedną z nielicznych była znajomość rozmaitych roślin i kwiatów. Nadano mi imię Lily Ofelia na długo przed moim urodzeniem.

- Jak sądzę, lepsze nawiązanie do Szekspira, niż gdyby nazwano cię Lily Hortensja czy Lily Jaskier.

- Już dawno dodałam do tej listy jeszcze Lily Kol-colist.

- A gdybyś urodziła się chłopcem?

- Aż strach pomyśleć...

- No właśnie, do Paskudnego Arnolda można by na przykład dodać jeszcze: Cis.

- To mi się podoba - parsknęła śmiechem. - Gdybym miała brata, zostałby ochrzczony: Modrzew

Hawthorne Tremaine. I jak by to brzmiało? - Znowu się zaśmiała; pewnie na wspomnienie szaleństw swego rodzica, pomyślał Knight. Słyszając dźwięk jej głosu, patrząc na jej uśmiech, czuł się, jakby słońce przedarło się przez chmury w ciemny dzień i rozjaśniło go, dotarło do jego wnętrza i napełniło ciepłem. Przypomniawszy sobie, jakim to człowiekiem był jej ojciec. Tremaine - siódmy baron Markham. Dobry Boże, pomyślał, ten człowiek, zadłużony po uszy, przed kilku laty w pośpiechu opuścił Anglię, porzucając rodzinną siedzibę w Dorset i, jeżeli Knight dobrze pamiętał, właściwie wszystko, co kiedykolwiek posiadał. A więc udał się do Brukseli. Z Lily?

- A twoja matka?

- Umarła, gdy miałam czternaście lat. Nie była jakimś egzotycznym kwiatem, raczej przeciętną, bardzo prostolinijną Jane.

- Jeżeli choć trochę jesteś do niej podobna, nie mogło być w niej nic przeciętnego.

Gdyby mógł, ugryzłby się w język. Po jego słowach Lily jakby zamknęła się w sobie i wycofała, wprawdzie nie fizycznie, ale wyczuł jej rezerwę. Wystraszyła się go, i nic dziwnego. Był mężczyzną, a ona, prawdę mówiąc, pozostawała na jego lasce, i to zaraz po niezbyt miłych przeżyciach za sprawą Paskudnego Arnolda. Ale na miłość boską on, Knight, był dżentelmenem, a nie rozpustnikiem, zainteresowanym jedynie możliwością dostania się między kobiece nogi. Pospieszył z przeprosinami, ale zaraz się powstrzymał. Postanowił po prostu zmienić temat - to powinno pomóc.

Nagle, całkiem obojętnie, choć może z nieco wymuszonym uśmiechem, co zresztą jedynie on zdołałby zauważyć, powiedziała: - Rzeczywiście, moja matka była piękną kobietą. - Urwała i spoglądając ku sklepieniom okien wychodzącym na park po drugiej stronie ulicy, dodała starannie dobierając słowa:

- Z pańskiej miny wyczytałam, że zapewne słyszał pan o moim ojcu. Nie był najuczciwszym z ludzi, ale darzył mnie szczerą miłością i dobrze się mną opiekował.

Ależ to ona zapewne opiekowała się nim, pomyślał Knight, ale nic nie powiedział.

Stara się być uprzejmy, zauważyła w duchu i zapytała wprost: - Chciał mnie pan widzieć, milordzie, w jakiejś konkretnej sprawie?

- Knight-poprawił ją.

- No dobrze, Knight.

- Rozumiem, że tę noc spędziłaś wraz z dziećmi w jednej sypialni.

- Zbyt tłoczno, uważa pan? Bynajmniej nie leżeliśmy na jednym łóżku, ściśnięci niczym krawaty w komodzie dżentelmena. Musisz wiedzieć, że dzieci...

- Świetnie rozumiem twoje motywy. Ale dzisiaj przeniesiecie się jeszcze przed południem?

- Jeśli ci to nie przeszkadza. Duckett zapewne właśnie zajmuje się przygotowaniem naszych pokojów.

- Bez wątplenia. - Gestem wskazał jej krzesło. - Zapomniałem o dobrych manierach. Siadaj, proszę. - Odwrócił się i zajął miejsce na swoim ulubionym, wygodnym krześle, obitym skórą, stojącym za okazałym biurkiem z mahoniem.

- Czy Tris pozostawił testament?

- Nie, a w każdym razie ja nic o tym nie wiem. Nigdy mi o niczym nie wspominał, a w jego papierach nic takiego nie znalazłam.

- A więc nikt nie został wskazany na opiekuna dzieci.

- Ja jestem ich opiekunką. - Siedziała sztywno wyprostowana. - Chyba nikogo to nie zdziwi.

- Sądziłbym, że Tris wyznaczyłby jakiegoś dżentelmena.

- A to dlaczego?

Spojrzał na nią z wyrozumieniem i cierpliwością. - Jesteś bardzo młoda. Chłopcom będzie potrzebna męska ręka, ktoś, kto nimi pokieruje. Ty jesteś kobietą i choć bardzo do nich przywiązana, to jednak nie to samo.

Chciała zapytać: Nie to samo, jak co? Ale powiedziała tylko: - Być może.

- Co więcej, nie masz środków do życia. A więc z korzyścią dla nich będzie posiadanie męskiego krewnego jako opiekuna, oczywiście pod względem finansowym.

- Nie!

- Tym krewnym mężczyzną mógłby być Paskudny Arnold lub ja. Wybór należy do ciebie. I sędzę, że życzyłabyś sobie, by sprawę załatwić legalnie, aby kiedyś w przyszłości nie okazało się, że mogłabyś stracić dzieci.

Aż przycichła na samą myśl o podobnie okropnej możliwości, a on dodał: - Najwyraźniej nie miałaś czasu na przemyślenie tej sprawy.

- W istocie, nie miałam - przyznała. - Cały czas próbuję znaleźć dla nich dom. Uporanie się z tym nie zostawiało mi czasu na więcej.

- Rozumiem, ale teraz musisz dopilnować prawnego i prawidłowego sfinalizowania sprawy.

- Przecież nikt nie może odebrać mi dzieci?

- Tak sędzę, jednak dziś po południu wezwę tu mojego prawnika, Tilneya Jonesa. On będzie wiedział, co należy uczynić.

- Jesteś dla nas bardzo dobry.

A gdzie tam! Był cynicznym draniem, tyle że takim, który nigdy by nie skrzywdził swych bliźnich. Zignorował uwagę Lily. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że jako prawny opiekun dzieci, będę miał prawo decydować o ich losie, w każdym razie dopóki chłopcy nie skończą osiemnastu lat, a Laura Beth dwudziestu jeden, chyba że wcześniej wyjdzie za mąż.

Lily nie odezwała się. Na wspomnienie czteroletniej Laury Beth w roli panny młodej wyobraziła ją sobie jako stojącą u boku narzeczonego młodą kobietę z kciukiem w ustach. Uśmiechnęła się do swych myśli, potem wróciła do poprzednich słów Knighta. Palcami nerwowo marszczyła fałdy swej muślinowej spódnicy.

Obserwował ją z uwagą. Najwyraźniej propozycja nie była jej miła, ale Lily pilnowała się, by nie powiedzieć czegoś nie w porę, gdyż on mógł, gdyby zechciał, wyrzucić ją na ulicę. Z niejasnym poczuciem winy i trochę zły z powodu całej tej sytuacji, oświadczył: - Pewnie żałujesz, że nie posiadasz wystarczających środków, byś nie musiała nawet przybywać do mego domu.

- To prawda - przyznała, wysuwając brodę. Zupełnie jak Sam, pomyślał. Nagle podniosła się, a na białych policzkach pojawiły się rumieńce. Czyżby z gniewu? A więc zapomniała o swym okropnym położeniu. - Nie znam pana, milordzie, wiem tylko, że jesteś kuzynem Trisa. Może człowiekiem świętym, a może szatanem, Napoleonem lub... lub...

- W tym wypadku trudno znaleźć przeciwieństwo, czyż nie?

- To bez znaczenia. Nie przekażę panu opieki nad dziećmi. Nie ma mowy.

- Niech się pani uspokoi, pani Winthrop. Jest pani młodą damą o niewielkiej znajomości świata...

Ta typowo męska pewność siebie wyprowadziła ją z równowagi. - Aha. Słyszał pan o moim ojcu, więc wie pan, że dotknęło go przekleństwo hazardu, ta okropna gorączka. Nie opuściła go do samego końca. Jeszcze na łożu śmierci zakładał się z lekarzem, że przeżyje następne dwadzieścia cztery godziny, a ten idiota doktor upierał się, że to niemożliwe. I wie pan co? Ojciec pozostał przy

życiu jeszcze dwadzieścia pięć godzin! O nie, milordzie, nie żyłam pod kloszem jak te wasze angielskie panienki. Opiekowałam się ojcem, wyciągałam go z kłopotów i uchroniłam od zakusów tyłu niehonorowych drani, ilu prawdopodobnie nie spotkał pan w całym swym długim życiu...

- Jestem od pani zaledwie cztery lata starszy - przypomniał delikatnie.

- Z pewnością ma pan więcej lat niż dwadzieścia trzy! - I ledwie słowa te wypadły jej z ust, Lily niemal się zakrztusiła i cofnęła o krok. Z impetem wpadła na oparcie krzesła, które się wywróciło, a ona balansowała, próbując złapać równowagę uniesionymi ramionami. Nie udało się i z głośnym stukotem wylądowała siedzeniem na podłodze.

- Lily, na Boga, nic ci się nie stało? - Knight pospiesznie obszedł biurko.

- Nic - mruknęła. Stał chwilę nad nią, rejestrując jej smutną minę, rozrzucone fałdy spódnicy i piękne kostki u nóg i mimo szlachetniejszych intencji, roześmiał się. - Pozwól, że ci pomogę. - W końcu przyjęła oferowaną rękę; uniósł ją i postawił na nogi, a że pociągnął trochę za mocno, potknęła się i wsparła na nim. Przez chwilę czuł całe jej ciało. I tak potężną falę żądzy, jakiej nigdy jeszcze nie doznał, niemal nie potrafił rozpoznać. Nie mógł uwierzyć - wręcz nie chciał - by jakakolwiek kobieta mogła aż tak na niego podziałać, oszołomić seksualnie. A jednak, pragnął jej dotknąć...

- Co robisz mamie?

Knight pospiesznie odwrócił się, a cała jego żądza w jednej chwili stała się niczym zimny popiół w wystygłym kominku w środku lata. Na widok Sama wolno wypuścił Lily z objęć; chłopiec już zacisnął dłonie w pięści i całe jego drobne acz mocne ciało gotowało się do ataku. Knight westchnął.

- Stąpasz równie bezszelestnie jak Duckett. Niczego nie robię twojej mamie, Sam. Upadła, więc pomogłem jej się podnieść. Czego chcesz?

Lily odsunęła się i rozprostowywała suknię. Wielce zażenowana, straciła cierpliwość i krzyknęła na chłopca niczym handlarka z placu rybnego: - Naprawdę, Samie, tego już za wiele. Wracaj do swojego pokoju i wiąż te piekielne ręczniki. Gdzie jest Theo? A Laura Beth?

- Ciągnęliśmy słomki - wyznał, z uwagą wpatrując się w czubek buta. - Ja wygrałem.

- No to skoro już wszystko widziałeś, możesz zmykać. Wciąż mamy z twoją mamą sprawy do omówienia.

Sam stał wyprostowany niczym kij, z wyrazem oślego uporu na twarzy.

Lily opanowała zawstydzenie, zdawszy sobie sprawę, że to nie z powodu tego dziecka puściły jej nerwy. - Tak, kochanie, odejdz. Próbuje z milordem coś zdecydować.

Wciąż nie poruszył się i patrzył na nią jakby zagubiony. - Proszę cię, Samie - spróbowała raz jeszcze, błagalnym wręcz tonem.

- Wynocha! - rozkazał Knight, gdy milczenie trwało kilka następnych chwil.

Chłopiec w końcu się ugiął. - Dobrze, ale mamy więcej słomek.

Lily i Knight odprowadzali go wzrokiem, gdy ociągając się wychodził z biblioteki. Wreszcie zostali sami. Knight podszedł do drzwi i zamknął je, potem przekręcił klucz. Pierwszy raz w życiu zamknął te drzwi na klucz. Stał przy nich chwilę, kręcąc głową. Co się stało z tym miłym, przewidywalnym tokiem wydarzeń? W ciągu ostatnich dwunastu godzin jego życie wyraźnie się zmieniło. Odwrócił się do Lily.

Na twarzy miała wypisane poczucie winy. - Krzyknęłam na niego - powiedziała przygnębionym głosem. - Naprawdę na niego krzyknęłam.

- Gwarantuję, że on to przeżyje. A teraz, jeżeli już czujesz się dobrze i nie potłukłaś się przy upadku, wracajmy do rzeczy. Z pewnością będziesz sobie życzyła, bym dopilnował edukacji dzieci, w każdym razie chłopców.

- Och, jeszcze nie teraz. Muszą się kształcić, ale są na razie zbyt młodzi i...

- Ile lat ma Theo?

- W sierpniu skończył dziewięć, ale...

- Powinien pójść do szkoły, do Eton.

- Nie pozwolę na to. Sama dość umiem, by rozpocząć ich edukację. Zresztą uczę ich już niemal od roku...

- Dopiero? Sądziłem, że byłaś żoną Trisa od co najmniej czterech lat. Tyle ma Laura Beth, czyż nie?

Cena grzechu, konsekwencje kłamstw, pomyślała Lily. - Tris uczył dzieci - oświadczyła, a on wiedział, że skłamała, no może nie do końca, ale wystarczająco, by wydał wargi.

- Rozumiem - powiedział i odwrócił się do niej plecami. - Powiadomię panią, gdy przybędzie Tilney Jones. Mam nadzieję, że to pani odpowiada, madam.

Stał się chłodniejszy od zamarznętej zimą rury. Nie miała wątpliwości, iż on wie, że go okłamała. Westchnęła. Ta rozmowa przybrała nie najlepszy obrót. A ona sama potknęła się i wpadła w pułapkę - jak nieuważny kominiarczyk w dziurę na dachu - wystawiła się na śmiech Knighta, do tego nakrzyczała na biednego Sama i o wszystko kłóciła się ze swym gospodarzem...

- Dziękuję, milordzie - pożegnała go głosem pozbawionym jakiegokolwiek emocji. - Zobaczymy się później.

Odwrócił się i ujrzał, że pospiesznie podąża do drzwi. Zawołał za nią: - Lily, zjemy razem lunch? Przystanąła, zaskoczona.

- Oczywiście razem z dziećmi - dodał i zaraz przeklął się w duchu za to ustępstwo. Na Boga, nie mógł sobie wyobrazić posiłku w towarzystwie maluchów! Jak można w takich warunkach prowadzić inteligentną rozmowę? Na przykład omawiać przy dzieciach rolniczą politykę lorda Liverpool?

Uśmiechnął się do siebie. Przez ostatnie trzy miesiące ani razu nie omawiał spraw nawet ledwo zahaczających o gospodarstwo.

- Dobrze - zgodziła się Lily i wyszła. Jestem perwersyjnym idiotą, powiedział sam do siebie, spoglądając na zamknięte drzwi. Po co ją zaprosiłem, by ze mną jadła lunch? Po prostu wyrwało mu się. A to ani trochę mu się nie podobało.

Dziesięć minut później Knight wyszedł z domu. Spotkał się z Raymondem Cosgrove, lordem Alvan-ley i Julienem St. Clair, hrabią March, i wszyscy trzej udali się do bokerskiego salonu Jacksona. Knight, spocony i zadyszany, z dotkliwie potłuczonym żebrzem, nagle zdał sobie sprawę, że już dawno minęła pora lunchu. Czyżby celowo zapomniał o posiłku, na samą myśl o którym czuł się nieswojo?

- Muszę wracać do domu - oświadczył. - Zapomniałem o lunchu.

- Co ty, u diabła, pleciesz, Knight? - zdziwił się Julien. - Dopiero co rzuciłeś Canneya na łopatki, a mamrociesz coś o jakimś lunchu?

- Mam gości - wyznał Knight, wycierając spoconą twarz.

- Kogóż to? - zaciekał się lord Alvanley.

- Wdowę po moim kuzynie i jej dzieci.

- Dzieci? - Obaj, Julien i Raymond spojrzeli na niego ze zdumieniem.

Podszedł do nich sir Charles Ponsonby. - Czyżbym się przesłyszał? Knight wspomniał coś o dzieciach? Stratowałeś jakieś, milordzie? Kazałeś je Cubertho-wi usmażyć, ugotować czy upiec? Fascynująca historia. Co to za dzieci?

Knight spojrział na przyjaciół. - Powiedziałem tylko, że to dzieci mojego kuzyna - rzucił obojętnie. - One i ich matka zatrzymali się w Winthrop House.

- I miałeś zjeść z nimi lunch? - zapytał Raymond. Udało mu się zadać pytanie dość opanowanym głosem, ale zaraz wybuchnął śmiechem. - O nie, niemożliwe - teraz już niemal czkał z rozbawienia. - Dzieci w twoim kawalerskim ustroniu? Maluchy w Winthrop House?

- Aha, rozumiem. - Sir Charles pogroził Knighto-wi palcem. - Chodzi o mamusię, czyż nie, Knight? Założę się, że to piękność. Czyżby chciała uwiesić się na twym ramieniu, stary?

- Nie jest żadną pięknością - skłamał Knight bez najmniejszych skrępowań. - Na Boga, panowie, została pozbawiona środków do życia, a pragnie swemu potomstwu zapewnić wszystko co najlepsze. Nie miałem wyboru. A teraz, jeżeli rozbawione cietrzewie pozwolą...

- Ile jest tych dzieci, Knight? - zapytał Julien St.

Clair.

- Troje.

- Aha. Jedno to pewnie piękna osiemnastolatka, zgadza się?

- Nie, Raymondzie, najstarsze z nich ma dziewięć lat.

- I zamieszkały w Winthrop House?

- To prawda. A teraz, jeśli pozwolicie...

- Boże - westchnął sir Charles. - Nie mogę uwierzyć. Może on chciał powiedzieć, że zamieszkały pod Winthrop House. Albo pod dębem na podwórzu na tyłach rezydencji?

Julien spojrział za odchodzącym przyjacielem i powiedział, cedząc słowa: - I ja w to nie wierzę.

W Winthrop House Lily czekała jak długo się dało, zanim pozwoliła pani Allgood na podanie lunchu. Jego lordowska mość wciąż nie wracał. Dzieci zgłodniały, były znudzone i niespokojne. Przed dwiema godzinami przenieśli swoje rzeczy do nowych sypialni i od tego czasu dawały się domownikom mocno we znaki.

Lily w końcu poddała się, modląc się w duchu, by gospodarz nie poczuł się urażony. Rzeczywiście, potraktowała go wysoce nieuprzejmie, ale nikomu by się do tego nie przyznała.

- Chodźcie - zawołała dzieci - zjemy lunch, a potem wybierzemy się na spacer. Nudzę się tak samo jak wy, więc przestańcie narzekać.

- Wcale nie narzekaliśmy...

- Właśnie, że tak. Bądź cicho, Sam i siadaj.

- Zostawiłam na górze carycę Katarzynę.

- Ona z pewnością nie jest głodna, Lauro Beth. Usiądź wreszcie.

Zająwszy miejsce na krześle, dziewczynka bródką zrównała się z krawędzią stołu. Duckett uśmiechnął się. - Zajmę się tym, proszę pani. - I kilka minut później Laura Beth siedziała na trzech ułożonych jeden na drugim grubych tomiskach.

- Przestań się bawić cudzymi sztuczkami, Sam. Siedź spokojnie.

- Ja tylko oglądam wzór, mamó. Przypomina kapustę z literą W wyrytą z obydwóch stron.

- Ta zupa jest zielona, mamó.

- To zupa z zielonego groszku, Lauro Beth, i ma być zielona.

- Nie lubię szynki - orzekł Sam, uważnie przyglądając się cienkiemu plastrowi wieprzowiny,

kołyszącemu się na jego widelcu.

Lily spojrzała na całą trójkę i miała ochotę udusić ich wszystkich po kolei. - Jeżeli natychmiast nie zabierzecie się do jedzenia, wracacie na górę i nie zabiorę was na dwór. Sam, przestań wyciągać książki spod Laury Beth.

- Ale ta wygląda interesująco. To...

- Francis Bacon - dokończył Theo. - Uważaj, Sam. Och, nie!

Akurat w tym momencie Knight wszedł do małego saloniku śniadaniowego.

Lily zerwała się z krzesła, Sam schował się pod stołem.

- Dzień dobry, sir, ma pan ochotę na lunch? - Duckett próbował ratować sytuację.

Knight na chwilę zamknął oczy. Gdy je otworzył, napotkał spojrzenie Lily. Uklękła na podłodze i starała się uspokoić łkającą Laurę Beth. Mocno pobladła, wyraźnie wystraszona. Choć kompletnie oszołomiony panującym chaosem, wcale nie czuł gniewu. Powiedział łagodnie: - Zjem później, Duckett. Lily, czy tobie i Laurze Beth nic się nie stało? Mam przetrzepać Samowi skórę?

Chłopiec wystawił głowę spod stołu.

Theo, jeszcze przed chwilą atakujący brata, teraz stał się jego gorącym obrońcą. - To moja wina, sir - powiedział, odważnie stając przed Knightem. - Sam nie zdawał sobie sprawy, co robi. To był Francis Bacon. Jego Syka Sylvarum, to znaczy...

- Wiem, co to znaczy, Theo. - Knight raz jeszcze obrzucił wzrokiem małe pomieszczenie, odwrócił się na piętach i szeleszcząc płaszczem, wypadł z domu.

- O Boże! - westchnęła Lily.

- Niech się pani nie martwi o jego lordowską mość, madam - uspokajał Duckett. - Z pewnością wróci.

- Tego się właśnie obawiam - wyznała.

- Podrapię mu twarz pazurami - odgrażał się Sam, wyczołgując się spod stołu.

Rozdział 3

Arnold Damson, szwagier zmarłego Tristana Winth-ropa stał na rogu Portland Square i czuł się coraz mniej pewny siebie. Dom, na który patrzył, świadczył o bogactwie, władzy i przywilejach sięgających dalekiej przeszłości.

Opamiętał się, wyprostował ramiona. To wszystko jest bez znaczenia! W końcu prawo miał po swojej stronie, a więc i Lily Tramaine. A pragnął jej. Trawiące go pożądanie przewyższało nawet lęk przed nieuniknioną rozmową z lordem Castlerosse. Powtarzał sobie, że wicehrabia nie zechce brać sobie na głowę trójki dzieciaków Tristana. Oczywiście Lily, to co innego. Być może arystokrata już zdążył zwabić ją do łóża.

Potrząsnął głową. Niemożliwe, nie była tu jeszcze wystarczająco długo. Najwyżej, jak sobie skalkulował, dzień czy dwa. A więc zjawił się w samą porę, by uchronić ją przed lubieżnością Winthropa.

A jemu, Arnoldowi uległaby, gdyby nie ten cholerny smarkacz Theo, który wszedł mu w paradę na schodach. O tak, zabierze ich wszystkich, a potem rozdzieli, usunie te małe potwory spod wpływu Lily, a ją oderwie od nich.

Dwie godziny zajęło mu wybadanie Gertrudy, oczywiście przeprowadzone subtelnie, ale sprytnie, aż wreszcie przypomniała sobie o istnieniu wicehrabiego. On sam, jako człowiek światowy, zdawał sobie sprawę, że taki arystokrata z pewnością mieszka w Londynie. Wytropienie adresu po przybyciu na miejsce okazało się wręcz śmiesznie łatwe. Ciekaw był reakcji Lily na jego widok.

Arnold Damson nie miał złudzeń co do swych męskich walorów. Nie był jednym z tych pysznych, aroganckich dandysów, nie należał do wyśmienitych jeźdźców czy znamienitych sportsmenów. Ale jako wujek dzieci, dzierżył sznurki sakiewki. Od niego zależała ich przyszłość.

I to wyrównywało jego braki.

Podszedł do okazałych drzwi z ciemnego dębu i energicznie zastukał wypolerowaną na wysoki połysk mosiężną kołatką.

Drzwi otwarły się i na progu stanął dość pulchny, niski i niemal całkiem łysy mężczyzna. Któż to zatrudnia podobną marnotę?

- Słucham?

- Zaprowadźcie mnie do lorda Castlerosse, człowieku.

Duckett uśmiechnął się. Szlachcic z prowincji, napuszony, nieco onieśmielony otoczeniem, pogardliwie traktujący każdego, kto nie dorównywał mu wzrostem. Ani stary, ani młody, oszacował przybysza. Zbyt chudy i blady, ubranie o niezgrabnym kroju, za to piękna, bujna czupryna jasnobrązowych włosów. Wyglądał także na wiecznie z czegoś niezadowolonego - marudny mężczyzna, który prawdopodobnie unieszczęśliwia wszystkich wokół.

Zlustrowanie przybysza zabrało Duckettowi zaledwie ułamek sekundy. Zapytał łagodnym tonem: -

Kim jesteście, jednym z szewców milorda? - Duckett postanowił dostarczyć sobie rozrywki. Ten żaloszny jegomość na pewno nigdy nawet nie słyszał o niedo-równanym w swym fachu szewcu o nazwisku Hoby. - A może chcielibyście sprzedać jego lordowskiej mości nowy rodzaj pomady do włosów? Niestety, muszę was rozczarować, gdyż nasz pan nie używa podobnych specyfików, ale mogę porozmawiać z jego lokajem. Sprawdzę, czy zechce was przyjąć. To dość zajęty człowiek, ale może znajdzie dla was wolną chwilę.

Ze zdenerwowania Arnold niemal stracił głos. - Nie - udało mu się po chwili wystękać. - Nie potrzeba mi żadnego cholernego lokaja. Jestem wujem dzieci. Żądam widzenia z Knightem Winthropem.

- Pańskie nazwisko, sir?

- Damson. Arnold Damson. - Czemuż nie dodał sobie sir przed nazwiskiem? Teraz już było na to za późno.

Duckett obdarzył gościa szerokim uśmiechem. - Proszę wejść, panie Damson. Sprawdzę, czy jego lordowska mość zechce pana przyjąć.

Udzieliwszy tej lekcji pokory, zostawił Arnolda w wejściowym holu i wolno i statecznie - o wiele wolniej i stateczniej niż zazwyczaj - oddalił się do biblioteki. Wicehrabia zajęty był dyktowaniem listów sekretarzowi, Trumpowi Dickie.

Duckett poinformował swego pana o pojawieniu się gościa i czekał. Knight przez chwilę wydawał się zaskoczony. Potem z zadowoloną miną zatarł dłonie i uśmiechnął się złośliwie. Kamerdyner obserwował go zafascynowany. - Dobrze, Duckett, przyślij go. Trump, możesz odejść, powiedzmy na pół godziny.

Gdy Duckett wprowadził pana Arnolda Damsona do biblioteki, Knight oczekiwał już gościa szeroko uśmiechnięty.

- Jak się pan miewa? - zapytał uprzejmie. - Jakże mi miło poznać szwagra Trisa.

Nie mając wyboru, jak tylko zrewanżować się uprzejmością, Arnold zdołał zachować pozory, choć sytuacja zaczynała mu się coraz mniej podobać. Wiedział, że wicehrabia jest młody. Ta głupia krowa Ger-trude pamiętała, że był wiele lat młodszy od Tristana. Ale w stojącym przed nim mężczyźnie w żaden sposób nie mógł dopatrzeć się tego zniewieściałego, zepsutego i ślamazarnego osobnika, jakim go sobie wyobraził. Gospodarz był wysoki - Arnold sięgał mu brody - i piekielnie dobrze zbudowany: szeroki w ramionach, szczupły w pasie, ani śladu brzuszka, muskularne, długie nogi. Prawdziwy okaz sportsmena. Ta twarz wydaje się kobietom zapewne interesująca, pomyślał Arnold, w żaden sposób nie mogąc doszukać się choćby najmniejszej wady. Musiał przyznać, że wicehrabiego można by nazwać co najmniej dość przystojnym mężczyzną. Tego naprawdę się nie spodziewał.

Knight, widząc z jaką intensywnością Paskudny Arnold lustruje go wzrokiem, z trudem opanował się, by nie parsknąć śmiechem. Szkoda, że nie wypada zapytać go o ostateczne wnioski, pomyślał. - Widzę, że dopiero co przybył pan z Yorkshire - zagadnął swego gościa.

Arnold nie miał pojęcia, skąd jego lordowska mość mógł mieć podobne informacje, ale pospiesznie odpowiedział: - Tak, milordzie. Damson Farm znajduje się w pobliżu Harrowgate. To wspaniała posiadłość.

- Rzeczywiście, Tris opowiadał mi o niej kilka lat temu. Wspomniał, że należała do jego siostry, Ger-trude. Dziwne, że zmienił pan nazwę. Jak sobie przypominam, nazywała się Oberlon Grange. Po jednym z Winthropów z odległej przeszłości.

To już się Arnoldowi zupełnie nie spodobało. Wicehrabia, ten arogancki drań, traktował go jak nędznego intruza. - Wolę moje nazwisko od imienia innego mężczyzny - oświadczył i nawet udało mu się lekko wysunąć brodę.

Cofnięta dolna szczęka, zauważył Knight, nie zmieniając wyrazu twarzy. Może powinien zapuścić brodę. Pomogłoby trochę.

Wskazał Arnoldowi krzesło i sam usiadł naprzeciwko, krzyżując nogi w kostkach. Sprawiał wrażenie przepelnionego męską solidarnością. - A teraz zapewne powie mi pan, z czym przychodzi.

- Przyjechałem po moją bratanicę, bratanków i ich matkę.

- Aha. Interesujące. - Knight strzepnął cienkie włókno z rękawa żakietu. - A mogę wiedzieć dlaczego?

- Jestem ich najbliższym krewnym. Lily nie powinna była opuszczać Damson Farm w tak gwałtowny sposób, a wszystko z powodu błędnego nieporozumienia. W końcu to ja odpowiadam za dzieci, no i oczywiście ich matkę.

- Rozumiem - powtórzył Knight, i tym razem zrozumiał rzeczywiście. Trudno mu było winić Paskudnego Arnolda za słabość do ślicznej Lily, ale żeby przyjechać z tak daleka do Londynu, by wziąć sobie na głowę troje dzieci tylko z powodu nadziei na ściągnięcie jej do łóżka? Ten jegomość zadał sobie wiele trudu i to bardzo szybko. Należało mu się trochę nadziei. - Widzę logikę w pańskim rozumowaniu. Jeżeli nie zakłóci to pańskich planów, panie Damson, zapraszam dzisiaj na kolację.

Arnold nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Spodziewał się ze strony wicehrabiego aroganckiego, może nawet protekcyjnego potraktowania go, a ten zachował się uprzejmie, o wiele bardziej od swego łysego kamerdynera. I zdawał się zgadzać ze stanowiskiem Arnolda. A teraz jeszcze zaproszenie na kolację.

- Czy Li... matka dzieci będzie obecna?

- Życzyłby pan sobie?

- Z pewnością zechce towarzyszyć dzieciom do Damson Farm, a więc jej obecność przy naszej rozmowie wydawałaby się właściwa.

- Zgadzam się - odrzekł Knight, nie zmieniając wyrazu twarzy. - A teraz, mój drogi panie, pewnie ma pan dość własnych zajęć. A więc do wieczora, powiedzmy o ósmej?

Po chwili Arnold znalazł się za drzwiami i nawet nie bardzo wiedział, w jaki sposób stało się to tak szybko. I tak uprzejmie.

Piętro wyżej Betty właśnie przekazywała Lily życzenie milorda.

Gdy Lily zapukała do drzwi biblioteki, usłyszała uprzejme: - Proszę wejść, pani Winthrop.

Cicho otworzyła drzwi, zastanawiając się, co ją czeka. Może teraz ją odeśle. Od zamieszania przy lunchu wciąż bolała ją głowa. Sama powinno się wytargać za uszy, ale po prostu nie mogła się do tego zmusić. Posłał jej to swoje - nie do przebiccia - sieroce spojrzenie i, jak zwykle, uległa. Mały diabeł.

- Dzień dobry - powiedziała i weszła dwa kroki do środka.

- Zamknij drzwi, Lily. Posłuchała.

- Mam dla ciebie pewne interesujące wiadomości.

- Wiadomości? - Spojrzała na niego pytająco. - Nie jesteś... zły? Z powodu dzieci, lunchu, Sama i Francisa Bacona?

- Nie, trochę tylko oszołomiony. A tak naprawdę, nieźle się ubawiłem. Udało mi się odłożyć na

później dyktowanie Trumpowi, mojemu sekretarzowi, wielce nudnej korespondencji, gdyż mamy gościa, którego wprawdzie należało się spodziewać, ale pojawił się wcześniej, niż sądziłem. Przebył długą drogę i bardzo obstaje przy zamiarze, z którym przyjechał. Krótko mówiąc, Lily, ty i ja będziemy mieć dziś wieczorem przyjemność zjedzenia obiadu z tym jedynym, niepowtarzalnym Paskudnym Arnoldem.

- O nie! - Dotknęła dłonią szyi, czując, że zbladła i kolorem policzków dorównuje teraz barwom jego krawata. Natychmiast pomyślała o wszystkich możliwych konsekwencjach przyjazdu Damsona: wyda się, że wcale nie jest wdową po Tristanie ani matką Laury Beth i że jedynie podawała się za jego narzeczoną. Wbiła wzrok w Knighta, czując się całkowicie bezsilna. Są tu dopiero od dwudziestu czterech godzin. A teraz wszystko na nic. Wicehrabia najwyraźniej się uśmiechał; czyżby postanowił ją ukarać?

- Ależ jak to możliwe? Skąd on się tutaj wziął? Nic mu o tobie nie wspominałam. Wymyśliłeś sobie tę jego wizytę, prawda? Gniewasz się z powodu lunchu. Proszę, powiedz, że to tylko żart!

Knight demonstracyjnie westchnął. - Gdybyś miała dla mnie tyle cierpliwości, ile okazujesz dzieciom! Paskudny Arnold najpewniej uzyskał informacje na mój temat od Gertrude. I natychmiast wyruszył, by zabrać cię z powrotem. Wprawdzie uważam, że to jego zadurzenie jest przesadne i niesmaczne, jednak zasługuje on na odrobinę nadziei. A więc, za jakieś dwie godziny, gdy Tilney Jones stąd wyjdzie, będziemy już na najlepszej drodze do zalegalizowania mojej opieki nad dziećmi. Przypuszczam, że nie znajdziesz... przeszkód w zaakceptowaniu mojej propozycji?

- Paskudny Arnold tutaj - powiedziała Lily bardziej do siebie niż do niego. - Rzeczywiście zadziałał błyskawicznie. Chodzi mu o dzieci?

- Nie, o ciebie. Zgodzi się zabrać dzieci, by dostać ciebie.

- Tak powiedział?

- Nie bądź śmieszna. Zresztą, owszem, tyle że nie słowami. W każdym razie jasno wyraził, czego chce. Przypuszczam, że nie zawahałby się przed szantażowaniem cię, byle tylko zwabić cię do łóżka. Stawiając sprawę otwarcie: możesz zostać z dziećmi, jeżeli ulegniesz jego... zalotom.

Zauważył, że się wzdrygnęła, ale nie zmiękł. Lily powiedziała żałośnie, z nadzieją w głosie: - Może on nie jest aż tak zły. W końcu to ich wujek.

- Jest gotów tolerować dzieci. Ale tak naprawdę, to pragnie być twoim opiekunem. A co ty na to? Czy ja nie byłbym opiekunem łatwiejszym do przełknięcia? Obiecuję ci, pani Winthrop, że nie będę cię szantażem przymuszał do dzielenia ze mną łóżka.

- A czemu miałbyś to robić? Nawet mnie nie lubisz. Boże, pomyślał, patrząc na nią z zaskoczeniem.

Skąd doszła do podobnego wniosku? - Ależ lubię panią, madam. A więc, jak brzmi decyzja?

Nie miała wyboru, musiała ustąpić. W końcu hrabia, nawet posiadający całkowitą władzę nad dziećmi, z pewnością nie okaże się zbyt wymagającym opiekunem. - Zrobimy to, co uznasz za najlepsze.

- Co to, u diabła, ma znaczyć?

- Zostaniesz ich prawnym opiekunem?

- Tak. Jeżeli to tylko możliwe, Tilney będzie wiedział, co należy załatwić. - Wyjął z kieszonki zegarek. - Chcesz być obecna przy rozmowie? Zaraz się pojawi.

Przygładziła dłonią włosy. - Może się przebiorę. Właśnie strofowałam... Sam jest aniołkiem, naprawdę słodkim chłopczykiem, ale...

Urwała na widok niedowierzania malującego się na twarzy wicehrabiego.

- Ależ tak, może tylko trochę z niego psotnik.

- To iście diabelski pomiot - orzekł Knight. - Miejmy nadzieję, że w Eton nauczyciele wybiją mu z głowy co gorsze psoty.

- O nie, jest o wiele za młody! Ma zaledwie sześć lat i...

- Proszę zamilknąć, pani Winthrop. Będzie mnie pani słuchać, albo powróci pani do Paskudnego Arnolda.

- To szantaż, czyż nie jest poniżej pańskiej godności? Czyżby był pan...

- Księciem wśród maluczkich? Żabą między książętami? Królewiczem w wilczej skórze?

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Miała tę słabość - choćby nie wiem jak się rozżłościła, zawsze potrafiła dostrzec cudzy punkt widzenia. Nauczył ją tego ojciec; a raczej sam tyle razy przekraczał wszelkie granice, że musiała nauczyć się łączyć gniew ze śmiechem.

Co za piękny dźwięk - śpiewny, napełniający go słodyczą niczym miód lub zapach jaśminu. Knight potrząsnął głową: szybko zamienia się w cholernego osła! Ta kobieta tylko się roześmiała, nic więcej. Przynajmniej posiada poczucie humoru.

- Nie ma potrzeby, byś zmieniała suknię ani poprawiała fryzurę. Wyglądasz tak, jak powinna wyglądać matka: lekko zdyszana, trochę udręczona i w ogóle zabiegana. O, jest Duckett. Czy Tinley Jones już przyszedł?

- Tak, milordzie. Pan Jones, milordzie.

Tilney Jones był trzydziestokilkuletnim mężczyzną o miłej powierzchowności. Oprócz inteligentnych, brązowych oczu, szerokich ramion i zgrabnej sylwetki posiadał także wspaniałe poczucie humoru i talent do opowiadania wielce zabawnych historyjek. Należał do najbliższych przyjaciół wicehrabiego. Podszedł i uścisnął mu dłoń. - Co to za sprawa z dziećmi, Knight? Zapewne źle zrozumiałem! Ty i dzieci? Chyba nie na serio. Czyżby Trump zażartował sobie ze mnie?

- Zaprawdę, Tilney, gdybyś zechciał więcej uwagi poświęcić otoczeniu, miałbyś niezwykłą przyjemność poznania matki owych dzieci. Pani Winthrop, pan Jones, mój prawnik. I jegomość, który czasem, zanim się rozejrzy, palnie coś nieprzemyślanego.

Tilney odwrócił się i na widok stojącej za nim w milczeniu Lily, zaniemówił. Na Boga, oczekiwał matki, niewiasty przypominającej jego własną rodzicielkę, a nie to jakże cudowne, bardzo młode stworzenie. - Pani nie może być matką.

- Ale jest, stary - powiedział Knight. - Choć tylko jednej małej dziewczynki.

Poprzysiął sobie, na widok zdumienia malującego się na twarzy przyjaciela, że nigdy w ten sposób nie spojrzy na kobietę - na żadną - i tak oczywiście i w przenośni nie padnie u jej stóp. To upokarzające, wręcz degradujące.

Zwrócił się do przyjaciela łagodnym tonem: - A teraz, Tilney, powiesz: „Miło mi, madam. Proszę wybaczyć moją impertynencję. Jestem pewien, że ma pani cudowne dzieci”. Możesz zaczynać, Tilney.

Lily już nieraz zdarzyło się doświadczyć podobnych reakcji jak ta ze strony Tilneya Jonesa. Po prostu je ignorowała. Nie miały dla niej żadnego znaczenia. Uśmiechnęła się i podała prawnikowi dłoń. -

Proszę nie zwracać na niego uwagi, panie Jones. Bardzo mi przyjemnie poznać pana i ufam, że znajdzie pan rozwiązanie naszego problemu.

- Zapewne, madam - odrzekł Tilney, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

- Weź się w garść, Tilney. Zawstydzasz panią Winthrop, i mnie też, oczywiście.

Wysunęła dłoń z uścisku Jonesa.

- Zaczynamy? - zapytał Knight swym najbardziej sardonycznym tonem.

Okolice Harrowgate, Anglia, -październik 1814 roku.

- No tak - stwierdził Monk Busch - już zważali-śmy jej trop, Boy, jej i dzieci. Dopadniemy ich.

- Pić mi się chce - jęknął Boy, oblizując językiem krzaczaste wąsy. - I zjadłoby się co nieco.

- Z tobą tak zawsze. Chudy jak szubieniczny słup, a żresz niczym jakaś cholerna, tłusta dziwka.

Zamknij gębę. Idziemy do Damson Farm, trzeba sprawdzić, czy ptaszyna Trisa tam jest i trochę tam zabawimy.

Boy podjął swą starą śpiewkę. - Nie wiemy, czy ona ma coś z tym wspólnego, Monk. Stary Tris mógł je schować gdziekolwiek. Nawet w Brukseli.

Monk obrzucił partnera pełnym niechęci wzrokiem. - Przeszukaliśmy tę ich cholerną rudere, zagląдалиśmy wszędzie, nawet do mysiej dziury. I nic. A tu naraz ta mała dziwka zabiera gówniarzy jakoś strasznie szybko po tym, jak go wsadzili do ziemi. O nie, ona ma łupy, na pewno.

- No to po co by tu jechała? Do krewnych? Dlaczego sama się nie urządzi? Przy takim bogactwie?

Ten aspekt Monkowi także nie dawał spokoju. - Nie mam pojęcia - przyznał. - Ale mniejsza z tym. To prawdziwa spryciara. Tris był w niej po uszy zadurzony, wygadał się kiedyś, gdy miał dobrze w czubie.

- Niezła damulka - przyznał Boy. - Ciekawe, czy biedny Tris użył sobie z nią, zanim zdechł.

- Biedny Tris? Ależ z ciebie kretyn! Wystawił nas do wiatru, Boy, przekupił tego przekłętego sędziego i zostawił nas, byśmy zgnili w śmierdzącym francuskim więzieniu! Zasłużył sobie na nóż w plecach! A co do tej małej sztuki, żyła z nim, czyż nie? Na Boga, mieszkała i spała w jego domu... zajmowała się jego bachorami. Tris nie był mnichem...

- O nie był, nie jak ty! - wykrzyknął Boy, ucieszony własnym dowcipem.

- Zamknij gębę, Boy. Nie jesteś zabawny. Ależ z ciebie idiota. Wiesz co, może zabawimy się z tą małą. Kapniemy jej trochę w zamian za kilka chwil figli.

- Niezła damulka - powtórzył Boy. - Nie powiem, chętnie bym ją przeorał.

- Nie masz na to dość między nogami, nie tak jak ja. Ale czemu nie? I jeszcze coś, Boy. Nie zdziwiłbym się, gdyby to właśnie ona poradziła Trisowi wystawić nas do wiatru. Taka sztuka jak ona natychmiast chwytą szansę, jak ją zobaczy.

Monk, zadowolony ze swego toku rozumowania, po chwili mówił dalej: - Tak, to ona przekabaciła biednego Trisa. Założę się, że ona wpadła na pomysł przekupienia tamtych gości, by wsadzili nas za kratki.

- Ale nie jest taka sprytna jak my - stwierdził Boy. - Przyjechała prosto do Anglii; nawet nie próbowała zacierać za sobą śladów. Cholera, zapamiętali ją wszyscy faceci od Brukseli do Yorku, i to bynajmniej nie dlatego, że trójka bachorów zakłócała im spokój.

Pamiętasz tego woźnicę dyliżansu? Tylko przewracał gałami i ślinił się.

- Ona sądzi, że siedzimy w więzieniu. I nic a nic się nie martwi. Wierzy, że starego Trisa wykończyły przygodne rzezimieszki, konstabl też tak uważał. Nikt nigdy nie dojdzie prawdy.

- Jak wywabimy ją z Damson Farm?

Monk wzruszył ramionami, zmrużył oczy. Wyraz jego twarzy świadczył o podłości, okrucieństwie i zdecydowaniu. Boy zadrżał lekko, nie mógł się powstrzymać. Monk to gość na serio,

obstaje przy tym, co chce. Boy uważał się za przepelnionego duchem dobroci - czy jak to tam się mówiło. Nie był taki jak Monk. O nie. On zawsze umiał zachować się uprzejmie wobec każdego, kto był bogaty.

- Dopadnę jej - zapewnił Monk. A Boy ani przez chwilę nie wątpił w jego słowa.

Winthrop House, Londyn, październik 1814 roku.

- A więc to tak - powiedział Theo, przygarbiwszy plecy. - Ciekawe, jak jego lordowska mość teraz się zachowa.

Lily powiedziała dzieciom o przybyciu ich wuja.

- Wykończę go - zapowiedział Sam, ale jego słowa nie brzmiały przekonująco.

- To miły człowiek - orzekła Laura Beth.

Lily westchnęła. - Co się stało, to się stało. Próbowałam załatwić wszystko jak najlepiej z prawnikiem wicehrabiego, panem Jonesem. Jeżeli Arnold dziś wieczór okaże swą złość, może wicehrabia uzna za słuszne zatrzymanie waszej trójki.

- Nie!

- Rozwalę mu pięścią twarz!

- On jest młody.

Lily spróbowała przybrać rzeczowy ton, jakim zwykle przekonuje się dzieci: - Moi kochani, fakty są takie, że okłamałam go. Arnoldowi najwyraźniej nie przyszło do głowy, że udaję wdowę. Jeśli hrabia napomknie coś na ten temat, jeżeli Arnold się zdenerwuje, to koniec. Nie będę mogła już niczego zrobić.

- Jak się dowie prawdy i rzeczywiście się rozzłości, to odejdziemy wszyscy i już.

Kochany Theo, pomyślała, nie ma pojęcia o prawdziwym świecie, o tym, jaki potrafi być zimny, trudny i zły. Ale chłopcy czuli się jej obrońcami, spróbowała więc się uśmiechnąć i uściskała ich obu.

Dwie godziny później włożyła swą najlepszą suknię. Pocałowała dzieci na dobranoc i obiecała, że przyjdzie i powie im, jak minęła kolacja. Chłopcy spali w przestronnej sypialni sąsiadującej z pokojem jej i Laury Beth. Zeszła na dół i na widok Ducketta przywołała na twarz rodzaj uśmiechu; kamerdyner otworzył przed nią drzwi salonu.

- Lily!

Zawahała się na progu. Tuż za plecami Arnolda ujrzała Knighta, spokojnego, całkowicie odprężonego, choć - była tego pewna - w jego oczach pobłyskiwało rozbawienie. I niczego się nie domyślił. Arnold nie wyprowadził go z błędu co do jej osoby. Na szczęście sprawy ułożyły się tak, by nie musiała odczuwać jakiegokolwiek lęku przed osobą Paskudnego Arnolda - w każdym razie przez chwilę. W ciągu tej cennej minuty ujrzała go jako żalostną kreaturę. Pomyślała o jego nieszlachetnych zamiarach i zgubnej wobec niej słabości.

- Witam, panie Damson - powiedziała uprzejmie i skinęła głową. - Tuszę, że miał pan przyjemną podróż do Londynu, a Gertrude miewa się dobrze.

- Gertrude czuje się świetnie. Jak zresztą zawsze, choć czasami, jak wiesz, narzeka na rozmaite dolegliwości.

- Miło, że zechciałeś przyjechać i upewnić się, jak nam tu wygodnie i dobrze.

- No nie, nie o to mi chodziło.

- Nie chcesz, by było nam wygodnie? Zapewniam cię, że lord Castlerosse jest bardzo uprzejmym gospodarzem. Nigdy by nie...

- Nie o to mi chodzi. - Arnold wolałby, żeby ten przeklęty wicehrabia rozpułynał się w powietrzu. Próbował się uspokoić. Przecież miał prawo po swojej stronie. Wystarczyło jednak, że ujrzał Lily, by wszystkie logiczne myśli uciekły mu z głowy. Była jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał. Rozpoznał tę jasnobrzo-skwiniową, jedwabną suknię. Skromną i może nieco już niemodną, ale na Lily zdawała się wręcz godna królowej. Spod grubego warkocza, upiętego na czubku głowy, na szyję i uszy wymykały się luźne kosmyki. Miała ten sam spokojny, opanowany i pogodny wyraz twarzy, który tak dobrze pamiętał i który najwyraźniej na stale zagościł na jej obliczu.

- Aha. A o co panu chodzi, sir? - - Abyś ty i dzieci...

- Podano do stołu, milordzie. Arnold zaklął paskudnie, ale usłyszał go tylko

Knight i z trudem powstrzymał się od śmiechu. - Dziękuję, Duckett. Panie Damson, łaskawie użyjczy pan ramienia pani Winthrop?

Lily wolałaby, żeby Paskudny Arnold trzymał się od niej na odległość co najmniej trzech metrów, ale tylko uśmiechnęła się i czekała, aż poda jej ramię. Ze zdziwieniem zauważyła, że mężczyzna drży. Przecież to ona, nie on, powinna się denerwować!

W jadalni Duckett wysunął już dla niej krzesło. Podeszła do stołu, ale Arnold wciąż trzymał jej ramię w uścisku. Szarpnęła się, a on dalej nie zwalniał uchwytu.

- Proszę, panie Damson.

- Ach - zreflektował się i uwolnił jej ramię. Knight spojrzał na Arnolda i zdumiony zmarszczył czoło.

Ten poczerwieniał. Lily modliła się w duchu, by nic nie powiedział; i rzeczywiście, wicehrabia pozwolił na kontynuowanie farsy. Gdy już zajęli miejsca przy stole, zwrócił się do Ducketta: - Możesz podawać.

- Tak jest, milordzie.

Milczenie nie trwało długo. Gdy podano duszoną baraninę, Arnold odkrył przyłbicę: - Życzę sobie, Li-ly, byśmy wyjechali jutro z samego rana. Przygotuj dzieci.

A więc teraz albo nigdy, pomyślała, zawieszając widelec w połowie drogi między talerzem a ustami. - Nie, Arnoldzie. Nigdzie z tobą nie jedziemy. Zostajemy tutaj.

Wtedy wytoczył wszystkie argumenty.

Rozdział 4

Damson Farm, Harrowgate, Anglia

Tak, psze pani. Jesteśmy przyjaciółmi Lily Tremaine, panny waszego brata. Straszna szkoda, że stary Tris kopnął w kalendarz, ale radziibyśmy zobaczyć się z jego dziewczynką, nawet bardzo.

Gertrudzie Damson udało się wyłowić sens z wielce dziwacznej przemowy, co nie zmniejszyło jej lęku przed tymi groźnymi kreaturami. Ten wielki, który mówił, z tą swoją mięsistą facjatą i ciemnymi, pozbawionymi wyrazu oczami wyglądaj na łotra, który w kościele ogołociłby skarbonkę dla biednych, a potem udusił samego proboszcza. A co do jego koleśka o szczurzym wyglądzie, ten sprawiał wrażenie takiego, co to przytrzymałby duchownego, by partner mógł go zamordować. Po chwili zebrała się w sobie. A więc chcieli rozmawiać z Lily? Jej przyjaciele? Mało prawdopodobne, ale Gertrude nie obchodziło to ani trochę. Rozejrzała się za tym głupcem, Beemem. Jak mógł wpuścić do domu podobne kreatury?

W istocie Beem stał się bogatszy o pięć funtów, co zresztą nie znaczyło, że się nie niepokoił. Kręcił się przed salonem, modląc się w duchu, by ten typ nie udusił jego pani.

Gertrude zdawała sobie sprawę, że gdyby ci dwaj wypytywali o kogokolwiek z Damson Farm z wyjątkiem tej małej dziwki, Lily Tremaine, narobiłaby niezłego rwetesu. Wciąż czuła się urażona tym, że Arnold idiotycznie zadurzył się w tej dziewczce. Niby chciał odzyskać dzieci, akurat! Człowiek, który niewiele uwagi poświęcał własnemu potomstwu, nagle postanowił ojcować maluchom biednego Trisa? Gertrude naplułaby mu w twarz, gdyby i tak nie był wystarczająco żaloszny. Gdy Lily zabrała dzieci i po prostu znikła, Gertrude nie miała złudzeń co do powodów tej ucieczki, ale nigdy się do tego nie przyzna przed samą sobą, a nawet księdzem czy jakąkolwiek siłą wyższą.

Uśmiechnęła się do dwóch rzezimieszków, stojących z zasmarowanymi kapeluszami w rękach na samym środku jej salonu. - Lily Tremaine przebywa w Londynie - powiedziała pogodnym tonem. - Zdaje się mieszka teraz u hrabiego Castlerosse. To kuzyn mojego brata. Adresu nie pamiętam.

Monk nie spodziewał się równie szybkiej kapitulacji. Krzywo spojrzął na tęgą kobietę o okazałym biuście i zastanawiał się, czy przypadkiem go nie okłamuje.

- Jest pani pewna? - zapytał z groźbą w głosie. Gertrude zamrugła. - Oczywiście. Mąż pojechał przywieźć ją razem z dziećmi z powrotem.

- W porządku. - Monk wciąż czuł się nieswój z powodu łatwości, z jaką osiągnął sukces. Nie musiał uciekać się do gróźb; ani użyć cieniutkiego sztyleciku, najcenniejszego przedmiotu, jaki otrzymał przed laty od swej świętej matki; nawet nie miał okazji posłużyć się przekleństwami. Czuł rozczarowanie - nie nawykł do podobnej łatwizny.

Po wyprowadzeniu rzezimieszków Beem natychmiast stanął przed swoją panią i użalał się na groźby, jakimi zmusili go do wpuszczenia ich do dworu. Gertrude tylko popatrzyła na niego i

wyciągnęła rękę. - Dawaj, Beem, wszystko.

Zamrugał i protestował, przyjmując minę obrażonej niewinności, ale w końcu położył pięcioletni banknot na wyciągniętej dłoni pani. To nie w porządku, pomyślał zawiedziony.

- Chodziło im o pannę Tremaine - oznajmiła, gdy patrzył, jak chowa banknot za swój solidny stanik.

Przestraszył się. - Wielki Boże, mam nadzieję, że pani nie wie, dokąd ona się udała.

- Ależ oczywiście, że wiem i powiedziałam im, stary głupcze. Nie przypuszczam, żeby zmiękli na widok jej pięknych oczu jak wy wszyscy. A teraz wynoś się, zanim każę cię wykopać z Damson Farm.

Winthrop House, Londyn, Anglia.

- Opowiedz nam wszystko od początku, ze szczegółami.

Lily otarła oczy i myśli z pozostałości snu. Spojrzała na zegar na kominku - dopiero szósta rano, a cała trójka już ją obsiadła i skacze po jej łóżku. Gdy zajrzała do nich późnym wieczorem, dzieci spały głęboko, więc ich nie budziła, by zrelacjonować wydarzenia wieczoru.

- Już dobrze, dobrze. Poświęcę wam chwilkę. Wszyscy pod kołdrę. Jest zimno i nie chcę, by któreś zachorowało.

Laura Beth z carycą Katarzyną pod pachą wpęzła pod przykrycie i ułożyła się jak najbliżej Lily. Po chwili przytuliła się jeszcze mocniej. Theo i Sam przykryli się kapą, wsparci o podpórkę w nogach łóżka.

- Czy będziemy musieli odejść, mamusiu? - zapytała Laura Beth.

- Ja... nie... nie musimy. - Oby to była prawda, modliła się w duchu. W istocie nic do końca nie wiedziała. Oby tylko nie okazała się optymistką! Tak jak jej ojciec przez całe swoje życie.

- Powiedz nam - nalegał Theo, z obawą w głosie. - Potrafimy zaakceptować nawet najgorsze. - Lily miała ochotę go uściskać i zapewnić, że nigdy nie pozwoli, by spotkała go krzywda. Ale tylko uśmiechnęła się do niego serdecznie z nadzieją, że doda mu otuchy.

- No cóż, Paskudny Arnold pokazał się w całej swej krasie. Już na początku posiłku myślałam, że przegraliśmy. - Spojrzała na portret brzydkiej kobiety w sztywnej krynolinie koloru jadowitej zieleni. Jakaś Winthrop z dalekiej przeszłości? Bez wyczucia gustu?

- Mamo. - Głos Sama przywrócił ją do teraźniejszości.

- Opowiem wam dokładnie. - Nie do końca, pomyślała w duchu. Nie o tych przekleństwach, obrzydliwym zachowaniu ledwo maskowanym fałszywą uprzejmością.

- Lily, ty i dzieci wracacie ze mną - oświadczył Arnold. - Poprzez małżeństwo jestem ich wujem. Jeżeli mi odmówisz, zabiorę je i żaden sąd mi ich nie odbierze.

- Przeciwnie, łaskawy panie - zareplikował wicehrabia. - Lily i dzieci zostaną tutaj. Może kawałek tej pikantnej nerkówki? Ulubione danie Cuber-tha, przyrządza je wyśmienicie.

- Nie!

- Nie ma pan ochoty nawet spróbować?

- Nie, to znaczy, że Lily pojedzie ze mną!

Knight nawet na nią nie spojrział. Już wcześniej zauważył jej bladość, a w oczach nieskrywany strach. Znał ją i dzieci dopiero od dwudziestu czterech godzin, a jakie to dziwne, do góry nogami wywrócili rutynę jego dnia. A on jeszcze świetnie się bawi! Wolał nie myśleć o tym przerażającym fakcie, że zostanie prawnym opiekunem trójki - trójki! - dzieci, o których istnieniu do wczoraj nawet nie wiedział. - Panie Damson, wolałbym spożywać posiłek w atmosferze spokojnej, nie nerwowej.

To drobne nieporozumienie omówimy później.

- Nie! - zaprotestował Arnold. - Sprawę należy załatwić natychmiast.

- Dobrze - ustąpił Knight ze zboląłą miną. - Duc-kett, ty i lokaje możecie odejść. Obsłużymy się sami. Nie nawykłem wprawdzie, ale chyba damy sobie radę.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. - Duckett wyprowadził Charliego i Bena ku ich niezmiernemu rozczarowaniu.

- A teraz, panie Damson - powiedział Knight - jeżeli nie ma pan ochoty na nerkówkę, może baranina znajdzie uznanie pańskiego podniebienia?

- Przecież nie podano jej!

- Rzeczywiście, ma pan rację. No cóż, może drób w beszamelu?

- Milordzie - odrzekł Arnold doprowadzony do desperacji przesadną uprzejmością gospodarza. - Przyjąłem zaproszenie na obiad tylko po to, by zobaczyć się z Lily i donieść jej o mych planach. Pan nie jest bliskim krewnym; nie ma pan głosu w tej materii.

- Nie jestem ich krewnym równie bliskim jak Ger-trude, to prawda. Jednak, panie Damson, to i tak nie ma znaczenia. Dzieci i Lily zamieszkają u mnie. Niedługo zostanę ich prawnym opiekunem.

- Ależ nie może pan! Nie pozwolę na to! Znajdę adwokata...

- Proszę bardzo, sir. Nawet mój własny mógłby polecić panu kogoś odpowiedniego. Ale wie pan, takie sprawy przeciągają się bez końca. A pan, sir, tak naprawdę nie ma szansy. I choć pańskie motywy zapewne są zbożne, musi pan zapomnieć o tych dzieciach. One teraz należą do mnie i tak pozostanie.

- Nie pozwolę na to, milordzie. Przenigdy. Knight uciekł się do łagodnej perswazji: - Panie

Damson, czyżbym zapomniał napomknąć, że jestem wręcz nieprzyzwoicie majątny? Chyba to uczyniłem. Ach, nie? Niech pan wybaczy przeoczenie: jestem bardzo bogaty. Pan nie posiada ani pensa. A teraz może znów zajmiemy się posiłkiem? Lily, dokończ potrawki z kurczęcia.

Omam nie zadławiła się. Nie wierzyła własnym uszom. Ależ wicehrabia jest uparty! Wprawdzie błagała niebiosa, by nie rzucił jej i dzieci w spragnione ramiona Arnolda, ale że został jej obrońcą? I przekraczało jej oczekiwania.

- Pan po prostu pragnie wziąć ją sobie do łóżka, chce, by została pańską nałożnicą.

Lily zachłysnęła się i poczerwieniała po same brwi, ale nie ze wstydu, lecz z wściekłości. - Ty obrzydliwy...

Knight uciszył ją gestem, po czym posiał Arnoldowi druzgoczące spojrzenie. Poczł taki gniew na chamstwo tego człowieka, że z trudem się powstrzymał, by nie wepchnąć mu nerkówki w to jego chude gardło.

Arnold, gdy zareagowali kamiennym milczeniem, pograżał się dalej, mimo lęku przed wicehrabią. - Li-ly, nie możesz tu z nim zostać. On cię zrujnuje... doszczętnie stracisz opinię. Ja... i Gertrude pragniemy cię gościć, mówię szczerze.

Knight odsunął krzesło i wstał od stołu. Powiedział cicho: - Proszę się podnieść, panie Damson. Nie chcę łamać panu nosa, gdy pan siedzi.

Arnold zorientował się, że posunął się za daleko. Ale jakże zirytował go ten przeklęty zuchwalec. Wydaje mu się, że może robić, co chce, tylko dlatego, że jest cholernym parem, bogatym jak krezus.

- O nie, nie wstanę. Nie złamie mi pan nosa... A jeżeli coś mi pan zrobi, wsadzę pana do Newgate.

Knight już nie mógł dłużej się powstrzymać. Cała ta sprawa Paskudnego Arnolda nieoczekiwanie

przybierała formę melodramatu. Wicehrabia odchylił do tyłu głowę i roześmiał się na cały głos. - W porządku - oświadczył po chwili, gdy odzyskał oddech; znów stał się chodzącą uprzejmością. - Nie złamię panu nosa. I tak już jest brzydki. No i Bóg mi świadkiem, wolałbym nie składać wizyty w Newgate. Lily, możesz przejść do salonu? Chciałbym dokończyć interesów z Pasku... z panem Damsonem. I nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Pół godziny później wicehrabia dołączył do niej w salonie. Przez chwilę stał i tylko na nią spoglądał. Siedziała przed kominkiem, tuż za nią igrały płomienie, i była tak piękna, że zapragnął...

- Poszedł już sobie - oznajmił i wszedł do środka. - Gdy Paskudny Arnold zrozumiał, że nie ma na co liczyć, zwinął przysłowiowe manele. Niechętnie, ale oddalił się, przeklinając mnie, a przede wszystkim swoją biedną żonę, Gertrude.

- On... nic ci nie powiedział? O mnie? Knight podszedł do kredensu i nalał sobie brandy.

Podsunał karafkę w stronę Lily, ale przecząco potrząsnęła głową.

Wypił łyk rozgrzewającego, rozkosznie francuskiego napoju. - O tobie? Cóż, zaproponowałem mu dzieci, ale tej oferty nie przyjął, co oczywiście mnie nie zaskoczyło. Niby że nie w porządku byłoby rozdzielanie dzieci i matki. Niezmiernie był tym przejęty. Jaki troskliwy! - Dostrzegł na jej twarzy wyraz ulgi. Dlaczego akurat teraz? Przecież już wcześniej poinformował ją o odejściu Arnolda. Obdarzył ją uśmiechem, a potem przystąpił do ataku.

- Gdy przekomarzaliśmy się dzisiaj po południu i wspomniałem, że jestem od ciebie zaledwie cztery lata starszy, poprawiłaś mnie, sugerując, że z pewnością liczę sobie więcej niż dwadzieścia trzy lata. Może wreszcie wyznasz mi prawdę, i to całą!

Daremnie modliła się, by ten szczegół umknął jego uwagi, zaginął w gorączce słownej utarczki. Nie została wysłuchana. Jak mogła, głupia, aż tak stracić głowę?!

- Lily? - głos Knighta zabrzmiał niezwykle łagodnie.

Odchrząknawszy, powiedziała po prostu: - Drugiego grudnia skończę dwadzieścia lat.

- Rozumiem. - Nagle poczuł przypływ gniewu na Tristana. Nie na nią, tę biedną dziewczynę. Dobry Boże, Tris wziął ją sobie za żonę, gdy miała zaledwie piętnaście lat. Takie dziecko. I natychmiast uczynił ją brzemienną. - Byłaś panną młodą-dzieckiem - stwierdził i nawet ktoś najmniej spostrzegawczy zauważyłby oburzenie w jego głosie. - Twój ojciec zaiste musiał być wielce honorowym człowiekiem.

Lily spojrzała na niego zaskoczona. Ostrze gilotyny nie opadło. W końcu dotarło do niej, iż Knight wyciągnął z jej opowieści krańcowo fałszywe wnioski. W milczeniu dziękowała Bogu. - Rzeczywiście, można by powiedzieć, że byłam dość młoda.

- Dość! Do cholery, byłaś dzieckiem! Nigdy bym nie sądził, że Tris mógł tak... - Złość mu przeszła.

Tris nie żyje. Zresztą Lily w wieku piętnastu lat musiała być równie piękna jak obecnie, więc biedak nie miał szans.

Zademonstrował obojętność wzruszeniem ramion. - Niedługo sfinalizujemy sprawę opieki prawnej. Może poszłabyś już spać?

Lily wycofywała się tyłem, przy każdym kroku składając mu podziękowania, aż wreszcie przerwał jej uniesieniem dłoni. - Zrozum, Lily, nie jestem takim draniem, żeby oddać cię Paskudnemu Arnoldowi. Ciebie ani dzieci.

* * *

Teraz demonstrowała dzieciom skinienie głowy, jakim poprzedniego wieczora pożegnała

wicehrabiego, nim wymknęła się z salonu.

- I to wszystko - dokończyła i każdemu z osobna posłała uśmiech. - Tak więc, wierzę, że wszystko dobrze się skończy.

Usłyszała, jak Theo, osobnik już niemal dorosły, oddycha z ulgą. Wyciągnęła dłoń i poklepała go po ramieniu. - Spróbujcie zapamiętać ten fragment historyjki, jak to bardzo młodo wyszłam za waszego ojca, i nie zdradźcie mnie.

- Jesteśmy bezpieczni - orzekł Theo i Lily wiedziała, że chłopiec czuje się, jakby zdjęto mu z ramion olbrzymi ciężar.

- A gdybyśmy tak dzisiaj wybrali się na zakupy? Każdy może wybrać sobie, co zechce. Co wy na to?

- Wszystko? - upewnił się Sam.

- Nie bądź taki chciwy, głuptaku - Theo skarcił brata dorosłym tonem.

- No cóż, sami wiecie, ile mamy w sakiewce - przypomniała Lily. - I pamiętajcie o tym.

- Lily?

- Tak, Theo?

- Przepraszam... mamó. Zapomniałem. Jak sądzisz, czy kuzyn Knight pozwoli mi pożyczyć kilka książek z jego biblioteki?

Nie miała najmniejszego pojęcia, jak wicehrabia zareaguje na podobną prośbę. - Może sam o to zapytaj, Theo. On, zdaje się, chce dla was jak najlepiej.

- A ja chciałbym jeździć na jego wierzchowcach - dodał Sam.

- To, mój kochany - odrzekła - już zupełnie inna para kaloszy. Jak mi mówiono, jeśli chodzi o konie i małych chłopców, dżentelmeni hołdują twardym zasadom. Zobaczymy.

- I jeszcze jedno - dodała z wahaniem, bojąc się tego, co ma im powiedzieć. - Kuzyn Knight zostanie waszym prawnym opiekunem.

- Dlaczego? On nie jest naszą matką - zareagował Theo z właściwą sobie logiką. - I na czym polega różnica?

- Zapewni nam dach nad głową i jedzenie - wtrącił się Sam. - I może konie do jazdy.

- Jest ładny - oświadczyła nagle Laura Beth, zwracając tymi słowami ogólną uwagę.

- Ty mała, głupia dziewczynko. Mężczyźni nie są ładni.

- Nie kpj z niej, Sam - upomniał brata Theo. Z cierpliwością zwrócił się do siostrzyczki: -

Czemu tak twierdzisz, Lauro Beth?

Ale mała tylko wzruszyła ramionami i kciuk znów wrócił do buzi.

Lily poczuła ucisk w gardle. Niemal się dławiła. Musi to powiedzieć, zanim całkiem straci głos. - Wasz kuzyn Knight uważa, że chłopcy powinni wyjechać do Eton. Kiedy dokładnie, tego nie wiem. Tyle że będzie miał prawo decydować o waszej przyszłości według swego uznania.

Theo z wrażenia aż gwizdnął. - Tym razem zdaje się wpadliśmy jak śliwka w kompot, prawda, Lily?

Mamó?

Było do przewidzenia, że Theo natychmiast wyciągnie z sytuacji właściwe wnioski.

- No nie wiem - powiedziała zgodnie z prawdą. - Jeszcze nie wiem. Ale na pewno wszyscy powinniśmy schodzić mu z drogi. No i trzeba coś zacząć działać w sprawie waszego nieuctwa, które jest głębsze, niż powinno. Zaraz po zakupach siadamy do lekcji, zgoda?

Sam głośno zaprotestował. Za to oczy Theo zabłyśły, a Lily poczuła przyływ wyrzutów

sumienia, że nie zapewniono mu nauczyciela, takiego z prawdziwego zdarzenia, wyposażonego w szeroką wiedzę, o wiele lepiej wykształconego od niej. Będzie musiała porozmawiać z wicehrabią.

Ponieważ w domu nie było dziecięcego pokoju, poprosiła panią Allgood o przyniesienie im śniadania do jej sypialni. O dziewiątej byli już ubrani i gotowi do wyjścia. Samowi, dzięki Bogu, udało się niczego nie przeszkrobać w czasie trzydziestu minut, gdy Lily zostawiła go samego, by wziąć kąpiel i się ubrać.

U podnóża schodów spotkali wicehrabiego. Właśnie wychodził z domu.

- On jest ładny - powiedziała Laura Beth, ze wzrokiem wbitym w jego okrycie koloru bladego biskopata.

Theo jęknął, Sam zaklął.

Lily powiedziała, niezmiészana: - Dzień dobry, milordzie. Jak pan widzi, wychodzimy na dwór. Zabieram dzieci na zakupy, każde z nich zasłużyło na prezent.

Knight odwrócił się już po słowach Laury Beth. Ja, ładny? - pomyślał i uśmiechnął się drwiąco. Ale na widok kobiety i trójki dzieci schodzących po schodach i zatrzymujących się w holu doznał niemal szoku. Chłopcy wyglądali czysto i schludnie. Theo zdawał się lekko zaniepokojony i Knight pojął, że mały reaguje jak dorosły, niepewny, jak zostanie przyjęty. Sam wyglądał, jakby cały świat należał do niego, a jeżeli nawet nie, to i tak zamierzał robić to, na co miał ochotę. Wszystkie dzieci były ciepło ubrane. Lily wyglądała wyjątkowo uroczo w grubej pelerynie obramowanej białym gronostajem, całość w kolorze jasnoniebieskim, dobrej jakości. Zastanawiał się, kiedy Tris sprezentował jej to okrycie. Peleryna była także nieco przykrótka. No oczywiście, ożenił się z nią, na Boga, nim całkiem dorosła. Potrząsnął głową nad swymi błędzącymi myślami.

Obdarzył całą czwórkę uśmiechem. - Dzień dobry, moi drodzy. Mogę was gdzieś podrzucić, Lily?

- Nie chcielibyśmy się narzucać - powiedziała pospiesznie. Duckett poradził nam, dokąd powinniśmy się udać.

- To znaczy?

- Do sklepu o nazwie Pantheon Bazaar. Knight zawahał się. Trudno, nie do końca wierzył, że Paskudny Arnold podda się bez walki. Całkiem możliwe, że obserwował dom z nadzieją dopadnięcia Lily i dzieci samych. Czy zdobyłby się na porwanie? Knight zaklął pod nosem, ale zaraz uniósł głowę i zmusił się do uśmiechu. Niech Duckett wyśle Raymondowi wiadomość, że wicehrabia nie przyjdzie dzisiaj na spotkanie Klubu Czterech Koni.

W końcu zebrał się na odwagę i oznajmił: - Chętnie będę wam towarzyszył. W końcu jeszcze nie poznaliśmy się jak należy.

- Ale pewnie miał pan inne plany, sir!

- Żadnych - odrzekł, a Lily nie naciskała, mimo że wiedziała, że skłamał. - Proszę przyjąć moją skromną osobę do dyspozycji.

Dwie godziny później Knight uznał, że jego skromna osoba została rozdysponowana co najmniej dziesięć razy. Był rozdrażniony i niemal wykończony żywiołowością Sama i jego niekończącym się podekscytowaniem na widok każdej rzeczy, która mu się spodobała, a zdarzało się to w każdym sklepie i prawie przy każdym stoisku. Theo wprawdzie usiłował poskromić brata, ale zdawał się osiągać przeciwny efekt. Laura Beth, także zmęczona, piszczała, gdy tylko wypuściła kciuk z buzi, i życzyła sobie siku w przeróżnych, dziwnych momentach.

Pantheon Bazaar roił się od kupujących. Miejsce to Knight odwiedził wiele lat wcześniej, mniej

więcej w wieku Theo, o ile dobrze pamiętał. I nigdy więcej nie chciał tam wrócić. Theo mitrężył przy każdym stoisku z książkami, co budziło niechęć Sama. Lily zauważyła, że wicehrabia z każdą minutą staje się mniej chętny do dobroczynności. Nie miała mu tego za złe. Ona też co najmniej dziesięć razy miała ochotę wytargać Sama za uszy i solidnie nim potrząsnąć. Wicehrabia nie nawykł do dzieci, a do tego dzisiaj pierwszy raz od tygodnia puszczo go luzem.

Już miała mu oznajmić, że jeszcze tylko kupią prezent dla Laury Beth i opuszczą sklep, gdy mała wyjęła kciuk z buzi i zaczęła gwałtownie machać w powietrzu carycą Katarzyną. - On jest tam! - krzyknęła na cały głos. - Jest tam, Paskudny Arnold!

Lily zrobiło się zimno. Knight spojrział w kierunku, który wskazywała powiewająca lalka i rzeczywiście zobaczył Arnolda Damsona, chowającego się za stoiskiem z kolorowymi wstążkami. Towarzyszył mu osilek o wyglądzie idioty.

- O nie! - krzyknęła Lily i przycisnęła do siebie Laurę Beth. - Sam, Theo! Chodźcie tu obaj.

Theo natychmiast zawrócił, ale Sam, zafascynowany nową zabawką - wozem na prawdziwych kołach, napełnionym sianem - nie zwracał na Lily uwagi.

- Sam! - rzucił surowo Knight. - Wracaj natychmiast.

Chłopiec uniósł wzrok, ujrzał kuzyna Knight w ńście imperatorskiej pozie i natychmiast do niego podbiegł.

- Co się stało?

- Mamy towarzystwo - wyjaśnił Knight. - Żeby żadne z was nie oddalało się teraz od mamy. Zrozumiałeś, Sam?

- Tak, oczywiście. Nie jestem głupi.

- To, mój chłopcze, zależy od punktu widzenia.

- Paskudny Arnold - powiedziała Laura Beth. - On jest stary.

- Tak, kochanie - przytaknęła małej Lily - jest właśnie taki. Nie jest też najmiłszym z ludzi. Ale nie martw się, już kuzyn Knight zajmie się nim.

Skąd w niej taka pewność, pomyślał Knight. Powiedziała to tak spokojnie. - Idziemy wszyscy razem - rzucił zdecydowanym tonem. - Trzeba przywitać się z Paskudnym Arnoldem.

Lily spojrzała na niego niepewnie, ale nie zakwestionowała decyzji.

Arnold ujrzał, że nadchodzą i spanikował. Wszystko potoczyło się inaczej, niż zamierzał. Nie chciał ich spotkać, tylko obserwować z ukrycia. No i przecież mieli być sami, bez tego przekłętego wicehrabiego! Poprzedniego wieczora, zaprzyjaźniwszy się z grupką łebskich gości, dowiedział się, że wicehrabia Castlerosse cieszy się sławą zatwardziałego kawalera. On z dziećmi? Absurdalne, wręcz niedorzeczne. A jednak był tu z nimi i pilnował ich, jakby był ich rodzicem. - Znikamy - zwrócił się do Boggsa, łotra, którego naraił sobie do pomocy. - Dopadniemy ich później, gdy zostaną sami.

Boggs, bynajmniej niewystraszone, a chętny do zarobienia obiecanych pięciu funtów, nie ruszył się z miejsca. - To tylko jeden dżentelmen i sądząc po wyglądzie, dandys. Zmierzę się z nim.

Arnold wahał się, nie mogąc się zdecydować. Boggs miał krzepę, ale ci goście poprzedniego wieczora wspomnieli także, jakoby hrabia jest wyśmienitym sportsmenem, świetnym jeźdźcem, a na ringu wręcz nie do pokonania. - Nie, może później. Nie chcę tu żadnej bójki. To zbyt niebezpieczne.

Boggs nie miał wyboru, w końcu jego zleceniodawca trzymał sakiewkę.

- To tchórz, kuzynie Knight! - zawołał Sam, podskakując i wskazując palcem. - Patrzcie, ucieka!

- Zamknij gębę, Sam - skarcił go Theo. - Ściągniesz na nas uwagę. Zachowuj się należycie.

- Rzeczywiście - przyłączył się Knight. - Opanuj się, mały. Jeżeli Paskudny Arnold spróbuje jakichś sztuczek, wyślę cię na niego. W porządku?

- Już ja mu dam wycisk - zapowiedział malec. Knight zdawał się nawet pochwalać tę właściwie skierowaną pogrózkę.

Gdy minęło podekscytowanie wydarzeniem, dzieci nagle okazały się bardzo zmęczone. Sam zgłodniał. Theo był spięty i wyczerpany. Laura Beth marudziła, popiskiwała cieniutko.

- Teraz już sama zajmę się nimi - zaproponowała Lily. Wiem przecież, Knight, nie nawykłeś do dzieci. Zabiorę je do domu.

Knight, który w tym momencie oddałby niemal wszystko, by uwolnić się od obecności trójki maluchów, oświadczył jakby wbrew temu, co czuł: - Nie ma mowy. Nie kupiliśmy jeszcze prezentu dla Laury Beth. Załatwimy to, a potem zapraszam was do Gunthersa.

- I zwrócił się do Theo: - Masz ochotę na lody? Dobrze, że nie ogłuchł od okrzyków entuzjazmu, z jakim dzieci przyjęły jego propozycję.

Co ja wyprawiam? - pomyślał. Już wcześniej upierał się, że zapłaci za książkę dla Theo, rozprawkę o możliwościach maszyny parowej, za wyposażony w dziesięć armat szkuner dla Sama, a teraz chciał kupić maleńkie, białe bawełniane rękawiczki, które Laura Beth wybrała, prawie już zasypiając.

Lily zdecydowanie się sprzeciwiła: - W żadnym wypadku.

Knight, nie na żarty rozzłoszczony, oświadczył: - A właśnie, że tak! - I wyjął jednofuntowy banknot. - Milordzie - wyrzuciła Lily przez zaciśnięte zęby - przechodziliśmy przez to już dwukrotnie. Dzieci są pod moją opieką, a ja nie jestem żebraczką. Dysponuję pewnymi funduszami. To ja kupię im prezenty. Dostaną je ode mnie, nie od ciebie.

Knight ostentacyjnie złożył banknot i z przesadą wzruszył ramionami. W istocie był zbyt zmęczony, by wymyślić ostrą ripostę.

U Gunthersa sprawy przyjęły lepszy obrót, niż przewidywał. Gdy Samowi postawiono przed nosem wielką misę lodów, siedział cicho niczym milczek. Laura Beth, z główką na piersiach Lily, od czasu do czasu otwierała buzię na widok zbliżającej się łyżki z lodami. Uparła się, że założy swoje nowe białe rękawiczki. Theo, wciąż spięty i zmęczony, jadł deser w milczeniu, od czasu do czasu rzucając Knightowi niepewne spojrzenie.

- Mój Boże, nie wierzę własnym oczom!

Knight uniósł wzrok i ujrzał Julię St. Clair, hrabiego March, wpatrującego się w niego i otaczającą go trzódkę. Julienowi towarzyszyła hrabina, Katheri-ne St. Clair. Wymierzyła małżonkowi kuksańca w żebra i podeszła z uśmiechem na twarzy.

Wymieniono uprzejmości, wszyscy zostali sobie przedstawieni. Dzieci przycichły, jakby onieśmielone. Choć grzeczne i uprzejme, straciły pewność siebie. Hrabia i hrabina nigdy nie poznają przyczyny, pomyślał ironicznie Knight. Co do Lily, zachowała się zgodnie z jego oczekiwaniami: dama wyrobiona towarzysko, przy tym na tyle skromna i łagodna, by miało się ochotę dłużej przebywać w jej obecności. Knight zauważył także, że Julien bynajmniej nie stracił głowy dla jej urody. W uprzejmym uśmiechu hrabiego nie było śladu zachwyty czy pożądania. Co za ulga, pomyślał wicehrabia. Już zaczynał mieć wrażenie, że będzie musiał bacznie obserwować każdego mężczyznę, który znajdzie się w pobliżu Lily.

Julien St. Clair nie mógł pojąć, co się stało z Knightem Winthropem. Z tym jego cynicznym, dowcipnym, zawsze ze wszystkiego kpiącym przyjacielem. Z człowiekiem, który siedział teraz przy

okrągłym stoliku z piękną kobietą i trójką - trójką! - dzieci. Można wręcz oszaleć. Oniemieć ze zdumienia.

Usłyszał, jak Knight zwraca się do starszego z chłopców: - Theo, a może pokażesz jego lordowskiej mości twoją nową książkę? Jak wiem, on bardzo interesuje się wszystkim, co dotyczy maszyn parowych.

- Jest słodka - powiedziała do Lily Katherine St. Clair. Laura Beth, zawstydzona i zaspana, szepnęła niewyraźnie: - Dziękuję - i ukryła główkę na ramieniu Lily.

- Staje się także coraz cięższa. Chyba już w najbliższej przyszłości nie będzie mogła używać mnie jako swego łóżeczka.

- Czyżby to były nowe rękawiczki? Jakie szykowne. Na tę uwagę Laura Beth otworzyła oczy i znów podziękowała damie. - Mamusia kupiła je dla mnie. Kuzyn Knight chciał za nie zapłacić, ale mu nie pozwoliła. Zdaje się, chciała dać mu klapsa, choć nie zrobiła tego. Mama powiedziała, że...

- Zamknij już tę swoją buzię, moje maleństwo. Masz, zjedz trochę lodów. - Lily uniosła wzrok i zauważyła, że hrabina uważnie się jej przypatruje. - To bardzo słodka dziewczynka - pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Jestem podobnego zdania - odrzekła hrabina, przytakując ruchem głowy.

W ciągu następnych piętnastu minut zatrzymało się przy nich jeszcze kilka znajomych osób, a ich reakcje można by określić powtarzającymi się wyrażeniami:

- Na Boga, człowieku, dzieci?

- Cóż to, Knight, prowadzisz ochronkę?

- Istny dom wariatów! - mruknął po nosem oszołomiony markiz Bourne, kręcąc szpakowatą głową. - To już lepiej było poddać się Francuzom.

Przez większość czasu Lily zwracała uwagę głównie na dzieci, zwłaszcza na Sama. Zauważyła, że Knight przypilnował, by chłopcu podano drugi pucharek lodów, gdy tylko opróżnił pierwszy. A więc malec nie miał czasu na wycelowanie którejś z armat swojego szkunera na żadnego z ich zadziwionych gości.

- Ma dziesięć armat i jest cudowny - usłyszała, jak chłopczyk chwali się Julienowi St. Clair. - Zabiłbym wszystkich żabojadów, gdybym był kilka lat starszy.

- Bez wątplenia - odrzekł tamten z lekkim uśmiechem.

- Jest strasznie krwiożerczy - oświadczył Knight i ku swemu zaskoczeniu wzburzył malcowi miękkie, brązowe włosy.

Julien wpatrywał się w przyjaciela ze zdumieniem. Mój Boże, to przechodzi możliwość pojmwania zwykłego śmiertelnika. Gdy on i hrabina oddalili się, pozostał milczący i zakłopotany przez niemal całe dwie godziny.

W powozie podążającym z powrotem do Winth-rop House panował podobny spokój.

- A więc na tym polega sztuczka - powiedział Knight do Lily. - Zapchać tych małych dzikusów i spokój zostanie przywrócony.

- Mniej więcej tak to się załatwia - przyznała Lily z szerokim uśmiechem.

Dzieci odesłano na górę z panią Allgood: Laure Beth i Sama do łóżek, a Theo mógł zająć się swą nową książką.

- Chyba ja też utnę sobie drzemkę - oznajmił Knight, przeciągając się.

Lily posłała mu łobuzerski uśmiech, którym natychmiast przypawiła go o podniecenie. - Rodzice twierdzą, że dzięki dzieciom pozostają młodzi, ja jednak uważam, one dodają nam lat.

Odpowiedział jej uśmiechem, od którego nie zdołał się powstrzymać. Przez cały ten dzień jej obecność nie dawała mu spokoju, co bardzo go niepokoiło. Postanowił uwolnić się od pożądanego przez wizytę u Danielle. Kochanka rozładuje jego napięcie; przywróci mu zdrowy rozsądek. Co więcej, dzięki wizycie u niej uniknie nieuchronnych kpín przyjaciół. Nie miał złudzeń: jego niecodzienne zachowanie stanie się głównym tematem wieczoru. Ciekawe, czy złożą jego szaleństwo na karb urody wdowy Winthrop. - Wychodzę - oznajmił szorstko Lily. - Nie wrócę na kolację.

Zostawił ją stojącą w przedsionku, zastanawiającą się, czy powiedziała coś, czym mogłaby go urazić.

A o dziesiątej wieczorem już bardzo się bała, że stało się coś, co wicehrabia z pewnością potraktuje jako obrazę. Nie zdziwiłaby się, gdyby Knight wyrzucił ich prosto w stęsknione ramiona Paskudnego Arnolda.

Rozdział 5

Knight czuł się przyjemnie zrelaksowany. Odchylił głowę na wyściełane oparcie powozu i przymknął oczy. Niestety, ten gest przywrócił mu pamięć; aż się wzdrygnął. Niewiele brakowało! Ale jakoś się udało. Dzięki bogom, którzy się nad nim ulitowali. Wolałby zapomnieć o incydencie. Niestety, pamięć o tym, co się wydarzyło, nie dawała mu spokoju. Nigdy wcześniej nic podobnego mu się nie przytrafiło, w każdym razie odkąd osiągnął wiek męski.

Choć był taki chętny, jakoś mu nie szło. Danielle pozostawała taka jak zawsze - piękna, uwodzicielska, umiejąca cudownie się dostroić - i ostatecznie to jej zręczne usta postawiły go - mówiąc dosłownie - na odpowiednim poziomie.

Wszystko przez tę przekłętą kobietę! Co za absurd, przecież nawet nie zdążył jej poznać.

A jednak w chwili szczytowania odchylił głowę do tyłu i wykrzyczał jej imię.

Tak dalej być nie może. Odeśle ją wraz z dziećmi do Castle Rosse. I to wkrótce.

Jego życie musi odzyskać ten cudownie przewidywalny tok, zanim kochanka zasztyletuje go za głupotę, a przyjaciele zamkną w domu wariatów. Jakby słyszał, jak St. Clair opowiada wspólnym znajomym o niezwykle dziwnym spotkaniu u Gunthersa z Knightem i jego trzódką.

Nie uwierzycie, jadł lody, otoczony dziećmi rozkoszującymi się tym zimnym przysmakiem. I zabawkami. To ponoć jego rodzina. Knight, z rodziną. I ta mamusia, prawdziwy anioł piękności, o tak, tak, nasz Knight...

Jęknął, przerywając wyimaginowany monolog, gdy pojął, że nie może odesłać całej tej gromadki, dopóki oficjalnie nie zostanie opiekunem dzieci. Nie chciał ryzykować wysłania ich do Castle Rosse, gdy Paskudny Arnold, pełen złych intencji, wciąż kręcił się w pobliżu.

Jutro porozmawia z Tilneyem Jonesem, naciśnie na prawnika, by się pospieszył, poleci naoliwić wszystkie wyciągnięte łapy. Choćby nie wiem ile miało to kosztować.

Dwadzieścia minut później otwierał własnym kluczem drzwi Winthrop House. Ku swemu zdziwieniu dostrzegł dochodzące z salonu światło. Zmarszczył brwi i pospiesznie wszedł do środka.

Stał jak wryty. - Lily, czemu jeszcze nie śpisz? Coś się stało?

Była blada, wyglądała na zdenerwowaną, a jej uroda wręcz zapierała dech. Co za piekielna niewiasta!

Próbowała obejść się bez kłamstw. - Nic takiego, w każdym razie nikt nie zachorował.

- Wyśmienicie. Robimy postępy.

Przybrał swój najbardziej sardoniczny, obojętny ton, a uniesiona lewa brew potęgowała ironiczną wyniosłość spojrzenia. Podeszedł do kredensu, a gdy ją mijał, poczuła subtelny zapach różanych perfum. Bez wątpienia wraca od kobiety, od kochanki. Przełknęła ślinę.

Patrzyła, jak nalewa sobie brandy. Już miała otworzyć usta, gdy nagle powiedział spokojnie: - Mam dwadzieścia siedem lat. Nie tak znowu dawno wyszedłem z dziecięcego wieku. Zapomniałem

jednak, że dzieci bywają tak różne, o tak wyraźnych osobowościach. Theo... Dobry Boże, ten chłopiec jest wciąż spięty, stara się zachowywać jak dorosły. Czy on kiedykolwiek był dzieckiem?

- Kiedyś, przed śmiercią swego ojca.

- Aha. - Knight spojrział na kieliszek z brandy. - I jeszcze coś. Dzieci nie wspominają słowem o ojcu. Czy to nie dziwne? Czy nie powinny czasem o nim rozmawiać? Okazać smutek?

One przecież okazują żal, pomyślała Lily, każde na własny sposób, na osobności, co nie było najszcześniejsze, zwłaszcza w przypadku dzieci.

- Odkąd zginął ich ojciec, Theo wziął na siebie obowiązki głowy rodziny. Zawsze był poważnym chłopcem, ale teraz... - Wzruszyła ramionami. - Może masz rację co do Eton. Może w towarzystwie rówieśników stanie się młodszy, bardziej beztrudny. Chciałabym, by choć raz wpakował się w kłopoty, choćby w takie, jakie wciąż ściąga na siebie Sam. Ale on ma umysł uczonego, chyba wiesz, i nie sądzę, by to mogło się zmienić.

- No cóż, nasz uczonek zostanie specjalistą od maszyn parowych. A Sam?

- Jest dokładnym przeciwieństwem brata. Od śmierci Trisa wciąż są z nim kłopoty. Zawsze był z niego dia-blik, ale teraz robi wrażenie, jakby miał obowiązek wymyślania psot. Zrozum, proszę, że odejście Trisa odebrało dzieciom poczucie bezpieczeństwa. Odbyliśmy tak długą podróż z Brukseli do Yorkshire, nawet nie wiedząc, czy Damsonowie nas przyjmą. Pozwolili nam wprawdzie zamieszkać w Damson Farm, ale ciotka

Gertrude nie lubiła żadnego z nas, a potem jeszcze ta awantura z Arnoldem. Musiałam znowu zabrać ich z miejsca, w którym już na chwilę osiedli, i nagle przywieźć tutaj. I ponownie nie byliśmy pewni przyjęcia. Dzieci są wystraszone, choć prędzej by umarły, niż by się do tego przyznały. Sam stał się agresywny, zawsze gotów z kimś się zmierzyć. Myślę, że to jego sposób na uporanie się z lękami. A co do kochanego Theo, ten zdaje się sądzić, że im bardziej zachowuje się jak dojrzały, dorosły człowiek, tym skuteczniej nie dopuszcza do siebie strachu.

- Laura Beth zdaje się uniknęła tych kłopotów.

- Nic podobnego. Od czasu śmierci ojca nie spuszcza z oczu ani z objęć ukochanej lalki, carycy Katarzyny, i nie wyjmuje kciuka z buzi. Jak zapewne zauważyłaś, wciąż klei się do mnie. A co do oznak smutku, późną nocą usłyszałam płacz Sama i poszłam do niego. Trzymał piąstkę w buzi, żeby Theo go nie usłyszał. Nie mogłam się zmusić do zakłócenia jego smutku. To by go pewnie załamało.

- Jest tylko małym chłopcem.

- O tak, bardzo dumnym małym chłopcem.

- Rozumiem - powiedział wolno Knight. - Najwyraźniej wszystko to rozgryłaś w najdrobniejszych szczegółach.

- Kocham te dzieci. Zależy mi na nich. Zmiany w ich zachowaniu są dla mnie oczywiste, podobnie jak ich przyczyny. Jakbyś pewnie powiedział: przyczyna i skutek.

Knight odstawił kieliszek. - Ale dlaczego nie udałaś się jeszcze na spoczynek?

- Sam... - powiedziała, wzdychając głęboko.

- Sam? Aha, rozumiem. Znow malec wymyślił jakąś diabelską psotę?

- Właśnie.

Zapadło milczenie. Po chwili Knight westchnął i powiedział: - Czekam, Lily.

- Cóż, nie mam wyjścia. Zresztą nie położyłam się właśnie z tego powodu, ale...

- Nie zjem ani ciebie, ani Sama.

- Wykradł z kuchni ciasto, które Cuberth zostawił, by rosło na chleb i przykleił do poręczy

schodów wiodących na trzecie piętro, do pomieszczeń służby. Nie ma tam światła, trzeba wchodzić ze świecą.

Knight wbił w nią wzrok. - Mój Boże! Jaka pomysłowość. Ktoś krzychał? Ktoś umarł ze strachu? Stoczył się na sam dół jak wystrzelony z katapulty?

- Betty rozwrzeszczała się na cały dom. Sądziła, że włożyła rękę „w trupa”, jak to trafnie określiła. Lepkie, napuchnięte i gnijące. Nie bardzo rozumiem, czemu wilgotne, Cuberth nie piekłyby przecież chleba ze spleśniałego ciasta, ale jednak... - Urwała na widok miny gospodarza, który zamiast na zagniewanego, wyglądał raczej na rozbawionego, wręcz zachwyconego.

- A więc nie jesteś... wściekły?

- I nie wyrzucę was wszystkich z mojego domu?

- To właśnie chciałam powiedzieć.

- Nie zrobię tego, ale zmuszę Sama, żeby posprzątał.

- Nie jestem aż tak łagodną matką. Natychmiast kazałam mu to uczynić. Zabrało mu dużo czasu. -

Wzięła głęboki oddech. - Jest jeszcze coś.

- Zaczynam się zastanawiać, czyby nie wezwać do domu księdza, by wysłuchał spowiedzi. Zdaje się, że czekałoby go długie i męczące zadanie. Jeszcze jakiś straszny czyn został popełniony dzisiaj wieczorem?

- Chodzi o Cuthberta. Wrzeszczał na całe sąsiedztwo, że złoży wymówienie.

Knight powiedział głosem równie cynicznym, jak jego mina. - Nie przejmuj się tymi pogrozkami.

Oplacam durnia tak sownie, że myśl o odejściu nawet nie wpadnie mu do głowy.

- Ale całkiem wyraźnie groził, że jeżeli my stąd nie znikniemy, on to uczyni.

- Dobrze, niech tak zrobi. Nie dbam o to. Tym razem Lily ze zdumieniem popatrzyła na Knighta. -

Nie gniewasz się, naprawdę?

- Nie, ale jestem zmęczony. Chodźmy spać, Lily. - Z chwilą, gdy te słowa wymknęły mu się z ust - dwuznaczne jedynie dla niego - poczuł oblewającą go falę żądy.

Pośpiesznie odwrócił się od niej, ale jeszcze przystanął w drzwiach. Przypomniał sobie złośliwą uwagę swego lokaja, zanim wyszedł z wizytą do Danielle. - Miałaś może jakieś problemy z moim pokojowym, Stromsoe'em?

Owszem, miała, ale nie chciała sprowadzać kłopotów na tego człowieka. Potrząsnęła głową.

Nie umie kłamać, pomyślał, ale już nie drażył. Szorstko pożegnał ją i oddalił się do sypialni.

Ona też, nieco wolniej, udała się na górę. Tak naprawdę Stromsoe nie dokuczył jej. Owszem, był nieuprzejmy, ale po prostu chronił swego pana. Poradziła sobie z nim nie najgorzej; w każdym razie tak jej się zdawało. Wcześniej tego wieczora zatrzymał ją na półpiętrze...

- Mogę wiedzieć, dokąd się pani udaje, madami - zapytał z demonstracyjną fałszywą uprzejmością. Właściwie wręcz zastawił jej drogę.

Lily spojrzała na nadętego, wypomadowanego mężczyznę o mocno zaróżowionych policzkach i uśmiechnęła się szeroko. - Nie...

- Nie, to znaczy?

- Nie, Stromsoe.

- Naprawdę, proszę pani...

- A więc, Stromsoe, nie możesz wiedzieć, dokąd się udaje. To nie twoja sprawa.

Zaskoczyła go. - W takim razie, mogę w czymś pomóc, madami.

- Gdybyś zechciał mi przynieść szklanekę ciepłego mleka. Dla jednego z dzieci.

Różowe policzki lokaja zaczerwieniły się. - To nie należy do moich obowiązków.

- No to dlaczego pytasz, czy możesz mi w czymś pomóc? Gadasz bez sensu, Stromsoe.

I tym pograżyła go ostatecznie. Ciekawa była, co ten nadęty człowieczek powiedział wicehrabiemu, że Knight o nim wspomniał. Prawdopodobnie nazwał ją nachalną kobietą z grupką niezdolnych dzieciaków i pogardliwie zadarł nos do góry. Jednak miał rację.

Lily poczuła się zmęczona; szczerze mówiąc, miała te same obawy co dzieci. Jako osoba dorosła potrafiła lepiej ukryć swe lęki, ale tkwiły w niej.

Potrząsnęła głową, rozbierając się cicho. Od strony łóżka dochodził delikatny szmer oddechu Laury Beth i Lily wiedziała, że mama pewnie leży na samym środku, tuląc do siebie carycę Katarzynę.

Zanim zasnęła, Lily pomyślała jeszcze, że nade wszystko pragnie spokoju. I bezpieczeństwa. O niczym innym nie potrafiła myśleć.

Knight dziwił się, że nie okazywali smutku. Powinna była mu powiedzieć: po prostu nie było dość czasu.

* * *

Następnego dnia Knight, głęboko zamyślony, wszedł do biblioteki po jakieś dokumenty, których zażyczył sobie Tilney Jones. Zdumiony, przystanął.

Na jego krześle klęczała Laura Beth.

Pracowicie pochylała się nad rozłożonym na jego biurku arkuszem papieru, przyciskając tak mocno jego pióro, że - był pewien - w końcu je złamie.

Wokół niej leżały porozkładane rozmaite, niezwykle ważne dokumenty; jak zauważył, mała przesunęła je w sąsiedztwo ręcznie wyrzeźbionego kałamarza z onyksu. Chrząknął i jak najłagodniej, by nie wystraszyć dziecka, powiedział: - Lauro Beth.

Mała drgnęła, spojrzała na niego swymi ciemnoniebieskimi, ogromnymi oczami, w których malowała się czujność. Znow uderzył go w niej brak jakiegokolwiek podobieństwa do Lily, zresztą do Trisa także.

- Och! - zawołało dziecko. - Dzień dobry.

- Mógłbym wiedzieć, co tu robisz? Laura Beth stanęła na krześle, oparła rączki na blacie biurka. - Rysuję. Chciałbyś popatrzeć?

- Za chwileczkę - odrzekł pospiesznie, nie spuszczając z oka przekłętego kałamarza. - Czemu rysujesz akurat tutaj? To mój pokój i moje biurko.

- Och! - znow powiedziała mała, ani trochę nieza-żenowana.

- Gdzie mama?

- Mamusia jest w łóżku, chora. Knight zrobił szybki krok do przodu. - Co jej jest?

Dlaczego nikt mnie nie powiadomił?

- Tak naprawdę nie jest chora, to tylko jej brzuszek.

- Brzuszek? Zjadła coś, co jej zaszkodziło? - Cu-thbert, pomyślał. Czyżby ten cholerny sługus, winiąc ją o zmarnowanie ciasta na chleb, czymś ją nakarmił? Nie, to absurd.

- Pójdę do niej.

- Powiedziała, że chce trochę pospać, a potem jej się poprawi.

- Och! - wyrwało się z kolei Knightowi. - Czy to mama kazała ci przyjść do mojego gabinetu?

Laura Beth spuściła oczka. - Nie - szepnęła ledwie słyszalnie. - Myśli, że jestem w jej pokoju. Ale nie chciałam rysować węglami, strasznie brudzą. - Nagle wyprostowała się na krześle, by pokazać mu smugi, jakie węgiel drzewny pozostawił na jej różowej, muślinowej sukience. Na jego

oczach odepchnęła się od biurka i krzesło odjechało do tyłu, obracając się na rolkach. Kałamarz podskoczył do góry, przewrócił się i atrament wylał się, nie szczędząc żadnego z rozłożonych na biurku, ważnych dokumentów.

Mała krzyknęła i Knight rzucił się do przodu, by ją złapać, zanim spadnie z wirującego krzesła. Poczul na policzku muśnięcie zasmarowanego atramentem pióra. Szczupłe ramionka Laury Beth mocno zacisnęły mu się na szyi. Krzesło uderzyło go w kolano i na moment stracił równowagę. Wylądował na krawędzi biurka i poczul, jak czarny atrament wsiąka w jego nieskazitelnie czyste spodnie z kozłej skóry.

Zamknął oczy. Laura Beth ścisnęła go z całych swych sił. Drzwi do gabinetu otwarły się i stanął w nich, jak wryty, Duckett.

- Milordzie!

Laura Beth jęknęła i przytuliła buzię do szyi Knighta.

- W porządku, Duckett. Mieliśmy maleńki wypadek. Polecilibym ci zabrać Laurę Beth do mamy, ale pani Winthrop nie czuje się dobrze... - urwał. Co począć z tym dzieckiem? Wybawił go Theo, który usłyszał zamieszanie.

- O Boże - westchnął, pojawiając się obok Ducketta. - Och, milordzie, co ona narobiła? - Theo nie musiał pytać, odpowiedź miał przed oczami. Wszędzie czarny atrament: na spodniach hrabiego, na jego nieskazitelnym krawacie, nawet na policzku.

Chłopiec zamknął oczy, jakby liczył, że ten horror zaraz zniknie.

Knight, gotów wyrzucić Laurę Beth przez okno z gabinetu dostrzegł, że Theo zbladł i kolor jego twarzy dorównuje bieli kołnierzyka. Ujrzał błysk strachu w oczach chłopca. Uśmiechnął się. - W porządku, Theo. Nic złego się nie stało. Mieliśmy z Laurą Beth maleńką przygodę. Czy przypadkiem twoja matka już wstała?

- Nie - udało się Theo wyjąkać. Z całych sił próbował się opanować, by nie zawyć na widok atramentowego szaleństwa. - Mama nie czuje się dobrze. Ja zajmę się Laurą Beth, proszę pana.

- Wielce to po męsku z twojej strony, Theo, ale niestety, oboje z Laurą Beth pobrudziliśmy się, jak by to powiedzieć, tym samym pędzlem. Zabiorę ją na górę, potrzebna nam kąpiel. - Ujrzał jak chłopiec rozpaczliwie przełyka ślinę i poczul tak mocny przyływ współczucia, że aż drgnął. - Wyświadcysz mi przysługę, Theo?

- O tak, co tylko pan sobie życzy.

- Idź do salonu i powiedz panu Jonesowi, że dziś po południu nie będę mógł mu towarzyszyć. Przekaż mu, że jestem zajęty przy małej małpce o bardzo mocnych ramionkach, a dokumenty, których potrzebuje, przygotuję mu na jutro.

Theo pospiesznie skinął głową i Knight zrozumiał, że chłopiec będzie skręcał się i zwijał, starając się - całkiem niepotrzebnie - przeprosić Tilneya.

- Theo - dodał pogodnie - po prostu przekaż mu tę wiadomość. Jesteś jednym z Winthropów i to twój dom. Jesteś tu u siebie. Nie zapominaj o tym, dobrze?

Theo przełknął ślinę. - Tak jest, sir.

- Dobry chłopak. A teraz, Duckett, zajmij się naprawianiem szkód.

- Oczywiście, milordzie. Czy mam także zabrać panienkę Laurę Beth?

- Nie, ona pójdzie ze mną. - Uśmiechnął się do kamerdynera. - Poza tym nie sądzę, by komuś udało się odczepić ją od mojej szyi.

Gdyby ktoś powiedział Knightowi, że będzie kąpał czteroletnią dziewczynkę w swej olbrzymiej

miedzianej wannie, w swej sypialni, rozebrany do spodni, wicehrabia nieźle by się uśmieł.

Tymczasem musiał stawić czoło Stromsoe'owi, który wyglądał, jakby cały jego świat właśnie rozpadł się na kawałki. I pewnie tak się stało, pomyślał Knight. - Potrzebuję wanny pełnej gorącej wody i mnóstwo ręczników, Stromsoe. Laura Beth i ja musimy porządnie się wyszorować.

- Milordzie.

- Dobry Boże, człowieku, wykonaj moje polecenie. Idź już.

Chwilowo oniemiały, Stromsoe wycofał się z pokoju hrabiego, a ten zwrócił się do swego jeźdźca: - Koniec jazdy, kochanie. Oboje wyglądamy jak skaranie boskie. - Udało mu się oderwać z szyi rączki dziecka, przy czym jego idealnie czysta koszula, na której nigdy nie zaznała miejsca nawet plamka brudu, pokryła się odciskami małych rączek, wyraźnie odwzorowanych w czarnym atramencie.

Rozebrał Laurę Beth i owinał ją ręcznikiem. - Siedź tu, na krześle, i nie ruszaj się - powiedział tonem wystarczająco surowym, by dziecko posłuchało. Przez chwilę zastanawiał się, czy dżentelmen może częściowo rozdziać się przy małej dziewczynce. Zapewne istniały zasady regulujące podobną sytuację, ale ich nie znał. W każdym razie nigdy nie przyszło mu do głowy zastanawiać się nad procedurą kąpania małych dziewczynek. Wzruszył ramionami i rozebrał się do spodni. Laura Beth zachichotała, gdy zabrał się za swoje wysokie buty.

- Uważasz, że to śmieszne, ty mała diablico?

- Pomogę ci - oświadczyła.

- O, nic z tego. Siedź spokojnie, dopóki nie dostaniemy gorącej wody. No siedź.

Posłuchała go. Mieli jeszcze kilka minut do pojawienia się służby z wodą. Knight wyprostował się i podrapał po piersi. - Jesteś ładny, mogę cię dotknąć? - zapytało dziecko.

Opuścił ramiona. - Już to zrobiłaś. Omal mnie nie udusiłaś.

- Masz wszędzie włoski.

- Cóż, żadnego dotykania, a włosów nie mam wcale wszędzie.

Laura Beth ucichła i Knight patrzył, jak próbuje rozwikłać własne, pokryte warstwą atramentu kędziorki. Powiedział zamyślony, bardziej do siebie niż swego małego gościa: - Chyba potrzebna nam bawialnia dla dzieci. No wiesz, takie miejsce, gdzie możesz niszczyć różne przedmioty i nie ma to znaczenia. Będę musiał o tym pomyśleć.

Stromsoe powrócił, komenderując dwoma służącymi, którzy wnieśli dwa wiadra gorącej wody. Knight wiedząc, że jego godność znalazła się pod znakiem zapytania, wolał nie mieć świadków i odesłał służbę. Odwinął Laurę Beth z ręcznika i wsadził do wody.

Piszcziała i pluskała się tak energicznie, że aż skrzywił się w obawie, by nie popękały mu bębenki, a on sam nie został dokładnie ochlapany. W końcu umył jej włosy i całą resztę. Właśnie by zmyć mydło, polewał jej głowę wodą nabraną w dłonie, gdy od drzwi dobiegło go przepełnione zdumieniem westchnienie. Uniósł głowę i ujrzał Lily.

- Witaj! - Wolną dłonią wykonał powitalny gest, drugą dokończył płucać głowę małej.

- Mama! - zawołała Laura Beth, nóżkami kopiąc wodę. - Kuzyn Knight mnie myje! Spójrz na moje włosy! Nie jest taki dobry jak ty, ale strasznie śmieszny!

- Obrażasz mnie, niewdzięczna więdźmo?

Posłała mu anielski uśmiech. Mała rączka przyłgnęła do włosów na jego piersi. Dwa paluszki zacisnęły się i pociągnęły.

Knight zawył, bardziej dla efektu niż z bólu. Laura Beth zanosła się śmiechem.

Lily nie wiedziała, co powiedzieć, nie mogła też oderwać wzroku od wicehrabiego. W podobnym de-zablu widziała dotąd tylko swego ojca, no i chłopców, ale nigdy mężczyzny w wieku Knighta i o podobnych walorach fizycznych. Laura miała rację, był urodziwy. Co więcej, wręcz piękny. Jak zaczarowana spoglądała na długą, gładką linię pleców, na wyraźne, twarde mięśnie ramion i rąk, na gęstwą ciemnych włosów na klatce piersiowej. Przełknęła ślinę, zdumiona swą reakcją. Wtedy odwrócił się i ich oczy się spotkały. Poczzerwieniała aż po brwi i szybko odwróciła wzrok. Och, Boże, stoi tu i gapi się na niego jak jakaś mała idiotka. Stromsoe zapukał do jej drzwi, obudził ją. Powiedział, że dziecko przebywa w sypialni milorda. Był śmiertelnie urażony i Li-ly, przerażona, co to dziecko może wyczyniać, pobięła korytarzem.

- Lauro Beth, nie ruszaj się. - Knight uniósł wierzące się ciało z wanny i otulił dużym ręcznikiem.

Następna zabawa: Laura Beth trzęsała się ze śmiechu, gdy odsuwał ręcznik z jej buzi.

- Moja kolej. Moja kolej.

- Twoja kolej na co? - zapytał, wycierając jej główkę.

- Teraz ja ciebie umyję.

- Ależ Lauro Beth! - Lily w końcu odzyskała mowę. - Knight, jakże mi przykro, ja nie chciałam, żeby ona... co ona nabroiła? O Boże, cały jesteś w czarnych plamach. Co to takiego?

- Atrament - powiedziała Laura Beth, zerkając zza ręcznika.

- Atrament - powtórzyła Lily.

- Z biurka kuzyna Knighta.

Lily oniemiała. Gdy wpadła do pokoju, Knight dostrzegł w jej oczach zaskoczenie i uświadomił sobie, że do tej pory nie widziała w nim mężczyzny. I że spodobało jej się to, co ujrziała. Zbyt dobrze znał kobiety, by natychmiast to do niego nie dotarło. I niezmiernie ucieszyło. Ale teraz zobaczył w jej wzroku lęk, taki sam jak w oczach Theo. Poczul się jak potwór. Powiedział szorstko: - Na Boga, Lily, przestań! Nie zamierzam wyrzucić was z mego domu, nigdy. Może byś spróbowała mi zaufać? Jak rozumiem, nie czujesz się najlepiej. Wracaj do łóżka. Wyglądasz okropnie.

Tak naprawdę, wyglądała cudownie.

- Zabiorę Laure Beth.

- Nie, jesteś chora. Zawołam panią Allgood, by ją ubrała.

- W istocie to nie jestem chora. Tylko... - słowa urwały się niczym kamyki spadające z urwiska.

- Boli cię brzuch, a przynajmniej tak mi przekazała Laura Beth.

Zażenowana, nie odezwała się.

- Mamusia powiedziała, że to tylko jej kobiecego brzuszka - konfidencjonalnie szepnęła Knightowi do ucha Laura Beth.

Lily zamknęła oczy. Nie posiadała się ze wstydu. Gdyby miała ręce na gardziółku małej, chyba by ją udusiła.

Knight odezwał się poważnym tonem: - Lily, wracaj do sypialni. No już, idź. Uciekła.

- A co do ciebie, ty niesamowite maleństwo, przekażę cię pani Allgood. O nie, nie będziesz mnie myła. Masz się dobrze zachowywać, rozumiano?

Laura Beth, z buzią niewinną jak u aniołka, skinęła głową, a Knight, który już wcześniej widział tę jej minę, aż jęknął.

Rozdział 6

Knights wyciągnął nogi w stronę ognia, dłońmi objął szklankę i odchylił się na oparcie swego nader wygodnego krzesła. Pozostał w tej pozycji prawie przez minutę. Jednak poprzedni nastrój się ulotnił. Od przybycia Lily i dzieci wszystko się zmieniło. Westchnął z nadzieją, że poczuła się lepiej, zresztą w istocie jej dolegliwość trudno by nazwać chorobą.

Przez ostatnie trzy dni widywał Lily tylko przelotnie. Najwyraźniej unikała go, i chyba nie mógł mieć jej tego za złe. W sypialni ujrzała go rozebranego do pasa, a po bezceremonialnej uwadze rzuconej przez małą Laurę Beth zmieszała się i zaczerwieniła po korzonki swych wspaniałych włosów.

By ją oszczędzić, od tamtej pory obiady jadał w klubie, a większość wieczorów spędzał poza domem. Nie złożył następnej wizyty Danielle, co, jak na niego, było dość niezwykłym zachowaniem, natomiast w salonie gier u White'a wygrał w wista pięćset funtów od Daveya Cochrane. No i zgodnie z oczekiwaniami, kilku przyjaciół zadrezczało go pytaniami na temat nowej rodziny. A on tylko uśmiechał się na wspomnienie wiercącego się ciała Laury Beth. Bawił się z tą małą diaboliczką, rozchlapując wodę!

Nawet teraz uśmiechał się na samo wspomnienie. A co do dokumentów na biurku, zasmarowanych atramentem, no cóż, biedny Trump nie był najszczęśliwszy, przepisując je, ale bez słowa natychmiast zabrał się do pracy. Papiery potrzebne Tilneyowi zostały prawnikowi dostarczone. Teraz to już tylko kwestia czasu i posmarowania kilku dłoni, by dzieci zostały prawnymi podopiecznymi Knightsa.

Podniósł się z krzesła. Było wczesne popołudnie i powinien już wyruszyć do Tattersall. Stary baron Setherly wyprzedawał swoje dobra, a między innymi był właścicielem czarnego konia berberyjskiego, którego Knight chciał obejrzeć. Drzwi do biblioteki otwarły się z cichym skrzypnięciem. Lily? Opadł z powrotem na krzesło. Podświadomie spał się cały, i nagle od czubków palców u stóp aż po koniuszki uszów ogarnęła go fala ciepłego i żenującego, a zarazem cudownego uczucia.

Nie odezwał się słowem. Nie poruszył się. Powoli oglądał się przez oparcie wyściełanego skórą krzesła. Theo siedł - nie, stał na palcach - po olbrzymim dywanie z Aubusson w stronę długiej ściany w całości pokrytej regałami pełnymi książek. Przyjrawszy się chłopcu, Knight zauważył, że Theo jest szczuplejszy niż powinien być dziewięcioletek, a także bardzo blady. Dostrzegł w nim coraz więcej cech Trisa - pochylenie głowy, delikatny orli nos, wysunięta broda, świadcząca o uporze. Dlaczego, u diabła, ten chłopak tak się skrada?

Theo był najwyraźniej przerażony. Nie wiedział, czy wicehrabia jest w domu. Najczęściej go nie było, ale w końcu ten dom należał do kuzyna Knightsa i mógł on znajdować się w jakimkolwiek pomieszczeniu. Lily surowo nakazała im nie wchodzić gospodarzowi w drogę i wiedział, że się

niepokoi, zwłaszcza po tym, jak Laura Beth rozlała atrament na biurko milorda, na ważne dokumenty i na niego samego. Chłopiec rozejrzał się lęklonie, po czym wszedł na drabinkę, by zdjąć z drugiej półki książkę, po którą przyszedł. Było to tomisko oprawione w czarną skórę, dzieło na temat niesamowitych właściwości starodawnych korzeni omaya, autorstwa anonimowego mnicha z północnych Włoch z szesnastego wieku.

Księga była stara i delikatna. Theo trzymał ją uważnie, jakby miał w ręce ulubioną broszkę Lily, ametyst w kształcie serca, która kiedyś należała do jej matki.

- Theo.

Cichy głos za plecami sprawił, że chłopiec stęknął ze strachu. Wypuścił z dłoni bezcenną, starą księgę i z przerażeniem patrzył, jak spada na ziemię. Wiekowe okładki rozpadły się i kilka części dzieła wypadło ze środka. Theo zamknął oczy, zakolysał się. Zaprzagnął umrzeć.

- Proszę pana - udało mu się w końcu wydukać. - O Boże, przepraszam. Och, nie! - Theo odwrócił się na drabince, zobaczył zniszczenia, zrozumiał, że będzie je miał przed oczami aż do śmierci i puścił szczebel.

Knight, choć całkowicie zaskoczony, nie stracił refleksu i zdołał złapać chłopca, zanim mały dotknął podłogi. Impet spadającego posłał ich obu na podłogę, ale Knight trzymał małego mocno, łagodząc jego upadek własnym ciałem.

Theo, łkając, próbował się uwolnić. Knight natychmiast podniósł się na kolana i pospiesznie sprawdził ręce i nogi chłopca. Nie odkrył żadnego złamania, co nie znaczyło, że Theo nie doznał jakichś wewnętrznych obrażeń. Chwycił go za ramiona i lekko nim potrząsnął, chcąc zmusić małego, by spojrzał mu w twarz. Wciągnął go sobie na kolana. - W porządku, nic ci się nie stało? Czy coś cię boli?

Zawstydzony własnym mazgajstwem chłopiec energicznym ruchem otarł łzy i potrząsnął głową, bojąc się otworzyć usta.

- Na pewno?

- Tak, proszę pana - powiedział Theo najśłabszym głosem, jaki Knight kiedykolwiek słyszał.

- To dobrze - wicehrabia odetchnął z ulgą, szaleńcze uderzenia serca spowolniały. Podniósł się, wyciągając dłoń do Theo.

Gdyby tak można bezszelestnie zapaść się pod ziemię i wylądować w piekle!

- No wstawaj, chłopcze.

Wicehrabia wziął Theo za rękę i łagodnie podniósł go na nogi. - Nie wyglądasz najgorzej jak na to, co ci się przydarzyło. Mnie też się udało. Przykro mi, że cię przestraszyłem.

Theo wbił w niego wzrok. Wicehrabia go przeprasza? Tego już za wiele. Z uporem potrząsnął głową: musi wyznać prawdę. - Proszę pana, zniszczyłem pańską książkę. - No, przyznał się wreszcie. Teraz czekał, aż wicehrabia obejrzy szkody i nieźle zmyje mu głowę, na co zresztą zasłużył.

Knight ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na pochyloną główkę. Jaką książkę? Spostrzegł stare tomisko na podłodze i zapytał: - Co to, u diabła? Nie przypominam sobie tej książki.

- Pierwsze wydanie.

- Tak? Pewnie straszne nudy, nawet tego nie czytałem.

- Och nie, proszę pana. Dzieło traktuje o tym dziwnym korzeniu, którym można wyleczyć rozmaite uciążliwe dolegliwości i...

Knight uśmiechnął się z zadowoleniem na widok ponownego ożywienia chłopca. - W takim razie zszyjemy ją na nowo. Znam introligatora na Court Street. Potrafi zreperować nawet starodawne

tomiska o cudotwórczych korzeniach. Masz ochotę mi towarzyszyć, Theo?

- O tak, proszę pana, ja... zapłacę za naprawę, sir.

- W porządku - rzucił Knight lekkim tonem. - I wiesz co, może byśmy pojechali tam konno?

W chłopcu zaszła wręcz niesamowita zmiana. W jednej chwili, na oczach zafascynowanego Knighta, mały wyprostował przygarbione dotąd ramionka, a jego oczy - zupełnie inne niż oczy Trisa - zabłyśły podekscytowaniem. I tak samo nagle światło zgasło i chłopiec znów sprawiał wrażenie, że zaraz się rozplacze.

- Co się stało? Nie umiesz jeździć konno?

- Zrobiłem coś bardzo złego. Nie może mnie pan nagradzać. Powinienem zostać ukarany.

Naprawdę zasługuję na karę, sir.

- Upuściłeś tę cholerną książkę, bo cię przestraszyłem. Nic się nie stało. Nawet mniej niż nic. No już, daj spokój z tymi wyrzutami sumienia, zanudzisz mnie na śmierć. Biegnij przebrać się w strój do konnej jazdy. W porządku?

Chłopiec rzucił mu spojrzenie pełne nadziei, jak dziecko niepewne, czy dobrze usłyszało.

- Zaczynasz mnie niecierpliwic, Theo. Masz piętnaście minut i ani chwili więcej. Zapytaj mamę o pozwolenie, dobrze?

- O tak, sir.

Knight z zamyśloną miną patrzył, jak chłopiec wybiega z biblioteki. Schylił się i pozbierał rozrzucone części książki. - Wygląda koszmarnie - mruknął pod nosem, wpychając poszczególne partie między rozdarte okładki. - Pierwsze wydanie, bo nikt nie chciał drugiego, może poza matką tego mnicha.

Czekając na chłopca, postanowił najpierw zabrać go do Tattersall; potem udadzą się do sklepu pana Milli-gana na Court. Ciekawe, czy chłopiec ma jakieś pieniądze na pokrycie kosztów oprawy książki. Wątpił w to. No i oto sam sobie stworzył problem. Mówiąc o dumie - wyobrażał sobie reakcję Theo na jego propozycję zapłacenia za naprawę. Co tu począć?

I nagle już wiedział. Z uśmiechem pospiesznie wyszedł z biblioteki, pogwizdując, całkowicie z siebie zadowolony. I wpadł prosto na Lily.

- Mój Boże, nic ci się nie stało? - Złapał ją za ramiona, upuszczając przy tym książkę, która rozpadła się jeszcze bardziej.

- Nie, wszystko w porządku. Puścił ją, z rozbawieniem potrząsając głową. -

Najwyraźniej dzisiaj wszystkich sprowadzam na ziemię.

Tylko się uśmiechnęła, a to wystarczyło, by zapragnął natychmiast rzucić ją na podłogę holu, to znaczy położyć delikatnie i wziąć ją, tu i teraz.

- Gdzie Theo? - zapytał, niezdolny oderwać od niej wzroku. Wciąż się uśmiechała, choć nieco niepewnie na widok dziwnego wyrazu jego twarzy.

- On... przebiera się. Chciałam ci podziękować, Knight. Nie widziałam go tak niczym podekscytowanego od czasu... zanim umarł jego ojciec. Jesteś bardzo dobry.

Teraz on patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Błada jak Theo. Czyżby nie wychodzili z domu od tamtego wydarzenia przy Pantheon Bazaar? Rzucił szorstko: - Idź na górę i przebierz się. Jeździsz konno, prawda? Z pewnością. Pojedziesz ze mną i z Theo.

Ujrzał błysk radości w jej oczach na myśl o czekającej ją rozrywce, ale zaraz światełko zgasło. - To cudowna propozycja, jednak powinnam zostać z dziećmi. Znasz Sarna. Jeżeli się go nie przypilnuje, stać go na wszystko. Aha, zapomniałam ci powiedzieć: przeprosił Betty za

wysmarowanie poręczy ciastem. Nazwała go „okropną małą kijanką”, ale w końcu mu wybaczyła.

- Wyśmienicie - pochwalił Knight, ale w istocie, pogrążony w myślach, nie słuchał, co mówiła. Rozumiał, że nie powinien psuć wypadu z Theo towarzystwem innych dzieci. Z niechęcią zmusił się do przyznania jej racji. - To prawda. Powinnaś zostać z dziećmi... by chronić mój dom i jego mieszkańców. A co do Theo, nie martw się. Nie będzie nas kilka godzin. Czy on dobrze jeździ konno?

- O tak, jego ojciec nauczył go już dawno. Umie się z koniem obchodzić. Oczywiście ostatnio nie jeździł już kilka miesięcy...

- To żaden problem. Mam w stajni szkapę jak najbardziej dla niego odpowiednią. Aha, Lily?

- Tak?

- Zjesz ze mną dziś kolację?

Czułość w jego tonie sprawiła, że na całym jej ciele, na częściach odsłoniętych i tych zakrytych suknią pojawiła się gęsia skórka. - Jeżeli sobie tego życzysz... - wyjąkała i przez chwilę znów widziała go nagiego do pasa, starającego się opanować Laurę Beth, rozbawioną w wannie. Znow słyszała jego śmiech, patrzyła, jak unosi dziecko wysoko i zawija ręcznikiem.

- Owszem, życzę sobie. A o Theo się nie martw, zaopiekuję się nim jak należy.

- Wiem o tym.

- Czy powiedział ci coś, no o tym, co się wydarzyło? - starał się zachować obojętny ton.

- O tak. Theo jest uczciwy do szpiku kości. Nie był pewien, czy powinna go spotykać podobna przyjemność, jeżeli tak źle się zachował.

- Źle się zachował? Na Boga, upuścił tylko głupią książkę. - Knight wskazał na rozsypujący się egzemplarz u jego stóp. - To ta właśnie, o którą tak się martwi. Wątpię czy jest warta papieru, na którym ją spisano.

- Theo traktuje sprawy poważnie, łącznie z wszelkimi własnymi brakami. Zniszczył rzecz należąca do ciebie. Ale powiedziałam mu, że dotrzymanie ci towarzystwa będzie dobrym uczynkiem dnia.

- Co takiego?! - wybuchnął śmiechem. - Mistrzowskie pociągnięcie, Lily. Dobra robota. Aha, nie przypuszczam, by chłopiec dysponował jakąś gotówką...

- Dałam mu pięć szylingów. Knight zaklął, spojrzała na niego zdumiona.

- Wybacz, ale wolałbym, byś tego nie robiła. Chciałem pożyczyć mu pieniądze i pozwolić mu je odpracować. Powinien dostawać kieszonkowe, choćby pięć szylingów tygodniowo.

Nie wierzyła własnym uszom. Nie zamierzał skarcić Sama za tę psotę z ciastem chlebowym, śmiał się ze zniszczeń, jakie atramentem poczyniła Laura Beth i nawet własnoręcznie wykapał dziecko, a teraz zastanawia się, co uczynić dla drogiego Theo.

Ku swemu przerażeniu po raz pierwszy od śmierci Trisa rozpląkała się.

Knight przejął się do głębi. Łzy z powodu uwagi, że Theo należy się przynajmniej pięć szylingów tygodniowo? Najbardziej naturalną reakcją z jego strony byłoby pochwycenie jej w objęcia, przytulenie do swego ramienia. A jeszcze lepiej, gdyby szepnął jej do uszka jakieś głupiotkie słowa pociechy i lekko pogłaskał po plecach.

- Ty... sprawiasz, że niewieścia słabość bierze nade mną górę - szepnęła mu w ramię, z palcami wczepionymi w poły jego zakietu.

- Niewieścia słabość? To dla mnie całkiem nowe pojęcie. Chyba podoba mi się jego brzmienie. - Cieszyło go, że może mówić tak spokojnie, jakby żartował.

Roześmiała się słabo.

- Co pan robi, sir?

- O Boże - westchnął i delikatnie odsunął ją od siebie. - Twój obrońca, z pięściami już gotowymi do ataku. - Posłał żartobliwy uśmiech Samowi, który stał na samym dole schodów, z groźną miną, na szeroko rozstawionych nóżkach, z piąstkami wspartymi na biodrach.

- A więc, sir?

- A więc, nic, Samie. Schowaj pięści z powrotem do kieszeni i przestań mówić do mnie sir. Twoja mama płakała, bo nie dostała chleba na śniadanie.

- Przecież ja dostałem, kuzynie Knight.

- Tobie podano czerstwy. Mój kucharz, Cuthbert, no wiesz, nie pali się do pieczenia świeżego, gdyż mieszkający w tym domu mały chłopczyk nie wie, że ciasto jest przeznaczone do wypieku chleba, a nie do oblepiania poręczy schodów.

Sam oparł się o balustradę i radośnie chichotał, aż Lily zawtórowała mu śmiechem tak słodkim, że Knight ledwo się opanował, by nie krzyknąć z podniecenia.

- Wygrał pan, sir - wyjąkał chłopczyk, krztusząc się ze śmiechu.

- Nie zapominaj o tym, malcze. O, jest Theo. Wyglądasz sztywno, młodzieńcze. A Laura Beth nie pozostaje daleko w tyle. Jak się masz, maleńka?

- Chcę jeszcze raz się kąpać - oznajmiła, nie wyjmując kciuka z buzi. - I znów będziemy się bawić ręcznikiem.

- Lauro Beth! - Theo nie krył oburzenia.

- Co za dziecinada! - rzucił Sam pogardliwie.

- Może za kilka dni - swobodnie odrzekł Knight. - Wpierw muszę dojść do siebie po naszych pierwszych zapasach. Omal mnie nie utopiłaś.

Laura Beth zachichotała, a Knight poczuł przemożną chęć pochwycenia małej w ramiona i wycalowania jej różanych policzków. Ale tylko uśmiechnął się do spoglądającego z nadzieją Sama i powiedział łagodnie: - Nie, Samie, dzisiaj nie możesz nam towarzyszyć. Głowa do góry i nie rób takiej smutnej miny. Chłopcy nie marudzą. W przyszłym tygodniu wybierzemy się na piknik do Richmond, dobrze?

- A co to Richmond? - zaciekawiła się Laura Beth.

- To takie ładne miejsce, gdzie można piknikować, głuptasku.

- Świetny opis, Theo - pochwaliła Lily.

- Na nas już czas, Theo. Jak słyszałem, mama kazała ci dotrzymać mi towarzystwa przez całe popołudnie. Samie, Lauro Beth, słuchajcie mamy i nie zdemolujcie domu...

- Ani jego mieszańców - dodała dziewczynka.

- Mieszkańców - poprawił ją Theo.

- No właśnie - dorzucił Knight. - Lily, zobaczmy się przy kolacji.

- Jeżeli sobie życzysz...

- Bez wątpienia życzę sobie.

* * *

Lily skinęła na Charliego, głównego lokaja; natychmiast ponownie napełnił jej kieliszek słodkim bordeaux.

- To najlepsze wino, jakie do tej pory piłam - oznajmiła, uśmiechając się do gospodarza. Jakże przystojny był w czarnym, wieczorowym stroju. Odkąd zobaczyła go w sypialni tylko w spodniach,

nie umiała już patrzeć na niego inaczej niż jak na mężczyznę, i do tego bardzo przystojnego.

- Mój ojciec był niezłym znawcą trunków - wyjaśnił Knight. - Trochę z tej wiedzy przekazał i mnie. Bardzo się cieszę, że odpowiada ci mój wybór na dzisiejszy wieczór. A tak przy okazji, ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję.

Powiedziała to jakby z niedowierzaniem. I przecież nie udawała. Znow uderzyło go, że nie zdawała sobie sprawy, jakich cudownych rozkoszy dostarcza męskim oczom. Jego słowa przyjęła jako zwykły, zdawkowy komplement. Zaskoczyła go. Na jej wejście do salonu zareagował jak zazwyczaj. Miała na sobie skromną, według londyńskich norm, suknię, ale jasnobrzoski-niowy kolor nadawał jej skórze połysk, włosy lśniły jeszcze bardziej niż zwykle; krótko mówiąc, jej widok raz jeszcze przyprawił go o dreszcz rozkoszy.

- Nie nosisz żałoby po Trisie - zauważył szorstkim tonem.

Pobladła, ale odpowiedziała spokojnie: - To prawda, nie noszę. Wszystko potoczyło się tak szybko, do tego nie chciałam wydawać naszych zasobów pieniężnych na zbędne rzeczy. - Uniosła brodę, co odczytał jako niewielką demonstrację buntu.

- Przepraszam - powiedział pospiesznie. - To nie moja sprawa. A teraz, wracając do Theo: jest brawurowym jeźdźcem i potrzeba mu bardziej żwawego wierzchowca niż biedny stary Bruno. Chyba Wicket nada się w sam raz.

- Knight, proszę, nie pozwalaj mu na jazdę na jednym z twoich najlepszych koni. Naprawdę...

- Uspokój się, Lily, i spróbuj odrobinę faszzerowanego dorsza z sosem ostrygowym. Będę postępował dokładnie tak, jak uznam za słuszne, zapamiętaj to sobie. A więc, gdy wyjechaliśmy z Tattersall, udaliśmy się do introligatora. Ja bym najchętniej wrzucił to stare tomisko do Tamizy, ale Theo, cóż, wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Wystarczyło mu pieniędzy?

Przez krótką chwilę Knight rozważał posłużenie się kłamstwem. Ale nie mógł. Theo nie kłamie, więc dowiedziałyby się prawdy. - Nie - rzucił gładko. - Przez chwilę mieliśmy całkiem interesującą sytuację. - Zamilkł, przypomniawszy sobie wyraz na twarzy chłopca. Żal, a przede wszystkim lęk i to przejęło Knighta jak nic dotąd w ciągu tych jego wszystkich beztrudnych lat.

Chłopiec głęboko wciągnął powietrze i zwrócił się do dobrodusznego pana Mulligana: - Mam tylko pięć szylingów, sir. Czy mógłbym dopłacić resztę w przyszłym tygodniu?

Jeżeli nawet pana Mulligana zastanowił brak funduszy u chłopca przebywającego w towarzystwie bardzo mającego arystokraty, niczego nie dał po sobie poznać.

- Moja mama nie posiada wiele, widzi pan, i...

- Theo. - Niski, władczy głos Knighta sprawił, że chłopiec natychmiast zamilkł. - Mam propozycję. Zostawimy książkę u pana Mulligana, a potem pojedziemy do Hyde Parku omówić tę sprawę. Moja oferta nie wzbogaci cię, ale da ci pewną swobodę.

- Tak, sir, co tylko pan sobie życzy.

Knight nabrał na widelec duży kawałek pieczonej kuropatwy z sosem chlebowym, jedno z jego ulubionych dań. Ponad talerzem posłał Lily uśmiech. - Theo zwróci mi te brakujące trzy szylingi w przyszłym tygodniu, to pewne. On jest teraz, kochana Li-ly, moim bibliotekarzem i sporządza katalog. Biblioteka znajduje się w wyjątkowo opłakanym stanie, a dzieciak aż się pali, by się z nią uporać. W razie potrzeby pomoże mu Trump. Theo będzie pracował tylko dwie godziny dziennie, pięć dni w tygodniu.

- Ale...

Knighr władczo uniósł dłoń. - To sprawa między Theo a mną, Lily. Nie jestem właścicielem manufaktury i nie popieram niewolniczej pracy dziewięciolat-ków. Ty natomiast, choć jego matka, w tym wypadku nie masz nic do gadania. A teraz spróbuj choć kęs faszerowanego dorsza. To jedno z najlepszych dań Cu-thberta.

Lily zajęła się jedzeniem.

Przyglądał się jej. Śledził wzrokiem poruszające się mięśnie jej szyi, gdy połykała kolejne kęsy; krople wina na jej wargach, gdy piła z eleganckiego kryształowego kieliszka.

- Dlaczego płakałaś? - zapytał po chwili. Spojrzała mu prosto w twarz.

- Dlaczego?

Próbowała zrobić smutną minę, ale niezbyt jej to wychodziło. Prawdopodobnie wyszłam na żalną idiotkę, pomyślała. - Bo byłeś taki cudowny. Wręcz nie mogłam tego znieść.

- A to interesujące. Więc powinienem traktować ciebie i dzieci okrutnie? Grozić Samowi chłostą? Obciąć włosy Laurze Beth? Czy wtedy, zamiast płakać, śmiałaś się?

Zmusiła się do uśmiechu. - Nie żartuj, nie to miałam na myśli. Po prostu tak bardzo mnie zaskoczyłeś. Okazujesz nam więcej dobroci, niż na to zasługujemy.

- I tak nagle cię to dopadło?

- No właśnie. I przepraszam, że zmoczyłam ci krawat.

- Wybaczam. Ale jest coś jeszcze. Chłopcom potrzeba nauczyciela. Do Eton pojedą nie wcześniej niż na następny trymestr. Nauczyciel, o którym myślę, to trzeci syn pastora w moich posiadłościach. W istocie to młodszy brat Tilneya Jonesa, mojego prawnika. Właśnie ukończył Oksford i będzie wolny przez następne kilka miesięcy. Zapewni chłopcom właściwe zajęcia. Theo, jak dzisiaj zauważyłem, jest o wiele za blady, a więc, gdy nie będzie mi towarzyszył, może...

- Już podjąłeś decyzję?

Knighr w jednej chwili przerwał swój kwiecisty monolog i wbił wzrok w piękną Lily. Także była blada, i to nie z braku ćwiczeń fizycznych, ale z gniewu na jego apodyktyczność. Kontynuował już łagodniej, ze swobodą osoby uprzywilejowanej od urodzenia, bez trudu potrafiącej od czasu do czasu uciec się do dyplomatycznych manewrów. - No więc, jeżeli ci się spodoba, może zacząć przychodzić od następnego poniedziałku. Natomiast jeśli go nie zaakceptujesz, zapomnimy o sprawie. Trzeba będzie także przebudować pierwsze piętro, aby dzieci miały własną bawialnię. Tylko nie użyj tej nazwy w obecności chłopców. Ale oni muszą mieć własne pokoje, własną przestrzeń. Spotkamy się, ty i ja, z architektem i...

- Dlaczego robisz to wszystko? Nic nie pojmuję.

Dostrzegł jej zmieszanie i zrozumiał. A tak naprawdę sam jeszcze bardziej niż ona był zaskoczony swym zachowaniem. Powiedział bardzo spokojnie: - Ja nie jestem Paskudnym Arnoldem, Lily. Nie zamierzam uwieść cię na schodach. Ani zdobyć twoich łask w łóżku poprzez miłe traktowanie dzieci Trisa.

- Ale dlaczego?

- Wiesz co? Szczerze mówiąc, sam nie mam bladego pojęcia. Masz ochotę na deser? Może trochę śliwkowego puddingu?

Lily wolno potrząsnęła głową.

- No to przejdziemy do salonu? Chciałbym, byś coś dla mnie zagrała. Grasz na pianinie, prawda?

- Wyszłam z wprawy.

- Nie wyobrażam sobie, byś fałszowała do tego stopnia, abym powiedział: dość.

- Jest pan optymistą, sir.

- A co do architekta, może przyjść już jutro, jeżeli ci to odpowiada.

Lily pochyliła się do przodu, a jej prawa dłoń, spoczywająca obok talerza, zacisnęła się w pięść.

- Nie chcę, byś z naszego powodu zmieniał tryb życia, a przynajmniej jeszcze bardziej niż do tej pory. Nie masz obowiązku zmuszać się do burzenia ścian i wznoszenia nowych. Staram się pilnować dzieci, by zbytnio nie psociły i nie wchodziły ci w drogę. Nie chcę, byś czuł się zobowiązany...

- Jak wiele jest spraw, których chciałabyś mi oszczędzić, Lily. Muszę ci jednak powiedzieć, że kiedyś na drugim piętrze tego domu istniała dziecięca bawialnia. Teraz wchodzi w skład pomieszczeń dla służby. A więc pozostaje nam pierwsze piętro i kilka nieużywanych sypialni.

Poradzimy sobie. Jestem pewien, że mój dom zyska na wartości, jeżeli w przyszłości któryś z moich niewydarzonych spadkobierców zechce go sprzedać. A tak przy okazji, wcale nie czuję się w obowiązku robienia czegokolwiek. Po prostu postępuję tak, jak mam ochotę. No co, już skończyłaś?

Lily spojrzała na niego. - Raczej zrezygnuję z pud-dingu ze śliwkami, sir.

- Knight, dobrze? A teraz chciałbym usłyszeć, jak ślicznie dajesz sobie radę z Beethovenem.

Lily wprawdzie wyszła z wprawy, ale grała wystarczająco dobrze, by Knight mógł się w pełni zrelaksować. Siedział naprzeciw pianina i obserwował jej twarz. Żałował, że nie jest wstrętą wiedźmą, że nie ma temperamentu handlarki ryb. Że dzieci nie są paskudnymi smarkaczami.

Jeszcze daleko mu do czterdziestki, całe trzynaście lat. A oto pojawiła się Lily. Zmarszczył brwi. Była żoną Trisa i dopiero od miesiąca jest wdową. Nosi w sercu żalobę po zmarłym mężu. Jak on, na Boga, może oddawać się podobnym rozmyśleniom?

Wstał bez słowa, gdy przebrzmiały ostatnie takty. - Wychodzę, Lily. Dziękuję ci. Zobaczymy się jutro.

Zanim wstała, już odszedł.

Zmarszczyła czoło. Czy powiedziała coś niewłaściwego? Czy aż tak bardzo nieudolnie grała? Wyszła z salonu i wróciła na górę. Wybiła dopiero dziewiąta. Miała czas pobawić się z Theo i Samem. Laura Beth już od dawna spała, zapewne jak zwykle na środku łóżka.

* * *

Dwa dni później Knight Winthrop, ósmy wicehrabia Castlerosse, został prawnym opiekunem trójki dzieci swego kuzyna.

Rozdział 7

Boy nigdy dotąd nie był w Londynie. Natychmiast poczuł się tu jak w domu. W końcu wszyscy wokół mówili po angielsku. Co za radość po Francji Brukseli. Ach, te żabojady i ich wymyślne, cudzoziemskie gadanie!

Monk, rdzenny londyńczyk, oprowadził kamrata po swych ulubionych miejscach nad brzegiem Tamizy i razem rozkoszowali się zapachami nędznych zaułków, a duszne opary obskurnych tawern były dla nich istną ambrozją.

- Mamy czas, Boy - rzucił Monk, splukując gardło potężnym łykiem ciepłego piwa. - Jak nic, rychło znajdziemy cholernego jaśnie wielmożnego lorda a u niego ślicznotkę Trisa, zobaczysz, bez nijakieg trudu. Zrobimy sobie krótkie conge, jak gadają cholerne Francuziaki. O, tak, proszę pana, pokażę ci całe moje miasto.

- Fajnie - ucieszył się Boy, próbując naśladować Monka i omal się nie zadławił. - Kocham Londyn - Dawno tu nie byłem. - Monk mrugnął sprośnie do niechlujnej barmanki. - O tak, długo.

- Klawe miasto, Londyn.

- A jakże. A kiedyś, mniej więcej około osiemset drugiego, chyba jeszcze fajniej się tu żyło. Byłem małym smarkiem, gdy cholerny konstabl złapał mnie z łapą w kieszeni jakiegoś kupca. No i uciekłem, bez dwóch zdań. Tata już wykitował i byłem całkiem sam. Trafiłem na ciebie w osiemset czwartym, w Liverpoolu, pamiętasz? A potem czmychnęliśmy do Francji z fiun-ciakami, któreśmy zwinęli lady Jakiejś tam w Dover.

Nastąpiły inne wspomnienia, którym towarzyszyły kolejne kufle i wkrótce Monk i Boy chrapali pogrążeni w pijackim śnie, nieświadomi otoczenia.

Boy chciał obejrzeć wszystko, zwłaszcza Tower, a Monk, pewien otwierających się przed nimi perspektyw, łaskawie zabrał przyjaciela do tego rozkosznego zakątka, w którym lady Jane Gray straciła swą śliczną główkę. Natomiast pieczołowicie unikali Bow Street.

Julien St. Clair, par March, usiadł obok Knighta w czytelni u White'a. Zagadnął przyjaciela prosto z mostu: - Aż huczy od plotek, Knight. Może dlatego, że tak bardzo byliśmy zajęci strojeniem sobie z siebie żartów, że nie pomyśleliśmy o głupcach, którzy mogli nas podsłuchać. Kilku szczęśliwców widziało was nawet wszystkich razem w Pantheon Bazaar.

Knight powoli odłożył Gazette i z powagą spojrzął na przyjaciela. - Rozumiem, mów dalej, Julien.

- Strasznie mi przykro ci powtarzać, ale fama głosi, że Lily to oczywiście twoja kochanka, a mała Laura Beth jest z pewnością twoim dzieckiem. Pechowo się złożyło, że włosy ma niemal tak ciemne jak twoje.

- Nie zwróciłem na to uwagi, ale pewnie masz rację. - Na twarzy Knighta ukazało się rozbawienie. - Ale oczy ma niemal granatowe, inne niż ja.

- Plotki zdaje się nie przypisują ci ojcostwa wszystkich dzieci. W końcu starszy chłopiec ma dziewięć lat, czyż nie? Musiałbyś spłodzić go już jako siedemnastoletni młodzian.

A Lily miałyby wtedy dziesięć lat, pomyślał Knight. Ale nie wypowiedział tej uwagi na głos. Nie chciał, by Julien dowiedział się, że kuzyn Tris ożenił się z piętnastolatką i natychmiast uczynił ją ciężarną. Próbował słuchać słów przyjaciela. Owszem, już wcześniej coś do niego dochodziło, chłodne spojrzenia, jakimi obrzucali go dalsi znajomi, ale ignorował to wszystko. Co za absurd! Nikt nie uczynił niczego złego, i nie zamierzał zawracać sobie głowy podobnymi głupstwami. Jeżeli jednak Julien przejął się na tyle, by specjalnie go odszukać i powtórzyć mu plotki, sprawa nie przedstawiała się najlepiej. Raczej bardzo źle. Wnet cała ta sytuacja stanie się nie do zniesienia. Cicho zaklął.

- Nie dziwię ci się - Julien rozumiał reakcję przyjaciela. - Staralem się przedstawić prawdę o twojej sytuacji jak najszerszemu gronu, ale znasz plotkę. - Wzruszył ramionami. - Nabiera rozpędu niczym koło spuszczone z wzgórza. Do tego fatalnie się składa, że aktualnie nie mamy bardziej ekscytującego skandalu, a więc twoja historia musi wystarczyć, dopóki coś nowego się nie wydarzy. - Uśmiechnął się szeroko. - Nigdy nie widziałem mojej żony równie rozwścieczonej. Bałem się, że na wieczorze muzycznym u lady Gregorson zaczniesz wręcz wrzeszczeć, posługując się wyrażeniami całkiem nieprzystającymi damie. A tak przy okazji, koncert był okropny, masz szczęście, że nie przyszedłeś. Wyjący sopran z Mediolanu.

- Chyba po prostu wyślę Lily i dzieci do Castle Rosse. Zostałem ich prawnym opiekunem, więc Paskudny Arnold musi zapomnieć o swych nikczemnych planach wobec niej.

- Widziałem informację w Gazette. Tylko dołała oliwy do plotek, jak zapewne możesz sobie wyobrazić. - Julien, który był świadkiem zakusów Paskudnego Arnolda przy Pantheon Bazaar, zapytał z lekko zmarszczonym czołem: - Mam nadzieję, że ten jegomość umie czytać?

- Musisz wiedzieć, Julien, że nasz kochany Arnold to autentyczny szlachcic. Co gorsza, ożeniony z moją kuzynką. No cóż, dziękuję, że mi powiedziałaś, ale...

- Oczywiście - przerwał Julien spokojnie - sam już wiedziałeś, że ludzie gadają.

- Tak, ale jest gorzej, niż się spodziewałem. Nie zabrałem Lily na żaden bal czy koncert tylko dlatego, że nosi żałobę po mężu, no i nie lubi zostawiać dzieci samych. - Knight uśmiechnął się. - Boi się, że Sam mógłby zapchać wszystkie kominy i zmusić nas, żebyśmy krztusząc się wypadli na dwór w nocnych koszulach.

- Przecież ty w czymś takim nie sypiasz.

- A więc sprawa mogłaby się okazać żenująca, nie sądzisz?

- Lily jest piękną kobietą. Gdyby była nieładna, plotki prawdopodobnie nie skoncentrowałyby się na tej akurat dziedzinie.

- Wiem. - Knight na chwilę zamilkł, uniósł dłonie i rytmicznie bębnił opuszkami palców. - I to jest najdziwniejsze. Ona nie zdaje sobie sprawy z własnej urody. Niezwykle niepokojące dla mężczyzny, który spędził tak wiele lat na towarzyskiej scenie Londynu. Chyba poddano mnie wszelkim sztuczkom i machinacjom, jakie wylęgły się w pomysłowych główkach mamusi, szukających odpowiedniego zięcia. Sam znajdowałeś się w tym położeniu, zanim poznałeś Kate.

- Oczywiście, ale nie do tego stopnia. Naprawdę musisz odsyłać ich do Castle Rosse?

- A co innego, u diabła, mi pozostało? Julien skupił się na swym pożółkłym paznokciu. - Mógłbyś poślubić Lily.

A to dopiero! Kompletnie zaskoczony Knight utkwiał wzrok w przyjacielu, zupełnie jakby sądził,

że March utracił zdolność myślenia, wraz ze słuchem i elokwencją. - Nie dobiłem jeszcze czterdziestki - powiedział wolno. - Mam dwadzieścia siedem lat. Zostało mi trzynaście lat wolności, zanim... popełnię tę... rzecz.

- To się nazywa małżeństwo - zauważył od niechcienia Julien. - Tylko sugestia, stary. Nie musisz przemawiać tak powoli i dobitnie, jakbyś się zwracał do osoby upośledzonej umysłowo.

- Zatrudniłem nauczyciela dla chłopców. - Knight ponownie urwał, ale zaraz dodał, jakby chciał coś wyjaśnić: - John Jones, tak się nazywa, przyjdzie w poniedziałek i Lily zdecyduje o jego przyjęciu.

- I to on by ich odwiózł do Castle Rosse?

- Tak sądzę.

Ale Julien dobrze wiedział, że ów jeszcze nawet niezatrudniony nauczyciel nigdy nie przejmie opieki nad Lily ani dziećmi, jeżeli Knight będzie miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, a to było nieuniknione. Jakaż by to była nieoczekiwana i zabawna sytuacja, gdyby nie plotkujące języki! Po poznaniu Lily Julien nie wierzył, by Knightowi udało się umknąć cało. Za każdym razem, gdy w domu wspominał o tej sprawie, jego żona Kate zawsze w końcu wybuchała śmiechem i krztusząc się, powtarzała: - Biedny Knight. Napiszę o nim sztukę. Zadufany w sobie mężczyzna, zarzekający się na wszystkie świętości i powtarzający do znudzenia, choć dowcipnie i z werwą, że mądry człowiek nie żeni się przed czterdziestką, a i potem jedynie po to, by spłodzić potomka. O nie, nic podobnie nierozsądnego nie może spotkać Knighta Winthrop! A oto ma zaledwie dwadzieścia siedem lat i już jest przybranym ojcem trójki maluchów. Cudowne! Właściwy koniec dla mężczyzny, który za bardzo się zarzeka, taki będzie tytuł mojej sztuki.

- Ten twój nowy nauczyciel, Knight, prawdopodobnie kompletnie straci dla niej głowę.

Wicehrabia zrobił wielce ponurą minę. W końcu z westchnieniem przyznał przyjacielowi rację: - Tak, wiem. Nawet gdyby był na wpół ślepym idiotą, a nie jest. - Znów westchnął. - Słyszałeś kiedyś o nauczy-cielu-kobiecie?

Julien wybuchnął śmiechem. - Wtedy to ty byłbyś ugotowany. Natychmiast zakochałaby się w tobie.

- Och, idź do diabła! - Julien podniósł się, bynajmniej nie urażony, ale Knight go powstrzymał. - Dzięki, że mi powiedziałaś. Coś wykombinuję. Muszę chronić Lily i dzieci.

Julien tylko spojrzał na niego spod oka.

* * *

I dziwne, ale to właśnie piknik w Richmond nazajutrz, w sobotni poranek, wzmocnił postanowienie Knighta wysłania Lily i dzieci do Castle Rosse. Im szybciej, tym lepiej. Dla wszystkich.

Jak na koniec października dzień był niezwykle ciepły, słońce świeciło jasno, tylko lekki wietrzyk burzył włosy. Dzieci okazywały niezwykle ożywienie. Po dogłębnym rozważeniu sprawy Knight pozwolił wszystkim dosiąść koni. Lily nalegała, by wieźć przed sobą Laurę Beth wraz z jej nieodłączną lalką. Lokaj Charlie i Lucy, pomocnica Cuthberta, mieli podążać za nimi z prowiantem.

Dla Sama Knight wynajął kucyka, dla Lily nabył pełną wigoru gniadą klacz. Nie przyznał się, że ją kupił specjalnie dla niej, zaledwie wzruszył ramionami, gdy w sobotę rano ujrzała zwierzę w stajni. Jeżeli pomyśli, że koń został wynajęty tak jak kucyk dla Sama, to nie jego sprawa.

- Och, jaka cudowna. Nazywa się Violet? Piękna jesteś, moja panno, czyż nie? O nie, nie mam marchewki, zaraz się o nią postaram. - Odwróciła się do Knighta, niemal tańcząc z radości. - Skąd w

twojej stajni znalazła się taka piękność, milordzie?

A więc nie pomyślała, że klacz została wynajęta. Nic nie powiedział. Nie był tak głupi, by się zdradzić. Spojrzał na nią, nieświadom swej gniewnej miny. Jej kostium jeździecki miał już pewnie kilka lat, ale był doskonale skrojony, z dobrej jakości materiału. Kobaltowy błękit świetnie uwydatniał pełne piersi i szczupłą talię; całość sprawiała raczej surowe wrażenie, poza zgrabnym kapelusikiem jeździeckim, który filuternie przycupnął na czubku głowy, ozdobiony strusim piórem, ocieniającym policzek. Przez ramię przerzuconą miała piękną, obszytą gronostajem pelerynę, którą już raz na niej widział.

Sam pochwalił kucyka, choć gdy zobaczył wierzchowca przeznaczonego dla Theo, miał ochotę zaprotestować, że już nie jest małym chłopcem. Laura Beth, z kciukiem cały czas w buzi, tylko uśmiechała się do wszystkich. Gdy wreszcie nadszedł czas wsiadać na konie, uniosła ramionka w stronę Knighta.

Spojrzał na nią, skonsternowany.

- Chcę jechać z tobą - powiedziała dziewczynka chwytającym za serce, niewinnym głosem, wykluczając wszelkie protesty.

Lily zaśmiała się nieco niepewnie. Nie patrzyła na Knighta. - Ty, maleńka, jedziesz ze mną. Lękasz się, bym cię nie upuściła, Laura Beth?

- Nie, mamusi, ale Knight jest moim specjalnym kuzynem.

- Jestem twoim jedynym kuzynem.

Ten fakt ani trochę nie niepokoił Laury Beth, ani nie zakłócał jej toku rozumowania. Zadowolona, ssła paluszek.

Lily stłumiła śmiech. - Tak czy owak, nie powinnaś dręczyć kuzyna Knighta, kochanie. Bardzo uprzejme to z jego strony, że zabiera nas na piknik. Nie chcemy, by myślał, że go wykorzystujemy. Pojedziesz ze mną. No chodź.

Knight usłyszał własny głos: - Nie przeszkadza mi nic a nic. Podaj mi ją, Lily.

Spojrzała na niego zdumiona. On także zdawał się zaskoczony własną propozycją. Przez chwilę milczała, czekając, czy się nie wycofa. Ale nie zrobił tego.

- Jesteś pewien, milordzie?

- Mam na imię Knight, Lily, i owszem, podaj mi tę drobinę.

- Co to jest drobinka? - dopytywała się Laura

Beth.

Knight pochylał się, pociągnął ją za nosek i uniosł w ramionach. - Drobinka, to mała cząstka czegoś, zwykle... bardzo ważnego.

- Dziewczyno! - parsknął pogardliwie Sam, gdy Charlie podsadzał go na kucyka, małego tłustego kasztanka o imieniu Darby.

Theo obrzucił łaskawym wzrokiem kawalkadę i zaproponował Knightowi: - Gdy się pan nią zmęczy, sir, ja ją przejmę. To w końcu tylko mała dziewczynka.

- Przeżyję, Theo. - Knight bez trudu wsiadł na konia z Laurą Beth pod pachą. Usadowił ją przed sobą.

- Oddział, do przodu! Właśnie skręcali w Oxford Street, gdy Knight zatrzymał się, by przepuścić czteroosobowy powóz z budą. Siedziały w nim znana z przestrzegania towarzyskich form hrabina Bormaine o lodowatym wyrazie twarzy oraz pani Frazier, jędza o ostrym języku, której do śmietanki towarzyskiej udało się wcisnąć, zapewne - przynajmniej Knight tak uważał - za pomocą szantażu.

- Och, niech pani patrzy, milady - usłyszał przenikliwy głos pani Frazier. - Oto jego lordowska mość ze swą kochaną rodziną.- Witaj, lordzie Castlerosse!

Knight nie miał wyboru, jak zatrzymać konia i dopilnować, by Lily i chłopcy uczynili to samo. Mocniej objął ramieniem Laurę Beth, aż lekko stęknęła. - Cicho, maleńka - szepnął jej do ucha i instynktownie pocałował w czoło.

- Jak słodko - orzekła pani Frazier. - I proszę spojrzeć, to ta czarująca wdowa. Przebywa u ciebie, milordzie, czyż nie? I to bez starszej damy do towarzystwa...

- Pani Frazier, lady Bormaine, mam przyjemność przedstawić wam panią Winthrop, wdowę po moim kuzynie, a oto jej troje dzieci.

Obie panie spojrzały na niego, potem na Lily, rejestrując urodę młodej kobiety, przepych obszytej gronostajami peleryny i wspaniałą - zapewne kosztowną klacz, której dosiadała.

- To już przechodzi wszelkie granice przyzwoitości - orzekła głośno pani Frazier, przysłoniwszy usta dłonią w rękawiczce.

- Hańba - zawtórowała jej hrabina równie głośnym szeptem. - Dziwka wystrojona jak dama.

Woźnica, rzuciwszy Knightowi współczujące spojrzenie, ruszył powozem. Knight ze wściekłości stracił mowę.

- Sprawiasz mi ból.

- Przepraszam, Lauro Beth. - Zwolnił uścisk.

- Wydaje mi się - powiedział Theo, spoglądając za oddalającym się powozem - że te panie zachowały się bardzo niegrzecznie. Co to znaczy dziwka? Nie znam tego słowa, kuzynie Knight.

- Zapomnij o nim, Theo. Głupi, złośliwi ludzie nic dla nas nie znaczą.

Knight odwrócił się do Lily. Była blada niczym biały gronostaj, zdobiący jej piękną pelerynę. I wściekła; widział pulsujące miejsce na szyi, dłonie zaciśnięte na cuglach.

- Przykro mi - powiedział tylko.

- Och! - krzyknęła Laura Beth.

- Bądź cicho, drobinko. Podobno jestem twoim specjalnym kuzynem. Musisz znosić moje kaprysy.

- Co to takiego?

- Moje dziwactwa, w tym wypadku bezgraniczną głupotę. A teraz dalej, do Richmond.

I pojechali. Lily nie odezwała się słowem. Laura Beth podskakiwała i chichotała, a Knight miał ręce zajęte utrzymaniem jej na grzbiecie konia. Podekscytowany Sam nie słyszał ani słowa. Dzięki Bogu. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak chłopczyk natychmiast zadeklarowałby zamiar spoliczkowania obu pań.

Te stare jędze w istocie zasłużyły sobie na to.

Robiło się coraz cieplej, słońce nad głowami grzało coraz mocniej. Knight zauważył, że Lily zdjęła pelerynę i przewiesiła przez siodło. Natychmiast zabrał się do zdejmowania wierzchniej warstwy ubranek z Laury Beth. Kręciła się i śmiała radośnie z jego niezgrabnych wysiłków.

- Uspokój się, Lauro Beth. Pomóż kuzynowi Knightowi.

- W porządku Theo. - Knight uspokoił chłopca; w końcu udało mu się wyciągnąć małe ramionko z rękawa. - Jestem większy, więc logika podpowiada, że to ja wygram w tych zapasach.

- Nie znasz Laury Beth - włączył się Sam, rzucając małej potępiające spojrzenie. - Potrafi się wiercić gorzej niż robak.

- Przynajmniej nie oblepia poręczы śliskim ciastem chlebowym - zgasił brata Theo.

Ten już miał się odciąć, gdy Knight pospiesznie uniósł dłoń. - Uspokójcie się wszyscy! Rozejrzyjcie się wokół. Na lewo płynie Tamiza. Zamulona, ale nasza, angielska, więc powinniśmy ją docenić. Samie, uważaj na kucyka.

Lily próbowała się rozluźnić. Starła się z całych sił. Przyglądała się, jak Knight radzi sobie z dziećmi. A szło mu nad podziw dobrze. Ona natomiast nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Te dwie okropne damy pomyślały - nie, one były o tym przekonane, wszak nazwały ją dziwką - że jest kochanką Knighta. Jego metresa, nałożnicą. Trzęsa się z gniewu. Z jakiego powodu tak uważały? Na miłość boską, przecież widziały trójkę dzieci. Czyżby sądziły, że to potomstwo Knighta? Niemożliwe, jest na to o wiele za miody. A może ją uznały za matkę? To naprawdę niedorzeczne.

A nawet straszne. Odczuwała wściekłość, i nie tylko z powodu obraźliwych słów, skierowanych przeciwko niej. Przecież obrażono Knighta. Nie zasługiwał na podobne traktowanie. Na myśl o jego szczerym, pozbawionym wszelkiej dwuznaczności postępowaniu miała ochotę kląć niczym szewc.

- Co się stało, mamusiu?

Lily zmusiła się do uśmiechu. - Nic, kochanie. Przestań się kręcić, bo jeszcze Knight cię upuści. Może i jest twoim specjalnym kuzynem, ale on przecież nic nie wspomniał, byś ty była jego specjalną małą dziewczynką. I jeszcze wrzuci cię do Tamizy.

Laura Beth uniosła główkę, spojrzała na Knighta, wyjęła paluszek z buzi i zapytała: - Wrzuciłbyś mnie?

- W jednej chwili, jak nie będziesz grzeczna.

- Och! - Po tej krótkiej wymianie uwag mała z powrotem wsadziła kciuk do buzi, przycisnęła do siebie mocniej carycę Katarzynę i z wielkim zainteresowaniem spoglądała w stronę rzeki.

Trzydzieści minut później przybyli do rozkosznego, niewielkiego parku nad wodą. Chłopcy pobiegli puszcząć kaczki, Laura Beth zażądała kawałka chleba dla głośno kwaczących ptaków, a Lily dalej milczała. Poruszała się sztywno, jakby była z drewna, i nie kryła gniewu.

Wnet nadciągnął powóz z wiktuałami. Nie zważając na konsternację służących, Lily pomogła Charlie-mu i Lucy w rozłożeniu pięknego, lnianego obrusu na poźółklej już trawie.

- Idź pobawić się z Laurą Beth - polecił jej Knight. - Małej trzeba pilnować.

Posłuchała bez słowa sprzeciwu.

Knight patrzył za nią, zastanawiając się, co ma jej powiedzieć. On też wciąż był wściekły. Boże, jaki z niego głupiec, że nie przedsięwziął odpowiednich kroków, by ją chronić.

Wkrótce lniany obrus przypominał pobojuwisko. Chłopcy rzucili się najedzenie, jakby nie widzieli posiłku od kilku dni. Laura Beth natomiast kosztowała wszystkiego, a napoczęte kawałki spiętrzyły się na jej talerzu. Lily strofowała, groziła, prosiła. W końcu, ku zdumieniu wszystkich, skoczyła na równe nogi, wsparła dłonie na biodrach i powiedziała wręcz nie do wyobrażenia u niej, wielce ostrym tonem: - W tej chwili przestańcie! Słyszycie mnie? Dość!

Trzy pary rączek natychmiast znieruchomiały; trzy pary przestraszonych oczu zwróciły się ku jej twarzy. Była blada, ręce jej się trzęsły.

Knight, którego, ku jego własnemu zdumieniu, bawiły psoty dzieci, też spojrzał na Lily. Rzeczywiście była zdenerwowana. Załamała przed sobą ręce.

- Theo, Samie, wstyd mi za was. Knight sprawił nam taką cudowną wycieczkę, a wy zachowujecie się jak... łobuziaki. Z pewnością uważa, że bardzo źle was wychowano, bez żadnych manier. Proszę, zachowujcie się jak należy. - Miała chyba jeszcze coś do powiedzenia, ale zamilkła. Odwróciła się na pięcie i uciekła.

- Mamo!

Knight powiedział tonem najsurowszym, na jaki potrafił się zdobyć: - Rzeczywiście przypominacie cokolwiek dzieci skazańców, choć osobiście nigdy nie poznałem ani jednego. Bądźcie grzeczni i zaczekajcie tu. Zajmę się waszą mamą. Lucy, Charlie, przypilnujcie ich - zwrócił się do służących.

Dogonił ją bez trudu, gdyż niezbyt wiedziała, dokąd idzie i wnet zatrzymała ją rzeka.

Nie próbował jej dotknąć. Przygarbiwszy ramiona, płakała. Nie mógł znieść bólu, jaki zadały jej te obrzydliwe jędze.

Wreszcie się odezwał. - Lily!

Jeszcze zaszlochała, ale gdy zobaczył, że prostuje ramiona, wiedział, że próbuje zebrać się w garść.

Powiedziała tak ponurym głosem, że sama nie mogła znieść jego brzmienia: - Nakrzyczałam na dzieci, a one przecież tylko się bawiły.

- No i co z tego? Odważę się wyrazić pewność, że przeżyją. Nie możesz zawsze być chodzącą doskonałością, Lily. - Uśmiechnął się. - No, już lepiej. Proszę, weź. - Podał jej chusteczkę przez ramię, by nie musiała odwracać się i pokazywać mu twarzy.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę. A może byśmy się trochę przeszli i wszystko omówili, dobrze?

- Nie ma nic do omawiania. Widziałeś je, słyszałeś. Jestem twoją dziwką, nałożnicą. Stało się i to moja wina. Odejdę, po prostu muszę. Zostałeś już prawnym opiekunem dzieci, zapewnisz im bezpieczeństwo. Zniknę jutro rano i znów wszyscy będą dla ciebie mili.

- Jak mówiłaś, ile ty masz lat?

Zaskoczona, zwróciła do niego twarz. - Prawie dwadzieścia.

- Jak na osobę, która osiągnęła tak zaawansowany wiek, wykazujesz niezwykle oznaki głupoty.

- Nieprawda. Słuchaj, Knight, dzieci są teraz bezpieczne. Tak naprawdę nie potrzebują mnie, mogę odejść. Może wkrótce mógłbyś mi odesłać Laurę Beth.

- Zawsze uważałem męczenników za największych żyjących nudziarzy.

- Dlatego zazwyczaj płoną na stosie albo przytrafiają im się inne okropne rzeczy. Dlatego są męczennikami.

- Racja. Przy tobie tracę zdrowy rozsądek. W każdym razie nudziara z ciebie, Lily. Nie zostawisz dzieci. To ohydne zajście, którego byłaś świadkiem, faktycznie nie powinno było mieć miejsca. To wyłącznie moja wina, ty nie masz z tym nic wspólnego. Ja wiedziałem, na co się zanosi. Ty nie miałaś pojęcia. A teraz, oto, co proponuję...

- Nie chcę słyszeć żadnych propozycji. - Dwuznaczność tych słów nagle do niej trafiła i Lily zaczerwieniła się po cebulki włosów. Odwróciła się na pięcie i uciekła nad sam brzeg rzeki.

Knight przez chwilę ją obserwował, potem ruszył za nią. Miał nadzieję, że Sam nie widzi tego zamieszania, bo jeszcze gotów pomyśleć, że wicehrabia atakuje jego matkę.

Po chwili zawołał: - Lily, wykończysz mnie, przestało mi się to podobać. Nie uciekaj przede mną. No już, zatrzymaj się.

Stała pod wierzbą płaczącą.

- Tak lepiej.

- Nie mogę zostać i patrzeć, jak szargają twoją reputację; wszystko przeze mnie i dzieci. Nie rozumiesz? Po prostu nie mogę na to pozwolić.

- Nie możesz, naprawdę? No to dobrze. Oto, co zrobimy. Ty, moja droga, i dzieci udacie się do Castle Rosse. To moja wiejska siedziba w Dorset, niecały dzień drogi z Londynu. Jak już porozmawiasz z Johnem Jonesem, wszystko się ułoży. Dobrze?

- Nie.

Knight jeszcze nie spotkał kobiety, która nie zastosowałaby się do jego życzenia, przynajmniej odkąd przed laty jego matka odeszła do lepszego świata. Zaskoczony patrzył na nią. - Co takiego?

- Nie, nie zrobię tego. Nie będziesz się poświęcał.

- Niestłuchane! - mruknął bardziej do siebie niż do niej. - Nie sądziłem, żeś aż taka uparta, Lily. W istocie uważałem cię za osobkę potulną i zgodną. W końcu Tris ożenił się z tobą, gdy byłaś niemal dzieckiem, powinien więc być cię urobić na bardziej posłuszną istotę.

- Tris nie uznawał urabiania - odpaliła, zadzierając brodę. I, jak sądziła, zapewne się nie myliła. Tak bardzo chciał się z nią ożenić, że nigdy nie traktował jej z góry, nie demonstrował męskiej przewagi. Zawsze uważała, że mężczyźni pragną sprawować władzę nad każdym królestwem, jakie wpadnie im w ręce, choćby to oznaczało tylko żonę. Jej ojciec z pewnością władał żelazną ręką, dopóki nie musieli uciekać z Anglii. Dziwne, że później to ona przejęła władzę. Wcześniej nie myślała o swym życiu w ten sposób. - Chciał po prostu, bym była szczęśliwa - dodała jeszcze, czując, że Knight nie spuszcza z niej wzroku.

- I byłaś? Byłaś szczęśliwa?

Nie zdobyła się na odpowiedź, nawet na skinienie głową. Stała tylko, palcami rozłamując korę wierzby i czuła się głupia, beznadziejna i bezużyteczna.

Knight westchnął. - Dobrze, Lily. Przyznaję, to impertynencja z mojej strony. Wracaj na piknik, zanim Sam rzuci się na mnie w twojej obronie. Później porozmawiamy o tej sprawie.

- Nie zmienię postanowienia, Knight.

- Postąpisz, jak każę.

Tylko wzruszyła ramionami. Niech tam, niech się wścieka i grzmi. To bez znaczenia. Wkrótce przekona się, jaka potrafi być uparta. A ona nie pozwoli, by zniszczył sobie reputację i rodowe nazwisko, by stracił przyjaciół, i to tylko z jej powodu.

- Jestem głodna - stwierdziła i ruszyła do dzieci.

- To dobrze, pewnie wraca ci bardziej odpowiedni humor.

Po północy, gdy walcząc z bezsennością leżała w łóżku, przyszło jej do głowy, że może przesadnie zareagowała na te dwie stare damy. Może to tylko dwie, wśród wielu innych. Powinna to przemyśleć.

Jednak następnego ranka, na przejażdżce konnej w Hyde Parku z Samem, Theo i Laurą Beth odkryła, że jeszcze nie poznała rozmiarów zniszczenia, jakiego doznała reputacja wicehrabiego i jego dobre imię.

Rozdział 8

Podobnie jak poprzedniego dnia, w niedzielę rano także panowała piękna, ciepła pogoda, słońce świeciło jakby nigdy nie znało ani chwili sąsiedztwa ciemnych chmur. W dzień tak niczym nieprzypomi-nający końca października głupotą byłoby pozostawać w domu. Tak przynajmniej twierdziły służące, a Lily przyznała im rację.

Przekazała wiadomość do stajni, że zamierza udać się z dziećmi na przejażdżkę. Knight, jak się okazało, już wyszedł z domu. Zastanawiała się, czy też wybrał się gdzieś konno. A także, dokąd udał się poprzedniego wieczora. Gdy wrócili z Richmond, rzucił jej zdawkowe „dobranoc” i wyszedł.

Tego ranka czuła się pełna entuzjazmu, była w bardziej optymistycznym nastroju, gotowa stawić czoło wszystkim i wszystkiemu. Rzeczywiście przesadnie zareagowała poprzedniego dnia. Popsuła wszystkim humor tylko dlatego, że dwie nader nieuprzejme damy nie miały nic ważniejszego do roboty niż obmowę.

Nuciła pod nosem, ubierając Laurę Beth. Z zainteresowaniem przysłuchiwała się Theo opowiadającemu o wspaniałych właściwościach środka, zwanego korzeniem amaya, a na utyskiwania Sama, że Theo jest zarozumialcem, zareagowała jedynie łagodną reprimendą.

Rozwścieczony malec oświadczył: - Mam sześć lat. Theo nie musi mi mówić, jak mam składać koszule. Tatuś kazałby mu przestać marudzić, mamó.

I to, pomyślała Lily, prawdopodobnie było zgodne z prawdą. Tris potrafił wytknąć Theo jego przesadnie dorosłe zachowanie. Jednak rzeczywiście koszule Sama wyglądały okropnie. Tylko wzruszyła ramionami; nic nie mogło zepsuć jej wyśmienitego humoru.

Wydała obu chłopcom surowe polecenia, nim jeszcze dotarli do bramy parku: - Będziecie się mnie trzymać, albo natychmiast wrócimy do domu. Obiecujecie?

Przyrzekli, ale wiedziała, że Sam z łatwością zapomina o obietnicach.

Tego ranka w Hyde Parku niewiele osób odbywało przejażdżki. Mijając Lily i dzieci, kilku dżentelmenów dotykało runda kapelusza. Jeden zatrzymał konia i patrzył za Lily przez dłuższą chwilę, potem, z ręką na sercu, dramatycznie westchnął.

- Cholerny idiota!

- Sam, gdzie słyszałeś podobne słowa?

Ku jej zaskoczeniu nieprzyjemne milczenie przerwał Theo. - Wiesz, mamó, on ma rację i to nie jego wina. Tak mówią stajenni kuzyna Knighta... - Urwał, głowę przechylił na bok, całkiem jak kiedyś Tris. - Ale to przez ciebie, mamó.

- Przeze mnie?

- Tak - potwierdził Sam, spoglądając na nią krytycznie. - Jesteś za ładna. Mężczyźni nie mogą się powstrzymać, by się na ciebie nie gapić i zachowują się jak idioci.

- Cholerni idioci - dobitnie stwierdziła Laura Beth.

Lily tylko popatrzyła na nich i roześmiała się. - Wspaniała z was para, nie ma co! Lauro Beth, więcej tego słowa nie powtarzaj. Jest brzydkie. No, dość już, trochę pogalopujmy.

Bawili się świetnie, dopóki na żwawej klaczy nie podjechała do nich piękna młoda dama, sądząc po karnacji Francuzka lub Włoszka. Tuż za nią podążał na idealnie białym rumaku dżentelmen o obojętnej minie, na pozór niezwracający uwagi na otoczenie. Był starszy od damy - miał około czterdziestki i można by go uznać za przystojnego, gdyby nie chłód stalowoszarych oczu. Lily rozpoznała na jego twarzy oznaki rozpustnego trybu życia; dość długo obserwowała je u własnego ojca. Mężczyzna był ubrany całkowicie na biało. Bez uśmiechu, w milczeniu spoglądał to na damę, której towarzyszył, to na Lily, jakby czekał, co się wydarzy.

- Jak mniemam, pani Winthrop? - zapytała młoda kobieta. Ani śladu uśmiechu czy dezaprobaty.

- Owszem, a to moje dzieci. - Lily gestem dłoni wskazała na Theo i Sama.

Ku jej zdumieniu dama nie przestawiła się. Dżentelmen także dalej milczał. Piękna amazonka zmrużyła tylko swe ciemne oczy i Lily przygotowała się na coś nieprzyjemnego. Gdyż, jak się domyśliła, zaraz spotka ją coś okropnego. Dama oznajmiła z całkowitym spokojem: - A więc to pani jest dziwką Knighta Winthropa. I ma pani czelność rezydować w jego domu, do tego z tym swoim bękarcim pomiotem! Przez panią wicehrabia narażony jest na towarzyski bojkot. Plotka rozchodzi się coraz dalej i wkrótce żaden przyzwoity londyński dżentelmen ani dama nie zechcą z nim rozmawiać. Jesteś godna pogardy, madam. Weź swoje bękarty i opuść Londyn.

Lily ogarnęła wściekłość. - Jak pani śmie! To wszystko kłamstwa, każde pani słowo!

- Nie zamierzam obojętnie przyglądać się, jak niszczysz powszechnie podziwianego człowieka. Ty żaloszna ladacznico! - Dama obrzuciła potępiającym spojrzeniem także dzieci, wbiła obcas w boki klaczy i już jej nie było. Lily zbyt późno zorientowała się, że dżentelmen się nie oddalił. Spoglądał na jej zaczerwienioną z gniewu twarz i po dłuższej chwili powiedział: - Gdybyś, moja droga, chciała opuścić lorda Castlerosa-se, będę zachwycony, móc cię przyjąć u siebie. Jestem człowiekiem hojnym i jeśli mnie zadowolisz, dopilnuję, by twoim bękartom nie zabrakło chleba.

Lily patrzyła na niego oniemiałym wzrokiem. Wreszcie z jej ust popłynął potok słów, ale zbyt późno, mężczyzna już się oddalał. Zamilkła, świadoma obecności Sama i Theo, nieruchomych niczym posągi, milcząco siedzących na koniach.

- Mamo, to tylko głupia suka. - Sam wyglądał, jakby zaraz miał plunąć gwoździami. - Jak ona śmie mówić o nas coś podobnego?!

- A ten nędznik? - Theo niemal warknął, zdumiewając Lily niezwykłym u niego wybuchem gniewu. - Dlaczego nazwał nas bękartami? Przecież nie jesteśmy nimi.

- A co to bękart? - zainteresowała się Laura Beth.

- Cicho, Lauro Beth, przestań drażnić.

- Uspokój się, Theo, on już odjechał. On i ta... kobieta, zachowali się okropnie, ale więcej ich nie zobaczymy. - Głos jej brzmiał dziwnie spokojnie. Chyba spodziewała się tego, co ją spotkało, tyle że ohyda tego przeszła wszelkie oczekiwania.

- To on jest bękartem! - Sam potrzęsnał pięścią za odjeżdżającą parą. - Nie my.

- Mamo - poprosił Theo głosem nagle łagodnym niczym wiosenny deszczyk - wracajmy do domu. Chcę, byś zapomniała o tym, co powiedzieli. To wszystko głupstwa. No, jedźmy.

Lily skinęła głową. Kochany Theo, domyślił się, że od doznanego szoku niemal traciła zmysły. Słyszała, jak chłopiec zwraca się z czymś do brata, ale nie rozumiała słów. Po chwili Sam, głośno odchrząknawszy, oświadczył: - Przepraszam za to słowo, mamo. Już nigdy więcej go nie użyję.

- Jakie, kochanie?

- Suka.

- Ach tak, dziękuję, Samie. Ale wiesz co? Chciałabym pojechać za tamtą dwójką i powiedzieć im dokładnie, co o nich myślę.

- Wrzuć ich do Tamizy!

Lily się roześmiała. Theo też odprężył się nieco. Modlił się, by zastali kuzyna Knighta w domu. Martwił się. Lily była blada niczym wosk i wiedział, że ledwo się trzyma. Okropni, straszni ludzie. Dlaczego życie nie może być sprawiedliwe?

* * *

Knight był w domu, ale Lily uprzedziła dobre intencje Theo. Jeszcze w stajni, zanim ruszyli do domu, powiedziała spokojnie i bardzo stanowczo: - Theo, Samie, ani słowa jego lordowskiej mości. Obiecujecie?

Theo zrobił zakłopotaną minę.

- Przyrzeknij.

- Dobrze, obiecuję.

- Sam?

Mały skinął głową.

- W porządku. - Lily uściskała chłopców i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu, mocno trzymając za rączkę Laurę Beth. Tylko Sam zauważył dwóch młodych stajennych, rzucających Lily pełne podziwu spojrzenia. Głupie osły! Na Boga, ona jest przecież naszą matką, pomyślał.

Knight właśnie schodził po schodach, gdy Lily z dziećmi weszła do domu. Przystanął, w jednej chwili ogarniając ją spojrzeniem od stóp do głów. Coś się wydarzyło!

- Gdzie byliście? - Chciał zapytać obojętnym tonem, ale nie udało mu się ukryć zaniepokojenia.

Sam już miał odpowiedzieć, gdy Lily posłała mu druzgocące spojrzenie. - Pojeździliśmy sobie po parku - wyjaśniła. - Chyba zjemy teraz śniadanie, a potem przeberzemy się do kościoła.

- Och, mamusi!

- Żadnych narzekań, Samie. Nie pozwolę, byś wyrósł na poganina. Możemy pożyczyć powóz, milordzie?

- Oczywiście. - Miał na końcu języka propozycję towarzyszenia im do kościoła św. Pawła, ale był umówiony na spotkanie, na którym powinien się stawić. - Zobaczymy się przy kolacji, Lily?

- Być może - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Bardzo bym się ucieszył. Chyba mamy sporo spraw do omówienia.

Przez resztę dnia Lily pozostawała głęboko zamyślona. W kościele, zamiast słuchać wielce uczonego kazania, błądziła myślami daleko. Na szczęście Laura Beth siedziała spokojnie. Gdy ksiądz wypowiadał słowa błogosławieństwa, Lily już podjęła decyzję. Odejdzie. Porzuci Knighta, jego piękny, bezpieczny dom, no i dzieci. I wtedy uświadomiła sobie, że nie potrafi tego zrobić. Nie może odejść od Sama, Theo i Laury Beth. Co robić?

Dopiero wieczorem pewne błahe wydarzenie wpłynęło na zmianę jej decyzji. Laura Beth zapragnęła, by na tę noc utuliła ją Betty. Lily poczuła ukłucie bólu, ale zaraz także ulgę. Na jakiś czas może rozdzielić się z dzieckiem. Laura Beth nie będzie za nią tęskniła. Będzie miała Betty, która jest dobrą dziewczyną.

Napisała list do Sama i Theo. Posłała wicehrabiemu wiadomość, że cierpi na ból głowy i nie dołączy do niego przy kolacji. Specjalnie podkreśliła swe życzenie zobaczenia się z nim rano w celu

omówienia bieżących spraw. Liścik do Knighta był o wiele krótszy od tego, który napisała do dzieci. Zastanawiała się, gdzie go zostawić. Z kopertą w ręce stała zamyślona w sypialni, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. W końcu podarła list. Knight dowie się o jej odejściu od Sama i Theo.

Spakowała tylko jedną walizę. Dokładnie o ósmej trzydzięci wieczorem wymknęła się schodami dla służby, a potem tylnym wyjściem. Słyszała tyradę kucharza Cuthberta, pouczającego pomywaczkę, ale udało jej się nikogo nie napotkać. Pospieszyła za róg ulicy i wynajęła dorożkę, z której właśnie wysiadł pasażer. Kazała zawieźć się na stację pocztową Tottin-gham, na którą tydzień temu przybyła z dziećmi. Zaledwie tydzień. Zdawało się to nieprawdopodobne. Jakby od tamtego czasu minęły lata, a ona porzucała wszystko, co kochała i co było jej drogą.

Dyżurny do Brighton miał odjechać o dziesiątej trzydzięci. Usiadła w poczekalni, nieświadoma spojrzeń, jakimi obrzucali ją mężczyźni. Miała minę tak nieprzystępną, że zostawiono ją w spokoju. Przyjęła filiżankę herbaty od żony oberżysty i usiadła przy małym stoliku w rogu jadalni.

Wystarczyło jej trzydzięci minut, by pojęła rozmiary szaleństwa, na jakie się poważyła. - O Boże, czyżbym postradała zmysły?

Jakaś starsza kobieta z czarną walizką przyciśniętą do pokaźnego biustu zareagowała na jej słowa: - Cóż to, kochaniutka, mamy zmartwienie?

Lily instynktownie potrząsnęła przecząco głową. Zachowała się kompletnie, niewiarygodnie głupio, bezmyślnie... Pochwyciła walizę i wypadła przez drzwi gospody. Wybiegła na róg. Wprost na Paskudnego Arnolda.

Knight z pochmurną miną spojrzał na swój prawie nietknięty talerz. Nie był głodny. Pragnął zobaczyć Lily. Zastanawiał się, czy rzeczywiście źle się czuje, czy tylko go unika. Cicho zaklął nad zieloną fasolką.

- Milordzie?

- Nic takiego, Duckett.

- Milordzie, pani Allgood poinformowała mnie, że Betty powiadomiła ją, jakoby pani Winthrop dziwnie się zachowywała. Najwyraźniej coraz bardziej dokuczał jej ból głowy i...

Knight odsunął talerz i gestem nakazał służącemu milczenie. - To bez znaczenia. Pani Winthrop może robić, co jej się podoba. A co do mojego braku apetytu, powiedz Cuthbertowi, że jestem w żałobie lub coś w tym rodzaju. - Rzucił serwetkę na stół i podniósł się. - Będę w bibliotece.

Niech diabli wezmą Ducketta i jego impertynencję, pomyślał, długimi krokami pokonując biały, włoski marmur podłogi wejściowego holu. Usłyszał dźwięk przypominający pisk, uniósł wzrok i spostrzegł Betty z przekrzywionym czepkiem na głowie. Mocno trzymając się poręczy, wychyliła się nad schodami.

- Co, u diabła!

- Milordzie! O Boże, o Boże!

Niemal stracił cierpliwość. - Co się stało, Betty?

- Chodzi o Laurę Beth. Boi się.

- Dlaczego?

- Bo, milordzie, pani Winthrop odeszła. Knight zamarł. - Dokąd? - usłyszał swój głos i sam zdziwił się własnym spokojem.

- Nie wiem - jęknęła Betty z całej siły swych płuc. - Po prostu odeszła.

- Dobrze, pójdę do dziecka.

To bez sensu, powtarzał sobie wciąż. Betty musiała się pomylić. Lily prawdopodobnie układa

właśnie Sama i Theo do snu. Pewnie czyta im coś do poduszki. Przecież czuła się, a raczej czuje się nie najlepiej. Pospieszył korytarzem do jej sypialni i pchnął drzwi.

W kandelabrze paliły się świece. Laura Beth siedziała wyprostowana pośrodku łóżka, z carycą Katarzyną przytuloną do piersi; na ramionka zwisały jej dwa cienkie warkoczyki, buzię miała spuchniętą od płaczu.

- Kuzynie Knight! - zatkała głośno, gramoląc mu się na kolana.

- O co chodzi, drobinko?

Caryca Katarzyna spadła na kapę niezauważona. Laura Beth wyciągnęła szczuplutkie ramionka, a Knight bez namysłu ją przygarnął. Objęła go rączkami za szyję, nóżkami oplótła wokół pasa, mokrą buzię przytuliła do policzka.

- Już dobrze, drobinko. Przysięgam, naprawdę. Dość tego płaczu. Serce mi się kraje.

Zachichotała i dostała lekkiej czkawki. Knight zaniósł ją na fotel przed kominkiem, w którym dopalały się polana. Z dzieckiem w ramionach usiadł i, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, wiedziony instynktem, pokołysał małą. - A teraz powiedz mi, co to za historia z mamą? - Musi zachować spokój, nie wolno mu wystraszyć dziecka.

- Odeszła - jęknęła Laura Beth i mocniej się do niego przytuliła.

- Znajdę ją - oświadczył pewnym głosem i czuł tę pewność. - Lily lada moment pojawi się w drzwiach. Będzie zażenowana jego obecnością w sypialni, tulącego jej córkę, ale ona...

- To przez tą straszną panią.

- Co takiego? Co powiedziałaś, drobinko?

- Dziś rano mama zabrała nas na przejażdżkę do parku. Było miło, dopóki ta okropna dama i ten pan na dużym białym koniu nas nie zatrzymali. Chciałam wrzucić ją do Tamizy. Była okropna i niegrzeczna i przezywała nas, a mama strasznie się zdenerwowała.

- Jak was przezywała? Co ta dama powiedziała twojej mamusi?

- Nazwała mamę dziką i ladanicą, a mnie, Sama i Theo bękartami, i powiedziała, że jesteś dobrym człowiekiem, ale będą cię boko... bojkot...

- Bojkotować?

Laura Beth skinęła główką, a kciuk odnalazł powrotną drogę do jej buzi.

Miał ochotę kłąć na cały dom, ale nie mógł, z czteroletnim dzieckiem w ramionach. A więc Lily, w porwywie męczeństwa, uciekła. Znikła. Co za kretyński postęp! Że też musi być tak cholernie wrażliwa! Czy nie rozumie, że on potrafi skutecznie zająć się sobą i nią, a także dziećmi?

- Laura Beth, idziemy do Theo i Sama. Założę się, że mamusia zostawiła im list.

- Dlaczego nie mnie?

- Bo ty nie umiesz czytać. Chodź, idziemy. Wczepiła się w niego jak małpka, ale Knight nawet tego nie zauważył. Trzymał ją w ramionach, by się uspokoiła, i na palcach przemknął z nią do pokoju chłopców. Oczywiście natychmiast zauważył kopertę wspartą o miednicę na toalecie.

Zaniósł małą do biblioteki. Trzymał ją dalej, nawet wtedy, gdy rozerwawszy kopertę, czytał list Lily do chłopców. Stało się tak, jak oczekiwał. Do głębi przejęty postępkami Lily, równocześnie miał ochotę skrócić jej kark.

Moi najdrożsi chłopcy.

Kuzyn Knight został teraz Waszym prawnym opiekunem. Wiem, że go lubicie, a on polubił Was. Starajcie się dobrze zachowywać i nie denerwujcie go. Zostawiam Was na jakiś czas, dopóki nie ucichną te okropne płotki. Proszę, zrozumcie mnie. To nie w porządku, bym została, podczas gdy

Wasz kuzyn spotyka się z tak niemiłym traktowaniem ze strony znajomych. Proszę, wybaczcie mi i starajcie się zrozumieć. Kocham Was i chcę, byście byli szczęśliwi i bezpieczni. Zaopiekujcie się Laurą Beth. Wnet do was napiszę.

Kochająca Was ze wszystkich sił

Mama

Knight zmiął kartkę w dłoni. Laura Beth zasnęła, rozłożona na jego kolanach. Pocałował ją lekko w skroń, potem wrócił z nią na piętro i ułożył w łóżku. Miał ruchy zdecydowane i spokojne, choć strasznie się bał, by Lily nie przydarzyło się coś strasznego. Taka piękna kobieta sama w Londynie! Przeklęta, niemądra niewiasta! Miał ochotę zbić ją do nieprzytomności.

Przynajmniej chłopcy nie będą musieli tego czytać. Zastanawiał się, gdzie mogła zostawić list przeznaczony dla niego. Z pewnością go napisała, pewnie podobne bzdury, tylko inaczej sformułowane.

Już miał wezwać Ducketta, by wysłał służących na kilka stacji pocztowych w Londynie. Wstrzymał jednak dłoń tuż przed dzwonkiem. Ależ tak, przecież wie, dokąd poszła. Niewątpliwie uciekła na jedyną stację, jaką знаła. Zdawał sobie sprawę, że trochę ryzykuje podobnym założeniem, ale robił to z przekonaniem.

Narzucił płaszcz, wciągnął rękawiczki i zwrócił się do Ducketta: - Pani Winthrop to kompletna idiotka. Idę po nią. Nikomu ani słowa.

- Oczywiście, milordzie.

* * *

- Arnold! A ty co tu robisz? - Lily nie wystraszyła się, była tylko niemile zaskoczona jego widokiem.

- Witaj, Lily.

- Witaj, Arnoldzie. Pytam jeszcze raz, co ty tu robisz? Czyżbyś wracał do domu? - Odwróciła się i wskazała ręką na stację. Czyniąc to, odsunęła się od niego, niby to obojętnie, i wygładziła dłonią pelerynę.

- Wyglądasz ślicznie - powiedział Arnold.

Lily zamarła. Zapytała cicho i spokojnie: - Jak się czuje Gertrude, Arnoldzie?

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią niczym wygłodniały beduin w samotną owcę.

- Nie korespondujesz z Gertrude? Kiedy wyjechałeś z Yorkshire?

- Śledziłem cię, Lily. Pragnę cię. Błagam, dam ci, co tylko zechcesz, ale musisz pójść ze mną. Udamy się do Francji, do Włoch, gdziekolwiek sobie zażyczysz, Lily, tylko...

- Przestań Arnoldzie. Uspokój się. - Musiała zdobyć czas do namysłu. Boże, co za idiotyczna sytuacja!

- Pozbyłaś się dzieci, dzięki Ci, Panie. Zrobiłaś to dla nas, prawda, Lily? Udało ci się przekonać wicehrabiego, by został ich prawnym opiekunem, byśmy mogli być razem, czy tak?

- Arnoldzie - powiedziała już rozgniewana - w jakim ty świecie żyjesz? Wicehrabia został ich opiekunem i stało się bardzo słusznie, z dwóch powodów: przede wszystkim spełnił swój obowiązek, a po drugie, dopilnował, byś nie mógł zmusić nas... mnie... do powrotu do Yorkshire, gdzie byłabym narażona na niechęć Gertrude i twoją natarczywość.

- O nie, Lily. Nie będę wobec ciebie natarczywy, przyrzekam. Kocham cię!

Zauważyła jego bladość, powiększone źrenice, słyszała drżenie w głosie. O nieba, co się stało z Paskudnym Arnoldem?

- Posłuchaj mnie - odezwała się, lekko kładąc palce na rękawie jego płaszcza. - Wejźmy do środka na filiżankę herbaty. Masz ochotę się napić, prawda, Arnoldzie? Nie wyglądasz najlepiej. - Rzeczywiście, sprawiał wrażenie człowieka podążającego drogą fanatycznej misji. Czy to z jej powodu? Przeszył ją dreszcz.

- Pragniesz, bym cię dotykał, prawda, Lily? Widziałem jak zadrżałaś, marząc o mych palcach, o mych ustach. Na Boga, Lily, wyjeżdżajmy natychmiast. Możemy być w Dover jeszcze przed świtem.

- O nie, dość tego. - Odkoczyła od niego, odwróciła się na pięcie i wpadła z powrotem do gospody. W następnej chwili Arnold pochwycił ją za ramię i szarpnięciem do tyłu przyciągnął do siebie. Poczula jak dłonią zakrywa jej usta, ramieniem otacza w pasie.

To jakiś obłęd!

Gdzie są ci wszyscy ludzie? Zrobiło się ciemno, chmury przysłoniły młodziutki księżyc. Słyszała głosy mężczyzn i kobiet, śmiejących się i rozmawiających w budynku stacji, w odległości nie większej niż dziesięć metrów. Nagle ogarnął ją strach. Nie bądź głupia, mówiła do siebie. To Arnold. Tylko Paskudny Arnold. Z pewnością potrafisz sobie z nim poradzić. Odciągał ją od gospody. Wbiła mu łokieć w brzuch. Zaklął, ale trzymał ją mocno. Zaczęła walczyć z nim z całej siły i wiedziała, że jej uderzenia trafiają celnie, sprawiają mu ból. A jednak trzymał ją niczym kundel kość. Próbowwała ugryźć go w rękę, ale zęby tylko zjechały po gładkości wnętrza jego dłoni.

To jakieś szaleństwo.

Zaciągnął ją za stajnię, do cuchnącego zaułka. - Już niedaleko - wydyszał jej blisko ucha. - Mam tu w pobliżu pokój. Będziemy sami, Lily, wreszcie sami. Zobaczysz, zechcesz mnie.

Na chwilę zamknęła oczy. Wiedziała, że musi się uspokoić; pomyśleć, przechytryć Paskudnego Arnolda. Na pewno da radę; przecież całkiem nie zgłupiała. Wtedy usłyszała głos innego mężczyzny i serce w niej zamarło.

- Złapał ją pan, co, panie Smith?

- Aha, mam ją, Boggs. Już cię więcej nie potrzebuję, chłopcze. Poczekaj, zapłacę ci te obiecane dwie gwinee.

- Ojej, niezła z niej sztuka! - zachwycił się drab. - Co za włosy, delikatne jak kocie futerko i ta gładka, biała buzia, na Boga, ładniejsza jeszcze niż tam w Pantheon Bazaar, a ja chcę...

To były jego ostatnie słowa. Lily stała jak sparaliżowana, gdy olbrzymi mężczyzna padł na ziemię niczym kupa łachmanów.

Knight. Stał w cieniu, delikatnie pocierając prawą pięść.

- Proponuję, panie Damson, by natychmiast pan ją uwolnił.

Zdawał się czymś rozbawiony. Coś takiego, pomyślała. Czy nie widzi, że sprawa jest co najmniej poważna, że Paskudny Arnold próbuje mnie porwać?

- Nie! - wrzasnął Arnold. - Ona jest moja, niech cię szlag! Moja i będę ją miał, słyszysz?

- Wrzeszczysz tak, że zaraz ściągniesz tu całą Bow Street. Przecież cię słyszę. Jednak nie możesz jej mieć. Puszczaj ją, no już!

Arnold szarpnął ją do siebie mocniej, cofając się przed Knightem. Lily jeszcze raz wbiła mu łokieć, tym razem niżej, w sam żołądek. Zawył, ale wciąż się w nią wczepiał, jakby była jedyną tratwą pośrodku oceanu.

- Nudzisz mnie, Arnoldzie - oświadczył Knight - i najwyraźniej denerwujesz panią. - W następnej chwili Lily była już wolna; upadła na ręce i kolana na brudną ziemię. Odwróciła się i ujrzała, jak Knight unosi Arnolda w górę, chwyciwszy go za kołnierz. Potrząsnął nim niczym szczurem,

równocześnie mówiąc wolno i dobitnie: - Pojedziesz do domu, Arnoldzie, albo przestrzelę ci ramię. Rozumiesz mnie?

- Nie! Chcę...

Knight uderzył nim o ścianę budynku. - Posłuchaj no, nędzny gadzie. Nie pozwolę, by kiedykolwiek ponownie ją nachodzono. Pojawisz się w pobliżu chociaż raz, to nie przestrzelę ci ramienia, ale strzelę ci prosto w twoje czarne serce. Wracaj do domu, do żony! - Wypuścił Arnolda, który osunął się po murze na ziemię. Nie poruszał się. Arnold nie był głupi, gdy otrzymał właściwą nauzkę.

Knight odwrócił się. - Lily, nic ci nie jest?

Wciąż klęczała, wsparta na dłoniach i patrzyła na niego. - Jak mnie znalazłeś?

Tylko wzruszył ramionami. - Nie zadałaś sobie zbyt wiele trudu z wymyślaniem sposobu ucieczki. Czuję, że wrócisz na tę samą stację pocztową, na którą przybyłaś. I rzeczywiście, miałem rację. Trzymaj, pomogę ci wstać. - Przyjęła podaną jej dłoń. Już stojąc, lekko się zachwiała, ale Knight nie uczynił gestu, by jej pomóc. Gdy znów stała pewnie, wziął ją pod ramię i wyprowadził z zaułka. - Usłyszysz, co mam ci do powiedzenia, jak tylko znajdziemy się z dala od tych dwóch łotrzyków.

Milczała, dopóki nie dotarli do dorożki, która czekała po drugiej stronie obojętnej. - Moja walizka - przypomniała sobie.

Nie zatrzymał się. Rzucił jej zimne spojrzenie. - Zapomnij o niej. - Otworzył drzwiczki powozu i pomógł jej wsiąść. Cofnął się i rzucił woźnicy: - Będziesz nas wozził wkoło, dopóki nie powiem inaczej.

- Tak jest, panie. - Dorożkarz cmoknął na konie i ruszyli. Knight zajął miejsce naprzeciwko Lily. Nagle powóz niespodziewanie wpadł w koleinę i Lily upadła na kolana Knighta. I jakby przerwała się tama. Trzymał ją w ramionach i potrząsał nią.

- Ty cholerna, głupia kobieto! Jak mogłaś zrobić mi taki idiotyczny kawał?

- Nie wiem - bąknęła pod nosem, czując, że ich nogi się splątały, jej piersi naciskają na jego pierś, a on podtrzymuje ją z całych sił.

Knight zaklął ze zgrozą, usadził ją na kolanach, przytulił i mocno, bardzo mocno pocałował.

Rozdział 9

Knighr zapomniał o bożym świecie. Posmakował językiem jej warg a ona, ku jego szalonej radości, rozwarła je przed nim. Odpowiadała na jego pieszczoty i jej niewiarygodna, pozbawiona wszelkich zahamowań reakcja odebrała mu resztki samokontroli. Językiem zanurzał się w jej ustach, eksplorował je, poznawał dotyk, słodki smak jedwabistego ciała; wreszcie udało mu się choć trochę opanować zmysły. Cofnął nieco język, zwolnił jego tempo, poruszał nim już delikatniej. Ale nie zdołał powstrzymać dłoni ani ramion. Trzymał ją mocno, plecami przyciskał do swego ramienia, prawą dłonią sięgał jej piersi, naciskał je, uczył się jej, aż poczuł jak drży i wypręża się ku niemu, oddając mu się bez reszty.

Usłyszał cichy jęk i dźwięk ten natychmiast go otrzeźwił. Wypuścił ją z objęć tak gwałtownie, że nieomal upadła. Pochwycił ją wpół i posadził na przeciwległym siedzeniu.

Spojrzał na nią. W powozie panował półmrok, ale i tak ją widział, i ten widok wstrząsnął nim. Siedziała ze wzrokiem wbitym w jego usta. Jej wręcz nieprawdopodobne oczy pociemniały z namiętności, wciąż przepełnione pożądaniem.

Poruszony do bólu, niemal stracił oddech. - Lily, nie patrz tak na mnie.

Nie rozumiała sensu jego słów. Pragnęła powiedzieć mu o przedziwnym żarze, jaki czuła w dole brzucha, o bólu tak mocnym, a zarazem wspaniałym, że aż mocno zacisnęła uda. Słyszała górujące nad wszystkim bicie własnego serca. Na języku pozostał jej jego smak; obrzmiałe piersi bolały. Czuła się, jakby dopiero teraz poznała sens życia. Wpatrywała się w Knighta, nie rozumiejąc, co się wydarzyło, ale pragnęła mu wyznać swe uczucia i błagać, by pozwolił jej raz jeszcze doznać tych emocji.

- Przestań się tak zachowywać, do diabła! Wielkim wysiłkiem woli powstrzymał się od ponownego rzucenia się na nią. Dłonie trzymał po bokach, zaciśnięte w pięści. Zmusił się, by tam pozostawały. A ona wciąż siedziała wpatrzona w niego, jakby nie rozumiała, co się wydarzyło i jakby nie chciała, by przestał, ale by dalej całował ją, dotykał i pieścił. - Przestań! - powtórzył.

- Słyszałam - odrzekła z westchnieniem. - Przecież nic nie robię.

Rzucił jej z całą brutalnością, na jaką było go stać, próbując ratować się za wszelką cenę: - Patrzysz na mnie, jakbyś chciała, bym cię zniewolił, bym cię wziął natychmiast, tutaj, w tej brudnej dorożce. Czy tego chcesz, Lily? Bym uniósł twe spódnice i wszedł w ciebie tutaj, zaraz?

Dziki uderzenia serca nagle spowolniły do wręcz boleśnie wolnego rytmu. Pędzące fale żaru cofnęły się. Próbowwała pozbierać jego gniewne słowa, zrozumieć ich znaczenie.

- Do diabła, kobieto! To zgrywanie dziewicy jest wręcz niedorzeczne! Tris miał cię, odkąd skończyłaś te cholerne piętnaście lat. O co chodzi? Brakuje ci mężczyzny? W tym rzecz? Pożądanie trawi cię równie mocno jak mnie? To dlaczego nie zostałaś z Paskudnym Arnoldem w Yorkshire? On byłby zachwycony, gdyby mógł przeorać ci brzuch, kiedy tylko byś sobie zażyczyła. I na Boga,

przynajmniej ja nie postradałbym zmysłów.

Uderzył pięścią w dach dorożki. Po powóz zatrzymał się. - Wracaj do domu i połóż się do łóżka. Podobno boli cię głowa, czyż nie?

Pchnął drzwiczki na oścież i zeskoczył na ziemię, potem je zatrzasnął. Słyszała, jak rzuca instrukcje. Nie powiedziała ani słowa, tylko siedziała na popękany, skórzany obiciu kanapki, z rękami mocno zaciśniętymi na kolanach. Zaczęło padać. Wsłuchiwała się w rytmiczny stukot kropli o dach dorożki. I zupełnie bez sensu martwiła się, czy Knight nie zmoknie. Żeby tylko nie złapał przeziębienia!

Idiotka.

Duckett czekał już na nią. Spojrzał tylko na jej ubranie: brudne, w nieładzie, na jej rozczochrane włosy, bladą twarz, oczy wciąż świadczące o doznanym szoku i pospiesznie wezwał panią Allgood.

Gospodyni natychmiast zajęła się wszystkim. Przytuliła Lily. - Chodź ze mną, kochana. Położę cię do łóżka. Nie martw się o dzieci. Laura Beth smacznie śpi. Jego lordowska mość zadbał o to, zanim poszedł po ciebie. Nie, nic nie trzeba mówić. Rozumiem wszystko, naprawdę.

Skąd u niej to zrozumienie, zastanawiała się Lily. Jak ktokolwiek mógł coś z tego pojąć? Przecież ona sama nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- O Boże, pani sukienka chyba już całkiem na nic. Ale tej pięknej pelerynie nic się nie stało. Gronostaje nie doznały uszczerbku.

Po piętnastu minutach Lily, przebrana w długą flanelową koszulę, leżała już w łóżku. Laura Beth, pogrążona w głębokim śnie, tuliła się u jej boku.

Przeorać ci brzuch. Zapewne nawiązywał do dokonywanego przez mężczyzn aktowi posiadania. Koniuszkami palców lekko dotknęła brzucha, przesunęła je niżej, ku ośrodkowi rozkosznie pulsującego bólu. Nie była przecież głupia. Choć nigdy nie widziała męskiego ciała, zdawała sobie sprawę, że różni się od jej własnego zwłaszcza umieszczonym w okolicach pachwin prąciem, sterczącym mocniej, gdy mężczyzna jest ogarnięty żądzą. Pewnego razu, po śmierci jej ojca, Tris przycisnął ją mocno do siebie i jego członek napierał na jej brzuch. Nie poczuła nic poza nikłą odrazą, ale później, gdy się zastanowiła, zrozumiała, że Tris pragnął wtargnąć do wnętrza jej ciała.

Po tamtym jednym jedynym razie nigdy tak naprawdę nie zastanawiała się nad sprawami seksu, zresztą cała ta rzecz wydawała jej się nadzwyczaj dziwna i niezwykle żenująca dla mężczyzny. Ale gdy Knight całował ją i, tuląc ją do siebie, rozszalałymi palcami pieścił jej pierś, emocje, których doznała, nie miały w sobie nic z odrazy. Wręcz przeciwnie, pragnęła więcej i więcej, i nie zorientowała się, że przestał, dopóki jej nie odepchnął.

Zadrzała. Oskarżył ją, że doprowadza go do szaleństwa. Cóż, z nim była gotowa na wszystko, gdyż to, co robił z nią w dorożce, z pewnością uczyniło z niej inną osobę, kobietę, która nie potrafi zachować panowania nad sobą. Znów zadrzała, zastanawiając się, jakby to było, gdyby jego długie palce uniosły jej flanelową koszulę i pogładziły nagie ciało. Przestań, idiotko, mówiła sobie. Nie mogła się jednak uspokoić, aż w końcu zasnęła.

* * *

Knight opanował się. Dobrze wiedział, że zajął miejsce za biurkiem, by zachować od niej dystans i postawić ją w pozycji petenta proszącego o przysługę. Mniejsza z tym. Teraz, aby zachować nad nią przewagę, musi wykorzystać każdy drobiazg, który przyjdzie mu do głowy.

Dziesięć minut później rozległo się ciche pukanie do drzwi. - Wejdz! - zawołał, zadowolony, że jego głos brzmi obojętnie, jak sobie zaplanował.

Lily wśliznęła się do pokoju - inaczej nie potrafiłaby tego nazwać. Patrzył na nią i czuł, jak sztywnieje od natychmiastowego przyływu pożądania. A niech ją! Dlaczego? Tego ranka miała na sobie prostą, szarą muślinową suknię z podwyższoną talią, z długimi, obcisłymi rękawami, z kołnierzykiem tak wysokim, że niemal dotykał jej podbródka. Bujne włosy ściągnęła skromnie do tyłu. Powinien jej powiedzieć, że to kreowanie się na mniszkę jeszcze dodaje jej powabu. To prawda, że jest nieprawdopodobnie piękna, ale przecież już wcześniej znał urodziwe kobiety, rozkoszował się nimi i bez żalu porzucał. Wystarczyło tylko pokochać się z nią, a miną mu te wszystkie nienormalne uczucia. Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Jest damą, wdową po jego zmarłym kuzynie, i tak namiętą, że drżał na samo wspomnienie. Wyprostował się na krześle jak struna.

- Proszę, wejdz i usiądź, Lily. - Sam się nie podniósł. Niezbyt uprzejmie, ale mniejsza z tym.

Nawet na niego nie spojrzała. Pomogło.

- Jak tam dzisiaj twój ból głowy? Spojrzała na niego zaskoczona.

- A, to z pewnością było kłamstwo?

- Tak - wyznała siadając na krześle. Westchnęła. - Przykro mi. Powinnam pomyśleć, nim coś powiem.

Na chwilę zmarszczył czoło, potem zmusił się do przybrania obojętnej miny.

- Z dziećmi wszystko w porządku?

- Tak.

- John Jones przyjedzie za trzy godziny na rozmowę z tobą. Mam nadzieję, że na jakiś czas nie planujesz odejścia z mego domu?

- Już nigdy, chyba że sam mnie wyrzucisz.

- Och, nie, tego na pewno nie zrobię. Miałbym niezły bal z poskromieniem dzieciaków. A poza tym, jak mógłbym im wytłumaczyć, że ich mama to niemądra, wręcz bardzo głupia kobieta, która bezmyślnie opuszcza swe potomstwo tylko z powodu skłonności do samoudręczenia?

- Chyba nie udałoby ci się. To znaczy wytłumaczyć im. Sam pewnie rzuciłby się na ciebie, sądząc, że w jakiś sposób mnie obrażasz.

Wreszcie przemówiła, dzięki ci Boże.

- No dobrze, dość tych przekomarzań. Nie sprawia mi to przyjemności, zwłaszcza że zachowujesz się jak zbity pies. - Spostrzegł, że jej policzki czerwienieją i pojął, że ją zdenerwował. Zasłużyła sobie na to! Uniósł dłoń, uprzedzając jej słowa. - Wiem dlaczego odeszłaś wczoraj wieczorem. Słyszałem o damie i dżentelmenie, którzy zaatakowali cię rano w parku.

Niemal spadła z krzesła. - Ale Sam i Theo obiecali...

- Laura Beth nie obiecywała. To ona mi powiedziała. Podobno miała ochotę wrzucić tę damę do Tamizy. Powiedziała, że owa lady nazwała cię ladacznicą i dziwką i oskarżyła o spowodowanie, że ja, uczciwy mężczyzna o wysokich kwalifikacjach moralnych, zostanę wykluczony z towarzystwa. A więc pytam, Lily, dlaczego nie raczyłaś mnie o tym powiadomić? Istnieje pewna szansa, że znalazłbym dla ciebie inną możliwość zamiast ucieczki.

Skoncentrowała się na stojącym obok Knighta globusie, umieszczonym na mosiężnej podstawce na biurku. W końcu powiedziała, ignorując pytanie:

- To prawda. Nie chciałam sprawiać ci kłopotów. Chyba chciałam cię chronić, gdyż nie zasłużyłeś sobie na takie okropne gadanie.

- Na Boga, kobieto, mam nadzieję, że moi wrogowie nigdy nie przejmą sposobu, w jaki

próbowałaś przyjść mi z pomocą.

- Nie chciałam także, byś winił dzieci, lub patrząc na nas, przeklinał dzień, w którym pojawiliśmy się w twoim domu.

- Już to robiłem niezliczoną ilość razy. Spojrzała na niego i ujrzał w jej oczach ból i zaskoczenie.

Lekceważąco machnął dłonią. - Kim była ta dama? I ten dżentelmen?

- Nie przedstawiła się. Jednak najwyraźniej nas znała. Dżentelmen nie odzywał się, dopóki nie odjechała, a wtedy... - Zamilkła i ponownie zainteresowała się globusem.

Knight cały zeszywniał. - Co ci powiedział ów dżentelmen?

- Nic takiego.

Wstał, wsparł się dłońmi o blat biurka. - Lily, przysięgam, stłukę cię...

- Chciał po prostu, bym zamiast twoją, została jego kochanką. Czy nie tak wszyscy o mnie myślą?

- Aha, tak podejrzewałem.

- No to dlaczego kazałeś mi to powiedzieć?

- Opisz mi ich! - rzucił ostrym tonem.

- Ta młoda dama była piękna, ciemnowłosa, o cudzoziemskim wyglądzie, wydawała mi się nader egzotyczna. A co do dżentelmena, był starszy, o wyglądzie hulaki - chyba tak się to nazywa - i jechał na idealnie białym ogierze, on też ubrany całkowicie na biało.

- Dobry Boże!

- Wiesz, kim są?

- Tak, w rzeczy samej. - Roześmiał się. Oplótł się ramionami i śmiał coraz głośniejsze. Patrzyła na niego, kompletnie zbита z tropu. W końcu Knight się opanował. - Ta lady - oświadczył - nie jest żadną damą. Nazywa się Danielle i jest, a raczej była moją kochanką. Masz rację, to cudzoziemka. Włoszka w każdym calu. A co do owego dżentelmena, to jej aktualny opiekun, niejaki lord Daw, i z pewnością człowiek niezbyt miły. Co do tego także miałaś rację.

- Och!

- Widzisz więc, droga Lily, jestem tak nieskazitelnym moralnie dżentelmenem, że odesłałem moją kochankę dopiero dwa dni temu. Zresztą zaczynała mnie niepomnie nudzić. - To ostatnie nie do końca odpowiadało prawdzie, jednak Lily nie musiała o tym wiedzieć. - W każdym razie słyszałem już wcześniej, że lord Daw zasięgał w jej sprawie języka, a ja nigdy nie lubiłem się dzielić. Sądzę, że Danielle pragnęła się zemścić. Najwyraźniej na tobie. Zdaje się, że popełniłem największy błąd, wykrzykując twoje imię w chwili, gdy osiągałem z nią rozkosz...

Urwał. Na Boga, co się z nim dzieje? Żeby tak rozmawiać z damą, z wdową po jego kuzynie? Obserwował jej twarz. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Zobaczył w nich przede wszystkim konfuzję, a także pytanie. Miał ochotę nią potrząsnąć za to absurdalne zachowanie. I pragnął całować ją, aż znów wyda ten syreni dźwięk, rzuci się na niego i zedrze zeń ubranie.

- Lily - powiedział zbolalym tonem. - Wybacz mi moje słowa. To niestosowne, co powiedziałem...

- Powinieneś posłuchać Sama, jeżeli chcesz się czegoś dowiedzieć na temat niestosownych wyrażen.

Uśmiechnął się na to, ale jego oczy pozostały poważne. - To co zrobiłaś, było więcej niż głupie. Nie powiem chłopcom, możesz być pewna, ale Laura Beth wie, że cię nie było. Krzyczała jak oszalała, aż Betty po mnie przysłała.

- Myślałam, że zasnęła.

- Owszem, spała, dopóki coś jej nie obudziło i wtedy nie zobaczyła ciebie i nie można cię było znaleźć...

- Pani Allgood powiedziała mi, że zająłeś się małą.

- A czego się spodziewałaś? Że zostawię ją, by zapłakała się na śmierć? Oczywiście, że się nią zaopiekowałem.

Tym razem Lily przerwała mu gestem dłoni. - Problem wciąż istnieje. Czy naprawdę sądzisz, że ludzie przestaną gadać, jeżeli ja i dzieci wyjedziemy z Londynu?

- Naturalnie. Co z oczu, to z myśli, a więc i z tematu do plotek. Jeżeli zaakceptujesz Johna, za kilka dni wszyscy wyjedziecie do Castle Rosse.

- Jakoś nie mogę uwierzyć...

- Że ludzie przestaną gadać? - Wzruszył ramionami. - Nie znasz osób z towarzystwa tak dobrze jak ja. W tej dżungli jestem ekspertem, Lily. Znam zasady, które nią kierują... Na Boga, sam przyczyniłem się do powstania niektórych z nich i wiem, jak to wszystko działa. Jeżeli znikniesz ze sceny, przestaniesz istnieć.

Lily uniosła się z krzesła. - Dobrze - oświadczyła i ponownie wbiła wzrok w globus.

- Zastanawiasz się, gdzie leży Cejlon? A może próbujesz znaleźć wysepkę, na którą mogłabyś uciec?

- Nie, tylko żenuje mnie wspomnienie wczorajszego wieczora. Nie podziękowałam ci za uratowanie mnie z rąk Paskudnego Arnolda i jego okropnego kompana.

- Bardzo proszę.

- A także jestem zawstydzona tym, co wydarzyło się później. Przepraszam, że zakłóciłam ci spokój.

Oniemiały, zamilkł. Na Boga, przecież to on się na nią rzucił!

Po chwili mówiła dalej, najwyraźniej szczerze: - Przepraszam za moje dziwne zachowanie. Nie rozumiem, jak mogłam uczynić coś podobnego. Jeżeli obraziłam cię, bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że zapomnisz o tym.

- Możesz być pewna, że nie zapomnę. Popatrzyła na niego bezradna i spięta. Przemówił niezwykle łagodnym tonem: - Czy ty masz pojęcie, co znaczy dla mężczyzny, gdy kobieta ofiaruje mu się tak bez reszty? Zawierza mu całą siebie? Oczywiście, nie rozumiesz tego. Do licha, odejdz natychmiast albo powiem coś jeszcze głupszego. Mogłabyś przynajmniej zażądać ode mnie przeprosin, pani Winthrop. Na Boga, nie tylko się na ciebie rzuciłem, obraziłem cię także. - Westchnął. - Och, Lily, proszę, odejdz, i jeżeli chcesz, weź ze sobą globus. Myślę, że on wygląda lepiej od tego idiotycznego samca, który przed tobą stoi.

Oblizwała wargi. - Naprawdę mi przykro, ja...

- Bądź cicho. Uważasz mnie za idiotę? Wiem, że to nie ja byłem tym, na którego żądze zareagowałaś. Boże, jak niebiańsko szczęśliwy musiał być Tris przez ostatnie pięć lat. Mieć twoją namiętność, twoje zaufanie, posiadać ciebie.

Jeszcze nie skończył mówić, a ona już obróciła się na pięcie, uniosła skraj spódnicy i pobiegła do drzwi.

Patrzył, jak mocuje się z klamką, aż wreszcie ją nacisnęła. Ależ z niego drań. Znów sprawił jej ból. Nie miał takiego zamiaru; chciał tylko, by się opamiętała. Cokolwiek to miało znaczyć.

* * *

John Jones, młodszy brat Tilneya, był miłym młodzieńcem delikatnej budowy, o szerokim czole i

inteligentnych, brązowych oczach. Co więcej, posiadał poczucie humoru, a co jeszcze ważniejsze, nie padł niczym rażony gromem u stóp Lily. Knight nie zostawił ich samych. Po prostu nie mógł się do tego zmusić. Gdyby ten chłopak oszalał na jej punkcie, chciał być na miejscu, by osobiście wymierzyć mu kopniaka.

Po odejściu Johna - zresztą nalegał, by Lily go tak nazywała - powiedział: - A więc spodobał ci się?

- O tak. To bardzo sympatyczny młodzieniec. Jestem pewna, że chłopcy go polubią.

- Co więcej, nie zakochał się w tobie od pierwszego spojrzenia.

Tylko uśmiechnęła się, jakby palnął jakieś głupstwo. - Szkoda, że go nie poznali.

- Spotkają się w środę. Sam i Theo ufają twej opinii.

- I oczywiście twojej.

- To prawda. A przy okazji, Theo za mniej więcej godzinę zaczyna pracę w mojej bibliotece. Na początku pomoże mu Trump. Po przybyciu do Castle Rosse chłopiec będzie kontynuował swe zadanie przy tamtejszych zbiorach. Zawierają wprawdzie mniej pozycji, ale, jak sobie przypominam, są w o wiele gorszym stanie.

- Dziękuję.

Niecierpliwie machnął ręką.

- Masz ochotę na krótki spacer? Jest dość ciepło, w każdym razie świeci słońce, zresztą opatul się dobrze.

Jakby zapadła się na krześle. - O nie! Zmierzył ją wzrokiem. - Tchórz.

- Masz rację, jeżeli to oznacza, że chcę zaoszczędzić sobie następnych obelg.

Knight nic na to nie powiedział, tylko przeszedł się wokół pokoju. Zdumiona pobiegła za nim wzrokiem. I nie zdołała się powstrzymać od wspomnienia dotyku jego ciała i emocji, jakich doznała od pieczyoty jego dłoni, ust...

- Lily, przestań.

Knight przełknął ślinę. Odwrócił się, by coś powiedzieć i... Patrzyła na niego, jakby był nagi lub jakby zaraz sama miała go rozebrać, i w jej oczach ujrział pożądanie. Boże, wrażenie cudowne, ale nie do zniesienia!

- Wychodzę, Lily. Dziś wieczorem nie będzie mnie na kolacji. - Ruszył do drzwi i nagle się zatrzymał. - Zastanę cię po powrocie, prawda? Nie zamierzasz ponownie uciekać?

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Życzę ci dobrego dnia - rzucił jeszcze, i już go nie było.

Wciąż wyganiam go z domu, pomyślała, choć nie rozumiem dlaczego. Wolno podniosła się i wyszła z biblioteki, napotykając w drzwiach Theo i Trampa; sekretarz Knighta śmiał się rozbawiony czymś, co powiedział Theo. Usłyszała zachwyty chłopca nad książkami jego lordowskiej mości na temat hodowli koni.

- Witaj, mamó - powiedział chłopiec z wesołym uśmiechem. - Tu jest cudownie, prawda?

Poklepała go po ramieniu, uśmiechnęła się do Trumpa. - Dziękuję panu za pomoc.

Pokonała już połowę schodów na górę, gdy rozległo się stukanie do frontowych drzwi. Zatrzymała się, usłyszawszy, że Duckett podchodzi swym pełnym godności krokiem i otwiera.

Ton, jakim zwrócił się do przybyszy, zabrzmiał lodowato. Kupcy? Zastanawiała się. Potem usłyszała własne imię i nazwisko: Lily Tremaine. O Boże!

Duckett lustrował wzrokiem dwóch osobników stojących na frontowych schodach. Jeden, o

niskim czole i niemiłym spojrzeniu, wyglądał na zbirą, co to bez wahania zamordowałby własną matkę; drugi miał nabiegłe krwią oczy, brodę cofniętą, świadcząca o słabości charakteru i paskudną twarz. I oto stali i pytali o panią Winthrop, tylko że pomylili jej nazwisko. Powiedział tonem wystarczająco chłodnym, by zmrozić miód: - Tu jej nie ma. W tej posiadłości nie przebywa żadna Lily Tremaine.

Monk zlustrował wzrokiem niskiego kamerdynera o ciemnych włosach i imponującym wyglądem. Co za parszywiec, nadęty kogucik. - Słuchaj no, wiemy, że tu jest. Przyrowadź ją, albo pożałujesz. My jej przyjaciele, i...

Nieemożliwe, pomyślał Duckett i niezwykle zręcznie zatrzasnął im drzwi przed nosem. Zrobił to tak nagle, że Monk nie zdążył zareagować. Boy instynktownie cofnął się na widok wściekłości na twarzy kompana i omal nie spadł z pozostałych pięciu stopni.

- Ty draniu! - Monk uniósł pięść, już miał załomotać w drzwi, ale się powstrzymał.

Duckett odwrócił się z zaniepokojoną miną. Zobaczył Lily i pośpiesznie do niej podszedł.

Wyglądała na bardziej zaskoczona niż wystraszona, ale mocno trzymała się poręczy schodów. - Kto to był, Duckett?

- Dwóch łotrzyków, proszę pani. Już sobie poszli. Dziwne, pytali o panią, używając jej panińskiego nazwiska. Tremaine, czyż nie?

Skinęła głową, ogarnięta falą ulgi. W tym momencie odczuła cały ciężar swego kłamstwa, ale postanowiła o nim zapomnieć. Przez chwilę mignął jej ten wielki mężczyzna, który rozmawiał z Duckettem. Wyglądał niebezpiecznie i nie zaufała mu w najmniejszym stopniu. Najwyraźniej znali Trisa. Czego mogli od niej chcieć? Nie znajdowała na to pytanie odpowiedzi.

- Prawdopodobnie pomylili się - powiedziała w końcu, a Duckett, ta wielce szanowna osobistość, ledwie raczył na nią spojrzeć.

Poszła na górę do pokoju gościnnego, którego okna wychodziły na ulicę. Zobaczyła tych dwóch stojących przy parku po drugiej stronie. Jeden coś perorował, drugi gestykulował, wskazywał na dom. Pospiesznie odsunęła się od okna, z powrotem zaciągnęła zasłony.

Bała się. Działo się coś bardzo złego.

- Mamo?

Odwróciwszy się, ujrzała w drzwiach Laurę Beth z carycą Katarzyną pod pachą. - Tak, kochanie?

- Caryca chce się bawić. Z kimś dorosłym, jak mi powiedziała.

- Dobrze - zgodziła się Lily roztargnionym głosem. Musi wziąć się w garść. Za kilka dni wyjedzie z dziećmi z Londynu. Do tego czasu nie będzie wychodzić z domu. Już uspokojona, powiedziała z uśmiechem: - Pozwól, że najpierw sprawdzę, co robi Sam.

Pojawiła się w samą porę. Chłopiec stał na krześle przed bardzo starym płótnem olejnym, portretem jakiegoś Winthropa z czasów Elżbiety, ubranego w białą kryzę, jedwabny kubrak i pikowane spodnie.

W wyciągniętej ręce Sam trzymał pióro, jakby szykował się do artystycznej kariery.

- Ani się waż, Samie!

Obrócił się gwałtownie i spadł z krzesła, lądując na poślaskach.

Po upewnieniu się, że nic mu się nie stało, Lily popuściła sobie wodze. - Co zamierzałeś?

Sam chrząkał, mruczał, wykręcał się jak mógł, wreszcie przyznał: - Miałem temu osobnikowi dorysować wąsy. Powinien je mieć, mamo. Brak mu górnej wargi. Wygląda na chytrusa.

- Och, Samie, jak mogłeś? Przyznaję, że ten człowiek swą podobizną zbytnio nie cieszy oczu, ale

nie możesz robić takich rzeczy. Ten obraz nie należy do ciebie. Zaraz tobie domaluję wąsy.

- Podobałoby mi się. Oboje znieruchomieli.

Knight szedł do nich korytarzem. - To, drogi chłopcze, jest jakiś prapradziadek. Jego szlacheckiego tytułu, na szczęście, nie pamiętam. Jak mówił mi mój nauczyciel, był z niego niezły łotr. - Knight podszedł do obrazu i przyglądał mu się, drapiąc się po brodzie. - Chyba masz rację, Samie. Brak mu górnej wargi. Jednak wolałbym, byś na razie powstrzymał się od dorysowywania mu wąsów. Może za jakieś sto lat poprawi swój wygląd.

Dokończywszy monologu, Knight pozdrowił gestem Lily i odszedł, szybko zdążając do swej sypialni przy końcu korytarza.

Nagle pojawił się Stromsoe. Przechodząc obok Sama, chrząknął i obrzucił chłopca spojrzeniem, które mogłoby skwasić mleko. - Zły chłopiec - usłyszeli jak mruczy pod nosem.

- Nadęty bęcwał - rzucił za nim Sam.

Stromsoe przystanął i Lily wstrzymała oddech. Chwyciła rączkę chłopca i mocno ją ścisnęła. Pokojowy, dzięki Bogu, nie odwrócił się, ale poszedł za swym panem.

- O Boże! - westchnęła Lily: Podniosła się i postawiła krzesło na miejscu.

- Oddaj mi pióro, Sam.

- Och, mammo! No dobrze.

Chłopiec spodziewał się niezłej reprimendy, ale nic takiego nie nastąpiło. Ujrzał, że Lily się nachmurzyła, wyraźnie zmartwiona, i poczuł wyrzuty, sumienia z powodu tego idiotycznego portretu i napuszonego lokaja, choć nieprzesadnie dotkliwie. Stromsoe także miał wąską górną wargę i na dobitkę cofniętą brodę.

- Pobawię się z Laurą Beth, mamusiu - zaproponował wspaniałomyślnie.

- Dziękuję, kochanie. Tylko ostrożnie obchodź się z jej lalką, dobrze?

- Tak, mamusiu.

* * *

Pani Allgood odchrząknęła lekko. Lily uniosła głowę znad układanki, którą z chłopcami próbowali ułożyć.

- Jego lordowska mość życzy sobie pani obecności przy kolacji, pani Winthrop.

Theo, rozważając, który kawałeczek mógłby pasować w rogu Królewskiego Pawilonu, uniosł wzrok. - Idź, mammo. I powiedz kuzynowi Knightowi, ile osiągnąłem dzisiaj w bibliotece.

- Idź, koniecznie - dodał Sam. - Powiedz mu, że nie będę dorysowywał wąsów nikomu, także na portretach dam.

- Z pewnością poczuje wielką ulgę - stwierdziła Lily i skinęła głową.

- Ja też pójdę - zażądała Laura Beth.

Pani Allgood uśmiechnęła się. - Jego lordowska mość pragnie, by pani zeszła z dziećmi; chce się nacieszyć ich obecnością.

Lily wyraziła zgodę. Nic innego jej nie pozostało. Sam i Theo byli wielce podekscytowani, Laura Beth kręciła się o wiele za blisko zaledwie częściowo złożonej układanki.

Lily nie ufała Knightowi. Pewnie Duckett powiadomił go o tych ludziach. I o nazwisku, pod jakim o nią wypytywali.

- O Boże - jęknęła. Spojrzała na chłopców. - Nigdy - powiedziała im - nigdy nie kłamcie. Potem wychodzi z tego okropne zamieszanie z większą ilością zasadzek, niż można było przewidzieć. I trwa bez końca. Nigdy tego nie róbcie.

Theo spojrział na nią dziwnie, ale Sam, który nie mógł się doczekać spotkania z wicehrabią, już stał pod drzwiami.

- Chodźmy, mamo - poprosiła Laura Beth i uniosła rączki.

Rozdział 10

Knight, w całym swym splendorze, stał pośrodku salonu i czekał. Głęboka czerń jego wieczorowego stroju kontrastowała z bielą i nadawała mu imponujący wygląd, jak zapewniał swego pana Stromsoe.

- Pan posiada klasę, milordzie - wyznał pokojo-wiec w niespodziewanym przypiływie zachwytu - taką, że inni dżentelmeni zagryzają wargi z zazdrości.

Knight ze zdumieniem spojrzał na swego zazwyczaj ponurego lokaja. I wtedy Stromsoe zepsuł swe wielce obiecujące wejście przez porzucenie pochwał pana na rzecz jęklivych narzekañ na niegrzeczne zachowanie Sama, i w ogóle na niestosowność obecności dzieci w domostwie dżentelmena, i na damy, młode wdowy, które, w jego, Stromsoe'a pojęciu, zachowują się niewłaściwie.

Knight przerwał monolog sługi, nawiązując do niezrealizowanego pomysłu Sama: - Tego obrazu nie powiesiłaby nawet najbardziej kochająca matka artysty. Mój przodek musiał być ślepy albo miał okropny gust. Dorysowaniem wąsów Sam tylko by upiększył malowidło. Może nawet pozwolę mu na to. A teraz, Stromsoe, dość narzekania. Pani Winthrop i dzieci w środę wyjeżdżają do Castle Rosse.

Lokaj zrobił minę, jakby miał się na tę wiadomość rozplakać ze szczęścia, a przynajmniej głośnymi okrzykami chwalić Boga, i Knight pomyślał nagle, że Stromsoe i pozostali służący tak nawykli do spokojnego, uporządkowanego trybu życia, iż wszelka możliwość zmiany mogła ich wielce niepokoić.

Spojrzał w stronę podwójnych drzwi i zastanawiał się, czemu jeszcze nie ma Lily i dzieci. Przycisnął ją do muru, wiedział o tym. Uśmiechnął się na myśl o swej strategii. Zapraszając dzieci, zmusił ją do przyjścia. A właśnie dlatego, nie miał co do tego wątpliwości, wrócił na kolację. Z początku szczerze zamierzał pozostać poza domem aż po północy. Miał pójść do opery i wziąć sobie do łóżka Janine, śliczną kurtyzanę o okazałym biuście, ale nic z tego nie wyszło. Spacerował samotnie, próbując rozkoszować się późnym popołudniem, ale wciąż nie mógł oderwać myśli od Lily. Zawsze ta Lily, Chyba doznał rozmiękczenia mózgu!

Była jedyną kobietą w całym jego dorosłym życiu, przy której stracił panowanie nad sobą, która rzuciła go na kolana. Zachował się okropnie. Gdyby wczoraj w dorożce nie przerwał swego ataku na nią, nie dałby jej rozkoszy, sprawiłby jej ból. Zachował się jak dzikus, barbarzyńca, i był przerażony samym sobą. Nie podobało mu się to, co się z nim dzieje, nic a nic.

U diabła, przecież jest dżentelmenem. Powtarzał to sobie bezustannie od poprzedniego wieczora, jednak nie udało mu się osłabić dzikiej żądzy, jaką wobec niej czuł, tego natychmiastowego i obezwładniającego efektu, jaki wywierało nań już samo jej imię.

Znał ją od tak niedawna. Jakże mógł tak idiotycznie na nią reagować?

Usłyszał jej łagodny głos tuż za drzwiami salonu i poczuł jak jego ciało odpowiada na jej

obecność.

Zaklął, przełknął ślinę i zmusił się do przybrania obojętnej miny. Nie było to łatwe.

Sam wpadł do pokoju niczym bąk i zatrzymał się tuż przed Knightem. - Przepraszam, sir, to nie była wina mamy, zatrzymała mnie i zmyła mi głowę, i więcej tego nie zrobię.

Knight patrzył w dół na zaniepokojoną małą twarzyczkę, w której nie mógł się dopatrzeć żadnych rysów Trisa, a coraz bardziej jemu, Knightowi, drogą i pomyślał, że on sam nigdy nie czuł potrzeby chronienia swej matki tak, jak czyni ten malec. A do tego ona jest jego macochą, nie prawdziwą matką. - Nigdy nie uważałem, że to wina twojej mamy - powiedział łagodnie. - Wszystkie znaki wskazywały na twoje działanie, nie Lily. - Sam roześmiał się, co właśnie było intencją Knighta.

- On już tego więcej nie robi, sir - obiecał Theo, stając obok brata.

- Nigdy nie składaj obietnic, których nie jesteś w stanie dotrzymać, Theo. Biorąc pod uwagę historię psot Sama, nie odważyłbym się nawet na jedno małe zapewnienie.

- Och, proszę pana, nie jestem taki zły! - zaprotestował Sam.

- Prawdopodobnie o wiele gorszy - orzekł Knight z uśmiechem i zmierzwił czuprynkę chłopca.

Uniósł wzrok i ujrzał Lily z wiercącą się Laurą Beth w ramionach. Nie przebrała się na wieczór, nie miała dość czasu. Ale wyglądała tak wspaniale w prostej muslinowej sukni, że aż poczuł w sercu ból.

- Dobry wieczór, Lily.

Gdy spojrzała na niego, ogarnęło go pragnienie, by pochwycić ją, zarzucić sobie na ramię i odjechać wraz z nią w ciemną noc. Dobry Boże, pomyślał przerażony. Gdyby ojciec mógł go teraz widzieć, zataczałby się ze śmiechu. I nazwałby go głupcem, dorzucił jeszcze kilka epitetów i skwitował całą rzecz, że myli dobrą, starą męską żądę z czymś więcej, co istnieje tylko w głowach słabych niewiast i na stronach niemających nic wspólnego z rzeczywistością romansów.

- Witaj, milordzie.

Uniósł brew na tę formalność, ale nie miał czasu na reakcję. Laura Beth już stała u jego stóp, ciągnąc go za nogawkę spodni. - Dobry wieczór, drobinko. - Uniósł ją i zaraz chudymi ramionkami objęła go za szyję. Złożyła mu na policzku wielce mokrego całuska.

- Ohyda! - skomentował Sam. - Laura Beth, przestań, to takie oślizgłe.

- Jest tylko małą dziewczynką - wystąpił w obronie siostrzyczki Theo, narażając się na niepochlebne mruknięcie brata.

- Przyprowadziłam ich - powiadomiła niepotrzebnie Lily.

- I bardzo mnie to cieszy. A teraz wszyscy usiądziemy przy kominku i opowiecie mi, jak spędziliście dzień.

Lily trzymała się z tyłu, patrząc, jak wicehrabia uśmiecha się do całej trójki, jak każde z dzieci chce przyciągnąć jego uwagę. Laura Beth zajęła wyśmienite miejsce, niczym mała księżniczka, na kolanach Knighta, a chłopcy stanęli po obu jego stronach i obaj mówili naraz. Knight śmiał się i ich uspokajał.

Lily usiadła na krześle o twardym oparciu, z dala od pozostałych. Mogłam była nie wracać, pomyślała, wpatrzona w tę intymną, rodzinną scenę. Nie brakowałoby im mnie. Mają jego...

- Mamo! - zawołał Sam - Jak nazwałaś tę rzecz? Otrząsnęła się z niemądrych myśli. Prawda była taka, że ona sama nie mogła się bez nich obyć.

- Jaką rzecz, kochanie?

- Chodź do nas, mamó - poprosił Theo, odsuwając się od Knighta. Klepnął krzesło po prawej

stroni© wicehrabiego.

Podeszła bliżej. Napotkała wzrok Knighta i to, co zobaczyła, niemal pozbawiło ją wszelkiej kontroli. Te jego oczy: zarazem gwałtowne i czułe, wygłodzone, dzikie i łagodne. Zadrżała, dziwiąc się, w jaki sposób mogła wzbudzać podobnie krańcowe emocje, które działały na nią tak osłabiająco.

- Podejdź bliżej ognia, Lily.

Chciała krzyknąć, że to on przyprawia ją o dreszcze, a nie temperatura w tym przeklętym pokoju. Ale tylko się uśmiechnęła.

- A jaką to rzecz miałeś na myśli, Sam?

- To co znalazłem za tym brzydkim krzesłem, w tym okropnym, zielonym pokoju sypialnym.

Lily niemal się zadławiła się; jej oczy unikały Knighta. - Nic takiego nie pamiętam - powiedziała wielce stanowczym tonem. - A teraz...

- Ależ pamiętasz, mamó. To było długie, chude i bardzo stare, jak powiedziałaś, coś z szesnastego wieku. Kuzyn Knight chciałby się o tym dowiedzieć.

Kuzyn Knight uświadomił sobie, że ta rzecz, o której mówi Sam, to prawdopodobnie coś zabronionego i Lily była przestraszona, że nakrzyczy na nich za ruszanie cennych rodowych przedmiotów z przeszłości. Powiedział obojętnie: - Wiesz co, Samie, może przyniesiesz mi tę okropną rzecz jutro rano. Razem ją zbadamy, tylko nas dwóch.

- Dobrze, milordzie.

No i co, Knight pragnął zapytać Lily, czy to cię nie przekonuje, że nie jestem potworem?

Trzydzieści minut później, gdy dzieci po wielu narzekaniach i marudzeniu dały się wreszcie nakłonić, by Betty zabrała je do łóżek, Knight i Lily zasiedli do stołu w jadalni. Zapanowało milczenie, zakłócanie jedynie dźwiękami widelców i noży. Duckettowi pomagał tylko jeden lokajczyk, Charlie.

- Jeszcze trochę zapiekanki z wołowiną, madami - zaproponował kamerdyner.

- Nie, dziękuję, Duckett. Jestem całkowicie najedzona.

- A to czym? - Knight obrzucił wzrokiem jej talerz.

- Mogłabym powiedzieć to samo o tobie. Coś nie widać, by zbytnio interesowała cię pieczeń z prosięcia.

Wiedział, że miała rację, ale stracił całkiem apetyt, gdy tylko weszła do salonu. Poza nienasyconym głodem jej osoby, który przenikał go całego. Wypił wino, potem zwolnił Ducketta i Charliego. Gdy drzwi cicho zamknęły się za nimi, powiedział szorstko: - Duckett poinformował mnie o twoich gościach.

Lily zamarła, z widelcem zawieszonym nad zimnym wzgórkim tłuczonych kartofli, i instynktownie potrząsnęła głową.

- Aha. Więc nie powiedziałaś mi o nich, czyż nie? Tak jak i o tej damie i dżentelmenie w parku; chciałaś mnie chronić? A może to coś innego? Twoja nieczysta przeszłość, Lily?

- Nie, to absurdalne.

- Według Ducketta, wyglądali na złodziei, przemytników, nawet morderców. - Urwał i spojrzał jej prosto w twarz, potem dodał poważnym tonem: - Powiedział także, że pytali o Lily Tremaine.

Pospiesznie odwróciła wzrok. Wbiła go w tłuczone kartofle. Siedzieli nieruchomo. Zmusiła się do obojętnego wzruszenia ramionami. - To dziwne, prawda? Nie mam pojęcia, kto to był. Duckett pozbył się ich. On jest absolutnie niezłomny.

Knight wstał i przyniósł z kredensu karafkę z brandy. Mówiła prawdę. To dziwne, ale po tak

krótkim okresie znał ją, naprawdę ją znał. - Należę nam obojgu. Chyba dobrze ci zrobi.

Nie odmówiła. Popijała delikatną brandy i czuła, jak ciepło spływa jej aż do kolan. Nigdy wcześniej nie piła tego alkoholu. Powiedziała o tym Knightowi.

Parsknął zduszonym śmiechem. - Ma właściwości łagodzące wszelkie dolegliwości świata. Pewnie dlatego dżentelmeni piją ją przy posiłkach. Pomaga strawić pożywienie i dodaje sił, by sprostać towarzystwu czekających w salonie pań.

- Ależ cynik z ciebie.

- Faktycznie, kiedyś taki byłem - przyznał i nachmurzył czoło.

- O co chodzi?

- Tych dwóch mężczyzn. Jesteś pewna, że nigdy wcześniej ich nie widziałaś?

- Nie sądzę. Nie, jestem pewna. Nie mam najmniejszego pojęcia, kim są.

- Ale zastanawiałaś się nad tym, prawda? Najwyraźniej znają cię z Brukseli. Może to jacyś kamraci twego ojca? Albo Trisa?

- Możliwe. Gdy Duckett zatrzasnął drzwi, poszłam na górę i z okna widziałam ich po drugiej stronie ulicy, koło parku. Rzeczywiście okropnie wyglądali, jak kandydaci do Newgate, jakby powiedział mój ojciec. Co mogliby mieć z nim wspólnego? Czy z Trisem? Zapewniam cię, że ani mój ojciec, ani Tris nie wynajmowali zbójców.

- Dlaczego nazwali cię Lily Tremaine? Nie poruszyła się. - Nie mam pojęcia.

- To daje podstawę do spekulacji, czyż nie? Jeżeli ktoś chce spekulować.

Roześmiał się, potem zapytał: - Czym zajmował się Tris, by zapewnić wam utrzymanie?

- Nie wiem, nigdy nic mi nie mówił, ale... - urwała, wzrokiem poszukała jego twarzy wiedząc, że zastawił na nią pułapkę; czekał, by się wygadała i omal mu się nie udało.

- Mów dalej, Lily.

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Co przede mną ukrywasz i jakie to ma znaczenie? Tris nie żyje, jego już nie obowiązują moralne zasady. Ale muszę przyznać, że nie rozumiem cię, Lily.

No dobrze. Jeżeli tak cię to interesuje, to mogę ci powiedzieć, że z Trisem albo się ucztowało, albo przymierało głodem. Ostrożnie, Lily. Mieszkałaś z nimi zaledwie sześć miesięcy. Ale pamiętała poprzednie dwa lata, gdy Tris odwiedzał jej ojca.

- Częściej bywały uczyty - wyznała. - A przy moim ojcu odwrotnie.

- Częściej znajdował się pod wozem?

- Właśnie. - Boże, to z pewnością prawda. Gdyby nie Tris, ją i ojca wyrzucono by nieraz z małego domku w Brukseli.

- Na wozie lub pod wozem - powtórzył Knight, wpatrując się w brandy. - To musiało być dla ciebie trudne, jako jego żony, w czasie głodnych dni. A dla ciebie jako córki, w czasie chudych lat twego ojca.

- Możliwe.

- Masz jakieś pojęcie, skąd Tris zdobywał pieniądze?

- Nie, naprawdę nie wiem, tylko... Nie, to niemożliwe, miałam tylko takie uczucie, ale...

- Jakie uczucie? No, powiedz mi.

- Jak wiem, damy uważają kwestie pieniężne za niewarte ich uwagi, tak jak zresztą dżentelmeni.

- Ja jestem innego zdania. Możesz powiedzieć, co wiesz. Co miałaś na myśli?

Lily zmarszczyła czoło. - Mówiłam, że ani mój ojciec, ani Tris nigdy nie potrzebowali usług

morderców. Jestem przekonana, że to prawda. Ale czasami Tris wyjeżdżał nawet na całe dwa tygodnie, bez żadnego wyjaśnienia i zawsze wracał z pieniędzmi, całym mnóstwem. Gdyby ktokolwiek zapytał go, czym się zajmował na wyjeździe, tylko by się roześmiał; dzieciom przywoził niezwykle cenne prezenty.

- Sądziś, że mógł być zaplątany w jakieś nieczyste interesy?

Lily wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Chciałaś, bym ci powiedziała. To wszystko, co mi wiadomo.

- Czy kiedykolwiek widziałas go w towarzystwie nieznajomych mężczyzn? O podejrzanym wyglądzie?

Ujrzał na jej twarzy wyraz zaskoczenia, skinęła głową. - Tak, raz. Nie tych, którzy przyszli tu dzisiaj, ale innych, równie odpychających. Gdy zapytałam o nich Trisa, znów tylko roześmiał się lekceważąco i stwierdził, że mam zbyt bujną wyobraźnię.

- I może miał rację. - Dała mu wiele do myślenia. Po chwili powiedział: - Dopij brandy, Lily. Może zagramy partyjkę?

Nastroszyła się. Nie była kompletną idiotką. Spędzi z nim jeszcze trochę czasu i kompletnie się załamie, wiedziała o tym. - Nie jestem najlepsza w grze - oświadczyła w końcu, po raz ostatni wbijając wzrok w tłuczone kartofle.

Parsknął śmiechem. - Nie kłam, Lily. Tris był ha-zardzistą; co więcej, uwielbiał wszelkie zabawy w karty. Nie uwierzę, by w ciągu tych pięciu lat waszego pożycia nie nauczył cię reguł każdej możliwej gry hazardowej.

Lily wstała i rzuciła serwetkę na talerz. - Dobrze, milordzie. Rozgromię cię. Próbowałam jedynie oszczędzić ci kompromitacji.

Knight, wyśmienity gracz, powiedział skromnie: - Doceniam twoją wyrozumiałość, Lily, naprawdę doceniam.

* * *

Knight jeszcze nie spał, gdy zegar na końcu korytarza wybił północ. Lily nie do końca go pokonała, ale wygrała dwie z trzech partii, zdobywając znacząco większą ilość punktów.

- Ale z ciebie chytrus - zauważył, gdy przyłapała go przytrzymującego waleta pik i był zachwycony jej dźwięcznym, beztroskim śmiechem. Pragnął, by częściej była taka beztroska. Chciał usunąć z jej życia wszelkie zmartwienia, lęki, poczucie zagrożenia.

- Coś mi się wydaje, że ciebie też tak już nazywano - zauważyła szczerze. - Nie jesteś przeciwnikiem, którego można by lekceważyć, milordzie.

- Co za pochwała. Chciałabyś się założyć o wynik naszej gry?

Pytając przechyliła głowę, ale oczy błyszczały podekscytowane, pełne wyzwania. - Wiesz przecież, że to ja wygram, dlaczego chcesz przegrać zakład?

- Ho, ho, moja pani, stała się pani zbyt pewna siebie. Rozegraliśmy dopiero jedną partyjkę. I miałaś lepsze karty. No więc, co z tym zakładem?

- Nie wiem. Nie mam za dużo pieniędzy i nie jestem tak głupia, by uważać się za niezwyciężoną. Zawsze może mi przecież nie iść karta.

- Czyżby twoje umiejętności nie były w mocy pokonać niekorzystnego rozdania?

- Jestem trochę hazardzistką, to prawda, ale nie idiotką, i nie spieszy mi się, by przegrać tych kilka ostatnich gwinei, jakie posiadam.

- Nie myślałem o zakładaniu się o pieniądze, Lily.

- No to o co?

Oparł się na krzesło zamyślony. Stukał koniuszkami palców złożonych dłoni, świadom, że Lily uważnie go obserwuje. Co ona sobie myśli? Może znów go pragnie? Aż przeszedł go dreszcz.

Stawka została ustanowiona, choć zaskoczył ją swoją propozycją. Na chwilę ze zdumienia wstrzymała oddech i spoglądała na niego ze źle ukrywanym podekscytowaniem.

- To za dużo, Knight, o wiele za dużo. - Ale wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości: chciała, by nalegał.

Ach, ten błysk radości w jej oczach! - postanowił ją przekonać, w końcu się zgodziła.

A gdyby to ona przegrała? Tylko potrząsnęła głową i uznała jego propozycję za nierozsądną i niestosowną, zresztą nawet nie chciała rozważać podobnego rozwoju sytuacji.

- A więc, nie ma sprawy. - Wzruszył ramionami.

Teraz gra stała się poważniejsza, bardziej się koncentrowali. Lily okazała się bystra, szybko, bez żalu podejmowała decyzje, grała ostro i pewnie. Nawet ton jej głosu zmienił się z miękkiego i spokojnego na ostry i chłodny. Miał przed sobą całkiem inną Li-ly. I wielce rozkoszował się tą sytuacją.

Rozegrali trzy partie, i przegrał. Chętnie by kontynuował, ale widział, że jest zmęczona, a Laura Beth pewnie już o świcie będzie skakać po łóżku, pragnąc uwagi matki.

- Przegrałem - oświadczył i uśmiechnął się do niej. - To nie jest dla mnie zwykle doświadczenie.

- Ale zdajesz się zadowolony. Do tego ja z kolei nie nawykłam.

- Cóż, zostałam właścicielką klaczy, Lily. Jesteście idealnie dla siebie stworzone. Chyba wiesz, że Violet ma rodowód bez najmniejszej skazy.

- Dziękuję, Knight, to cudowne zwierzę.

Nie zamierzał się przyznać, że kupił konia specjalnie dla niej. No cóż, może kiedyś się wygada. Nagle wytrzeźwiał. Chyba nie myśli poważnie. Kiedyś? Zastanawiał się, jak by Lily postąpiła, gdyby to ona przegrała. Przyjęłaby od niego nową garderobę? Kupioną w jego obecności? Znów uśmiechnął się przekornie.

- O co chodzi?

- Zastanawiałem się, czybyś się wywiązała, gdybym wygrał zakład.

- Według mnie sprawiedliwości stało się zadość - starała się przybrać odpychający ton, ale zupełnie jej to nie wyszło. Knight całkiem wyraźnie dosłyszał w nim śmiech. - Jesteś niemożliwy. Co więcej, zgodziłam się na twoją niestosowną propozycję tylko dlatego, że byłam pewna wygranej. Naprawdę powinieneś unikać zakładów, przy których tracisz pieniądze niezależnie od wyniku. A teraz idę do łóżka, milordzie. Dobranoc, i dziękuję za Violet.

Podniósł się i stał przez chwilę. Nie powiedział ani słowa, tylko pochylił się ku niej. Uniósł dłoń i lekko, koniuszkami palców przesunął po jej gładkim policzku. - Dobranoc, Lily. - Skłonił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Odwrócił się pospiesznie, a ona stała nieruchomo i patrzyła na jego sztywno wyprostowane plecy.

A teraz ten przeklęty zegar szybkim krokiem zbliżał się do trzeciej trzydzieści nad ranem. Następnym razem założy się o to samo, ale wtedy on wygra.

Uśmiechnął się do tej myśli i w końcu zapadł w głęboki sen.

* * *

John Jones rozbawiony zwrócił się do Lily: - Mój najmłodszy brat jest wielce podobny do Sama,

proszę pani. Mama zwykła była rwać sobie włosy z głowy i nazywała go swą pustogłową Nemezis. Ma na imię Robert. Właśnie skończył osiemnaście lat i jest postrachem nauczycieli w Oksfordzie.

Lily aż jęknęła. - Czy to się nigdy nie kończy?

- Kto wie? Muszę jednak przyznać, że w towarzystwie Roberta trudno się nudzić.

- Przynajmniej posiada pan jakieś doświadczenie, John.

- Bardzo kocham mego brata, proszę pani. Przekonałem się, że jeżeli pokierować nim i zainteresować ćwiczeniami, które go wymęczą, mniej jest skłonny popadać w kłopoty. A właśnie, czy mógłbym już poznać chłopców?

Lily przedstawiła obu nauczycielowi, potem cofnęła się i przyglądała, jak się dogadują. Sam lustrował Jonesa wzrokiem, przyglądał mu się badawczo i nad wyraz nieuprzejmie. Theo nieśmiało uśmiechał się do nowego nauczyciela, ale wyraźnie zachował czujność. - Jego lordowska mość powiedział mi, że podjąłeś się skatalogowania biblioteki - zwrócił się John do starszego chłopca. - Boże, cóż to za zadanie. Może mnie trochę oświecisz w tym względzie.

Punkt dla Johna Jonesa, pomyślała Lily, uśmiechając się do siebie.

- A ja zostanę artystą - oświadczył Sam, przerywając Theo po całych czterech minutach. Lily z zadowoleniem przyjęła tak do niego niepodobny pokaz cierpliwości. Cztery minuty to dla Sama cała wieczność.

- Artystą? - zaciekawiał się John.

- O tak. Kuzyn Knight pozwolił mi zacząć od jednego z przodków Winthropów we wschodniej galerii. Gościowi na portrecie przydałyby się wąsy. Prawie nie ma górnej wargi.

John powstrzymał się od uśmiechu. - Może byłoby lepiej, gdybyś przed ostateczną próbą trochę poćwiczył rysowanie wąsów. Bo wiesz, umieścisz je na portrecie i zostaną tam już dla wszystkich następnych pokoleń. Chyba byś nie chciał, by jakiś twój prawnuk powiedział: to dzieło mego pradziadka. Miał talent, ale najwyraźniej brakowało mu praktyki.

Sam zdawał się wielce zaskoczony tym objawem logiki, wreszcie przypomniał sobie o swych powinnościach. Rzucił spojrzeniem w stronę Lily i powiedział: - Proszę pana, Theo i ja musimy znać pańskie intencje względem naszej matki.

- To prawda, sir - dodał Theo, nieświadomie przysuwając się bliżej Lily.

Ta roześmiała się z przerażonej miny Johna. - Janie rozumiem, chłopcy - wyjąkał. Czerwona plama rumieńca ogarniała mu szyję, wypływała ponad kołnierzyk.

- Musimy być ostrożni, gdy chodzi o mamę - wyjaśnił Sam. - Mężczyźni głupieją w jej obecności i naszym obowiązkiem jest chronić ją.

- Sam, przestań.

- Przysięgam wam - powiedział John, gdy doszedł do siebie i zrozumiał sytuację - że nigdy nie obrażę waszej matki nawet jedną niewłaściwą myślą. - Położył rękę na sercu.

- Ani czynem? - upewniał się Sam.

- Dosyć tego! - zawołała Lily, zbliżając się do Johna. - Zapewne czuje się pan zażenowany i prawdopodobnie urażony.

- Ależ nie, madam. Naprawdę, Theo i Samie, będę odnosił się do waszej mamy z największym szacunkiem.

- W porządku - zgodził się Sam. - Ale będziemy pana obserwować, sir.

- Jest pan pewien, że dalej pragnie pan ich towarzystwa, panie Jones? - zapytała Lily.

- Tak, proszę pani. Myślę, że świetnie się dogadamy.

- To dobrze. Zostawiam was teraz samych. Chłopcy, słuchajcie pana Jonesa. Ja będę z Laurą Beth.

* * *

Naprawdę ćwiczyłem rysunek, i to całe piętnaście minut! - pomyślał Sam ze zdziwieniem, kopiąc kamyk leżący przed nim na ścieżce. Nawet pokazał Johnowi portret i dowodził, że kilkoma pociągnięciami pędzla wyleczyłby problem tego przodka, jednak nauczyciel nalegał, by chłopiec poćwiczył jeszcze trochę. Sam wypełnił papier rysunkowy taką ilością wąsów, że z pewnością przyśnią mu się, a nie będzie to przyjemny sen. Wymknął się z pokoju znudzony i zmęczony wysłuchiowaniem tyrady Theo na temat tej jego maszyny parowej. Do tego nowy nauczyciel też najwyraźniej zdawał się zafascynowany.

Wystarczyło, by człowieka wygnać na dwór, i tam właśnie pobiegł. Ducketta nie było na jego zwykłym stanowisku, nikt więc nie zauważył wyjścia chłopca. Po południu niebo zachmurzyło się, zrobiło się zimno. Wiatr przenikał mu przez żakiet. Ale nie chciało mu się wracać. To nie w porządku, że Theo ściągnął na siebie całą uwagę Johna. Był prawie taki niemożliwy jak Laura Beth.

Zszedł jakieś cztery stopy ze ścieżki, by kopnąć następny kamyk. Przynajmniej jutro wyjadą do Castle Rosse. Ciekawe, czy spotkają tam jakieś dzieci i czy pozwolą im bawić się na dworze; i czy będzie tam stajnia i mnóstwo koni. Przez moment poczuł wyrzuty sumienia z powodu nieposłuszeństwa wobec Lily. Ale kogo to obchodzi? Zostanie na dworze jeszcze tylko dziesięć minut, potem wróci do domu kuzyna Knighta i nikt się nie dowie.

Zaczął pogwizdywać.

- No niech mnie, czyż to nie jeden ze smarków Trisa? Sam uniósł głowę na dźwięk ojcowskiego imienia.

Ujrzał dwóch potężnych, paskudnych drabów, opatulonych przed ostrym, północnym wiatrem. Gapili się na niego. Wreszcie jeden pomachał do niego energicznie.

- Tak, to chyba jego najmniejszy smark. Nie, jest jeszcze mała dziewczynka.

Monk rzucił Boyowi gniewne spojrzenie: że też musi być tak idiotycznie dokładny. - Prosto w nasze ramiona, co, Boy? Hej, ty, smarku!

Sam przystanął, ale w pozycji gotowej do ucieczki. Ten większy już do niego podchodził. Wysokie do kolan buty miał zabłocone, kraj płaszcza pokryty gliną. Niemiły widok. Wąsów nie miał. A jego górna warga była całkiem gruba i wysunięta.

- Jestem przyjacielem twego taty. Tak, Trisa Win-thropa. Ja i Boy, my jego kolesie.

Nieprawdopodobne, przemknęło Samowi przez głowę. - Jesteś kłamliwym drabem! - krzyknął.

- Przeklęty, pyskаты smark. Chodź no tu! Sam nie głupiec, odwrócił się na pięcie i biegł tak szybko, jak pozwoliły mu nogi. Nagle poczuł, że otacza go potężne ramię i podnosi nad ziemię. W oddali widniała rezydencja Winthropów. O Boże, pomyślał, i szarpnął łokciem do tyłu.

- Och! - Ramię tylko zacisnęło się mocniej i Sam ledwo mógł oddychać.

- On nie wygląda jak Tris, Monk. Jesteś pewien, że to jeden z jego smarków?

- Aha, na pewno. Jak się nazywasz, gówniarzu? Sam potrząsnął głową. - Nie znam żadnego Trisa. Mieszkam tu niedaleko. Jak mnie nie puścisz, cała straż Londynu będzie was zaraz szukać. Powieszają was i nabijają wasze głowy na piki, wytną wam wnętrzności i każą je zjeść.

Monk roześmiał się. - Cudowną wyobraźnię ma ten smark, nie sądzisz, Boy? Z wyglądu nie przypominasz taty, gówniarzu. Jesteś pewien, że mamusia nie przyprawiła staremu Trisowi rożków?

- Puszczaj! - wrzasnął Sam, próbując uderzyć olbrzyma łokciem w brzuch. Ten zacisnął uchwyt

jeszcze mocniej i chłopiec ledwie mógł oddychać.

- Słuchaj no, mały. Jesteś dla nas nie lada gratką. Pójdiesz z nami, a potem twoja mama... czy, znaczy się dziwka twojego taty odda nam to, co nasze.

Do Sama dotarła jedynie obelga pod adresem Li-ly. Te wstrętne draby zamierzają wyrządzić jej krzywdę, pomyślał.

Co zrobić?

Nawet w wieku sześciu lat chłopiec niezbyt wierzył w boską opatrzność. Jednak, gdy nagle ujrzał pana w eleganckim cylindrze i szerokiej pelerynie, przez chwilę patrzył nań oniemiały, ale zaraz wrzasnął co sił w gardle: - Pomocy! Porywacze! Porywacze!

- Ty przeklęty bękarcie. Zrobię z ciebie mielonkę!

Rozdział 11

Dżentelmen zatrzymał się, zmarszczył brwi i krzyknął: - Puszczaj chłopca! No już, bo pożałujesz!
- Słowom towarzyszyło działanie. Błyskawicznie odkręcił górną część laski i wyciągnął długie, połyskujące ostrze. Wymachując nim w powietrzu, rzucił się biegiem ku napastnikom.

Monk rozzłościł się nie na żarty. - Ty przeklęty bachorze! Niech cię diabli!

Boy podniósł leżący przy ścieżce kamień i rzucił w szarżującego dżentelmena.

- Ty cholerny ośle. A niech to, chodu! Monk upuścił Sama niczym kamień i rzucił się do ucieczki.

- Śmierdzący tchórze! - wrzasnął mały, wymachując pięściami za uciekającą dwójką. - Zapłacicie za to, już tego dopilnuję! Kuzyn Knight obetnie wam uszy.

Dżentelmen zatrzymał się, starannie wsunął ostrze z powrotem do laski i podał chłopcu rękę.

- Witaj, Samie - powiedział Julien St. Clair. - Jak miło znowu cię widzieć. Kim byli twoi znajomi?

- Nie wiem, proszę pana, ale oni wiedzieli, kim ja jestem. Na pewno knuli coś złego.

- Zapewne masz rację. Pamiętasz mnie? Jestem Julien St. Clair, przyjaciel twojego kuzyna Knighta.

- Tak, sir, poznałem pana. Spotkaliśmy się u Gun-thersa. Pańska żona jest prawie tak piękna jak moja mama.

- Dziękuję, mojej małżonce byłoby na pewno miło słyszeć podobne słowa. Ale co tu robisz całkiem sam, jeżeli mogę zapytać?

Sam poczerwieniał i Julien uniósł brwi.

- Oczywiście masz pozwolenie od matki?

Samowi przez moment zaświtała myśl, by wykręcić się kłamstwem, ale uznał, że nie byłoby to rozsądne. Julien St. Clair znał kuzyna Knighta. Sprawa wyszłaby na jaw. Karty, jak ująłby to jego ojciec, przemawiały przeciwko niemu. - Nie, proszę pana, mama nic nie wie. Bawiła się z Laurą Beth, a nowy nauczyciel przysłuchiwał się niekończącej się gadaninie Theo na temat tych głupich maszyn parowych.

- Aha. - St. Clair ze zrozumieniem przyglądał się chłopcu. - A może pójdziemy do Winthrop House? Wypijemy sobie po filizance herbaty. - Tak po prawdzie, Julien marzył o brandy.

- Nie będę panu przeszkadzać, sir!

Jakież dorosły okazałby się nieczuły na podobne słowa, pomyślał Julien. Rozbawiła go przezorność chłopca; dobrze wiedział, o co małemu chodzi. - Zapewne dałbym ci świetną wymówkę - oświadczył. - Ale nic z tego, Samie. Knighta należy poinformować o tych mężczyznach. Utrzymywanie podobnej sprawy w tajemnicy przed nim nie byłoby w porządku.

Sam zrobił minę, jakby właśnie dochowanie sekretu uważał za coś najzwyklejszego w świecie, ale udało mu się, i słusznie, utrzymać język na wodzy.

Knight, który wrócił do domu parę minut wcześniej, wielce się zdziwił, gdy Julien z Samem stanęli w drzwiach biblioteki.

- Dzień dobry, Knight. Masz przed sobą bohatera, który wybawił twego kuzynka z łap porywaczy.

- O czym ty u diabła mówisz, St. Clair? - Wicehrabia rzucił okiem na twarz Juliana i pośpiesznie dodał: - Samie, idź poproś Ducketta o herbatę i ciastka. No już!

- No mów, co się stało? Ach prawda, siadaj, St.

Clair.

- Wielkie dzięki. A więc, akurat nadszedłem - zupełnie przypadkowo - gdy Sama pochwycił jakiś wielce podejrzany typ. A jego kompan nie sprawiał wiele lepszego wrażenia. Chłopiec na szczęście nie stracił rezonu i wrzeszczał co sił w płucach. Dzięki Bogu miałem szpadę w lasce, wyciągnąłem ją i rzuciłem się na draba niczym istny święty Jerzy. Tamten puścił Sama i oba typy uciekły. Nie ściagałem ich. W końcu było ich dwóch i nie miałem ochoty skończyć z podejrzanym gardłem, nawet gdyby mój heroizm mógł wyrzucić na Samie wrażenie.

- Rozumiem - wolno oświadczył Knight.

- Może wiesz, kim są ci ludzie?

- Mam pewne przypuszczenia. Czy Sam powiedział ci, czego od niego chcieli?

- Nie, nie rozmawialiśmy na ten temat. Miejmy nadzieję, że czymś się przed nim zdradzili.

Knight zamilkł. Zamyślony przemierzał bibliotekę tam i z powrotem. Wreszcie zwrócił się do przyjaciela: - Ani słowa o tym Lil... pani Winthrop. Nie chcę, by niepokoila się bez powodu. Jutro rano ona i dzieci wyjeżdżają do Castle Rosse. Znikną z oczu wszelkim potencjalnym łotrzykom.

- Nie uważasz, że powinna się dowiedzieć?

- Nie. To ja decyduję, o czym należy ją informować.

- Ależ stałeś się apodyktyczny, Knight.

- Brandy, Julien?

- Chętnie, dzięki.

Knight właśnie napełniał przyjacielowi szklaneczkę, gdy zza drzwi biblioteki doszły go głosy Lily i Sama. Na chwilę zacisnął powieki, jakby chciał siłą woli zmusić chłopca do milczenia. Jednak nie udało się.

Rozległo się stukanie do drzwi. Gdy drzwi się otwierały, Knight usłyszał, jak mały peroruje z widocznym upodobaniem: - Byli paskudni, naprawdę okropni, mamo.

- Kocha matkę - skomentował Julien. - Chyba nie spodziewałeś się, że ukryje przed nią swoją przygodę?

Knight zaklął pod nosem, jednym haustem opróżnił szklaneczkę i złowrogo spoglądał na uchylone do połowy drzwi. - Wejść! - rzucił.

Lily, poza wyraźną bladością twarzy, wyglądała na opanowaną. - Dobry wieczór, milordzie - powitała Juliana. - Mam na dzieję, że pana żona dobrze się czuje.

- O tak, pani Winthrop. Ale proszę nie zawracać sobie teraz głowy konwenansami, z pewnością ma pani tyle pytań!

- Dziękuję, milordzie. Chodź tutaj, Sam. Opowiesz nam, co dokładnie się wydarzyło. - A pan sprostuje w razie potrzeby, milordzie - poprosiła Juliana.

Sam zdawał sobie sprawę, że czeka go co najmniej niezła reprimenda. A widząc minę kuzyna Knighta, obawiał się, by nie skończyło się na chłóście. Zaczerpnął powietrza i zaczął swą relację.

- ... a potem ten wielki typ powiedział strasznie głośno: czy to nie któryś ze smarków Trisa? I

zwracali się do siebie Monk i Boy... naprawdę, tak dziwnie.

- Jeszcze chwila, Sam. Opisz tych mężczyzn. Opisz Monka i Boya z perspektywy pięcioletniego dziecka liczącego o wiele mniej niż półtora metra wzrostu nie wypadł do końca dokładnie. Julien umiejętnie pomógł w skorygowaniu nieścisłości. Gdy już wszystko zostało wyjaśnione, Knight odezwał się tonem, którego rzadko używał w swym dorosłym życiu: - Teraz marsz do swego pokoju, Sam! Zostaniesz tam do jutra rana. Dostaniesz kolację do pokoju i zjesz ją sam. To, co zrobiłeś, było głupie i bezmyślne. Przeprasz mamę, i już cię nie ma.

- Przepraszam, mamusiu.

Do Lily ledwie dotarły przeprosiny chłopca. Patrzyła na Knighta z narastającym gniewem i zaskoczeniem. Jak śmie tak ostro traktować Sama? Wiedziała jednak, jak ważne jest, by dorośli popierali się w kwestiach dotyczących wymierzania kary dziecku. Zresztą ona sama, usłyszawszy o eskapadzie małego, miała ochotę nim potrząsnąć i stłuc tyłek tak, by nie mógł siedzieć, ale też przytulić, gdyż znów był bezpieczny. Pod tym względem tworzyli z Trisem partnerski związek. Nigdy nie odwoływał jej poleceń, a ona jego nakazów. Teraz też przemilczała, choć z trudem. Ten mężczyzna nie jest przecież ojcem dzieci.

Ale jest ich prawnym opiekunem. Nagle dotarło do niej, że on ma więcej do powiedzenia w sprawach wychowywania, w tym również wymierzania kar.

Sam ze spuszczoną głową powlókł się do swojego pokoju. Knight odezwał się głosem, w którym pobrzmiwało rozbawienie. - Nie hamuj się ze względu na obecność Julienu, Lily. Nie powstrzymuj się od zademonstrowania oburzenia. No dalej, ulżyj sobie, nim zadławi cię zółć.

Zadarła brodę. Julien wygodnie rozsiadł się na kanapie, niczym zainteresowany obserwator. Knight spoglądał na nią, nie kryjąc rozbawienia. Zrozumiała, że ją prowokuje.

- Sama bym mu przetrzepała tyłek - oświadczyła.

- Zamknęłabym go na strychu i przez trzy dni trzymała o chlebie i wodzie.

Zaskoczyła go, co nie uszło jej uwagi, i tym bardziej rozkoszowała się swym oczywistym kłamstwem.

- Odsyłanie go do pokoju, który dzieli z Theo, to żadna kara. Będzie niezmiernie z siebie zadowolony, a że Theo go uwielbia, nie zostawi go samego. Uzna za swój obowiązek zabawianie braciszka.

- Co za druzgocząca logika. W takim razie wyślę go, by spędził wieczór z Laurą Beth.

Na to Lily już nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - To dopiero kara! Sam najpewniej wydlubałby carycy Katarzynie te jej namalowane oczy, gdyby musiał chociaż godzinę spędzić sam na sam z Laurą Beth. Caryca Katarzyna to jej lalka... - zwróciła się z wyjaśnieniem do Julienu.

- Raczej przedłużenie jej rączki - poprawił Knight.

- O tak, zawsze jej towarzyszy. A teraz, Knight, możesz już przede mną nie ukrywać. Ci dwaj to ci sami, którzy zawitali tu wczoraj.

Julien wstał. Uśmiechnął się łagodnie do Knighta, potem do Lily. - Zapewne wolelibyście zostać sami. I choć nie powiem, by mnie ta sprawa nie interesowała, powinniście ją omówić między sobą. Zresztą nie uważam się za najlepszego arbitra. Właściwie przed całym tym zamieszaniem, wybierałem się do ciebie, Knight, z zapytaniem czy miałbyś ochotę obejrzeć ze mną walkę. W okolicy Backlesfield, jutro po południu.

Knightowi zaświeciły się oczy, okazał jednak chwalebny hart ducha: - Nie, chyba nie, Julien.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lily. - Wiemy, że nie będziesz nam towarzyszył do Castle Rosse -

ciągnęła. W głębi duszy była zawiedziona, jednak jej głos tego nie zdradzał. - To by było wielkie marnotrawstwo twego czasu.

Knight przeżywał rozterki. Bał się, że te draby zaobserwują ich wyjazd i ruszą ich śladem. Z drugiej strony wiedział, że jeżeli pojedzie z nimi, niezwykle ciężko przyjdzie mu trzymać ręce z dala od Lily. Koniecznie powinien zdystansować się od niej, zarówno w przestrzeni jak i w czasie. Musi odzyskać swój dawny punkt widzenia na życie, wziąć sobie do łóżka Ja-nine, i to przynajmniej z dziesięć razy. Musi zawrócić swój statek na poprzedni kurs. Gdyby tylko mógł zapewnić jej i dzieciom bezpieczeństwo! - Dobrze, Julien. Przyjdź po mnie o drugiej.

- Wyśmienicie. Miło mi było panią widzieć, pani Winthrop.

Gdy tylko zostali sami, Knight natychmiast powiedział: - Wyślę z wami dwóch policjantów, będą wam towarzyszyć aż do Dorset, do Castle Rosse. Będziecie mieć wystarczającą ochronę.

Lily, choć zawiedziona, równocześnie poczuła ulgę. Jednak będzie jej go brakowało, i to bardzo. - Jestem pewna, że podróż minie bez kłopotów. Ci mężczyźni nie mogą przecież obserwować domu przez cały czas, a jutro rano, przed wyjazdem upewnimy się, czy nie ma ich gdzieś w pobliżu.

Knight nie słuchał uważnie. - Tylko, Lily, dlaczego? Czego oni chcą? Nazwali go smarkiem Trisa. To chyba jacyś kompani lub pomocnicy twego męża. Najwyraźniej zamierzali Sama porwać. Jako kartę przetargową? Całkiem możliwe. Pomyśl, proszę, czego oni mogli chcieć?

Odsunęła się, podeszła do wykuszu okna wychodzącego na park po przeciwnej stronie ulicy.

- Wiesz co myślę, Lily? Chyba posiadasz coś wartościowego, na czym im zależy.

- Nic o tym nie wiem. - Odwróciła się szybko do niego twarzą. - Mówię prawdę. Nie mam pojęcia, o co może im chodzić.

- Podobno Tris został zamordowany niedaleko od domu. Czy to prawda?

- Tak.

- Pewnie zginął, nim zdążył przekazać ci sekret.

- Ani w domu, ani wśród jego rzeczy osobistych nie znalazłam niczego ważnego. Kompletnie nic. To zbyt daleko posunięte spekulacje, Knight.

- Przychodzi ci do głowy jakiś inny pomysł, moja pani?

- Nie musisz być uszczypliwy.

- Nalej sobie herbaty, Lily.

- Duckett jeszcze jej nie przyniósł. Knight, zirytowany, pospiesznie podszedł do drzwi, otworzył je gwałtownym ruchem i wrzasnął: - Herbata, Duckett!

- Milordzie.

Knight aż podskoczył. Kamerdyner stał tuż obok niego, cichy jak cień, z tacą z podwieczorkiem.

- Niech cię szlag! - rzucił wicehrabia pod nos.

- Wierzę, że odwoła pan te słowa, milordzie, gdy powróci panu dobry humor.

- Najwyraźniej szybko go tracę.

- Modlę się, by nie było to prawdą, milordzie.

- Podawaj, do diabła.

Duckett podał podwieczorek w kompletnej ciszy. - A dzieci, milordzie? - zapytał, gdy uporał się z zadaniem.

- Tak, zanieś im, proszę - odrzekł Knight. - Samowi także. Musi być bardzo spragniony po podobnym przeżyciu.

- Nie został zbyt surowo ukarany za nieposłuszeństwo wobec mnie - poskarżyła się Lily, mrużąc

oczy.

- Nie mam praktyki rodzicielskiej. Uczyniłem to, na co moim zdaniem zasłużył. Chcesz, bym go wy-chłostał? Cóż, tego nie zrobię.

Jej śmiech, figlarny i zarazem rozczulający, podniecił go tak gwałtownie i niespodziewanie, że zachłysnął się herbatą, parząc sobie usta. Ponownie upił trochę i z bólu jęknął.

Duckett nie odezwał się słowem. Kierując się rozsądkiem, opuścił bibliotekę, wcześniej skinąwszy Li-ly głową.

- Przykro mi - powiedziała po chwili.

- Co? Ja się oparzyłem, a tobie jest przykro?

- Nie z tego powodu, sam sobie jesteś winien. Przepraszam za moje słowa w sprawie kary Sama. Ja też nie umiałabym wymierzyć mu chłosty. Czasami mam ochotę skrócić mu kark, ale prawda jest taka, że prędzej skrócić bym własny. Zostawię cię już. Wybacz, że zakłóciliśmy ci spokój.

- Pociągniesz Samowi na odsiecz? Potrząsnęła głową. - Oczywiście, że nie. Jeżeli dorośli nie będą ze sobą trzymać, nastanie chaos. I wierz mi, tak naprawdę, to nie ma się pojęcia o chaosie, dopóki nie pozwoli się dzieciom na zbyt wiele.

Odwróciła się, a wtedy usłyszał własny głos: - Lily!

- Tak? - Znów stała twarzą do niego i przez chwilę nie mógł zdobyć się nawet na jedno słowo, tylko na nią patrzył.

- Ty jesteś... - Taka cudowna, że pragnę całować każdy cal twojego ciała. - Zobaczymy się przy kolacji.

- Chyba nie, Knight. Będę zajęta pakowaniem.

- Jak sobie życzysz. - Starał się jak mógł, by jego głos zabrzmiał obojętnie.

* * *

Była zaledwie siódma rano. Zachmurzone niebo i gęsta mgła ograniczały widoczność. Lily nie widziała dalej niż na odległość paru metrów. Panował też dotkliwy chłód; lodowata wilgoć przenikała poprzez wszelką ilość okryć, szali i kamizel.

Knight także drżałby z zimna, gdyby nie był zbyt zajęty sprawdzaniem, wraz z dwoma agentami, czy w pobliżu nie kryją się Monk i Boy.

- Nakazałem waszej eskorcie bacznie wszystko obserwować - przekazał Lily. - Otrzymali pełny opis Monka i Boya. Nie masz się czym niepokoić. Dziś wieczorem dotrzecie do Castle Rosse. Oczekują tam was.

- Dziękuję, Knight.

- Kuzynie Knight! - Głowa Theo wychyliła się z okna powozu.

- Tak?

- Skończę porządkować bibliotekę, gdy wrócimy do Londynu.

- Wiem, Theo.

Pojawiła się głowa Sama, potem wychyliła się Laura Beth. Knight przystanął przy oknie i delikatnie dotknął każdej twarzyczki. - Zaopiekujcie się dobrze mamą - powiedział cichym głosem. - Nie doprowadzajcie jej do szaleństwa, dobrze? I rozglądajcie się, czy nie pojawią się gdzieś te łotrzyki od Sama.

- Tak, sir.

- I słuchajcie Tuckera, zgoda?

- Tak, sir.

Knight pomógł Lily wsiąść do powozu i szybko zamknął za nią drzwi. - Bezpiecznej podróży - rzucił jeszcze i cofnął się.

Skinął na woźnicę, Tuckera Dilly'ego, i powóz ruszył. Trójka dzieci, John i Lily podróżowali razem. Knight prawdziwie współczuł dwójce dorosłych. Agenci, dwaj mężczyźni o marsowych minach, doświadczeni w służbie prawa, pożegnali Knighta, dziarsko salutując, i popędzili konie.

Knight stał w milczeniu na najniższym stopniu schodów, dopóki powóz nie zniknął we mgle. Wróciwszy do domu, udał się na górę, do sypialni. Przystanął jeszcze w korytarzu, słysząc jak Stromsoe mówi zadowolonym tonem: - Ach, ta cisza! Dom dżentelmena nie powinien roić się od dzieci. Nareszcie!

Knight uśmiechnął się. Rzeczywiście było cicho.

* * *

Aktorka Janine, aktualnie występująca w roli do-jarki w sztuce wystawianej na Drury Lane, miała mdłą urodę, niewielkie zdolności w dziedzinie konwersacji oraz gęste, bardzo długie, jasne włosy. Była równie uzdolniona w sztuce miłosnej jak Danielle i Knight trzykrotnie zaznał rozkoszy, zanim dobrnął do domu o trzeciej nad ranem. Tym razem, w chwilach szczytowania, udało mu się powstrzymać od wykrzyknięcia imienia Lily.

* * *

Następnego ranka leżał w łóżku i wpatrywał się w skomplikowany wzór sztukaterii sufitu. Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie myśli, które go nachodziły poprzedniego popołudnia, gdy oglądał walkę w Becklesfield. Zastanawiał się, co Theo i Sam powiedzieliby o zapaśnikach. Chyba nie okazał się najlepszym towarzyszem dla Julienu, ale i tak wygrał czterysta funtów, obstawiwszy zwycięzcę.

- Zamierzasz kupić nowego konia myśliwskiego za te pokrętnie zdobyte pieniądze - zainteresował się lord Alvanley.

Knight tylko potrząsnął głową. Zamierzał nabyć kucyki dla Sama i Laury Beth i wysłać je do Castle Rosse.

Sir Charles Ponsonby podszedł do powozu Julie-na. - Gdzie twoje dzieci, Knight? - Przesadnie lustrował wzrokiem wewnątrz.

- Są w Castle Rosse.

- A ich cudowna mamusia? - obleśnie przymrużając oko, zapytał sir August Krinke, człowiek rozporządzający większym bogactwem niż rozsądkiem.

Knight spojrzał mu prosto w twarz. - Z dziećmi, oczywiście.

Tamten aż cofnął się przed naporem spojrzenia wicehrabiego. Knight Winthrop znany był ze swych wyśmienitych manier, ale ten wyraz jego oczu nie wróżył nic dobrego.

Następni znajomi przystawali przy powozie i Knight, zajęty konwersacją, cieszył się, że przez całą godzinę wspomnienie Lily nie nękało go więcej niż trzy, cztery razy. Potem pił z kompanami w Mordant Tooth Inn, tuż za Becklesfield; sześciu dżentelmenów w wyśmienitych humorach rzucało rubaszne uwagi, na szczęście żadnej nie skierowano przeciw Lily ani dzieciom.

Później zawitał na Drury Lane i ledwo wysiedział na wyjątkowo słabej komedii, a potem zabrał Janine, dojarcę, do łóżka.

Przynajmniej wreszcie porządnie się odprężyłem, pomyślał. Przeciągał się zadowolony, gdy Stromsoe wszedł do sypialni. - O, nie śpi pan już, milordzie. Przyniosłem panu kawę.

I tak oto zaczyna się dzień, pomyślał Knight, wspierając plecy na dwóch puchatych poduszkach.

Dzień zdawał się pusty, a zarazem niezwykle wypełniony. Dziwne, ale tak właśnie było.

W domu panowała wręcz przeraźliwa cisza.

Knighr usłyszał nawet kroki Ducketta, właśnie zagląającego do sypialni.

- Chciałbym wiedzieć, czy dziś wieczorem będzie pan jadł w domu.

Knighr potrząsnął głową. - Nie, wrócę raczej późno.

Duckett wiedział, że „raczej późno” miało związek z istotą rodzaju żeńskiego, która miała sprawić milordowi ulgę. Wycofał się tak cicho, jak przyszedł. Na Boga, ależ w tym domu cicho.

Castle Rosse Dorset, Anglia

Lily była wyczerpana. Nareszcie! Leżała sama we własnym łóżku, bez tych trzech par rącek wciąż czegoś od niej żądających i tych trzech mówiących naraz buzi. John, jak sądziła, poczuł pewnie podobną ulgę, gdy wreszcie został sam.

Ku jej zadowoleniu Thrombin, majordomus Castle Rosse, powitał ich z wyraźną radością. Podobnie przyjęła ich gospodyni, pani Crumpe. Agenci, pokrzepiwszy się należycie, odjechali do Londynu, wcześniej zapewniwszy Lily, że nie widzieli ani nie słyszeli nic, co by wskazywało na obecność tamtych dwóch łotrzyków. Nie, proszę pani, nie ma się czym martwić.

Wsunęła się głębiej pod cudownie ciepłe przykrycia, gdy nagle usłyszała, że drzwi jej sypialni otwierają się. Zamarła i zaraz się podniosła, wyprostowana.

- Mamusiu?

Laura Beth. - Chodź, kochanie. - Postanowiła nie walczyć z tym, co niemożliwe.

Dwadzieścia minut później Lily i wtulona w nią Laura Beth zasnęły głęboko. Nawet spędziwszy noc w towarzystwie maleńkiej, Lily obudziła się rano dobrze wypoczęta. Johna spotkała na dole, w pokoju śniadaniowym, gdzie siedział z chłopcami przy stole. Ze swobodą wyjaśniał zafascynowanemu Theo i znużonemu Samowi: - Castle Rosse to wiejska siedziba o wielkiej tradycji i długiej historii. Dwór został wzniesiony przez sir Petera Winthropa, ówczesnego barona Rosse, w roku 1568, za Elżbiety I.

- To dlatego w naszym pokoju panują takie przeciągi - stwierdził Sam, nie przestając jeść bekonu. - Cholernie stara buda.

- Historyczna budowla - zaprotestował Theo, marszcząc brwi na uwagę brata. - I nie wyrażaj się, Sam. Wiesz, że mama tego nie lubi.

Johnowi udało się zachować powagę. - Rzeczywiście przypomina trochę króliczą norę, ale spodoba się wam buszowanie po niej, jestem pewien. Mówiono mi nawet, że znajdują się tu tajne kryjówki mnichów. Może którąś odnajdziemy.

Lily rzuciła ciche „dzień dobry” i zajęła swe miejsce, przysłuchując się Johnowi i chłopcom.

- ... i w początkach osiemnastego wieku podobno przez dwa tygodnie przebywała tu księżniczka Anna, nim została królową.

- Mama pokazała nam obrazek - powiedział Theo. - Księżniczka Anna była bardzo grubą damą.

- Ale także powiedziałam, o ile sobie przypominam, że była chora i stąd ta jej tusza.

- To prawda; a w Castle Rosse także spotykali się wysokiej rangi ministrowie Jerzego II.

Sam ziewał już nad swą grzanką, więc Lily skarciła go wzrokiem. Wtedy chłopiec skoncentrował swe wysiłki na dręczeniu Laury Beth.

Po kilku minutach Lily zdała sobie sprawę, że wciąż patrzy w stronę drzwi w oczekiwaniu na pojawienie się Knighta. Co za absurd! Nagle straciła apetyt.

Rezydencja Castle Rosse rzeczywiście okazała się króliczą norą, ale niezwykle urokliwą, co Lily

odkryła w ciągu kilku następnych dni, zwiedzając posiadłość w towarzystwie pani Crumpe. Podłogi to się wznosiły pół metra, to opadały; schody nagle się urywały; z niewielkich pokoików o niewiadomym przeznaczeniu wychodziło się na wąskie, prowadzące donikąd korytarze. No i panował tu okropny chłód. Pokój dziecięcy znajdował się na drugim piętrze zachodniego skrzydła i prawie dziesięć minut zabierało dotarcie tam z salonu na pierwszym piętrze skrzydła północnego, oczywiście jeśli się nie zabłądziło.

- To dziwaczne - oświadczyła Lily rankiem drugiego dnia. - Johnie, zamierzam umieścić nas wszystkich we wschodnim skrzydle. Jest tam mnóstwo pustych komnat, a wiele z nich przylega do siebie. - John głośno odetchnął z ulgą. Już zdążyły mu przemarznąć uszy.

Tak więc gromadka Winthropów zajęła pierwsze piętro we wschodnim skrzydle Castle Rosse. Służbie odpowiadało to ogólne przegrupowanie. - Obiecałam sobie, że nie będę narzekać - powiedziała pani Crumpe, uśmiechając się do Lily. - To bardzo uprzejme z pani strony, madam, że zamieszkacie tak blisko siebie.

Jedynym niezajętym pokojem pozostał główny apartament na końcu korytarza.

- Pamiętam pani męża - niespodzianie zauważył Thrombin pewnego popołudnia, stawiając tacę z podwieczorkiem na niskim, inkrustowanym stoliku w salonie. - Był to bardzo dystyngowany dżentelmen. Jakże mi przykro, że od nas odszedł.

- Dziękuję - odrzekła Lily. - Wszystkim nam go brakuje.

Uniosła wzrok i w drzwiach spostrzegła z zainteresowaniem przysłuchującego się rozmowie Sama.

- Wejdz, Sam. Może pan Thrombin opowie ci coś o ojcu.

Ku jej radości kamerdyner chętnie to uczynił. Nie widział wprawdzie Trisa przez ostatnie dziesięć lat, ale zapamiętał przystojnego, pełnego wigoru młodego dżentelmena i jego wpływ na kuzyna, Knighta Winthropa. - Miał fantazję, twój ojciec, paniczu Samie, zawsze gotowy do psoty. Kuzyn panicza, Knight, a nasz pan, uwielbiał panicza tatę. Wszędzie za nim chodził, a papa panicza był prawdziwym dżentelmenem i bardzo miłym dla swego młodszego kuzyna.

Ale to od pani Crumpe któregoś z następnych dni Lily dowiedziała się o życiowych zasadach Knighta.

Rozdział 12

Jego lordowska mość był takim mądrym chłopcem, tak dobrze wychowanym - oświadczyła pani Crumpe z błyskiem iście matczynej dumy w oczach. Na chwile zmarszczyła brwi i dodała: - No, przez większość czasu był grzeczny. Jak wszyscy panowie, od czasu do czasu zachowywał się niczym dziki, młody rumak. Ale nigdy nie był złośliwy, co to, to nie. Ani śladu małostkowości czy złośliwości nie znalazłoby się u naszego młodego pana.

Słyszając to Lily uśmiechnęła się, wyobraziwszy sobie, w jakie to tarapaty potrafił zapewne pakować się młody Knight. Najpewniej w takie, jak Sam czy Theo. Razem z panią Crumpe zwiedzały długą, wąską, pełną portretów galerię w zachodnim skrzydle. Lily nie mogła oderwać oczu od malowidła, przed którym właśnie stała: postać oddana niemal w rzeczywistych wymiarach przedstawiała piętnastoletniego Knighta, stojącego obok gniadosza; w jego oczach malowało się poczucie humoru, filuterność i upodobanie do zabaw. Ujmujący młodzieniec, zapowiadający się na przystojnego mężczyznę.

- Wie pani, mamusia mu umarła, gdy miał dziesięć lat. Nieczęsto widywał ojca, gdyż jego lordowska mość wyznawał pogląd, że dziecko nie powinno żyć w cieniu grzechów rodzica, lecz pozostać swobodne, by rozwinąć całkowicie własne.

Ta informacja zaskoczyła Lily. - Co takiego? - zawołała odruchowo. - To jakaś bzdura. Chce pani powiedzieć, że poprzedni wicehrabia Castlerosse całkowicie ignorował własnego syna?

- No tak, ale celowo, rozumie pani - oznajmiła pani Crumpe, odkurzając portret. - Gdy nasz pan się urodził, jego ojciec był już w starszym wieku. Ożenił się dopiero po ukończeniu czterdziestki, a wicehra-bina miała niecałe dwadzieścia. Ale niemal natychmiast uczynił ją ciężarną, a potem odjechał do Londynu i do swego tamtejszego życia.

Lily była kompletnie zbulwersowana. Na Boga, mały chłopczyk powinien mieć ojca, pomyślała stanowczo. A jego matka - męża.

- Z pewnością to dla pani nic nowego, pani Winth-rop, jeżeli dobrze pani zna wicehrabiego, co oczywiste - ciągnęła gospodyni ze spokojem. - On wyznaje tę samą filozofię, co jego ojciec. Nie ożeni się przed ukończeniem czterdziestu lat. I powiem pani szczerze, pani Winthrop, pan Thrombin i ja byliśmy zaskoczeni, że pani i dzieci faktycznie mieszkaliście u jego lordowskiej mości w Londynie przez tak długi czas. Jego lordowska mość, tak jak jego ojciec uważa, że dzieci powinny przebywać wyłącznie w towarzystwie ich niań i nauczycieli. - Znów głośno wyraziła zdziwienie i pokręciła głową. - Prawie dwa tygodnie! Pewnie był bliski szaleństwa przy tych dziecięcych hałasach i psotach.

Ależ nie, pomyślała Lily, był cudowny. Nie ożeni się przed czterdziestką? Ma dopiero dwadzieścia siedem lat.

Coś głęboko w jej duszy zaprotestowało, co odczuła w postaci tępego, miarowego bólu.

- A to była jego mama, lady Elysse. Piękna, praw-, da? Jego lordowska mość odziedziczył jej oczy. Lisie, jak je wszyscy nazywali. Złoto pomieszane z brązem. Bardzo niezwykle.

- Czy poprzedni wicehrabia kochał swą młodą żonę? Pani Crumpe pozwoliła sobie na odrobinę krytyki.

- Właśnie że nie, pani Winthrop. Uważał podobne emocje za niemądre. Miłość, powiedziałby tym swoim wzgardliwym głosem, jest dobra dla istot słabych i takich, które nie są w stanie dostrzec rzeczywistości. Miłość to nie coś, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie dla tak mądrych dżentelmenów jak on, o nie. Obawiam się, że to jeszcze jedno przekonanie, jakie nasz pan odziedziczył po ojcu.

Lily posłusznie szła za panią Crumpe, słuchając wszystkiego, o czym gospodyni perorowała. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Knighta jako lustrzanego odbicia swego ojca, wraz ze wszystkimi jego zasadami.

Z jakiegoś powodu ten piękny dwór i cudownie zadbane ogrody, które z początku jawiły się jej niczym sanktuarium i prawdziwy dom, teraz kojarzyły się z więzieniem. Tu nie było miłości, pomyślała, żadnej czułości - ani krzyków, kłótni, żadnego życia.

W pobliżu Winthrop House, w Londynie

Knight pogwizdywał pod nosem. Czuł się cudownie wyczerpany, całkowicie usatysfakcjonowany, w sumie zadowolony ze stanu rzeczy. Machina została wprawiona w ruch. Reszta pozostała kwestią czasu i trzymania ręki na pulsie. A gwizdanie zawsze pomagało.

Tylko zmarszczył brwi i raz jeszcze wspomniął swą wizytę u Janine, sploty Lily miały bogatszy, bardziej różnorodny odcień od włosów aktorki i były delikatniejsze. Przynajmniej on tak uważał. Dotknął ich tamtego wieczora, gdy wybawił Lily ze szponów Paskudnego Arnolda i potem, gdy rzucił się na nią w powozie. Trzeba gwizdać głośniejsze, pomyślał, skierować myśli na inne sprawy.

Pan Wheat, jeden z agentów, którzy eskortowali Lily i dzieci do Castle Rosse, złożył mu raport. Ani śladu tamtych mężczyzn. Wszystko najwyraźniej było w porządku. Monka i Boya nie zauważono w pobliżu Castle Rosse. Na pewno są w Londynie.

Co za ulga. Ciekawe, kiedy łotry poczynią następny ruch, co wydawało się nieuniknione. To tylko kwestia czasu i okazji, a przez ostatnie dwa dni i noc Knight dostarczał im aż nadto tej ostatniej. Teraz też szedł sam, stanowił idealny cel.

Uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej Lily nie przyszło do głowy, że postanowił skierować na siebie zainteresowanie złoczyńców, inaczej nie wyjechałaby bez sprzeciwu. Nalegałaby, nie miał najmniejszych wątpliwości, by zostać i w jakiś sposób go chronić.

Zauważył wyłaniającą się z bocznej uliczki postać w pelerynie. Przechodzień przystanął na chwilę pod lampą na wschodnim rogu Portland Square, skinął uprzejmie Knightowi głową i poszedł w swoją stronę. Omal nie zaśmiał się na głos. To z pewnością ani Monk, ani Boy. Ten dżentelmen okazał się kwintesencją kultury.

Znow zaczął pogwizdywać.

Gdy nadszedł atak, był szybki i cichy. Knight bardziej wyczuł obecność napastników, niż ich zobaczył, zdążył więc wyciągnąć szpadę z laski.

- Aha, to ten elegancki pan, no tak - zawołał Monk, najwyraźniej bardzo zadowolony. Knight w końcu wyłowił go z mroku, przykucniętego i wyprowadzającego ostrze do ataku; drab przerzucał błyszczący srebrem sztylet z lewej dłoni do prawej. - Zajdź go, Boy, tylko uważaj na jego żądło.

- Panowie - powiedział głośno, ale wielce uprzejmym tonem Knight - wreszcie się pokazaliście. Dlaczego nie wypytaacie mnie, zamiast ciąć mi wnętrzności?

Kątem oka dostrzegł Boya. Ten nie umiał się skradać. Dzięki Bogu i za to!

- W porządku, eleganciku, gadasz, gdzie błyskotki i zostawimy ci flaki w środku.

- Jakież to błyskotki macie panowie na myśli?

- Zabaweczka Trisa wie, o tak, z pewnością. Wszystko jedno czy gadasz ty czy ona, a ją znajdziemy, to jasne.

Zabaweczka Trisa?

Knight pokręcił głową. - Powtarzam - ciągnął swoje, błyskawicznie cofnąwszy się przed wyciągniętym ramieniem Boya. - Jakie błyskotki?

- Błyskotki Billy'ego, tak nazywał je Tris - oświadczył Monk. - Gość, co nazywał się Billy, zamawia w Paryżu błyskotki dla swej pani Charlotte. A potem ta Charlotte zrywa z nim zaręczyny i Billy odsyła błyskotki, a my je przejmujemy i już je mamy, nim kto zdążył się połapać.

- I Tris je ukrył, to pewne - wtrącił Boy. - A potem wydał nas i wsadził do lochu, a błyskotki porwał. Powiesz, gdzie są, a puścimy cię. Z pewnością kurew-ka Trisa musiała ci wygadać. Przecież ty opiekujesz się nią teraz, czyż nie?

A więc innymi słowy, kosztowności, pomyślał Knight, tłumacząc sobie żargon. Tris zajmował się kradzieżą szlachetnych kamieni? I oszukał tych dwóch.

Niezbyt mądre posunięcie. Co, u diabła, stało się z tym jego odważnym kuzynem? Został cholernym przestępcą?

- Przykro mi, panowie - powiedział z całym spokojem, na jaki było go stać - ale złapaliście nie tego fagasa, co trzeba. Nie mam pojęcia o błyskotkach Billy'ego, nic a nic.

To oświadczenie bynajmniej nie przyniosło mu sympatii ani Monka, ani Boya.

Knight przyjął właściwą pozycję. Monk i Boy nie znali się na strategii walki. Walczyli podstępnie - prawdziwe szczury z rynsztoka - ale Knight też znał kilka sztuczek i wiedział, że potrafi ich przechytrzyć. - Z przykrością was informuję, dżentelmeni, że chyba będę musiał wysłać was obu do piekła. Niewątpliwie zasługujecie na nie. Jak sądzę, to wy zamordowaliście Trisa?

- Oho, ten dumny fagas coś bardzo się stawia, co Boy? Stary Tris nas zdradził, przecież już mówiłem; nie mieliśmy wyjścia, no nie?

Więcej Monk już nie zdążył powiedzieć. Knight, przyjąwszy idealną postawę, uczynił wypad do przodu, ze szpadą doskonale zbalansowaną i śmiertelnie groźną. Zaskoczywszy Monka, natychmiast poczuł, jak koniec szpady zatapia się w jego ramieniu. Płynnie i bez oporu.

Monk zawył i upuścił sztylet, szarpiąc się do tyłu, ku ścianie budynku, gdy Knight wyciągał mu ostrze z ramienia. - Przeklęty drań! Zabij go, Boy, nie jest nam potrzebny! Znajdziemy tę dziwkę Trisa.

Knight odwrócił się błyskawicznie ku szybko nadchodzącemu Boyowi. A niech to, łotr miał pistolet! Palna broń Knighta wciąż zaś tkwiła pod płaszczem. Nie było czasu na jej wyciągnięcie. Uskoczył w lewo, a w tym samym momencie Boy strzelił. Powoli osuwając się na ziemię, Knight usłyszał, jak Monk wrzeszczy do Boya.

- Niech to szlag, następny fagas! Zbieramy się stąd!

Ostatnim widokiem Knighta był Boy podtrzymujący Monka pod ramię i wlokący kompana, który przeklinał i sapał przy każdym kroku.

- Dobry Boże! Jesteś ranny!

Knightowi udało się otworzyć prawe oko. Ujrzał nachylonego nad sobą Juliana. - Byłem głupi - powiedział. - Ten przeklęty Boy miał pistolet, a ja, jak kretyn, zostawiłem swój w kieszeni płaszcza.

- Biegłem, ale oni poruszali się za szybko. Chodźmy do domu. Całą twarz masz we krwi.

Gdy Julien St. Clair, par March, przeszedł przez frontowe drzwi Winthrop House, dźwigając nieprzytomnego, zakrwawionego wicehrabiego Castlerosse, Duckett aż jęknął.

- O mój Boże, sir, czy...?

- Nie, żyje - pospieszył z zapewnieniem Julien. - Proszę natychmiast wezwać lekarza, Duckett.

Kamerdyner krzyknął po służącego i wydał mu chaotyczne instrukcje. Boże, tyle krwi! A jeżeli rana jego lordowskiej mości jest śmiertelna... jeżeli... o nieba, nie! Ale nie mógł zaniedbać swych powinności.

Lekarz domowy Winthropów, doktor Tuckman, stary i kruchy niczym pierwsze wydanie starodruku, wkrótce przybył.

W ciągu swych niemal sześćdziesięciu lat życia doktor Tuckman widział niejedno, ale zaniepokoił się na widok zalanej krwią twarzy młodego wicehrabiego.

- Spójrzmy, co tu mamy - powiedział, odsuwając Julię.

Po umyciu twarzy pacjenta doktor Tuckman oświadczył z pewną dezaprobatą w głosie: - To tylko draśnięcie. Niech pan popatrzy, o tutaj. Kula ledwie musnęła mu lewą skroń. Mnóstwo krwi, ale nie głębokiego ani niebezpiecznego.

- No to dlaczego stracił przytomność? - zapytał Julien.

Stromsoe trzymał się z daleka, co wielce oburzało Ducketta, choć wiedział jak fatalnie lokaj reaguje na widok krwi.

- Najprawdopodobniej szok - orzekł doktor Tuckman. Jutro pewnie będzie go trochę bolała głowa, ale nic poważniejszego. Postrzelili go jacyś włamywacze?

Julien zdecydował trzymać się najbardziej wiarygodnej historyjki. Przytaknął ruchem głowy.

- To wielce oburzające, że podobne rzeczy wciąż wydarzają się w tak nowoczesnym mieście jak Londyn.

Knigh t jęknął.

- Dzięki Bogu - westchnął Julien.

- Nie ma nic boskiego w tym, że odzyskuje przytomność, nic a nic - kwaśnym głosem zauważył doktor Tuckman i zabrał się do pakowania swego czarnego kufierka.

* * *

Duckett przeżywał rozterki: jak powinien był postąpić? Starał się jak mógł najlepiej. Miał nadzieję, że Charlie zastosuje się do jego poleceń. Kto mógł przewidzieć, że sprawy przybiorą taki obrót?

Usłyszał konie zatrzymujące się na podjeździe i ponownie jęknął. O Boże, Boże!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Lily, z przekrzywionym kapeluszem do konnej jazdy, w kostiumie, który teraz przemoczony i pokryty kurzem zmienił barwę z granatowej na trudną do określenia, pospiesznie podbiegła do kamerdynera.

- Czy jego lordowskiej mości nic się nie stało, Duckett? Proszę, powiedz, że żyje!

- Pani Winthrop... - Służący urwał i oblizał wyschnięte wargi. - Pojawiła się pani bardzo... szybko. - Zaczynał się pocić; już czuł krople na czubku łysiny. - Nie wzięła pani powozu.

Lily, zniecierpliwiona, machnęła dłonią. - Oczywiście że nie, przyjechaliśmy wierzchem. Jego lordow-ska mość, Duckett, jak...

- Co ty, u licha, tu robisz?

Obróciła się na pięcie i ujrzała Knigh t a, jak gdyby nigdy nic stojącego w drzwiach biblioteki, z

rękami skrzyżowanymi na piersiach. Głowę miał owiniętą białym bandażem, ale kompletnie ubrany, z rumieńcami na policzkach, wyglądał wręcz jak okaz zdrowia.

Ogarnęła ją fala ulgi; jej rozpaczliwe modlitwy zostały wysłuchane. - A więc żyjesz! - krzyknęła i pobiegła do niego.

Z całą przytomnością umysłu, na jaką było go stać, pochwycił ją za rękę i przytrzymał na dystans. - Lily, co ty tu robisz?

Zmrużyła oczy i cofnęła się, nagle świadoma swego nieprzemyślanego zachowania, najwyraźniej przyjętego z dezaprobatą. Opuściła obciążone rękawiczkami dłonie. - Charlie przybył po mnie do Ca-stle Rosse. Powiedział, że zostałeś postrzelony i że prawdopodobnie rana jest poważna. Oczywiście, przyjechałam natychmiast.

Ponad jej głowę Knight rzucił spojrzenie Duckettowi, który wyprostowany na ile tylko pozwalało mu jego metr sześćdziesiąt wzrostu, próbował przybrać minę osoby bardziej władczej niż sędzia pokoju.

- Był pan cały zakrwawiony, milordzie. Okropnie pan wyglądał, jakby miał pan zaraz umrzeć.

- To prawda - potwierdził Charles.

- Dziś rano na polecenie pani Allgood dwie pomy-waczki szorowały podłogę w wejściowym holu - dodał Duckett, postanowiwszy skoncentrować się na makabrycznych szczegółach.

- Mnóstwo krwi - przyłączył się Charles.

- Nawet cię tu nie było - powiedział Knight lodowatym tonem. Zdawał sobie sprawę, że przed jego oczyma rozgrywa się coś na kształt komedii. - Pani Winthrop, proszę ze mną do biblioteki. Duckett, przyślij herbatę i jakąś przekąskę.

Drzwi biblioteki zamknęły się.

Lily nie spuszczała wzroku w wicehrabiego Castle-rosse. Był jakiś inny. Także patrzył na nią jakoś inaczej. Nic nie rozumiała. - Kto cię postrzelił?

- Tych twoich dwóch łotrzyków, Monk i Boy. Westchnęła przerażona. - Nie! Ale ... wiedziałam, po prostu wiedziałam.

- Widzę, że szybko połapałaś się w sytuacji. Tak, Lily, przewidywałem, że zajmą się mną po twoim wyjeździe. Nie jestem do końca takim głupcem, za jakiego z pewnością mnie uważasz - Nigdy nie uważałam cię za głupca. Raczej za zbyt szlachetnego, jeżeli już chcesz znać prawdę.

- Szlachetny? Jak miło to słyszeć z twoich ust. Cieszę się, zapewniam cię. Miałem nadzieję, że się mną zajmą. Stworzyłem im ku temu niejedną okazję. Wczoraj wieczorem ją wykorzystali. Moja głupota polega tylko na tym, że Boy miał pistolet i mnie postrzelił. Nie przewidziałem tego i własną broń trzymałem w kieszeni płaszcza. Wydawało mi się, że w ich stylu będzie raczej nóż użyty w mroku nocy. Z drugiej strony jestem pewien, że Monk nie liczył na bolesne zetknięcie się z moją szpadą. Założę się, że doznał poważnego uszczerbku i teraz leży w łóżku, gdzie pozostanie przynajmniej z tydzień. Oczywiście Julien stanowił część mego planu. Przyniósł mnie do domu. Z rany na głowie wyciekło mi morze krwi, ale nie była poważna.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie. Odetchnęła głęboko. - Strasznie się o ciebie bałam.

- Dziękuję ci. - Wiedziała, że coś jest nie tak. Duckett pojawił się z herbatą i talerzami pełnymi babeczek, ciastek i herbatników.

Nagle poczuła ogromny głód. Usiadła i próbowała przyglądzić fałdy swego kostiumu do konnej jazdy. - O Boże, jestem cała pobrudzona...

- Najpierw zjedz, potem doprowadzisz się do porządku.

- Dziękuję. Umieram z głodu.

Knight przyglądał się, jak zatapia zęby w cytrynowym cieście Cuthberta. Zaczekał, aż będzie miała pełne usta i powiedział: - Odkryłem, o co tym typom chodzi. O błyskotki. Innymi słowy, klejnoty.

Omam się nie zadławiła. Pospiesznie klepnął ją w plecy, podał filiżankę herbaty. - Wybacz mi, proszę - zmitygowała się. - Nic mi nie jest. I nic nie wiem o żadnych klejnotach. Na Boga, dlaczego...

- To kompani Trisa. Zamordowali go, zanim się dowiedzieli, co uczynił z kosztownościami, które razem ukradli. Najwyraźniej zdradził ich; według mnie nie było to zbyt rozsądne posunięcie. Tris nazywał te klejnoty błyskotkami Billy'ego. Niejaki Billy zamówił je dla swej narzeczonej, Charlotte. Ta najwyraźniej zerwała zaręczyny i klejnoty znajdowały się w drodze powrotnej, gdy Tris i jego kompani je zrabowali.

Lily nie mogła wydusić z siebie słowa, tylko wpatrywała się w Knighta. Wreszcie powoli powiedziała:

- Nie wierzę. Tris nie był przestępcą. To taki wspaniały mężczyzna i ojciec...

- I także wyjątkowo kochający mąż?

Przez chwilę nie znajdowała słów. Wreszcie wysunęła brodę i powiedziała stanowczym tonem: - Oczywiście. I nie był złodziejem. Nie stowarzyszyłyby się z takimi, jak ci mężczyźni.

- Lily, to prawda. Przestań walczyć z faktami. Mam tylko jedno pytanie, a raczej dwa. Po pierwsze, gdzie są błyskotki? Po drugie, komu zostały zrabowane? Kim jest ten Billy?

- Mówię ci, nie ma żadnych klejnotów. Nie sądzisz, że znalazłabym je po śmierci Trisa?

- Monk i Boy są absolutnie przekonani, że ty wiesz, gdzie się znajdują. I że Tris je ukrył. Musimy więc je odszukać i zwrócić prawowitemu właścicielowi. Logika podpowiada, że wtedy Monk i Boy przestaną nam zagrażać.

Lily dopiła herbatę. To nie mogło być prawdą, nie... Zacisnęła powieki, walcząc ze łzami. Och Tris, nie...

- Nie powinnaś była tu przyjeżdżać.

Usłyszała jego słowa, głuchy ton jego głosu. Zabrało jej kilka chwil, by odzyskać panowanie nad sobą. - Musiałam - wyznała i, otworzywszy oczy, ujrzała, że obserwuje ją z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Dlaczego? Nie jesteśmy spokrewnieni, Lily. Nic a nic nas nie łączy - rzucił celowo chłodnym tonem.

Był inny. Bardzo się zmienił. Zachowywał się, jakby jej nienawidził.

Mówił dalej, nie czekając na odpowiedź: - A może z twojej strony to gra o wysoką stawkę. Teraz ja jestem prawnym opiekunem dzieci. Ja za nie odpowiadam. A pani, madam, cóż, mogła pani pozostawić je pod moją opieką i odejść, dokąd chce, razem z klejnotami.

- Co powiedziałaś?

- Słyszałaś.

Poderwała się na równe nogi, niemal strącając tacę z zastawą. - Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? Tak okrutnie?

- Czyż nie wróciłaś z Charliem, by towarzyszyć mi w moich ostatnich godzinach? Może liczyłaś, że okażę wdzięczność za twoją troskę i poślubię cię na łożu śmierci? Uczyniłbym cię wielce bogatą, chyba wiesz. Prawdopodobnie o wiele bardziej, niż warte są te skradzione klejnoty.

Zbladła jak śmierć, poczuła w środku niezwykle chłód. Opanowała się jednak. Uniósł do góry

brodę. I mimo że przemoczona, brudna, o włosach przypominających mysie gniazdo, wyglądała pięknie.

Knight trzymał się mocno. Nie miał wyjścia.

- Lub, pani Winthrop, uznała pani, że jeżeli nawet przeżyję, pani obecność bez przyzwoitki w moim domu załatwi sprawę. Poczuję się zobowiązany poślubić panią. Zapewne wie pani, jak bardzo jej pragnę, niestety okazałem to aż zbyt otwarcie. Ale małżeństwo, madami Nie jestem aż takim głupcem. Opuści pani Winthrop House, kiedy tylko zechce. Nie obchodzi mnie pani zrujnowana reputacja. Nigdy, przenigdy nie ożeniłbym się z panią.

Lily odrzekła spokojnie: - To ci dwaj, oni ci powiedzieli, prawda? Że nie byłam poślubiona Trisowi?

Zaśmiał się ochryple, nieprzyjemnie. - Jeżeli masz na myśli, że nazwali cię zabaweczką Trisa i jego dziwką, to owszem, powiedzieli mi, że nie byłaś mu poślubiona.

Nie odezwała się. Tylko stała, pozornie wręcz nieprawdopodobnie opanowana i równie nieprawdopodobnie dotknięta.

Musiał pozostać twardy. Więcej nie da się nabrać na jej urodę i wybitne zdolności aktorskie. - Opanowała pani do perfekcji rolę kochającej mamusi, madam. Każdy, kto panią widział, przyzna mi rację. Kochająca, czuła, wyposażona we wszelkie zalety, jakich oczekuje się od matki. A więc twój ojciec oddał cię, a raczej sprzedał, Trisowi, gdy miałaś piętnaście lat? Rozpoznał ladacnicę nawet we własnej córce. A może Laura Beth nie jest twoim dzieckiem? Może to jeszcze jedna sztuczka, by zdobyć współczucie dla biednej, zbolełej wdowy. Nie chcę już nic więcej słyszeć na ten temat. To nie ma znaczenia. Nie dla mnie. Proszę dokończyć herbaty, madam. Zjedz jeszcze ciasta. Jesteś bardzo chuda, a powinnaś nabrać ciała, by zapewnić sobie następnego opiekuna z odpowiednim majątkiem i pozycją.

Zamarła niczym pustynia bólu; nigdy by nie uwierzyła, że podobne uczucie jest możliwe.

- No i co, nic pani na to nie odpowie, pani Winthrop? Cóż, mniejsza o to. Jak sobie przypominam, jeszcze niedawno uciekła pani z własnej woli. Jaka szkoda, że Paskudny Arnold zepsuł pani tak szczegółowo zaplanowane przedsięwzięcie. A ja, oczywiście, jak idiotyczny święty Jerzy przygalopowa-łem na ratunek. Pani wcale nie pragnęła mej pomocy, czyż nie?

Patrzyła tylko na niego, jakby całkiem oniemiała. Wolno skinęła głową.

Nawet nie zauważył jej gestu. Chodził teraz po pokoju tam i z powrotem, nie patrzył na nią, a słowa wręcz płynęły mu z ust. - Bardzo sprytne z twojej strony powstrzymać się od ucieczki ode mnie po tym, jak odesłałem Arnolda i jego nędznego kompana. A wreszcie popełniłem to kompletne głupstwo, rzucając się na ciebie w powozie. Podobało ci się, Lily, czyż nie? Teoretycznie, moja droga, masz wszelkie cechy bardzo zręcznej dziwki. Niestety, obawiam się, że jesteś prawdziwie namiętna. Posłuchaj mej rady. Żeby odnosić sukcesy, ladacznica musi być zimna jak trup.

W końcu wyczerpał zasób słów, pożegnał ją drwiącym gestem, odwrócił się na pięcie i wypadł z biblioteki. Nie trzasnął drzwiami, lecz zamknął je bardzo wolno i cicho.

Lily osunęła się na kanapę. Siedziała wpatrzona przed siebie, żałując, że nie umarła.

Gdyby potrafiła zebrać siły, odeszłaby w tej właśnie chwili. Jednak była po prostu wyczerpana, fizycznie i duchowo. Udała się na górę do sypialni. Betty przygotowała jej kąpiel. Pani Allgood pojawiła się z kolacją na tacy.

- Czy jego lordowska mość je dzisiaj w domu? - zapytała Lily.

- Nie, w swoim klubie. Nie rozumiem dlaczego. - Pani Allgood zmarszczyła czoło. - Sądziłam, że

jak pokonała pani całą tę drogę z Castle Rosse... - Wzruszyła ramionami. - Cóż, nie moja sprawa, prawda? Co pani sądzi o pani Crumpe?

- Jest bardzo serdeczna. Dla nas wszystkich.

- I powinna. To moja kuzynka. Ma na imię Emily. Oczywiście napisałam do niej, jacy byliście tu wszyscy mili. Życzę pani dobrej nocy, pani Winthrop.

Ależ mały ten świat, pomyślała Lily. O ósmej już spała; dręczyły ją nieprzyjemne, niejasne sny.

O pierwszej w nocy Knight lekko nacisnął kłamkę, Drzwi otwarły się bezdźwięcznie. W pokoju panowały całkowite ciemności. Wytężył wzrok, ale z mroku nawet nie zdołał wyłowić konturów sylwetki Lily.

Zapalił świeczkę, opanowany pragnieniem spojrzenia na Lily. Za wszelką cenę. Potknął się o krzesło i ledwie się powstrzymał, by nie zakląć na głos. Musi się opanować. Nie pamiętał, by kiedykolwiek dotąd, w całym swym dorosłym życiu, tak bardzo był na coś zdecydowany.

Z zapaloną świeczką w ręce, powoli zbliżył się do łoża.

Rozdział 13

W pokoju panował lekki chłód, więc pospiesznie podłożył do wygasającego w kominku żaru. Wnętrze musi się nagrzać, by mógł nasycić się jej nagością.

Wreszcie, gdy pomarańczowe płomienie wystrzeliły w górę, podniósł się, zadowolony ze swego dzieła i otarł dłonie o szlafrok. Szata rozchyliła mu się z przodu i ze zgrozą zauważył, że nie pozostał wobec pograżonej we śnie niewiasty tak obojętny, jak sobie wmawiał. A niech to! Już cierpiał, choć jeszcze nawet jej nie zobaczył, nawet nie dotknął. Zawiązał pasek mocniej, co i tak wiele nie pomogło.

Stał nad nią w milczeniu, wstrzymując oddech, i wpatrywał się. W pokoju z każdą minutą robiło się cieplej, na przeciwległej ścianie płały cienie wydłużających się płomieni. Nagle spod przykrycia wyłoniło się ramię. Koce, które Lily zsunęła we śnie, zatrzymały się na wysokości jej talii. Wciąż stał bez ruchu.

Chciał na nią patrzeć, raz na zawsze nasycić się jej widokiem. Jej rozpuszczone na noc włosy niemal zakrywały poduszkę. Jakże piękne! Aż wyszło mu w gardle z pragnienia, by wpleść w nie swe palce. Jej rzęsy, ciemniejsze od włosów, zatrzepotały na policzkach. We śnie wyglądała niezwykle młodo i bardzo niewinnie. Niewinna, akurat! Niemal parsknął kpiąco, czując wobec siebie pogardę.

Z dezaprobatą zatrzymał wzrok na nocnej koszuli śpiącej. Dziewicza biel, wysoki kołnierzyk i guziczki od szyi niemal do pasa. Ciekawe, jak by wyglądała w takiej bieliźnie, jaką kilka miesięcy wcześniej kupił Danielle. Jedwabna, brzoskwińowa mgielka, przysłaniająca, podkreślająca, sugerująca. Ale choć bardzo się starał, nie udało mu się wyobrazić w niej Lily.

Postawił świecę na stoliczku obok łóżka. Wystarczy! Usiadł obok śpiącej, wciąż jeszcze jej nie tknął.

- Dziwka - szepnął w pustkę pokoju i do śpiącej kobiety. - Najbardziej pociągająca istota, jaką w życiu spotkałem, a cholerna dziwka. - Roześmiał się.

Usłyszała ten śmiech. To nie sen, lecz rzeczywistość, rozbrzmiewał tu, obok niej. Natychmiast otworzyła oczy. Lekko odwróciła głowę na poduszce i ujrzała go.

- Knight? - Co to znaczy, on tutaj, siedzi na jej łóżku i uśmiecha się do niej. Nie, śmieje się. To przecież dziwne. Czyżby powiedziała coś zabawnego, nie zdając sobie z tego sprawy? Czy wciąż śni? - Uniosła dłoń ku jego twarzy, potem opuściła ją. - O Boże, czy coś się stało? Dzieci?

- Witaj, moja droga Lily. Tak, jestem tutaj, ale nic się nie stało.

Był w jej sypialni, tylko w szlafroku. - Nic? A co ty tu robisz? Przecież... - Urwała i spróbowała się podnieść.

Knight pochwycił ją za ramiona i z powrotem przycisnął do łóżka. - O nie, Lily, chcę, byś leżała na plecach.

Patrzyła na niego, kompletnie zagubiona. - Nie rozumiem cię. Co tu robisz? Naprawdę nic złego się nie stało?

Tym razem nie roześmiał się, tylko wykrzywił usta w parodii uśmiechu. Nie puszczał jej ramion. - Absolutnie nic, droga Lily. Jestem tu, by sprawdzić pewną moją teorię, nic więcej.

- Jaka?

Ach, co za niewiarygodna konsternacja, cóż za niewinne spojrzenie! - Jakże świetnie ci idzie, Lily. Może nawet mogłabyś dawać lekcje aktorstwa dziewczętom z opery.

Nie rozumiała go; plółł trzy po trzy, zupełnie bez sensu. - Upiłeś się, Knight?

- Ani trochę. Pewnie byłoby lepiej, gdybym upił się na umór, ale nie zrobiłem tego. Nie, chciałem widzieć, zrozumieć, poznać wyniki mego eksperymentu.

Działo się coś bardzo złego. Ten mężczyzna nie był Knightem Winthropem, którego znała. Ale także ów rozgoryczony, cyniczny człowiek, który tak kwieciście i dotkliwie obrażał ją wcześniej w bibliotece, też nim nie był. Nie wystraszyła się, ale wolałaby, by powiedział coś sensownego. W jego zwężonych teraz źrenicach, w blasku świeczki wyraźnie połyskiwały złote światełka. Lisie oczy, jak powiedziała pani Crumpe. Patrzył na nią, przenikał wzrokiem przez cienki materiał jej koszuli, i nagle rozumiała jego intencje. Głęboko wciągnęła powietrze. - Nie - powiedziała całkiem wyraźnie. - Odejdź, Knight.

- Nie tym razem, Lily. Teraz... - Nagle, bez ostrzeżenia, rozerwał jej koszulę od szyi do pasa. Gwałtownym ruchem rozchylił materiał. Ciężko dysząc, walczyła z nim rozpaczliwie, ale nie zdało się to na nic. Unieruchomił ją i trzymał w żelaznym uścisku tak długo, aż zbyt osłabła, by bronić się dalej.

W jej oczach pojawił się strach, on jednak nie zamierzał dać się nabrać. Teraz też grała. Nie było w niej nic prawdziwego, oprócz namiętności. A przynajmniej tak uważał, i zamierzał tego dowieść. Złapał ją za nadgarstki i zarzucił jej ręce wysoko nad głowę. Potem wbił wzrok w jej piersi. - Te suknie, które nosisz, Lily, nie oddają twej urody. Masz całkiem ładne piersi, pełne i białe, z sutkami w kolorze delikatnego, matowego różu. - Pragnął jej dotknąć, kosztować ustami. Ale nie, musi zachować opanowanie.

- Przestań, Knight. Dlaczego to robisz? Nie jestem dziwką, proszę, pozwól mi wyjaśnić.

- Aha, jak miło, Lily. Chcesz mi coś powiedzieć? Miałaś na to dość czasu dziś po południu w bibliotece. Jednak nie wydusiłaś z siebie ani słowa, niczemu nie zaprzeczyłaś, czyż nie? Więc, co to mówiłem? Ach tak, twoje śliczne piersi. Nie są specjalnie duże, ale ich kształt, Lily i jakość twego ciała... Niech sprawdzę... - Jedną ręką przytrzymał jej nadgarstki, palcami drugiej dotknął piersi. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

Jej krzyk zabrzmiał ochryple, dziko: - Nie wolno ci, Knight, nie możesz mnie zniewolić!

- Zniewolić? To znaczy zgwałcić? Oczywiście że tego nie uczynię. To nie w moim stylu. W żadnym wypadku, chyba już ci o tym mówiłem. O nie, Lily, to co robię, podoba ci się, czyż nie? Wnet zaczniesz mruczeć rozkojarzona i zapragniesz, bym cię dotykał. - Palcami przesunął po jej piersiach i z wyrazu jego oczu rozumiała, że nie zamierza przestać. Był absolutnie zdeterminowany. Wpadła w szal. Szarpała się, próbowała uwolnić się z jego uchwytu, wierzgała nogami. - Puść mnie, Knight. Odejdź, przeklęty! Będę krzyczeć, przysięgam, będę...

Lewą dłoń oderwał od jej piersi i przesunął na usta. Pochylił się bliżej, z twarzą oddaloną od niej na odległość oddechu. - O nie, Lily, nic z tego. Teraz cię pocałuję i znów mnie zapragniesz, jak tamtego wieczora w powozie. Cicho, Lily, zaraz zobaczysz, co poczujesz.

Jego ciepły oddech muskał jej policzki; a w jego oczach dostrzegła jakby kwintesencję męskiej brutalności. Ogarnęło ją przerażenie. Na Boga, to nie może się stać! Gwałtownie odwróciła głowę. Ale on mocno chwycił ją pod brodę i znów unieruchomiona, patrzyła mu w twarz. - Nie jestem dziwką, Knight - powtórzyła, ale jej słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Zupełnie jakby znajdował się gdzieś poza nią, niezdolny jej zrozumieć. Jego wargi, gorące, twarde, naciskały na jej usta, poczuła delikatne muśnięcia języka. Gdy protestując, cicho zajęczała, zadrzał gwałtownie. Za wszelką cenę musi to zakończyć, pomyślała przerażona, zmusić go, by się opamiętał. Gdy tylko na chwilę rozluźnił uścisk na jej brodzie, krzyknęła: - Nie!

- A niech cię! - zareagował gniewnie, zdeterminowanym tonem. Przetoczył się na nią, unieruchomił własnym ciałem i ponownie odnalazł jej usta. Przytrzymał jej ręce szeroko rozrzucone, przyciskał ją do łóżka swym ciężarem. Cała jego łagodność znikła bez śladu; stał się natarczywy. Głębiej zanurzył się w jej ustach, stwardniałym członkiem mocno napierał na brzuch. Jakby w parodii seksualnego aktu przyciskał ją, i w następnym momencie się cofał, równocześnie wsuwając jej język w usta i zaraz go wysuwając. Powtarzał te ruchy bez końca, a ona myślała tylko jedno: to Knight, to on tak ze mną postępuje, sprawia, że ogarnia mnie pustka, a równocześnie rozpala mnie i napełnia niewyobrażalnym erotycznym pragnieniem.

Gdy wreszcie jej ciało zareagowało, zorientował się natychmiast. Wiedząc, że przełamał wszelki opór kobiety, natychmiast to wykorzystał.. - Lily - wyszeptał jej prosto w usta. Stoczył się z niej i ująwszy jej dłoń, przesunął ją niżej, położył sobie na brzuchu. - Dotknij mnie, Lily, o tak. - Mimo woli drgnął, gdy musnęła go koniuszkami palców. Teraz jej dłoń wyraźnie sięgała ku niemu poprzez grube fałdy szlafroka. Zajęczał, ogarnięty gwałtownym pożądaniem. Jednym szarpnięciem rozchylił szlafrok i znów poprowadził jej dłoń.

Lily wręcz nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że czyni to, o czym marzy, czego pragnie. Dotykała palcami nieznanego jej dotąd, męskiego ciała, gorącego, twardego i gładkiego. Natrafiwszy na męskość Knighta, zadrzała. Napełniała ją strachem, a jednak, zafascynowana, instynktownie przesunęła się ku niemu, by tylko móc się o niego otrzeć, mieć go jeszcze bliżej, w sobie.

Nagle odepchnął jej dłoń. - Dość - szepnął. - Jesteś zbyt zrećzna, a niech cię! - Znów przycisnął ją sobą, ustami przykrywając jej usta, wdzierając się w nie językiem.

Zrećzna, w czym? Nie dbała o to, nie obchodziło jej nic poza nim i tym, co jej czynił i przepelniało ją tak niewiarygodnym uczuciem.

Dotykał jej policzka, nosa, szyi. Pragnęła więcej, i sama nie wiedziała, czego właściwie chce. Poczula między udami pulsujący ból i przeszył ją dreszcz. Zachwycony jej reakcją, ułożył się między jej nogami.

- Szerzej, Lily. Bardziej rozsuń nogi.

Posłuchała bez chwili wahania, bez jednej myśli. Znów nacisnął na nią i ich ciała dzieliła już tylko jej podarta nocna koszula.

Teraz już całkiem straciła nad sobą panowanie, a on o tym wiedział. Krzyczała, błagała go, krzycząc mu prosto w usta, a on triumfował i cieszył się, że potrafi jej odmówić. Odchylił się, i mocno naparł na nią swą twardą męskością; otworzyła oczy, spojrzała na niego i jęknęła. Przywarła mu do ramion, szarpała szlafrok.

- Nie, Lily! - Nie mógł pozwolić, by go rozebrała. Przegrałby z nią, nie miał najmniejszych wątpliwości, a to nie wchodziło w rachubę. Natychmiast stoczył się na bok. Wyjęczała jego imię,

próbując odwrócić go do siebie, odnaleźć go, z powrotem mieć go przy sobie. Jej dłonie dotykały go po twarzy, ramionach, zaciskały się na jego rękach.

Znów pocałował ją namiętnie i, przesunawszy dłonią po jej piersi, wyczuł szaleńczy rytm uderzeń jej serca, drzenie rozpalonego pożądaniem ciała. Rozpostarł palce i położył otwartą dłoń na jej brzuchu. Panował nad nią bez reszty. Zwyciężył.

- Lily, spójrz na mnie. Otwórz oczy. Pragnę widzieć twoją twarz, gdy będę cię dotykał. I chcę, byś wiedziała, że na ciebie patrzę.

Rozkosz wypełniała jej ciało, napierała. Lily uniosła powieki i dostrzegła zdeterminowanie w jego spojrzeniu, triumf, zupełnie jakby rozkoszował się władzą, jaką nad nią posiadał. - O nie, Knight, proszę, nie... - Przecież nie może pozwolić, by tak się stało. Dlaczego on jej to robi? - Proszę, Knight...

- Proszę, co, Lily? - wyszeptał jej tuż przy ustach. Wystudowanym ruchem uniosł dłoń i lekko położył jej na piersi. Ujrzał w jej oczach zawód, poczuł unoszące się ku niemu, poszukujące go biodra i uśmiechnął się. - Wiesz Lily, jesteś bardzo namiętna i cała należysz do mnie. A to, podoba ci się to? - Językiem musnął jej język i w równocześnie palcami delikatnie dotknął piersi. Jej krzyk wypełnił mu usta. I czując jego triumf, to jego samcze samozadowolenie i radość, zniechęciła się i swoje ciało, gdyż zdradziło ją; tyle że podobnych emocji nigdy dotąd nawet sobie nie wyobrażała. Pocałunki Trisa nie wywoływały w niej żadnej reakcji, a na samą myśl o bliskości Knighta przeszywał ją dreszcz. Teraz, mocniej ścisnąwszy jej pierś, pieścił ją swymi zręcznymi palcami, obejmował, unosił, aż w końcu wargami otoczył sutek.

Zatraciła się całkowicie. Wyprężyła plecy i wydała głęboki jęk. - Tak właśnie, Lily. Tak, właśnie tak. - Gdyby naprawdę kontrolował sytuację, w tym momencie przerwałby pieszczoty.

Nie przestając jej ssać, dłonią odnalazł drugą pierś. Wyczuł szalone bicie jej serca i uniosł twarz, by na nią spojrzeć. Miała oczy zamknięte, wyprężoną szyję, głowę wspartą na poduszce, a na twarzy wyraz bezgranicznej, wręcz bolesnej rozkoszy. Boże, jakaż ona piękna! Nie, więcej nie spojrzysz na nią, dopóki nie upewni się, że całkowicie nad sobą panuje. Popęłnił błąd! A przecież to tylko jeszcze jedna kobieta, jeszcze jedno ciało, niesłuchanie godne pożądania, ale nic poza tym. Zsunął dłoń, by dotknąć jej w talii, potem położył płasko na jej brzuchu. Przywarła do niego. Wykrzywił twarz w okrutnym uśmiechu.

- Pragniesz mnie, Lily?

Zdławiła szloch, jej dłonie, zwinięte w pięści i przyciśnięte po bokach ciała, zanurzyły się pod przykrycia. - Dotknij mnie, Lily.

Zmusił ją do otwarcia oczu i rzucił ponownie: - Dotknij mnie, Lily.

Powoli uniosła dłonie i lekko położyła mu na ramionach. Ten zwykły dotyk, nawet poprzez materię szlafroka niesięgający nagiego ciała, niemal pozbawił go zwycięstwa. Szybko ujął ją za nadgarstki i z powrotem przycisnął jej dłonie do łóżka.

- Jak się czujesz, Lily?

- Nie wiem - jęknęła bez opamiętania, przepelniona pragnieniem. Oddychała ciężko, w szeroko otwartych, oszalałych z podniecenia oczach błyszczała rozpacz.

Wciąż nie spuszczać z niej wzroku, przesuwając ręką po jej brzuchu, wreszcie delikatnie przycisnął jej nągą skórę rozłożoną dłonią.

Przymrużyła oczy, jej ciało znów witało go drzeniem. - Knight...

- Nie zamykaj oczu. Uniosła powieki.

- A teraz powiedz mi, czego pragniesz. Powiedz, co czujesz.

Oderwał od niej palce za ledwie na moment. Jeszcze trochę rozerwał jej koszulę. - Powiedz mi, Lily. - Jego palce dotarły do jej kobiecości, lekko nacisnęły. Co za triumf! Boże, to najcudowniejsze uczucie na świecie.

Był zdumiony jej natychmiastową i niezwykle gwałtowną reakcją. Za ledwie jej dotknął, a już przeszył ją spazm. Natychmiast uniósł palce i obserwował jej twarz: powoli otworzyła oczy i spoglądała na niego jakby zagubiona i jakby przepelniona rozpaczą. Począł jeszcze chwilę; potem podjął pieśczętę.

- Knight...

- Tak, Lily? Podoba ci się, czyż nie? Jesteś taka delikatna, nabrzmiała i wilgotna, i tylko dla mnie. O tu, widzisz? Taka jesteś, Lily. - Palcem lekko dotknął jej policzka, by poznała wilgoć własnego ciała. Zadrżała, a on w odpowiedzi omal nie eksplodował.

Tym razem bardzo uważał, by nie doprowadzić jej do szczytowania. Drażnił się z nią, pieścił doświadczonymi palcami i wiedział, że już jest blisko, tyle że to on miał zdecydować, co jej się dostanie i kiedy.

Wtem jej uda rozwarły się, biodra pchnęły w górę w jego dłonie, nie zważając na nic, szukając całkowitego zaspokojenia. Oderwał się od niej i natychmiast wsunął w nią palec. Była taka gorąca i ciasna, i bardzo mała, aż jęknął z rozkoszy.

Nie, nie może. Musi się ponownie opanować. Nie pozwoli, by tak na niego działała.

Znów naparł na nią palcami, wymusił na swej twarzy uśmiech. Znajomy teren, pomyślał, wykonując rytmiczne, lekkie, potem mocniejsze ruchy, to żartobliwie, to brutalnie. Czuł jak narasta w niej rozkosz - zdradzały ją gwałtowne spazmy bioder, nagła nieruchomość nóg i wydzierające się z jej gardła niekontrolowane okrzyki. I już miała eksplodować, gdy ją zostawił.

Pospiesznie podniósł się i stanął obok łóżka. Ciężko oddychając, spoglądał na nią. Rozchylona koszula odsłaniała jej uda. Patrzył na jej gładkie, białe ciało, na płaski brzuch i cudowne, ciemnoblond włosy. Boże, jakaż ona piękna, do tego jaka chętna!

Wiła się, prężyła w górę, wciąż poza wszelkim zrozumieniem, poza sobą; wreszcie rozplakała się, cicho, bezradnie. Starał się zachować dystans. Nie udało mu się. Nie mógł znieść jej udręki.

- Dobrze, niech będzie. - Już nie kładł się obok niej, wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Siedział na łóżku, z dłonią przyciśniętą do jej brzucha, drugą ponownie sięgnął w dół, między uda. Spojrzał jej w twarz. Tuż przed osiągnięciem rozkoszy popatrzyła na nań nic niewidzącymi oczyma. Krzyknęła; natychmiast dłonią zakrył jej usta. Na Boga! Jeszcze trochę, a sytuacja wymknie mu się spod kontroli. Napinała się ku jego palcom, jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Nie odrywała od niego wzroku, nawet gdy dotarła szczytu; i wtedy, na jedną krótką chwilę, poczuł się częścią niej.

Zdawało się, że minęła cała wieczność. Powoli, bardzo wolno, Lily się uspokajała. Jeszcze lekko drżała, wstrząsały nią delikatne spazmy - reakcja po odpływającej rozkoszy.

Z jej oczu znikła mgła; patrzyła na niego i teraz widziała go. Znów była sobą, gdzieś z dala od niego, poza zasięgiem jego władzy.

Uśmiechnął się do niej okrutnie, z satysfakcją. - Następnym razem, Lily, zrobię to ustami. Wyobraź sobie, jak zamiast palcami pieścę cię językiem. Oszalejesz z rozkoszy i będziesz mnie błagać o więcej.

Na jego słowa przeszedł ją dreszcz, jakby poczuła dotykające ją usta. Ale zaraz wyraz jej twarzy powiedział mu, że oprzytomniała i powoli dociera do niej, co się stało.

Nie odezwała się ani słowem. Tylko wpatrywała się w niego, niema, nieruchoma.

- Nie odniesiesz sukcesu jako dziwka, moja droga Lily.

Wciąż nie odrywała od niego wzroku, i już nie potrafił niczego wyczytać z wyrazu jej twarzy.

- Bo, jak ci wcześniej mówiłem, kobieta lekkich obyczajów winna być zimna, i to bardzo. A twoja namiętność, Lily, jest tak niewiarygodnie wspaniała, że każdy mężczyzna byłby gotów zabić, by tylko jej doświadczyć. Ale nie uczyniłby cię bogatą, co to, to nie. Widzisz, po prostu nie musiałby. Bo wystarczyłoby mu zaledwie cię dotknąć i już byś szalała w pożądaniu rozkoszy. Być może, Lily, jeżeli okażesz się dla mnie bardzo miła, uczynię cię moją metresą. Ponieważ wiem, kim i czym jesteś, gdy już obejdziemy się bez kłamstw, nasze stosunki powinny ułożyć się bez trudu. Co powiedziałaabyś o tym, żeby zostać moją kochanką, Lily?

Poruszyła wargami, ale nie wydała dźwięku.

- Nie chciałaabyś poczuć mnie w sobie? Wiesz, że wypełniłbym cię znakomicie, wszak już mnie dotykałaś, trzymałaś w dłoni. Dałbym ci rozkosz o wiele większą od tej, jaką przed chwilą przeżyłaś. No i moje usta, Lily. Sprawię ci więcej przyjemności, niż kiedykolwiek robił to Tris. A zresztą, spędziłaś przecież kilka miesięcy z mężczyzną, czyż nie? Wiem, Paskudny Arnold się nie liczy. W końcu i ty masz pewne standardy.

- Ogłuchłaś? Czyżby twoja namiętność jeszcze nie ochłodziła? Pragniesz więcej? Cóż, mnie też przydałaby się kobieta. Obojętnie jaka, oczywiście. Jeżeli chcesz, Lily, jestem gotów... nie będę ci skąpił.

Bardzo powoli podniosła się, przytrzymując zebraną na piersiach koszulę. Zamknęła czy, jakby chciała odciąć się od bólu, odgrodzić od strasznego upokorzenia, jakiego doznała. Wciąż słyszała jego nienawistny ton.

- Wiesz co, zaczynasz mnie nudzić. Nie zależy mi specjalnie na rozmowie z niewiastą, ale kilka słów nie zaszkodziłoby. Rano powiesz mi, co zdecydowałaś. A nuż wciąż będę zainteresowany. Może nawet następnym razem wejdę w ciebie, choć chciałbym dowiedzieć się, ilu tam było przede mną.

Już odwrócił się, by wyjść z sypialni, gdy do połowy wypełniona wodą karafka uderzyła go mocno w plecy między łopatkami. Potknął się i zaraz, błyskawicznie, odwrócił.

Nie miał czasu na reakcję, nawet nie zdołał zebrać myśli.

- Ty draniu!

Pędziała ku niemu, rozdarta koszula unosiła się za nią niczym całun, włosy dziko burzyły się wokół twarzy. Ujrzał, jak wyciąga ramię, i sprawy potoczyły się w okamgnieniu, jak błysk zdumienia, jak fragment snu.

Z całych sił wymierzyła mu pięścią cios w szczękę. Głowa eksplodowała mu bólem. Stracił równowagę i zatoczył do tyłu. Następny cios trafił go w brzuch przy akompaniamencie: - Ty nieczuły, cholerny draniu!

Potknął się o dywan i upadł, uderzając głową o róg kominka.

Jak kamień runął na podłogę.

Lily stanęła nad nim, ciężko oddychając; wciąż potrząsała pięścią. Otarte palce dawały już o sobie znać. - Nienawidzę cię, nienawidzę! - Opadła na kolana i przyłożyła mu dłoń do serca.

Biło mocno, miarowo. - Nic cię nie dobije, ty nieszczęsny, wstrętny, głupi...

Odetchnęła głęboko. Wstała i spoglądała na leżącego. Potem uśmiechnęła się. Przetaczała go, pchała, aż udało się jej zaciągnąć go na środek dywanika przed fotelem; leżał z rozrzuconymi rękami

i nogami. Wyciągnęła go z sypialni, co chwila przystając, by złapać oddech. Gdy dociągnęła go przed drzwi jego własnej sypialni, ledwo czuła ramiona. Upuściła róg dywanika i wyprostowała się.

Sypialnia pana domu. Niezły z niego pan, pomyślała, spoglądając na zamknięte drzwi. Zostawiła go leżącego na korytarzu, z szlafrokiem odsłaniającym owłosione uda, niedającego znaku życia. Wróciła do siebie, zerwała dwa koce z łóżka i wróciła do nieprzytomnego. - Powinieneś umrzeć z powodu swego paskudnego charakteru, nie z zimna. - Rzuciła na niego koce i demonstracyjnie, jakby występowała przed szerszą publicznością, otrzepała rękę. Zebrała na piersiach rozerwaną koszulę nocną, szybko wróciła do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

Po dziesięciu minutach już spała.

Rozdział 14

Milordzie!

Knight przebudził się gwałtownie na dźwięk wysokiego, zszokowanego głosu.

Otworzył jedno oko i ujrzał na sobą twarz Strom-soe'a. Dziwnie wysoko nad sobą. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest zeszywniały i zmarznięty i że leży wyciągnięty na twardej, drewnianej podłodze. Natychmiast usiadł. Broda bolała go dotkliwie, głowa też pękała; ostrożnie potarł tył czaszki. Na końcach palców ujrzał krew. Miejsce na skroni, otarcie po kuli Boya, zaczynało pulsować. Co za okropna i idiotyczna sytuacja.

- Co pan robi na korytarzu, milordzie? Nie rozumiem... ja...

- Cicho, Stromsoe. Umieram, a w każdym razie tak się czuję. Potarł obolałą szczękę, potem huczającą głowę, i każdy szczegół poprzedniego wieczora przesunął mu się przed oczami. Ostatnie, co zapamiętał, to była wysunięta pięść Lily. - Mój Boże, jaki ona ma wyśmienity sierpowy! - zauważył.

- Co pan mówi, milordzie? Wyśmienity... co? Czy pan całkowicie oprzytomniał... milordzie...

- Dość tego gadania, Stromsoe. Pomóż mi się podnieść. Na Boga, jestem sztywny niczym gorset tęgiej damy.

- Nic dziwnego, milordzie, jeżeli przespał pan noc na podłodze. Jak się pan tu znalazł? A te koce?

- Interesująca zagadka, nieprawdaż? No cóż, nie otrzymasz odpowiedzi, Stromsoe. A w rzeczy samej - mruknął jeszcze pod nosem - ja sam też wszystkiego nie rozumiem.

A więc Lily, w trosce, by nie zamarznął na śmierć, nakryła go kocami? Uśmiechnął się, i natychmiast skrzywił się z bólu. Szczeka, głowa, plecy, wszystko bolało jak diabli. Jeżeli chciała się zemścić - a na jej miejscu tylko święty męczennik nie pragnąłby rewanzu - to jej się udało.

- Gorąca kąpiel - polecił lokajowi, powoli krocząc do swej sypialni; Stromsoe podreptał za nim. - Mnóstwo gorącej wody, by wyparzyć cały mój zły humor.

- Przeciągnął palcami przez swe rozczochrane włosy, niechcący dotknął guza i skrzywił się. Gdy opuszczał dłoń, poczuł jej zapach. Przymknął powieki, nagle przypomniawszy sobie wyraz jej oczu, gdy ogarniała ją rozkosz, usłyszał jak krzyczy, jak napiera na jego palce. - O Boże! - Odwrócił się gwałtownie i ujrzał plecy Stromsoe'a, właśnie wychodzącego z pokoju.

- Widziałeś panią Winthrop dzisiaj rano?

- Nie, milordzie.

- Zapytaj o nią Ducketta.

- Tak, milordzie.

- Pospiesz się, Stromsoe.

Słyszając ten zniecierpliwiony ton, lokaj uniósł brwi, ale szybko skinął głową i się oddalił. Gdy pięć minut później powrócił do sypialni swego pana, prowadząc dwóch lokajczyków z wanną

gorącej wody, sam czuł się niczym ów słynny posłaniec grecki, przynoszący złe wieści. Tamten gość źle skończył, wręcz fatalnie.

- A więc?

- Oto gorąca woda, milordzie, niemal parzy.

- Nie bądź takim kretynem, Stromsoe.

- Odjechała. Opuściła dom godzinę temu.

Knight niemal namacalnie poczuł bladość ogarniającą mu twarz. A przecież nie powinien być zaskoczony. Czego się spodziewał? Ze przy śniadaniu ujrzy ją uśmiechającą się do niego z drugiego końca stołu i usłyszy: Och, dzień dobry, Knight. Mam nadzieję, że dobrze spałeś na podłodze w korytarzu po tym, jak walnęłam cię w szczękę. O tak, rozkosz, którą mi dałeś, całkowicie mnie usatysfakcjonowała. Owszem, zdecydowałam się zostać twoją kochanką, ale musisz uważać, bo stać mnie, by cię zabić, przeklęty draniu.

Roześmiał się, a lokaj wbił w niego zdumione spojrzenie. Knight machnął lekceważąco dłonią. - Nie zwracaj na mnie uwagi. Och, z wody bije para. Wspaniale. Teraz wyjdź, Stromsoe. Potrzeba mi spokoju, bym mógł zająć się obolałymi częściami mego ciała.

- Tak, milordzie - powiedział Stromsoe i ruszył do drzwi jak mógł najszybciej.

- Przyślij mi Ducketta.

- Tak, milordzie.

Zaledwie piętnaście sekund później, gdy rozebrany do naga Knight wchodził już do kadzi z parującą, gorącą wodą, do sypialni wśliznął się Duckett.

- Życzył pan sobie rozmawiać ze mną, milordzie?

- Coś spowolniałeś na starość. Zamknij te cholerne drzwi. Zimno, a jak widzisz, jestem goły.

Duckett, w przeciwieństwie do Stromsoe'a zupełnie nie był zbity z tropu. Odwrócił się i zamknął drzwi. Potem stanął i czekał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Dobrze wiedział, czego życzy sobie jego lordowska mość, ale nie zamierzał z niczym się wyrywać, zwłaszcza przy obecnym nastroju pana. Co też mogło się wydarzyć poprzedniego wieczora? Wśród służby aż huczało na temat niewątpliwie pijackich wyczynów wicehrabiego. Inaczej czemu leżałby na podłodze? Rzeczywiście, z jakiego innego powodu? Duckett wprawdzie nie znał odpowiedzi na to pytanie, jednak nie sądził, by wicehrabia się upił. Zawsze pił bardzo umiarkowanie i nigdy nie tracił nad sobą kontroli.

Knight zanurzył się w gorącej wodzie, westchnął z rozkoszy. - To lepsze od dźwięków harfy. Nie sądzisz, że w niebie powinni urządzić gorące kąpiele, Duckett? - Nabrał w dłoń wody i polał nią głowę, krzywiąc się, gdy spłynęła na otwartą ranę; potem znów westchnął z rozkoszy.

- To problem teologiczny, milordzie, nadaje się do rozważań dla arcybiskupa.

- Tylko na tyle cię stać? Dobrze, możesz nie odpowiadać. Aha, Duckett, która to godzina?

- Dochodzi ósma rano.

- O której wyjechała pani Winthrop?

- O siódmej.

- Czym? Powozem?

- Nalegała, by wracać wierzchem, milordzie. - Duckett dostrzegł, że wicehrabia drgnął i twarz mu zbladła, dodał więc jak najbardziej lakonicznym tonem: - Oczywiście kazałem Charliemu towarzyszyć jej w drodze powrotnej do rezydencji.

Przynajmniej wróciła do Castle Rosse. Ale na jak długo? Ci dwaj złodzieje klejnotów nie niepokoiili go. Monk pewnie na jakiś czas nie będzie mógł opuścić łóżka, a Boy pewnie nie oddali się

od niego na krok.

- Byłbym przeciwny jej wyjazdowi, milordzie, gdyby nie pogoda. Jak na tę porę roku jest niezwykle ciepło.

- Dlaczego ktoś ze służby nie obudził mnie przed nadejściem Stromsoe'a? Co oni robili, pełzali po mnie?

- Nikt pana nie zauważył, milordzie. Z rana tylko Stromsoe chodzi do pańskiej sypialni.

Knight puścił pod nosem wielce kwiecistą i nieprzyzwoitą wiązaną, ale Duckett, bynajmniej niepo-ruszony, milczał.

- Kiedy wybiera się pan do Castle Rosse? - zapytał w końcu, widząc jak wicehrabia ostrożnie myje głowę. Boy zranił go w skroń, czyżby doznał jeszcze innych obrażeń?

- Do Castle Rosse? A to czemu?

Choć zaskoczony uwagą swego pana, Duckett nawet nie mrugnął okiem. - Nie mam bladego pojęcia, milordzie. O, jest już Stromsoe. Czy jeszcze pan czegoś życzy sobie ode mnie?

Knight otworzył oczy i natychmiast dostało się do nich mydło. - Idź już. A Stromsoe'a trzymaj z dala ode mnie.

- Dobrze, milordzie.

* * *

Dwa dni później Lily, całkiem sama, stała przed portretem piętnastoletniego Knighta, którego artysta przedstawił w niemal rzeczywistych wymiarach. Przemówiła do obrazu poważnym tonem: - To, co mi wyrządziłeś, nie było miłe, Knight. To znaczy było miłe, a nawet więcej, ale przecież nie dotykałeś mnie dlatego, byś mnie pragnął czy darzył uczuciem. Nie, Knight, chciałeś mnie ukarać i upokorzyć, i udało ci się doskonale. - Na chwilę zamilkła, zdając sobie sprawę, że gdyby ktoś ją przyłapał na przemawianiu do portretu, uznałby jej zachowanie za dziwne. Jednak była sama i wreszcie mogła sobie ulżyć, wyrzucić z siebie gniew, jaki wobec niego odczuwała, a także wstyd z powodu swej nieumiarkowanej namiętności.

- Wcale nie wygrałeś, milordzie. Może nie narzuciłam ci swej woli, ale przyprawiłam cię o poważny ból głowy, a przynajmniej mam taką nadzieję. Liczę też na to, że czułeś się upokorzony, gdy służba znalazła cię na korytarzu. Ciekawe czy uznasz, że wyrównaliśmy rachunki. - Potrząsnęła głową. - Zapewne nie. Głupia jestem, choćby przez moment żywiąc taką nadzieję.

Jeśli tu zostanę, to czy każesz mi odejść, przysyłając wiadomość przez posłańca? Nie sądzę, to nie w twoim stylu, prawda? Nie pozbawiłbyś się przyjemności pojawienia się tu i wyrzucenia mnie za bramę osobiście. O tak, to by ci odpowiadało. Uczyniłbyś to z wielką pompą, tym swoim pełnym sarkazmu, chłodnym tonem.

Ktoś zakaszlał za jej plecami i Lily natychmiast się odwróciła. - Och, pani Crumpe...

- Pani Winthrop, przepraszam, że przeszkadzam... Sama także czasami rozmawiam z portretami, wyglądają jak żywe, prawda? Chciałam donieść, że Laura Beth rozcięła sobie paluszek i lamentuje, jakby zaraz miała umrzeć.

- Już tam idę.

Dziewczynka była w kuchni, siedziała na kamiennym blacie stołu, a przy niej tłoczyli się kucharka Mimms, pomywaczka, kamerdyner Thrombin i jeszcze jedna służąca, której Lily wcześniej nie widziała. Mała, zdobywszy wielce nią przejęte i uwielbiające ją audytorium, szlochała tak dramatycznie, że Lily omal nie parsknęła śmiechem.

- Ty niegrzeczna dziewczynko - powiedziała, przedostając się przez rozstępującą się przed nią

cizbę służących. - Jakim sposobem się zacięłaś? Przestań płakać, Lauro Beth. Wiem, że udajesz. Spójrz, to tylko maleńka ranka. Zachowujesz się jak niemowlę. Szloch jeszcze przybrał na sile.

- Chyba będę musiała powiedzieć Samowi. Już słyszę jego pogardliwe uwagi o głupiutkich małych dziewczynkach.

Łkanie umilkło w jednej chwili. - Mamo? Och mamusiu, okropnie się zacięłam i bardzo mnie boli.

- Rzeczywiście, drobinko.

- Tak nazywa mnie Knight.

- Wiem.

Wtrąciła się kucharka Mimms: - Ona nie chciała, pani Winthrop, biedne niewiniątko. To wina tej głupiej dziewczyny. - Karcący palec wycelował w bezradną pomywaczkę. - Agnes zostawiła nóż na stole, skąd każdy mógł go wziąć i nawet się zabić.

Lily spojrzała na ściągniętą twarz Agnes i uśmiechnęła się. - Nic się nie stało. Dopilnuję, by czteroletnie dziewczynki nie błąkały się po kuchni i nie zakłócały wszystkim spokoju.

Deklaracja ta wywołała chór protestów, ale Lily tylko potrząsnęła głową, wciąż się uśmiechając. Ponownie podziękowała służącym, raz jeszcze wyraziła swe ubolewanie, potem wzięła Laurę Beth na rękę i wyniosła ją z kuchni.

- To boli, mamusiu.

- Pewnie kłuje, ale tylko troszkę. Zaczynam sądzić, że stajesz się okropnie rozpaskudzona, Lauro Beth.

- Pocałuj mnie, mamusiu.

- No dobrze. - Lily posłusznie ucałowała paluszek, potem mocno przytuliła małą. Co będzie dalej? Czy Knight zmusi ją do odejścia? Do opuszczenia dzieci? Jeżeli tak się stanie, czy Laura Beth wyrośnie na zepsutą, rozkapryszoną smarkulę? A co z Theo, tym jej poważnym chłopcem? Czy otoczony książkami o maszynach parowych zamknie się w sobie, jak pustelnik? A Sam, czy kradnąc jabłka w sąsiedztwie, nie zostanie postrzelony przez rozgniewanego właściciela jabłoni?

Pokręciła głową, udręczona tymi niewypowiedzianymi na głos pytaniami. A od tamtej nocy wciąż wracały do niej także wspomnienia intensywne, niemal przyprawiających o ból emocji, i znów ogarniało ją tamto podniecenie, czyniąc ją zawstydzoną, a także wściekłą, zarówno na niego, jak i na siebie.

- Co się stało, mammo?

- Nic takiego, kochanie. Nic. - Niezwykle, pomyślała, jak szybko i łatwo można okłamać dziecko. Miała nadzieję, że akurat to dziecko było bardziej zainteresowane swoją ranką niż ukrytymi motywami swej matki. Matki, która tak naprawdę nią nie była, a która po raz pierwszy w życiu odczuła rozkosz, jaka bywa udziałem kobiety.

Obandażowała palec Laury Beth, klepnęła ją w pupę. - A teraz się pobawimy... - urwała, wpatrzona w carycę Katarzynę. Odchrząknęła. - Lauro Beth, chcę, byś odszukała Theo i poprosiła, by do mnie przyszedł. Dobrze? Możesz pokazać mu swój bandaż. To sprawa niezwykła, zrobi na nim wrażenie.

Jej słowa sprawiły, że dziecko oddaliło się od niej z większym niż zazwyczaj entuzjazmem.

Lily pochwyciła lalkę i przejechała palcami po jej ramionach, piersiach i nóżkach. Niczego nie wymacała. Wahala się nad zniszczeniem carycy Katarzyny, ale klejnoty, błyskotki Billy'ego, zapewne zostały ukryte w lalce. Tris wiedział, że Laura Beth nigdy się z nią nie rozstaje. Ani na chwilę.

Klejnoty muszą być w niej. Bardzo ostrożnie przystąpiła do odłączania główki od korpusu. Spoglądały na nią wielkie, namalowane oczy lalki. - Nie morduję cię, na Boga. -

Wreszcie główka oderwała się. Spadła z dłoni Lily i wylądowała na łóżku, wydrążoną szyjką do góry - była pusta. Ani śladu klejnotów. Lily ostrożnie wsunęła dłoń do wyściółki korpusu. Nic oprócz końskiego włosia i poduszczyków z płótna.

Poczuła oblewającą ją falę bezradności. Te dwa łotrzyki myliły się. Nie ma żadnych klejnotów. Żadnych błyskotek Billy'ego. Jeżeli Tris je ukraść, jeżeli je ukrył, znajdują się nadal w Brukseli. Pospiesznie umieściła głowę carycy Katarzyny z powrotem na korpusie. A niech to, trzeba ją jeszcze przymocować.

Właśnie przyszywała szyję lalki, gdy do sypialni powróciła Laura Beth, a za nią Theo.

- Co jest, mamó? - zapytał chłopiec. - Porządkujemy z Johnem bibliotekę milorda.

Lily zapomniała przygotować sobie jakąś historyjkę, a okłamywanie Theo to zupełnie inna sprawa niż mydlenie oczu Laurze Beth. Spojrzała mu prosto w oczy. - Całkiem zapomniałam. Wracam do Johna. Jeżeli zapamiętam, czego od ciebie chciałam, powiem ci przy obiedzie. Przepraszam, Theo.

Przekrzywił głowę na bok - jeden z gestów Trisa - ale ponieważ milczała, odszedł.

Na szczęście Laura Beth nie zauważyła żadnej zmiany w wyglądzie carycy Katarzyny. Co więcej, była gotowa na drzemkę, gdyż dramatyczna rola, jaką odegrała przed kuchennym personelem, zmęczyła ją. Lily wreszcie mogła na chwilę zostać sama. Nawet Sam był zajęty, pomagając Alfredowi, głównemu stajennemu przy koniach.

Zastanowiła się, czyby nie przejechać się konno, ale zrobiło jej się żal biednej Violet. Przed dwoma dniami klacz przebyła z nią ciężką drogę z Londynu. Lily zdecydowała się na spacer.

Przejdzie się i porozmyśla.

Klejnoty muszą gdzieś być, to oczywiste. Bez nich znalazła się w pułapce. Musi je odnaleźć, sprzedać i uciec z dziećmi, opuścić Anglię. Nagle przypomniały jej się książki Theo. Zabrał ze sobą siedem czy osiem swych ulubionych tomów. Może klejnoty zostały ukryte w okładkach. Nie miała pojęcia, jak byłoby to możliwe, ale powygina, wytrzęsie i dokładnie zbada każdy tom.

Gdzie jeszcze mogłyby być?

Westchnęła i skierowała się w stronę sztucznego stawu, rozciągającego się przy granicy opadającego na wschód trawnika. Olbrzymi, rozłożysty dąb i wierzby rosły wokół lustra wody. Teraz, pozbawione liści, drzewa wyglądały żałośnie, nieinteresująco i tak pozbawione nadziei, jak ona. Szara tafla tchnęła pustką, a nielicznym kaczkom, które zwykle ją zasiedlały, widać znudziła się okolica, bo nigdzie nie było ich widać. Lily spacerowała, rozmyślała i odrzucała pomysły tak szybko, jak przychodziły jej do głowy. Idąc wyciągała z włosów szpilki i rzucała na ziemię, między drzewa, nie zwracając uwagi na nic i na nikogo, pochłonięta sobą i tymi przekłętymi klejnotami.

Błyskotki Billy'ego. Zadrzała na wspomnienie dwójki łotrów, Monka i Boya. Nawet gdyby udało jej się odnaleźć kosztowności, sprzedać je i uciec wraz z dziećmi z Anglii, tamci nie odpuściliby. Szukaliby jej, i w końcu dopadli.

Z poczuciem klęski oparła się o pień dębu.

Taką właśnie zobaczył ją Knight. Wyglądała na pokonaną; przygarbiona, pochylona do przodu, z tymi cudownymi włosami luźno opadającymi na plecy i ramiona. Miała na sobie starą, wełnianą suknię w kolorze gliniastego brązu, a zarzucony na ramiona gruby szal zdawał się akurat w sam raz do wyrzucenia na śmietnik. Coś drgnęło mu w sercu.

Pogarda.

Wobec siebie samego. Pogarda tak mocna, że musiał głęboko zaczerpnąć powietrza. Spojrzał na nią jeszcze raz - tym razem starał się być realistą - i ujrzał przed sobą młodą kobietę, głęboko pogrążoną w myślach, najprawdopodobniej próbującą znaleźć sposób, by go przechytryć.

Diablica.

Lily rzeczywiście rozmyślała o nim. Ponownie. I wbrew sobie; daremnie starała się wyrzucić go ze swych myśli, sprawić by zniknął, zapadł się w jakąś odległą nicość. Na próżno! Wciąż czuła dotyk jego ust, jego rąk.

- Lily.

Jęknęła; teraz jeszcze słyszy jego głos. To już naprawdę za wiele. Wyprostowała ramiona i odeszła.

Knight, niezniechęcony, zawołał: - Lily, zaczekaj!

O nie, to niemożliwe. Obejrzała się przez ramię, zobaczyła, jak zbliża się do niej wielkimi krokami i tak szybko, jak potrafiła, rzuciła się do ucieczki.

- Zatrzymaj się, u diabła! - Dopędzenie jej nie zabrało mu dużo czasu. Miał dłuższe i silniejsze nogi, a do tego nie przeszkadzały mu jakieś idiotyczne halki i spódnice.

Złapał ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

Lily zamachnęła się wolną ręką, ale tym razem przytrzymał ją za nadgarstek dziesięć centymetrów od swej brody.

Nie wydała dźwięku, nic nie powiedziała, tylko patrzyła na niego przymrużonymi oczami, oddychała ciężko i szybko.

- Więcej mnie nie uderzysz, Lily. Nie pozwolę na to. Nie puścił jej nadgarstka. A teraz pochwycił drugi i jedną ręką przytrzymał jej dłonie złożone razem, przed nią. Oddychała głęboko, a on z trudem zdołał oderwać wzrok od jej piersi.

- Dlaczego uciekałaś przede mną?

Głupie pytanie. Co za kretyn z niego, po stokroć osioł! Nie powinien - nie chce - zdradzić się przed nią z jakiegokolwiek słabości. Natychmiast by to wykorzystała. Nie pozwoli upokorzyć się takiej kobiecie jak ona.

Patrzyła na niego, nie umykając wzrokiem, nie okazując żadnych emocji, z kamienną miną. Wreszcie odezwała się całkiem spokojnie: - Upokorzyłeś mnie. Nie znoszę cię. Nie chcę cię widzieć. I z pewnością nie chcę, byś mnie dotykał.

- Cóż, szkoda - odrzekł, mocniej przytrzymując ją za nadgarstki. - Jestem tu, patrzysz na mnie i dotykam cię, Lily, choć nie tam, gdzie miałbym ochotę i gdzie pewnie ty byś sobie życzyła, ale dotykam cię.

Wciągnęła powietrze i szarpnęła się - bez skutku. Potem już stała spokojnie, po prostu czekała, z wzrokiem wbitym w swe dłonie, które mocno przytrzymał.

- Oczywiście wiedziałaś, że się pojawię. To mój dom - przerwał i ogarnął wzrokiem staw. - Jakies osiemdziesiąt lat temu Dervin Winthrop stworzył to sztuczne jezioro z małego stawku. Robi wrażenie, prawda? Nic nie powiesz? Cóż, jest imponujące i bardzo piękne, zwłaszcza wiosną i latem. - Czekał na odpowiedź, choćby jedno słowo, ale ona wciąż milczała. - Zastanawiałem się, czy jeszcze tu będziesz. Sądziłem, że odszukasz klejnoty i już cię nie zastanę.

- Nie znalazłam ich.

- Gdzie szukałaś?

- W carycy Katarzynie.

- Wyśmienita kryjówka. Laura Beth nie rozstaje się z lalką. A więc nie udało się?

- Niestety.

- Posłuchaj, Lily. Jeżeli znajdziemy klejnoty, tak my... zostaną zwrócone. Należą do Billy'ego, kimkolwiek jest, a ja już się dowiem. Nie zamierzam zostać przestępcą.

Uniosła ku niemu wzrok. Głos i twarz miała równie chłodne. - Mnie to nie przeszkadza. Lepiej być przestępcą niż ubogą krewną.

- Krewną? - Ciemne brwi uniosły się lekko. - Ty nie jesteś żadną krewną, Lily - powiedział wolno, patrząc jej w oczy. - Ani dzieci, ani moją.

Wydała z samej głębi swej krtani niski dźwięk i znów się szarpnęła.

- O nie, naprawdę nie zamierzam znów za tobą biegać. Stój spokojnie.

Nie mógł się powstrzymać, by sobie z niej nie zadrwić. Wiedział, że to przewrotne z jego strony, ale nie zdołał się pohamować. Boże, ileż to przez nią zamieszania, choć dopiero niedawno wkroczyła w jego życie. - Widzę, że tym razem nie zamierzasz zaprzeczać. Nie jesteś matką Laury Beth, nie myłę się?

Najwyraźniej zastanawiała się, czy skłamać, czy powiedzieć prawdę. Widział to w jej oczach. - Proszę, powiedz mi prawdę.

- No dobrze, nie jestem kobietą, która dała jej życie, ale jestem jej matką.

Powinien był to przewidzieć, jednak zaskoczyła go. Stał zatopiony w myślach, w erotycznych wizjach aż nadto żywych, gdy nagle mocno kopnęła go w goleń. Wypuścił ją, a ona od niego odskoczyła, wykorzystując chwilę, gdy łapiąc oddech, skakał najednej nodze.

Odwróciła się niczym jastrząb w locie i pobiegła z powrotem ku olbrzymiej rezydencji.

Tym razem nie poszedł za nią. Bo gdyby ją złapał, co byłoby nieuniknione, chyba by ją sprzął; albo całował tak, że postradaliby zmysły.

Nie, musi rozegrać to we właściwym czasie.

Wrócił do dworu. Po przyjeździe z Londynu nawet nie wchodził do środka. Gdy jeden ze stajennych, zapytany o Lily powiedział, że widział ją idącą w stronę jeziora, Knight natychmiast udał się za nią.

Thrombin zdawał się nic a nic niezdziwiony jego widokiem, tylko skłonił się tak nisko, jak pozwalał mu na to jego wiek i artretyzm, i uśmiechnął się szeroko. Knight dostrzegł w ustach starego służącego jeszcze mniej zębów, niż widział ich za poprzednią wizytą, i nieco się zatroskał. Na Boga, przecież Thrombin zna go od dziecka. Rozmawiali przez chwilę, potem Knight usłyszał głosik wykrzykujący jego imię.

Obejrzał się i ujrzał Laurę Beth pędzącą ze schodów z szybkością, na jaką pozwalały jej krótkie nóżki.

- Uważaj, zwolnij! - Oczywiście nie posłuchała. Pośpieszył w stronę schodów i gdy mała wylądowała na trzecim od dołu stopniu, rzuciła mu się w ramiona.

Usłyszał jęk Thrombina. Knight tylko się uśmiechnął i złapał dziecko, przytulił cło piersi i wycałował maleńkie usteczka. - No jak, drobinko? - Podrzucał ją w górę, aż jej okrzyki sprowadziły całą służbę Ca-stle Rosse.

Pani Crumpe stanęła jak wryta w wejściowym holu. - Nie wierzę własnym oczom - powiedziała na głos.

Oto jej światowy, wyrafinowany pan podrzucał w górę małą dziewczynkę, potem łapał ją,

ściskał, a dziecko piszczało z zachwytu. Widziała, jak Laura Beth omal nie zadusiła wicehrabiego mokrymi całuskami, które z impetem składała mu na policzku.

- Milordzie! - Theo, w pełni świadom swego starszeństwa, próbował zachować powagę, reagując jak dorosły na niespodzianą wizytę ukochanego wujka. I schodził po schodach bardzo powoli, ale nawet nie usiłował powstrzymać potoku słów: - Och, kuzynie Knight, zobaczysz, czego ja i John dokonaliśmy w bibliotece. Dotarłem do pozycji na literę L. Jest tu tyle książek, niektóre nawet z nierozciętymi stronami.

- Nie miałem pojęcia, Theo. Dotarłeś do L? No, jestem pod wrażeniem chłopcze, naprawdę. - Theo jeszcze przez chwilę starał się zachowywać pozory, ale gdy Knight posadził sobie Laurę Beth na jednym ramieniu, chłopiec, uśmiechnięty od ucha do ucha przywarł do niego z drugiej strony.

- Jak się cieszę, że przyjechałeś, kuzynie Knight. Mama tak się martwiła i wielce się niepokoiła, czy nie zostałeś poważnie ranny; choć nam powiedziała, że nic ci się nie stało.

- To kuzyn Knight!

- Mam tylko dwa ramiona - zaprotestował wicehrabia, gdy Sam wpadł pędem przez drzwi.

Dobrze chociaż, że nie było ich czworo! Knight przytulił obu chłopców i na chwilę zamknął oczy. O Boże, te dzieciaki należą do niego, i tak się za nimi stęsknił! Po prostu nie zdawał sobie sprawy...

- Witaj, milordzie - powiedział John. - Cieszymy się, że wróciłeś do zdrowia. Bardzo się wszyscy niepokoiлиśmy, gdy pani Winthrop powiedziała nam o ataku na ciebie w Londynie.

- Mama płakała - wyznał Sam, unosząc oczy ku twarzy Knighta - ale kazała nam obiecać, że będziemy grzeczni, bo natychmiast postanowiła pojechać konno do Londynu, by się tobą zaopiekować.

Ta opowieść nie sprawiła Knightowi przyjemności. Ponownie uściskał każde dziecko, potem odsunął je. - Witam, pani Crumpe. Pani Allgood przesyła pozdrowienia. Jak dobrze znowu panią widzieć, zresztą was wszystkich - dodał, mając na myśli całą służbę. Urządził im niezłe, niespodziewane widowisko. - Co sądzicie o tych małpishonkach? Może zamierzacie z krzykiem uciec z Castle Rosse?

- Och, kuzynie Knight, byliśmy tak grzeczni jak...

- Cicho niczym myszki?

- To znaczy? - zaciekawiła się Laura Beth.

- Nic ważnego, drobinko. Co byście powiedzieli na lemoniadę i ciasteczka? Oczywiście macie ochotę, a ja też. Wasze oczy błyszczą pożądlivością. Mogę prosić, pani Crumpe? Będziemy w salonie... nie, proszę przynieść tacę do biblioteki. Muszę przejrzeć wszystkie tomy na L.

Theo aż błyszczał dumą.

- Tyle mam ci do powiedzenia o koniach - wyznał Sam, wkładając rączkę w dłoń Knighta. - Umyłem je po wysprzątaniu boksu Violet - pospieszył z wyjaśnieniem. - Wiesz, mamy trochę roboty na południowym padoku - ciągnął z powagą, pełen planów.

Knight z uwagą przysłuchiwał się całej trójce.

Rozdział 15

Wreszcie nadeszła pora obiadu. Wprawdzie Knight nie widział Lily od rana - nigdzie się nie pokazała - ale po południu wiele dowiedział się od dzieci.

I dotarło do niego, jak bardzo ją uwielbiają. Była dla nich prawdziwą matką. Nie pamiętał o tym, gdy w Londynie, po wyjeździe całej gromadki, zrywał się na uszczypliwości swych wysoko urodzonych znajomych.

- Bałem się, że mamusia zemdleje, tak się zmartwiła - wyznał Knightowi Sam przy lemoniadzie i ciasteczkach. - Ale przecież wiesz, jaka ona jest. Nigdy nie płacze, zaciska tylko usta. Gdy Charlie pojawił się z wiadomością, od razu pojechała z nim do Londynu.

- Tak było - przyznał Theo. - I natychmiast wróciła. Martwiliśmy się, kuzynie Knight, ale przysięgała nam, że nic ci się nie stało.

- Bardzo się za ciebie modliłam - wyznała Laura Beth, uśmiechając się do niego radośnie z buzią pełną bułeczki z dżemem truskawkowym.

Ubierając się do obiadu, zastanawiał się, jak zmusić Lily, by towarzyszyła mu przy stole. Uśmiechnął się pod nosem, bo uznał, że wpadł na właściwy pomysł.

Gdy przebierał się w wieczorowy strój, uświadomił sobie, że po raz pierwszy brakuje mu Stromsoe'a.

Zadowolony z siebie, pogwizdywał pod nosem, gdy Thrombin pojawił się po wiadomość dla Lily. - Dobrze że jesteś, Thrombin. Proszę, zawiadom panią Winthrop, że podjąłem decyzję. Oczekuję jej przy kolacji. Niech przyjdzie, mamy do omówienia sprawę ważną dla przyszłości jej i dzieci.

Wykrzywił się do swego odbicia w lustrze, sprawdzając stan krawata. Nawet pozbawiony wskazówek Stromsoe'a co do wyboru tej części garderoby, był zadowolony z tego, co widział. Wyglądał oficjalnie i arogancko, zupełnie jak jego cioteczny dziadek Max.

W oczekiwaniu na Lily krążył po salonie. Spóźniła się już całe dwie minuty. Na jej widok na chwilę stracił oddech. Miała na sobie tę samą brązową, wełnianą suknię, obcisłe rękawy i kołnierzyk a la mniszka. Nie tknęła włosów szczotką, i jeszcze nigdy nie widział równie kamiennego wyrazu na jej twarzy. Wyglądała cudownie.

- Dobry wieczór, Lily - powitał ją uśmiechem. Niezbyt serdecznym, ale jednak.

Skloniła się z teatralną wręcz uprzejmością. - Jakże miło z twojej strony, że zaprosiłeś mnie na kolację - powiedziała całkowicie obojętnym tonem. - Czy to ma być moja ostatnia wieczerza?

Wzruszył ramionami. - Kto wie? Och, jest Thrombin. Mam nadzieję, że Mimms przeszła samą siebie.

- Tak, milordzie, ufam, że będzie pan zadowolony.

- Tłusty cielec, niewątpliwie - powiedziała Lily całkiem poważnie.

- Dla marnotrawnego wicehrabiego.

Knight pozwolił, by Thrombin i lokaj Thomas podali pierwsze danie, potem ich zwolnił: - Sami się obsłużymy, dziękuję wam.

- Masz ochotę na szynkę w jarzynach? - zwrócił się do Lily. - To jedna ze specjalności Mimms. Bez słowa nałożyła sobie porcję.

Knight, zapełniwszy talerz okazałym kawałkiem pieczeni i puddingu z nerek, zjadł zaledwie dwa kęsy i poczuł, jak ciężą mu w żołądku, więc odchylił się na krześle, nie spuszczać wzroku z Lily. Ujął kieliszek z winem i obracał delikatną nóżkę w swych długich palcach.

- Spodziewasz się, że cię wyrzucę?

- Przysłałeś wiadomość o podjęciu decyzji. A więc czekam. - Mówiąc do Knighta, nie uniosła wzroku. Jakby całe swe zainteresowanie poświęciła plasterkom kabaczka. - Jak podkreśliłeś, nie jestem nawet ubogą krewną. W gruncie rzeczy nie jestem w ogóle nikim.

- Nie powiedziałbym, że to prawda. Niezwykle piękna z ciebie kobieta, Lily. A także bardzo namiętna.

Na tę uwagę zeszywniała jak kij, ale wciąż unikała go wzrokiem.

Aż gotowało się w nim, drażnił go jej chłód. Niech szlag trafi ten jej dystans! - Mężczyzna lubi sobie posłuchać takich szalonych, kobiecych okrzyków, czuć jej palce zatapiające mu się w ramiona, wiedzieć, że ona pragnie, by...

- Przestań, do diabła!

Uśmiechnął się. Udało mu się; przynajmniej zmusił ją do oderwania wzroku od kabaczka, bo spojrzała na niego. - W porządku. Chciałem tylko przywołać twoją uwagę. Odpowiedz mi na pytanie, Lily, i nie, nie opuszczaj wzroku z powrotem na talerz.

- Dobrze.

- Powiedz mi, dlaczego Tris cię nie poślubił. Zrobiła minę, jakby ponownie szykowała się do wymierzenia mu ciosu pięścią w szczękę. Jednak po chwili, wyraźnie znużona i zrezygnowana, wyjaśniła: - Powiem ci, choć i tak mi nie uwierzysz. Tris poprosił mnie o rękę. Przed śmiercią ojca odmówiłam mu. A potem zostałam bez środków do życia i dachu nad głową, a Tris oświadczył mi się ponownie. Wciąż mu odmawiałam. Bardzo go lubiłam, jednak nie było to takie uczucie, jakim kobieta powinna darzyć mężczyznę, którego ma poślubić. Były jednak dzieci, więc w końcu się zgodziłam. Pobralibyśmy się, gdyby nie zginął.

- Rozumiem. Jak długo z nim mieszkałaś?

- Sześć miesięcy. I nie mieszkałam z nim, tylko w jego domu.

- Oczywiście. Jakże prostackie z mojej strony podobnie stawiać sprawy. Byłaś więc nianią dzieci?

- Zgadza się.

- W domu Trisa?

- Tak.

Kompletnie ją zaskoczył, gdy po dłuższej chwili milczenia przekrzywił głowę na bok i powiedział: - Dysponujesz całkiem niezłym lewym sierpowym. To ty mnie znokautowałaś?

Chyba nigdy nie pojmem męskiego toku rozumowania, pomyślała. Co za dziwaczne z nich istoty, ich sposób myślenia urąga wszelkiej logice. - Nie, gdy cię uderzyłam, straciłeś równowagę i tyłem głowy rąbnałeś o krawędź kominka. Dlatego straciłeś przytomność. Ja jednak dodałam jeszcze jeden cios, w brzuch.

Nieświadomie opuścił dłoń na żołądek. - Wielkie dzięki. Nie pamiętałem niczego poza twoim prawym sierpowym.

Nie odezwała się. Napila się wina, ostrożnie odstawiła kieliszek, zwinęła serwetkę. - Czy mógłbyś powiedzieć mi, jaką to podjąłeś decyzję?

Zignorował pytanie. - Ucieszyłem się na widok dzieci. - Zmarszczył czoło, ledwie słowa wyszły mu z ust. - Nie zdawałem sobie sprawy, że za nimi tęsknię.

- One też ucieszyły się z twojego przyjazdu. Oczywiście nie wiedzą, jaki jesteś naprawdę, ale...

- Ty także nie masz pojęcia.

- Ucieszysz się zapewne na wieść, że mówiły niemal wyłącznie o tobie. Nawet gdy kładły się spać, o tobie paplały. Pewnie będą miały o tobie cudowne sny.

- To brzmi nad wyraz irytująco, czyż nie?

- Owszem. No więc, jaka ta twoja decyzja?

- Raczej nie nadajesz się do prowadzenia lekkiej konwersacji przy kolacji.

Odstawiła krzesło i zaczęła się podnosić.

- Siadaj. Jeszcze z tobą nie skończyłem, Lily, ani trochę. No już!

Nie zamierzała go słuchać. Wysunęła brodę. - A niby czemu? Nie masz nade mną władzy. Próbujesz bawić się ze mną jak kot z myszką.

- Siadaj, to powiem ci, co zdecydowałem. Wyglądała na zbuntowaną, ale w końcu ustąpiła i z powrotem opadła na krzesło.

- Tak już lepiej. A więc: postanowiłem nie wyrzucać cię, jeżeli dojdziemy do jakiegoś zadowalającego ciebie i mnie porozumienia. Warto posłuchać, Lily.

- Nie zostanę twoją kochanką, Knight.

- Nawet nie rozważałbym twojej kandydatury na to stanowisko. Wątpię, czy posiadasz wymagane umiejętności.

Uniosła brwi i wzruszyła ramionami. - To zapewne obelga - powiedziała bardziej do kabaczka na swym talerzu niż do niego.

- Mam nadzieję, że nie.

- No dobrze. Powiedz, co masz do powiedzenia, Knight. Słucham cię.

- Chcę, byś mnie poślubiła.

Gdyby oświadczył jej, że jest Łazarzem i właśnie po trzech dniach zmartwychwstał, miałaby mniej zaskoczoną minę. Znieruchomiała niczym żona Lota, a jej bladość przypominała biel słupa soli.

Powtórzył raz jeszcze: - Chcę, byś została moją żoną. Przynajmniej wejdiesz do rodziny Winthropów.

Wciąż wpatrywała się w niego bez słowa. Wreszcie powiedziała: - Jutro rano już mnie tu nie będzie. Nie zostanę tu dłużej, nie pozwolę, byś bawił się moim kosztem.

- Wcale nie bawię się twoim kosztem. I nie obrażam cię. Chcę, byś za mnie wyszła.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Pogardzasz mną. Uważasz mnie za ladacznicę, za dziwkę, za...

- Nieprawda - odrzekł. Wiedziała, że kłamie, a on też nie łudził się, że ją oszukał. - No dobrze, żywię pewne wątpliwości co do twego charakteru, ale to bez znaczenia. Nie dbam o to. Pragnę ciebie i dzieci. I wiem, że nie mogę mieć jednego bez drugiego. Nie jestem takim potworem, żeby was rozdzielać, więc część oferty dotyczy ciebie. Wyjdź za mnie.

- Mogłabym po prostu zostać ich nianią. To absurdalne, byś...

- Nie, to wykluczone. Zapomniałaś już, dlaczego wyjechałaś z Londynu? Te przeklęte plotki? To po prostu niemożliwe. Jesteś zbyt piękna. I tak cholernie młoda. I jeszcze jedno, moja droga, choćbym nie wiem jak się starał, nie mogę mieć pewności, że cię nie dotknę. Jeżeli mnie nie poślubisz, w końcu wylądujesz w moim łóżku. Pożadam cię i wiem, co już zostało dowiedzione, że ty także mnie pragniesz. Małżeństwo jest jedynym wyjściem.

- Ale jeszcze nie ukończyłaś czterdziestu lat. Odchylił głowę i serdecznie się roześmiał. -

Gdzieżeś to usłyszała?

- Od pani Crumpe, gdy oglądałyśmy twój portret. To przecież główna zasada twojej życiowej filozofii.

- Rozumiem. I pewnie na tym nie poprzestała? No nie, nagadała ci o wiele więcej.

- A i owszem.

Mógł sobie wyobrazić, zwłaszcza tę część o jego niechęci do dzieci w ogóle i o zamiarze okazania obojętności własnym, tak jak jego ignorował ojciec. Czyżby rzeczywiście wierzył w podobne bzdury? - Zgadza się. Nie dobiłem czterdziestki, mam zaledwie dwadzieścia siedem lat. A poślubiając ciebie, zdobędę troje dzieci, całą, gotową już rodzinę. Mój ojciec zawyłby, gdyby to usłyszał. Ale ja podjąłem decyzję. No więc jak, wyjdiesz za mnie?

Przez chwilę wpatrywała się w niego. Gdyby dało się sprawy potraktować na zimno, takie rozwiązanie faktycznie wydawało się idealne. Pożądał jej ciała. To wszystko. I szacunku, jaki zapewnia małżeństwo; chciał chronić nazwisko, własne i dzieci. Ale nie kochał jej. Tris przynajmniej darzył ją uczuciem. Potrząsnęła głową. - Nie - odrzekła. - Nie mogę tego uczynić.

- Ilu to mężczyzn miałaś przed Trisem? To dlatego nie chciał cię poślubić, mam rację? Już wcześniej umiałaś zapewnić sobie opiekuna. A może rzeczywiście oświadczył ci się. Wykorzystałaś do tego dzieci?

Roześmiała się na te słowa. Wracał do normalności. - Dobranoc, Knight. Jak dziwnie to brzmi. W każdym razie być może zobaczymy się rano. A może, jeżeli będę miała trochę szczęścia, zostanie mi oszczędzony nawet widok twojego cienia. - Podniosła się.

- A co z dziećmi, Lily?

- Co masz na myśli?

- Jeżeli mnie nie poślubisz, będziesz musiała od nich odejść. Czy to ci nie przeszkadza? Czy miłość do nich to tylko pozory? Gra?

Tym razem kompletnie wyprowadził ją z równowagi. - Ty draniu! Ty głupcze! Idioto! Zniknę z twego życia, milordzie, ale najpierw odnajdę klejnoty. Potem odejdziemy razem z dziećmi. Jestem pewna, że z przyjemnością powrócisz do swego egoistycznego, prymitywnego, kawalerskiego trybu życia.

Teraz on zerwał się z krzesła i w jednej chwili stanął przy niej. Dość brutalnie złapał ją za nadgarstek. - Posłuchaj mnie, głupia kobieto. Nigdzie nie pójdziesz, a jeżeli się uprzesz, to odejdziesz sama i bez jednego pensa. Rozumiesz co mówię, Lily?

Uniosła ku niemu wzrok, i już nie mógł się powstrzymać. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował, bardzo mocno. Językiem napał na jej zaciśnięte wargi. Potem przesunął dłońmi niżej, pieścił jej plecy; wreszcie mocno przycisnął ją do siebie. Gładził ją po włosach, palcami unosił gęste loki.

- O Boże, Lily! - jęknął prosto w jej usta.

- Nie! - zaprotestowała. - Ale nie nie myślała tak, i on o tym wiedział, zresztą i tak nic już nie

miało znaczenia. Rozchyliła wargi i spotkali się językami, a wtedy na chwilę zamarła i zaraz rozplynęła się szybciej niż lody Gunthersa w lipcowy dzień.

Odpowiedź jej ciała napełniła go rozkoszą. Teraz mógł zrobić z nią, co tylko chciał. Nie pozwoli, by zapomniała, jak na niego reaguje. Już nigdy więcej. Tak samo z pewnością działali na nią ci wszyscy mężczyźni przed nim.

Uniósł głowę i spojrzał na nią. Jej zamglone oczy zdawały się ledwo przytomne. Zdradzał ją szaleńczo pulsujący punkt u nasady szyi. Gdyby zechciał, mógłby ją wziąć od razu, tu, w jadalni, na podłodze, na stole, wspartą o ścianę; unieść ją i nasadzić na siebie, głęboko, coraz głębiej.

Zmusił się do opamiętania, odliczał oddechy.

- Słuchaj no - powiedział w końcu - nie jesteś dziewczicą. Nie musisz przede mną udawać, Lily.

Znów ją pokonał. Jakaż ona słaba, jaka głupia. Powinna się opamiętać. - No dobrze, przestanę cię przekonywać, że jest inaczej. Dobranoc, milordzie. A może wyjedziesz z samego rana? Pogoda sprzyja podróży, czyż nie?

Knight nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Patrzył na nią, na cudowny układ kości policzkowych, naturalny tuk brwi, wąski nos, delikatne usta. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety, którą wcześniej znał, widział czy o której marzył. Bardziej niż jakiegokolwiek damy czy kurtyzany.

- Jutro omówimy nasz ślub. Spij dobrze, Lily, ale nie za głęboko. Śnij o mnie. I we śnie bądź naga, pode mną, a ja będę cię pieścił dłonią, językiem...

Wciągnęła gwałtownie powietrze, odskoczyła od niego i uciekła z jadalni.

Była już doświadczona, ale nie dbał o to. Nie chciał nawet o tym myśleć. Jedno nie ulegało wątpliwości: nigdy nie będzie musiał martwić się o jej wierność - po prostu nie wypuści jej ze swego łóżka.

Następnego ranka pogoda dalej się utrzymywała. Po śniadaniu Knight udał się do dziecięcego pokoju. Powiedziano mu, że Lily właśnie wyszła.

Laura Beth tak się uradowała jego widokiem, że został z nią co najmniej trzydzieści minut. Dostrzegł szwy wokół szyi carycy Katarzyny. Gdzie mogą być te cholerne klejnoty? Muszą się nad tym z Lily zastanowić.

Na kilka chwil wpadł do Johna i Theo, ale właśnie odbywali lekcję geometrii, a ta akurat dziedziną zbyt nudziła Knighta. Sam przebywał w stajni, zajęty czyszczeniem boksów. I to on, niech będzie mu chwała, powiedział wicehrabiemu, że mamusia wybrała się na konną przejażdżkę. - W kierunku zachodnim. Upodobała sobie dębowy las. A teraz, kuzynie Knight, obejrzyj wybieg.

Nie chcąc rozczarować chłopca, poszedł z nim. Entuzjazm okazywany przez Sama koniom i wszystkiemu, co się z nimi wiązało, dał Knightowi do myślenia.

Przez trzydzieści minut jechał w stronę starego dębowego lasu. Nawet późną jesienią miejsce było urocze. Uśmiechał się cynicznie i z determinacją. Zrobi to, co trzeba.

I to dzisiaj rano.

Lily należy we właściwy sposób przemówić do rozumu, to wszystko.

Lily natomiast pozwoliła się prowadzić klaczy i rozkoszowała się świeżym wietrzykiem, poruszającym rondko jej kapelusza do konnej jazdy.

Jak dobrze było choć na chwilę znaleźć się z dala od domu i od dzieci. Ach, ty głupia, pomyślała, chciałaś po prostu znaleźć się z dala od Knighta i jego nieszczęsnych oświadczeń. Co robić? Nie wyjdzie za niego, nie może. Wiedziała, co o niej myśli i byłaby kompletną idiotką, poślubiając

człowieka, który uważał ją za kobietę lekkich obyczajów. Choćby sto razy powiedziała mu prawdę, i tak jej nie uwierzy.

Co ma począć? Czowała się w pułapce, zupełnie jak w przypadku Trisa. Nie może zostawić dzieci, a jednak, by przy nich zostać, nie ma innego wyjścia, jak poślubić mężczyznę, który jest ich prawnym opiekunem. No nie, z Trisem sprawy wyglądały inaczej, musiała uczciwie przyznać. Teraz wzdraga się przed podjęciem podobnego kroku tylko dlatego, że Knight jej nie kocha. A ona, cóż z niej za idiotka, rozpaczliwie go pragnie. Sama nie wie dlaczego, ale tak jest, i cóż może począć?

Jeżeli dalej będzie mu odmawiać, wyrzuci ją? Odpowiedź, przynajmniej dla niej, była oczywista. Twarz zastygła jej w wyrazie rozpacz. - Nie będę o nim myśleć - szepnęła. - Nie będę!

Próbowała zmusić się do podziwiania krajobrazu, pobiegła wzrokiem za nagimi teraz wzgórzami, wznoszącymi się po lewej stronie; dalej, na prawo, widniały domostwa niewielkiej osady Cranbourne.

Jechała w stronę dębowego lasu, gdzie przed setkami lat ponoć odbywały się ceremonie druidów. Odkryła to uroczysko w drugim dniu pobytu w Ca-stle Rosse i za każdym razem, gdy wyjeżdżała na przejażdżkę, zawsze tu wracała. Tu mogła być sama, znajdowała tu spokój. Nawet jeśli po lesie krążyły duchy, zachowywały się spokojnie i cicho niczym powiew świeżego powietrza.

Gdyby spotkała jakiegoś ducha, zapytałaby go, gdzie znajdują się te przeklęte klejnoty. Przejrzała każdą z księzek Theo. Ani śladu.

Już nie było gdzie szukać.

Co więc począć?

I jak poprzedniego dnia nad sztucznym jeziorem, znów ujrzał ją, opartą plecami o potężny dąb, wpatrzoną w czubki butów do konnej jazdy. Dziś jej włosy nie opadały luzem, związane w ciasny węzeł na karku nie poddawały się podmuchom wiatru.

- Dzień dobry, Lily - powiedział przyjaźnie, podchodząc bliżej.

Wyciągnęła przed siebie ramię, by go powstrzymać, ale on tylko się uśmiechnął i szedł dalej. Dostrzegł niezdecydowanie na jej twarzy i pospiesznie powiedział: - Nie, dzisiaj ode mnie nie uciekaj, Lily. Naprawdę nie jestem w nastroju, by znów za tobą gonić. Zostań tam, gdzie stoisz.

- Dlaczego nie wyjedziesz? Wracaj do Londynu. Do twej przeklętej kochanki. Tylko zniknij. Jak cię tu nie będzie, nie będzie też plotek.

- Nie mogę wyjechać - zatrzymał się tuż przed nią.

- Ależ dlaczego, pogoda dopisuje.

- Nie. Żadne z nas nie wyjedzie, dopóki się nie pobierzemy. Wtedy zabiorę cię w podróż poślubną. Gdzie miałabyś ochotę się wybrać?

- Knight, przestań. Błagam, daj spokój.

- Wspaniale, że mamy tak ciepły dzień. Wyobraź sobie tylko: to listopad, a ja się nawet pocę. - Uśmiechnął się do niej tak serdecznie, że ogarnęła ją fala gorąca i ona też poczuła kropelki potu na swym ciele.

- Chciałabyś wiedzieć, co zamierzam, Lily?

- Przecież mi powiesz. Zazwyczaj nie mam wyboru, gdy o ciebie chodzi.

- Przede wszystkim jeszcze raz poproszę cię o rękę. Uczynisz mi honor, zostając moją żoną?

- Nie.

- W porządku - odrzekł dalej wielce przyjaźnie. Zdjął kurtkę, odwiązał krawat i rzucił na ziemię.

- Co robisz?

- Rozbieram się. Potem rozbioreę ciebie. I będę się z tobą kochał, tutaj, pod tym pięknym dębem.

Rozdział 16

Spojrzała na Knighta zdumiona. Prowadził rozważania nad historią dębowego lasu i równocześnie rozpinał guziki koszuli. Chyba nie jest poważny. Nie, to niemożliwe. Przecież to sam środek dnia.

Ale z drugiej strony, wszedł przecież do jej sypialni, rozdarł jej nocną koszulę, dotykał jej i całował i sprawił, że krzyczała z rozkoszy, jakiej istnienia nigdy nie podejrzewała. Najcudowniejszej na świecie! Och, Boże, musi coś zrobić!

- Nic z tego, przeklęty! - Uniosła skraj swej spódnicy do konnej jazdy i odskoczyła od niego.

- O nie, znowu! - Knight zmarszczył brwi. - Nie zamierzam poślubić górskiej kozicy, Lily! - Złapałby ją natychmiast, gdyby nie ten przeklęty dębowy las. Śmignęła za drzewo. Gdy próbował pochwycić ją z jednej strony, robiła unik w drugą.

Zatrzymał się, czekał. Ostrożnie wystawiła głowę zza pnia. Nie poruszył się. Ona też nie. Patrzyli na siebie.

- Może wreszcie raczysz tu przyjść!

- Nie.

Westchnął. Oczywiście, nieraz bawiła się z dziećmi w chowanego. Prawdopodobnie znała sztuczki lepiej niż on.

- Lily, kiedy miałaś ostatnią miesięczną przypadłość?

Aż pisnęła.

- Nie zamierzałem cię zawstydząć, nie o to chodzi, ale widzisz, jeżelibym uczynił cię ciężarną, to może rozwiązalibyśmy nasz problem. No to jak, co mi powiesz?

Usłyszał jedynie jej ciężki oddech.

- Możesz być pewna, Lily, że pozostanę w tobie tak długo, jak tylko zdołam. Abyśmy mieli jak największą szansę, to znaczy, żebyś zaszła w ciążę. No więc...

- Odejdź, Knight. Nie kochasz mnie przecież, nędzniku.

- Jak ostatnio słyszałem, miłość nie ma nic wspólnego z małżeństwem. Nie zachowuj się, proszę, jak sentymentalna idiotka.

- Odejdź, błagam! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, absolutnie nic.

- Dość tego, Lily. Chodź tutaj, no już! Zdumiona, aż zbladła. - Spodziewasz się, że wyjdę i powiem: oczywiście, milordzie, chodź i zgwałć mnie?

- Nie bądź głupia! - Już dawno tak się nie zirytował. - Nie zamierzam cię do niczego przymuszać, raczej trochę zachęcić.

- Kłamca. Słuchaj, Knight. Ty nawet mnie nie lubisz, pogardzasz mną, uważasz za dziwkę. Niemożliwe, byś chciał mnie poślubić. Absolutnie wykluczone!

- Cóż, a jednak tak jest, i kropka. Po prostu zapomnę o tych wszystkich przede mną. Zresztą

dopilnuję, byś miała tyle zajęcia w moim łóżu, że nie zostanie ci czasu ani energii do zajmowania się innymi dżentelmenami. - Dokończył tyrady i rzucił się ku niej, ale była szybsza. Umknęła pod osłonę następnego dębu, tak powykrecanego i splątanego, że jak sądził Knight, niegdyś, w mglistej przeszłości, zapewne służył jako miejsce religijnych ofiar.

Sięgnął po Lily ramieniem, ale pochwycił jedynie powietrze.

Zaklął, potem podjął męską, a więc lepszą strategię.

Obserwowała go, nie ufając tej jego skupionej minie. Lisie źrenice zabłysły żółtym światłem. Spojrzał jej prosto w oczy i zrozumiała, że przegrała. A może chciała przegrać. A może to wcale nie była przegrana...

- Mam cię - powiedział z wielką satysfakcją i szarpnął ją ku sobie. - Mam cię, Lily - powtórzył i pocałował ją. - Dzień dzisiejszy wyznaczy rozpoczęcie naszego wspólnego życia. Sama się zgodzisz, że to prawda.

Nie zamierzała niczego przyznawać, ale pragnęła pocałunku, i następnego, i jeszcze jednego. Wiedziała: jeśli dalej tak będzie ją całował, ona z ochotą zgodzi się na wszystko, o co prosił. Zrezygnowała z jakiegokolwiek oporu.

Objęła go ramionami, wyczuwała jego gładkość, muskulaturę. To męskie ciało, jego dotyk, uderzało do głowy - przysunęła się bliżej. Knight pogłębił pocałunek. Językiem delikatnie zwiedzał jej usta, i wcale jej do niczego nie zmuszał. Nieśmiało też dotknęła go językiem i aż zamarła, słysząc jego jęk. A więc potrafi tak na niego podziałać?

- Knight - powiedziała zaniepokojona, gdyż naciskając na niego biodrami, wyczuła męską twardość i była zażenowana, widząc w jego oczach, że on wie o tym żarze, jaki trawi ją nisko, w dole brzucha.

Gładził ją po plecach, przesunął dłonie niżej, ujął za pośladki, uniósł i mocno przycisnął do siebie. Żar eksplodował i zapomniała o wstydzie. Nie dbała, że on wie, co ona czuje. Po prostu było jej to obojętne. Pragnęła jedynie więcej i więcej...

Nacierала na jego niewiarygodną twardość; ręce splotła mu wokół szyi, palce wczepiała we włosy, ustami rozgniała usta. O Boże, pragnęła go wciąż bardziej. I dziwne, każdym dotykiem palców, ust i ciała przyprawiał ją o szaleństwo większe niż jeszcze sekundę wcześniej. Skąd on wiedział? Skąd mógł wiedzieć, co się z nią dzieje?

Niemal oszalała z pragnienia, gdy pieścił jej pośladki, naciskał je, przyciągał ku sobie. Nagle odwrócił się, przycisnął ją plecami do pnia dębu. Na chwilę oderwał się od niej, ukląkł i zadarł jej spódnicę do konnej jazdy.

Jęknęła; pospiesznie wstał i znów naparł na jej usta. Poczwała jego palce przesuwające się ku jej kolanom. Drżała jak szalona, czekając, śledząc drogę jego palców błędzących po jej pończochach, przesuwających się w górę, wciąż w górę, tam gdzie paliło ją intymne, kobiece miejsce, teraz wilgotne i obolałe. I już nic jej nie obchodziło. Rozwarła przed nim uda i usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze.

Poruszał palcami nieskończenie powoli, wreszcie dotknął podwiązki, skraju pończochy. Była już nieprzytomna z oczekiwania, z pragnienia, z niepewności.

- Lily - powiedział i jego ciepły, urywany oddech połączył się z jej oddechem. - Przyjemnie ci? - Palcami lekko musnął nagą skórę jej uda. - Co czujesz, Lily? Powiedz mi.

Uniósł twarz i spojrzał na nią z góry. Oczy miała zamknięte, wargi rozchylone. Oddychała nierówno. - Otwórz oczy.

Posłuchała, i wstyd zniknął, a może nigdy tak naprawdę go nie było. - Co czujesz, Lily? - zapytał ponownie, ani na moment nie spuszczać z niej wzroku.

Palcami pieścił wewnątrz jej uda, potem przesunął je wyżej. Gdy dotarł do celu, krzyknęła, napięła się, wyprężyła plecy, zacisnęła ręce na jego ramionach.

- Jesteś taka piękna, tak ciepła i delikatna. Co czujesz, Lily?

Oblizwała wargi. - Och, Boże, Knight, proszę, och!

Wsunął w nią środkowy palec, nacisnął w górę, przyciskając jej plecy do drzewa, i jej oczy zasnuły się mgłą rozkoszy.

- Proszę, co czujesz, Lily?

Wysunął palec i wsunął ponownie, tylko troszkę. Była wąska, bardzo ciasna i właściwie sam tracił już zmysły. Oddychała ciężko, ale wciąż na niego patrzyła i wszystko, co czuła, widział w jej oczach.

Wcisnął palec głębiej - krzyknęła, zacisnęła dłonie w pięści, uderzała go po ramionach, aż miał ochotę wrzeszczeć z radości. Doprowadzi ją do szczytowania, da jej tyle rozkoszy, że przestanie kombinować i porzuci te swoje głupie opory. Tym razem nie weźmie jej. Chciał, by zgodziła się go poślubić. I uda mu się. Była teraz jego i musi o tym wiedzieć. Musi to przyznać. Musi to przed nim głośno wyznać.

Na tę okropną decyzję jego ciało zaprotestowało dotkliwym bólem w pachwinie. Na Boga, przecież nie jest napalonym wyrostkiem i potrafi panować nad żądzą! Nie weźmie jej, dopóki nie zgodzi się go poślubić.

Jego palce rozbudziły w niej niewyobrażalną wręcz namiętność; nagle pochwyciła go, przyciągając do siebie jego usta. Niemal zatonął w głębokim pocałunku.

Wyprężyła się, bliska uniesienia. Naciskał teraz słabiej; z uśmiechem pomyślał, że wnet, za jego sprawą narastające w niej napięcie doprowadzi ją do szaleńczej żądzy, aż niemal utraci zmysły, pożądamy jego i tej rozkoszy, jaką może jej dać. I zgodzi się na wszystko, wreszcie powie: tak.

- Wyjdiesz za mnie, Lily?

Na jeden krótki moment namiętność prysła, a Li-ly zdawała się zagubiona i wystraszona. Nie mógł tego znieść, i zaraz znów ją pieścił, zasnuwał jej oczy mgłą rozkoszy; biodrami napierała na jego palce.

Usłyszał krzyk, nim cokolwiek do niej dotarło.

- Pani Winthrop! Lordzie Castlerosse!

O nie, pomyślał, to nie w porządku, to niemożliwe.

Nawoływania słyhać było coraz bliżej.

Ona też docierała do celu, tarła o jego palce; jej piersi szaleńczo falowały, na ustach czuł jej gwałtowny, gorący oddech.

- Lily - powiedział cicho, tuż przy jej rozwartych wargach. - Kochanie, przykro mi.

Wysunął z niej palec.

- Lily.

~~ - Pani Winthrop! Lordzie Castlerosse!

Powoli oczy jej przytomniały, mgła zniknęła. Jeszcze przez chwilę nacierała na niego ciałem, w rozpaczliwym poszukiwaniu jego palców.

Krzyknęła z upokorzenia. -

Rozumiał ją. Poglaskał ją po plecach, przesuwał dłońmi w górę i w dół. - Wybacz mi, Lily, nic ci

nie jest, kochanie? Bardzo mi przykro, byłaś już tak blisko.

Blisko tego niesamowitego przeżycia, jakie wzbudził w niej poprzednim razem. W końcu udało jej się opanować swe ciało. Jeszcze między udami czuła coś w rodzaju bólu. Skłoniła mu głowę na ramię. Odsunął ją od pnia i głaskał po plecach, powtarzając bez końca: - Przykro mi, naprawdę mi przykro tak cię zostawiać!

Powiedział do niej „kochanie”. Zabrzmiało cudownie.

- Pani Winthrop!

Uniosła głowę, teraz już całkiem przytomna. - Kto nas woła? Och, to John. Coś się wydarzyło...

O nie, co się stało? Dzieci! O Boże!

- Cicho, Lily. Zaczekaj chwilę. - Pospiesznie wygładził jej suknię, potem własne ubranie. Z kurtką nic już nie mógł zrobić, wciąż leżała rzucona na ziemię. Wzrokiem zlustrował twarz Lily, ale chyba tylko on mógł dostrzec ślady namiętności, teraz ukrytej i czekającej na niego, i na niego wyłącznie.

Głęboko wciągnął powietrze i uśmiechnął się do niej czule. Koniuszkami palców musnął jej wargi, uśmiechnął się szeroko, czując, jak reaguje na jego dotyk i zawołał: - Tu jesteśmy, John!

Choć młody Jones nie był światowcem, trudno by uznać go jednak za głupca. Czuł, że pojawia się nie w porę, więc wielce się zawstydził. Nie miał jednak wyjścia, nie mógł się oddalić.

- Proszę pani - zwrócił się do Lily. - Chodzi o Sama. Gdy sprzątał boks, koń go kopnął. Ma chyba zwichniętą nogę, na szczęście nie złamaną.

Knight pospiesznie ujął Lily za rękę. - Czy Thrombin posłał po doktora?

- Tak, milordzie. Proszę się nie obawiać, pani Winthrop. Obejrzałem go, to naprawdę nic poważnego. Czuje się niezłe, ale prosi panią i jego lordowską mość.

- Tak, tak, już jadę. A gdzie Violet?

- Zaraz przyjedziemy. - W głosie Knighta wyraźnie zabrzmiało polecenie. Jones skinął głową i odjechał w pośpiechu.

- Nic się nie stało, Lily. To zwykłe zwichnięcie nogi. Tak to bywa z chłopcami, zawsze się w coś pakują.

Widział, że szaleje z niepokoju, a zmartwienie o Sama jeszcze tylko potęgowała świadomość, że oto stała oparta o dąb, pozwalając mężczyźnie pieszczotami doprowadzać się do szaleństwa, gdy tymczasem malca kopnął koń. Ujrzał rumieniec wstydu na jej pozbawionej koloru twarzy.

- Przestań! - potrząsnął nią. - Nie ma powodu, byś czuła się winna. Nie mogłaś powstrzymać konia, zapobiec temu, co się wydarzyło. No chodź. Sam nas potrzebuje.

Lily odetchnęła głęboko. Spojrzała na Knighta. - Masz rację, dziękuję.

Oderwał od niej dłonie i uśmiechnął się. Odsunęła się od niego i odchodząc, związała włosy w węzeł.

Nagle uświadomiła sobie brak szpilek. Rozgniewana własną bezmyślnością, wepchnęła włosy za kołnierzyk i szła dalej, aż ujrzała na ziemi swój kapelusik do konnej jazdy. Pochyliła się i podniosła go, unikając wzroku Knighta.

Nasunęła nakrycie na głowę.

Mam cię teraz, Lily, pomyślał. Wściekaj się do woli. To ci nic nie pomoże. Jesteś moja..

Ulica Niedźwiedzia Londyn

Monk roześmiał się głośno i zaraz, równie donośnie, jęknął.

- O rany! Monk, nie ruszaj się, jeszcze nie jesteś zdrowy.

- Masz rację, Boy. - Pozwolił kompanowi z powrotem ułożyć się na brudnych poduszkach. Westchnął głęboko. - Jak już mówiłem, spodobał mi się ten pomysł. A jakże, wynająć jakiegoś cholernego prawnika i odzyskać błyskotki. Aj, myśl całkiem przednia. I jeszcze posłać gościa z propozycją do tego piekielnego lorda.

- Takiego chudzinę - dodał Boy, wyobrażając sobie prawnika. - W dużym czarnym kapeluszu. Z tych, co tak śmiesznie gadają.

- Odzyskamy błyskotki, o tak, Boy, na pewno. Jeszcze kilka dni i znów będę w formie. A wtedy dopadnę tego przeklętego lorda.

- Wbił głęboko ten swój nożyk, Monk. Przynajmniej jeszcze trzy dni, jak gada ten przeklęty łapiduch.

- Wiesz, on nas nabrał - ciągnął Monk, ignorując słowa współnika. - Zastawił na nas pułapkę, a my w nią wpadliśmy.

- Kto? Jak?

- Ten wicehrabia - Monk okazywał więcej cierpliwości niż zwykle, gdyż był teraz zależny od Boya, który karmił go, poił i zmieniał mu opatrunek.

Zmrużył oczy i to nie tylko na myśl o zemście. Także z powodu smrodu własnego ciała. Pokój był mały, jedyne okienko zabito gwoździami na stałe. - Jakbyś go nie trafił, razem z przyjacielem załatwiliby nas.

Boy z zadowoleniem przyjął nawet tak skromną pochwałę. - Nigdy nie miałem ręki do ostrza - wyznał.

- To prawda, cholerny z ciebie osioł, gdy trzeba machnąć nożykiem. Nawet nie potrafisz zadać porządnej rany. Spójrz, co zrobiłeś staremu Trisowi. Ale ja dopadnę jego lordowską mość, i to moim specjalnym nożykiem. Podaj mi sztylet, Boy. Fajna robota, co?

- Utłuczemy jegomościa. Nie martw się, Monk.

- A pewnie - zgodził się jego kompan ze wzrokiem utkwionym w wąskim, srebrnym ostrzu sztyletu. - Ale wiesz, nawet mi się spodobał. Odważny gościu, bez dwóch zdań. O tak, rozerwę mu gardziółko.

Boy próbował się uśmiechnąć, ale zaraz, uznawszy podobną reakcję za niewłaściwą, uniósł szklanę skwaśniałego piwa i opróżnił ją jednym haustem.

Castle Rosse.

- Dzielny z ciebie chłopczyk. Nie obawiaj się, nie opuszczę cię. - Mała rączka Sama zacisnęła się na dłoni Lily. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, a potem doktor Mumfries da ci twardego cukierka, twój przysmak.

- Lukrecję, mamó?

- Lukrecję - obiecała Lily. Sam jęknął i przygryzł dolną wargę.

- Już dobrze, kochanie, krzycz ile chcesz. Ja z pewnością wrzeszczałabym na twoim miejscu.

- Bo ty jesteś dziewczyną, mamó - wytknął jej Sam z absolutną logiką. - Chłopcom nie wolno.

- Możesz jęczeć - poradził Knight. - To całkowicie po męsku, zapewniam cię. Choćby ja, tydzień temu jęczałem jak szalony.

- Gdy te łotry cię napadły?

Ach, pomyślała Lily, Knightowi udało się zainteresować czymś chłopca. Przesunęła się nieco, by mógł usiąść obok leżącego. Ujrzała, jak ujmuje malca za rękę, słyszała jego hipnotyzujący głos i widziała reakcję Sama.

- ... i wtedy, na nieszczęście dla mnie, ten drugi gość, który nazywa się Boy, strzelił do mnie. Zrobiłem unik, ale nie całkiem w porę. Wtedy pojawił się Julien St. Clair i ci dwaj uciekli. O tak, Sam, właśnie porządnie jęknąłeś. Podobał mi się ten dźwięk. A doktor Mumfries już skończył.

- Ale co z Monkiem? Z tym, którego pociąłeś.

- Nie wiem. Jak się dowiem, nie omieszka ci powiedzieć, przyrzekam.

Doktor Mumfries, który dopiero niedawno zamieszkał w okolicy, był pod wyraźnym wrażeniem wicehrabiego, ale nie mógł pojąć, skąd u niego wzięło się troje dzieci, a co ważniejsze, ta piękna kobieta, którą maluchy nazywają mamą. Uznał jednak, że to nie jego sprawa. Uśmiechnął się do Sama i pochwalił go: - Dzielny jesteś, miło się tobą zajmować. Nie będziesz mógł chodzić przez tydzień, inaczej pogorszyłoby ci się. Oto lemoniada z odrobiną laudanum, wypij, proszę.

Sam, zbyt zmęczony, by protestować, otworzył usta.

Pięć minut później spał już smacznie i głęboko.

Lily po raz dwunasty z uśmiechem podziękowała lekarzowi. - Będzie spał jak za... no, twardo - poprawił się prędko doktor Mumfries.

- Naprawdę nic mu nie będzie?

Knight, ujrawszy wspartego o ścianę w korytarzu Theo, bladego i sprawiającego wrażenie chorego z niepokoju, pospiesznie powiedział: - Nic mu nie będzie, Theo. I czego się spodziewałeś? Sam jest strasznie psotny. Istny z niego wariat i postrach okolicy, przecież sam wiesz.

- Posiedzę przy nim, mamu. Obiecuję, zaopiekuję się nim. Będę mu czytał...

Knight położył dłoń na szczupłym ramieniu chłopca.

- Jesteś jego bratem, Theo, a nie mamą ani lekarzem, czy tym koniem, co go kopnął. Liczę, że doprowadzisz do końca sprawy mojej biblioteki. Jeżeli poświęcisz swój czas Samowi, kto uporządkuje moje zbiory? Zresztą jeszcze byś udusił brata i biedny John zostałby bez posady.

- Ale dlaczego, sir?

- Bo ty, mój chłopcze, trafiłbyś do Newgate, a potem na szubienicę, za zamordowanie brata. A Sam do nieba, a może do piekła; nie jestem pewien, które z tych miejsc by go przyjęło. Johnowi zostałyby tylko

Laura Beth. I sądzę, że w takim wypadku biedak, niezłe wystraszony, raczej wolałby opuścić Castle Rosse. Theo, wprawdzie cicho, ale jednak się roześmiał.

- Chodź, napijemy się lemoniady. Próbowaleś już tej, którą przygotowuje Mimms? Z pewnością. Co najmniej przez godzinę będziesz krzywił usta.

Knight skinął doktorowi Mumfriesowi i oddalił się korytarzem, trzymając dłoń na ramieniu Theo.

Doktor potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Wicehrabia potrafi świetnie dogadać się z dziećmi. Dziwię się, że nie ma przynajmniej tuzina własnych. Oczywiście jest jeszcze młody. A więc nic w tym dziwnego.

- To prawda, nie osiągnął czterdziestki.

- Dobry Boże, zapewne! A pani, pani Winthrop, przepiszę pani kieliszeczek brandy. Przeżyła pani prawdziwy szok.

Większy niż panu wiadomo, doktorze, pomyślała, nie przestając się uśmiechać.

* * *

Tylko niewielki płomień z kominka rzucał na pokój delikatne cienie. Lily poruszyła się cicho, podciągnęła kapę i poprawiła chłopcu poduszki. Spał głęboko, a sen, jak wiedziała, ma lecznicze właściwości. Biedne maleństwo! Będzie go bolało i na pewno w czasie rekonwalescencji stanie się

okropnie nieznośny. Przykuty do łóżka na tydzień. Nawet Lily wzdrygnęła się na tę myśl.

Usłyszała ciche skrzypnięcie drzwi i uniosła głowę. Do pokoju wszedł Knight w szlafroku i pantoflach. Tego wieczora temperatura na dworze wyraźnie spadła i bardzo się ochłodziło, jak to zwykle bywa z początkiem listopada.

Knight bez słowa skinął jej głową i przykląkł przy kominku. Podrzucił do ognia i podniósł się, otrzepując dłonie.

Lily obserwowała każdy jego ruch, zwłaszcza rąk - mocnych, kształtnych, wąskich, o krótko obciętych, wypolerowanych paznokciach. Dlaczego jest w szlafroku? Chyba nie zamierza kontynuować tego, co przerwał dziś po południu?

Na samą myśl serce zaczęło jej bić głośno i szybko.

- Czego chcesz? - szepnęła, czując suchość w ustach. - Jest już bardzo późno.

Knight uśmiechnął się, podszedł bliżej i przysunął sobie krzesło.

- Chciałem zobaczyć mego małego pacjenta - powiedział po prostu i usiadł. Zauważywszy, że patrzy na jego nogi, szybko dał; - Nie bój się, Lily, nie będę się tu z tobą kochał. Przecież nie chcemy zakłócić Samowi odpoczynku. Musimy zostać całkiem sami, żebyś mogła znów krzyczeć.

- Przestań!

- Już dobrze. Chyba twardo śpi.

Przytaknęła ruchem głowy. - Dzięki Bogu nie wywiązała się gorączka. Doktor Mumfries uważa, że mały zawdzięcza to swemu silnemu organizmowi.

- No tak, jest także zbyt nieznośny, zbyt psotny, zbyt... więcej epitetów nie przychodzi mi do głowy. To niezły chłopiec, Lily. Dobrze go wychowałaś. Zresztą jak je wszystkie.

Spojrzała na niego zaskoczona. Co to, komplement? Pochwalił ją, tę ladacznicę, dziwkę...

- Nie rób takiej zdziwionej miny. Oczywiście, że jesteś dobrą matką. I pomimo moich skłonności w innym kierunku sądzę, że będę odpowiednim tatą dla tych diabląt.

Oparł się na krzesło, wbił wzrok w przeciwną ścianę sypialni. - Nigdy bym nie przypuścił, że zapragnę przebywać w tym samym pomieszczeniu choćby tylko z jednym dzieckiem. Spójrz na mnie. Jakie życie jest dziwne! I także nigdy bym nie uwierzył, że ożenię się w tak młodym, niedojrzałym wręcz wieku, a teraz popatrz tylko. Zmieniłaś mój los, Lily.

- Gdybyś pomógł mi odnaleźć klejnoty, razem z dziećmi postaralibyśmy się odwrócić tę zmianę.

- Za późno, moja kochana. O wiele za późno. Jednak chciałbym odnaleźć błyskotki Billy'ego. Inaczej obawiam się, że te dwa łotry nie dadzą nam spokoju; i jeśli ich nie unicestwię, prędzej czy później oni wykończą mnie.

Głośno wciągnęła powietrze.

- Cóż to, czy moja śmierć tak bardzo by cię zmartwiła, Lily?

- Zabolałaby mnie nawet śmierć jeża, gdyby była niepotrzebna.

- Aha, rozumiem. A więc, moja droga, odpowiada ci przysły tydzień? Jak tylko Sam stanie na nogi. A może wcześniej, na przykład jutro?

Chciała się podnieść, ale natychmiast pochwycił ją za nadgarstek. Na chwilę straciła równowagę i przyciągnął ją na swe kolana.

- Pocałuj mnie Lily, a potem wyznacz datę.

- Nie! - Nie zwracając uwagi na jej protesty, nachylił się, by ją pocałować.

Ze śmiechem przycisnął wargami jej usta.

Czas zatrzymał się dla Lily. Tonęła i rozkoszowała się tym uczuciem. Przywarła do niego

mocniej, przytrzymała się za poły szlafroka. Pod pośladkami wyczuła jego twardą męskość i ogarnęła ją fala podniecenia.

- Mamo, czemu kuzyn Knight cię ściska? Knight zaklął cicho i bardzo dobitnie.

Rozdział 17

Patrzyła na Sama zmieszana. - O Boże! - wyrwało się jej; próbowała wyswobodzić się z uścisku ramion Knighta. Nic z tego, wciąż mocno ją trzymał.

- Jak się czujesz, Sam? - zapytał.

- Przedziwnie, cały pokój wiruje. Ty i mama także.

- Nie ma się czym martwić. To działanie laudanum. Noga cię nie boli?

- Może trochę. A co mama robi na twoich kolanach, kuzynie Knight? A ty ją obejmujesz.

Knight ani na chwilę nie stracił głowy. Zdążył wymyślić prawie możliwe do przyjęcia kłamstwo.

- Bardzo się tobą martwi, Samie. Tak płakała, że po prostu musiałem spróbować ją pocieszyć, to wszystko. Czy ona ciebie nie tuli, gdy płaczesz?

- Ja nie płaczę.

- No to, jak się martwisz?

- Rzeczywiście - przyznał chłopiec, ale głos miał niewyraźny i oczy mu się zamykały.

- Zaśnij znowu, Sam.

- Dobranoc, mamusiu. Dobranoc, kuzynie Knight.

Lily siedziała na udach Knighta ze spuszczoną głową, z rękami zaciśniętymi na podołku. Pogłaskał ją po plecach i znów zeszywniała niczym kij od szczotki.

- Nie bądź niemądra, Lily - uspokajał ją, na chwilę zatrzymawszy dłoń na jej biodrze. - Gdy weźmiemy ślub - jutro, w piątek czy w sobotę - dzieci będą mieć bez przerwy podobne widoki.

- Nie!

- Jesteś bardzo upartą kobietą.

- Tylko dlatego, że nie chcę wiązać się z mężczyzną, który mnie nie kocha?

Na to nie znalazł odpowiedzi. W zamyśleniu kiwał nogą. Wyczuwała ten ruch pośladkami. Lekko się przekręciła i Knight się uśmiechnął.

- Chciałabym, żebyś sobie poszedł, Knight.

- Dlaczego? Czy zamierzasz oddać się smutnym rozmyśleniom?

- Nie, jestem całkowicie zdecydowana.

- Lily, jeżeli będę musiał, natychmiast zabiorę cię do mej sypialni i będę się z tobą kochał. I mogę cię nawet nie wypuścić, dopóki Sam nie skończy dziesięciu lat. Będę się z tobą kochał, aż zajdziesz w ciążę. I koniec sprawy.

I postąpiłby tak, bez wątpienia. Wiedziała, że zazwyczaj bywa wyrozumiały, dobry. Ale gdy sobie coś postanowi, gdy coś przedsięwzięmie, to nic nie zmieni jego zamiarów.

Na nic nie zdadzą się jej protesty, po prostu z nim nie wygra. Także nic nie wskóra, dając się uwieść, zresztą z tym nie miałby żadnych trudności, podobnie jak Sam w ściąganiu na siebie kłopotów. Uśmiechnęła się i skinęła głową. - Wyjdę za ciebie, Knight, jeżeli obiecasz zachować

dystans do samej ceremonii.

Uśmiechnął się i pogroził jej palcem. - Coś podejrzanie szybko zmieniłaś zdanie. Zdaje się nie masz wygórowanego zdania co do możliwości mojego umysłu, prawda?

- Możesz wyznaczyć datę - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Przez chwilę milczał, rozważając zarówno jej słowa, jak i wyraz jej twarzy. Po prostu nie wiedział, czy kłamie, czy jest szczerą. Cóż, to bez znaczenia. Ma ją tu, w Castle Rosse. A Sam leży w łóżku. Nie mogłaby uciec. Uśmiechnął się do niej promiennie. - Dobrze, w piątek. Zdobędę specjalną licencję od biskupa Morleya. On i mój ojciec byli wielkimi przyjaciółmi. Chciałabyś, by połączył nas biskup?

- Biskup - powtórzyła, próbując napędnąć głos entuzjazmem.

I w tym momencie zorientował się, że Lily kłamie. Nie umiała niczego ukryć przed jego spostrzegawczym okiem, a w każdym razie nie na długo. Postanowił jej na to pozwolić. Ostatecznie, co ona może zrobić? - A tak przy okazji, biskup Morley nie zgadzał się z zasadami mego ojca. To prawdziwy romantyk, stara szkoła.

- Która ze starych szkół?

- Zapytam go, gdy pójdę do niego jutro.

Odwróciła głowę, ukazując mu swój czysty, nieprawdopodobnie piękny profil. Powoli uniósł dłoń i dotknął jej piersi.

Westchnęła i odwróciła się na jego kolanach, by popatrzeć mu w twarz. - Knight...

- Twój dotyk, Lily, jest cudowny - powiedział i przesunął palcami po jej piersi, obejmując sutek. Zauważył, że wstrzymała oddech. Na jej policzki już wkradał się rumieniec, oczy zasnuwała mgła. Uśmiechnął się do niej, nie kryjąc triumfu. Potem oderwał dłoń.

- Chyba będę musiał nieźle nad tobą popracować, byś nie była taka szybka - oświadczył. Wstał i zsunął ją z kolan, na podłogę. - Dobranoc, Lily. W razie jakiegokolwiek kłopotu z Samem, wezwij mnie. Znasz drogę do mojej sypialni.

Ostatnie, co zapamiętał, to widok Lily siedzącej na podłodze z rozpostartą spódnicą i wpatrującej się w niego ze skonsternowaną miną.

Znów poczuł gorący żar w pachwinach i mrowienie dłoni. W piątek, pomyślał. Wtedy będzie do niego należała legalnie.

Tyle że nie będzie jej pierwszym.

Jednak musiał przyznać, że Lily szczerze kocha dzieci, a one ją. Wyczułyby fałsz, gdyż przed dziećmi nie zdołałaby udawać. O nie, ona je naprawdę kocha.

Gdzie się podziały te przeklęte klejnoty?

Postanowił czas do wesela poświęcić na przeszukanie każdego należącego do dzieci przedmiotu.

Następnego ranka nie miał na to czasu. Wyjechał z Castle Rosse do Blimpton, do rezydencji biskupa Morleya. Powrócił dopiero o trzeciej po południu. Zastał w domu kompletny chaos.

Sam, nieszczęsna ofiara, nie miał w nim udziału. Najwyraźniej spał jak aniołek.

Ani nigdzie nie widać było Theo.

Laura Beth, rano jeszcze istny okaz zdrowia, wiła się na podłodze przy frontowych drzwiach, trzymała się za brzuszki i krzyczała wniebogłosy.

Lily wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Bez skutku usiłowała uspokoić dziecko.

Knight ujrzał załamujących dłonie służących, bezradne wysiłki Lily i nad wyraz głośne przedstawienie Laury Beth. Bo to było przedstawienie. Potrząsnął głową. Dzieci są zdumiewające,

naprawdę niezwykle.

Podszedł szybko do małej, stanął nad nią z rozstawionymi nogami, dłonie wsparł na biodrach. - Bądź cicho.

Laura Beth spojrzała na niego jednym okiem i zaraz zamknęła je, zupełnie jak ostryga.

Widząc to, Lily już miała zareagować jakąś niemiłą uwagą, ale on tylko potrząsnął głową.

- Teraz - oświadczył - ma być cicho. O nie, Lauro Beth, powstrzymaj się od wrzasku, albo źle się to dla ciebie skończy. Co się stało, Lily?

- To jej brzusek. Narzeka na ostre skurcze. Mimms, kucharka z Castle Rosse, przecisnęła się przez drzwi wiodące z suterenu. - Zjadła dwa ciasteczka owsiane, milordzie, to wszystko. Płatki owsiane. Jak mogła zachorować od takiego jedzenia, pytam się pana?

- Bardzo dobre pytanie - przyznał Knight. - Lily, zostaw ją i chodź tutaj, proszę.

- Knight, naprawdę, ona...

- Chodź tu, Lily. Dwa razy nie będę powtarzał. Była już zbyt zmęczona, by protestować. Pół nocy spędziła na czuwaniu przy Samie, a teraz Laura Beth zachowywała się, jakby zaraz miała umrzeć. Spojrzała na Knighta podejrzliwie, podniosła się chwiejnie i podeszła do niego.

Gdy już była blisko, powiedział surowym tonem: - Lauro Beth, teraz wstaniesz, uporządkujesz ubranie, przeprosisz Mimms i mamę, a potem wrócisz do swego pokoju.

Mała wrzasnęła.

- Jeżeli natychmiast nie zrobisz, co powiedziałem, na pupie poczujesz moją dłoń.

Laura Beth rzuciła mu wielce patetyczne spojrzenie, wręcz trudne do wyobrażenia na twarzy dziecka. Musiał z całych sił powstrzymać się, by nie wziąć jej w ramiona i nie obiecać w prezencie gwiazdki z nieba.

- Idź - powiedział, wskazując palcem schody. - No już, Lauro Beth. Jestem nader rozczarowany twym zachowaniem, zwłaszcza że tak bardzo zmartwiłaś mamusię.

Lily nie była zbyt zaskoczona, gdy mała gramoląc się wstała, tu i ówdzie pociągnęła sukienkę i powiedziała szeptem: - Przepraszam, mamusiu. Przepraszam, Mimms. - Załkała cichutko, ale Knight przytrzymał Lily za ramię.

- Nie idź za nią - ostrzegł. - Do obiadu zostaw ją samą.

- To była gra - powiedziała Lily bez wyrazu, patrząc za tym małym uosobieniem aktorskiego talentu.

Knight uśmiechnął się do niej, potem odesłał Mimms i resztę służby. - A teraz, moja droga, chodź do salonu. Przyda ci się filiżanka mocnej herbaty.

Widział jej bladość i zmęczenie, ale powstrzymał się od uwag. Najwyraźniej w nocy długo siedziała przy Samie, a jednak nie wezwała go na pomoc. Jakaż ona uparta... i śliczna, a niech ją!

Patrzył, jak zatapia się w starym, wygodnym fotelu. Zamknęła oczy i odchyliła głowę.

- Nie miałaś ani chwili odpoczynku?

- Trochę - powiedziała z zamkniętymi oczami. - Nad ranem Sam w końcu się uspokoił.

- Mogę wiedzieć, czemu mnie nie wezwałaś?

- Nie jesteś ojcem Sama, a ja... - urwała, gdy zdała sobie sprawę, co zamierzała powiedzieć.

- To prawda, nie mogę zaprzeczyć - zgodził się Knight. - O, jest Thrombin z herbatą.

Nie powiedział nic więcej, dopóki kamerdyner nie skłonił się i nie wycofał z salonu, a Lily nie wypić kilka łyków gorącego, mocnego napoju.

- Wiesz, Lily, przejrzałabyś wyśmienitą grę Laury Beth, gdybyś nie była taka zmęczona.

- Chciała zwrócić moją uwagę.

- To prawda, ale musi się nauczyć, że nie tylko ona jest na świecie.

- To jeszcze mała dziewczynka, Knight.

- Mam nadzieję, że teraz to już troszkę zdyscyplinowana mała dziewczynka, przynajmniej przez następne trzydzieści minut.

- Może piętnaście - powiedziała Lily i uśmiechnęła się do niego przekornie, co sprawiło, że natychmiast zapalił się do niej niczym koziół.

- Nie pochwalam tej twojej macierzyńskiej nad-opiekuńczości - stwierdził. - Zalutuje męczeństwem, co przyprawia mnie o mdłości.

Nic nie powiedziała, a Knight dalej rozwijał temat.

- Miałem nadzieję, Lily, że okażesz się rozsądniej-sza. Nie chcę narzeczonej wychudłej i bladej, z oczami czerwonymi z braku snu.

Jakiż on świetny w prowokowaniu mnie, bym się zdradziła, pomyślała. Jednak i jej cierpliwość w końcu się wyczerpała. Wstała z krzesła i krzyknęła: - Dlaczego mi nie wierzysz? Nie chcę być twoją przeklętą narzeczoną.

- Sam nie wiem, jak cię nazwać, Lily. Kłamczucha? Jeśli nie chcesz zostać moją żoną, to zapewne aspirujesz do pozycji kochanki. Tak czy owak jedno jest pewne: pożądasz mego ciała. Przecież zeszłej nocy wystarczyło mi tknąć twej piersi, lekko cię popieścić, a...

Rzuciła w niego filiżanką. Zrobił unik, ale herbata zaplamiła mu przód żakietu.

Wziął serwetkę i ścierał płyn z jasnoniebieskiej, delikatnej materii. - Mam ci za to spuścić lanie, Lily?

Głęboko wciągnęła powietrze i usiłowała zaczerpnąć jeszcze trochę z niemal do dna opróżnionego zapasu swej cierpliwości, była jednak zbyt zmęczona.

- Przepraszam, że rzuciłam w ciebie filiżanką, ale zasłużyłeś na to.

- Nie miałem intencji obrażać twych delikatnych uczuć, Lily, a tylko uzmysłwić ci prawdę. Jesteś kobietą niezwykle namiętną, a od piątku dopilnuję, by wszystkie twe potrzeby, każde drgnienie emocji, jakie poczujesz, zostały zaspokojone.

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Pocałował ją we włosy i lekko masował po plecach, w górę i w dół. Po chwili oparła się o niego i położyła mu głowę na ramieniu.

- Zajmę się dziećmi do czasu, gdy będą szły spać. To znaczy wpadnę do Sama i tak pokieruję Johnem, by zarobił na swoją wysoką pensję, zajmując się Theo. Nasza aktoreczka zostanie w sypialni do... może do kolacji? Nie chcę, by głodowała. Ale nie ustępuj jej i zostaw ją samą aż do posiłku. A ty, droga Li-ly, pójdziesz teraz do łóżka, niestety sama.

Nieco zeszywniała, a on parsknął jej tuż przy uchu: - To tylko niewielka próbka humoru, nic więcej.

- Nie masz żadnych trudności w wydawaniu poleceń.

- Oczywiście. W końcu jestem mężczyzną.

Jej zaciśnięta pięść wylądowała na jego brzuchu, a on, ku jej zadowoleniu, zareagował burknięciem. Znów pocałował ją we włosy, mocno uściskał, potem odsunął od siebie.

- Zamierzam coś jeszcze zrobić. Chcesz wiedzieć co? A więc przeszukam każdą waszą rzecz i w końcu znajdę te przeklęte klejnoty. Pomożesz mi jutro rano?

Lily westchnęła i potarła palcami skronie. Mogłaby policzyć na palcach jednej ręki, ile razy w życiu bolała ją głowa. A teraz nadchodziła migrena i zapowiadała się niemiło. Odpowiedziała mu,

nim zdążyła pomyśleć: - Już wszystko przeszukałam. Nie znalazłam ich. Szukałam wczoraj w nocy po tym...

- Możesz nie mówić dalej.

- A więc po tym, jak ponownie mnie upokorzyłeś, przejrzałam nasze rzeczy jeszcze raz. Wierz mi, nie ma żadnych kosztowności.

- Aha. - Podrapał się po brodzie. Po chwili znów tulił Lily. Już miał na końcu języka przeprosiny, był bliski ubolewania za swe wobec niej postępowanie, ale się powstrzymał. Musi ją przecież zdominować, przekonać ją, jak bardzo go pragnie, a także, że to do niego należy decydowanie o ich przyszłości, i że będzie tak zawsze, a ona nie ma tu nic do gadania.

Gdy dotarły do niego motywy, jakimi się kierował, poczuł się małostkowy i nie w porządku. Znów ogarniało go podniecenie. Jeżeli przyciągnie ją bliżej, ona wyczuje, jak bardzo jej pragnie. W tym momencie najważniejsza dla niego była kwestia samokontroli. Nie mógł sobie pozwolić na to, by ją utracić. Tego najbardziej się lękał.

- O co chodzi?

- Boli mnie głowa.

- Często miewasz te bóle?

- Prawie nigdy.

- Sądzę, że okoliczności usprawiedliwiają migrenę. Chodź, zaprowadzę cię do sypialni. Mam cię zamknąć na klucz? Nie mogłabyś wyjść, a dzieci się do ciebie nie dostaną. - Przerwał, koniuszkiem palca muskając ją po policzku. - I ja także.

- Oddaj mi klucz.

- Wyszczrzył zęby. - Nic z tego. Podprowadził ją pod drzwi, spojrzał na jej piękną twarz i uśmiechnął się. - Nie martw się, Lily. Wszystko będzie dobrze. Może spróbujesz choć trochę mi zaufać?

Nie odpowiedziała. W głowie jej huczało, mdliło w żołądku.

- I sama pomyśl, może małżeństwo ze mną nie okaże się taką straszliwą degradacją, jak to sobie wyobrażasz. Jestem pewien, że będzie nam razem dobrze.

Delikatnie wepchnął ją do pokoju i zamknął drzwi. Chętnie przekreśliłby klucz, ale wiedział, że podobny postępek nie uszedłby mu na sucho.

Zamyślony szedł długim korytarzem do swej sypialni. Ona na pewno czegoś spróbuje, na tyle już ją poznał. Musi po prostu ją rozbroić, im wcześniej, tym lepiej. Przystanął przed drzwiami Sama i się uśmiechnął.

Poczekał jeszcze godzinę - w ramach kary Laury Beth, potem kazał przyprowadzić dziecko do pokoju Sama. Na widok Knighta uśmiechnęła się radośnie, co natychmiast uczyniło go czujnym, aż przypomniał sobie, że mała ma dopiero cztery lata i nie jest jeszcze zdolna do chowania w sercu urazy.

Po chwili dołączył do nich Theo. Spojrzał na Knighta z niepewnością, którą ten od dawna już próbował uśmierzyć. Teraz powitał chłopca uśmiechem i gestem poprosił, by usiadł obok brata na łóżku.

- No to jesteśmy już wszyscy - ogarnął dzieci spojrzeniem - i mam wam coś do powiedzenia. Żenię się z waszą mamą. W piątek.

Odpowiedziało mu milczenie.

- To znaczy pojutrze.

- Ścisnęła ją wczoraj wieczorem. Czy dlatego się z nią żenisz, kuzynie Knight?

- W pewnym sensie. Wasza mama i ja bardzo się lubimy. Chcemy najlepszego dla siebie i dla was.

- Zbyt szybko - powiedział Theo, a jego wąska twarzyczka stała się nagle blada i spięta.

To prawda, pomyślał Knight. - Chodź tu, Laura Beth. - Podniósł ją i umieścił sobie na kolanie. -

Theo, posłuchaj mnie, proszę. Sam, wygodnie ci? - Gdy ten przytaknął ruchem głowy, Knight kontynuował: - Jestem waszym prawnym opiekunem. Wasza mama zgodziła się na to, aby Paskudny Arnold nigdy nie mógł już szantażować jej waszym dobrem. Na szczęście, mimo że ciocia Gertrude jest bliższą dla was krewną ode mnie, posiadam środki wystarczające, by nikt nie mógł wyrządzić wam krzywdy ani mi was odebrać. Niestety, Lily nie jest waszą prawdziwą mamą, więc sama nie może was chronić. - Ależ jest!

- Ona jest moją mamusią!

Knight uniósł uspokajająco dłoń. - Kochacie ją, wiem o tym, ale prawdą jest, że...

- Jest moją mamusią! - znów krzyknęła Laura Beth, podskakując mu na kolanie.

- Nie, drobinko, nie jest twoją prawdziwą mamą, ale to nieważne. Pod każdym ważnym względem jest twoją mamusią. Tylko, widzicie, angielski sąd nie brałby tego pod uwagę.

- Musieliśmy tak postąpić, sir - wyznał Theo.

- Tak postąpić, to znaczy jak? Sam wzruszył ramionami. - Powiedz mu prawdę, Theo. On i tak wie już prawie wszystko.

Theo obrzucił Knighta długim, badawczym spojrzeniem i, zadowolony się tym, co zobaczył, zaczął: - Gdy przybyliśmy do Damsonów do Yorkshire, Lily powiedziała im, że była narzeczoną naszego ojca. Ciocia Gertrude nie zachowywała się wobec niej jak dama, a Paskudny Arnold próbował ją skrzywdzić i musiałem mu przeszkodzić. Następnego ranka wszyscy uciekliśmy. Jedyne, co mogliśmy wymyślić, to historyjkę, że Lily jest mamą Laury Beth i wdową po naszym ojcu.

- Ona jest moją mamusią - upierała się Laura Beth, wierząc się na kolanach Knighta. Po raz pierwszy zauważył, jak bardzo jest podobna do swego ojca. Ta sama uparta bródka.

- Gdy zostanie moją żoną, nikt już nie będzie w to wątpił. O co chodzi, Theo? Coś cię niepokoi?

- Mama jest bardzo piękna. Mężczyźni ciągle się na nią gapią. Ona zazwyczaj tego nie zauważa, ale czasami robią to zbyt nachalnie i wtedy jest nieszczęśliwa. Sam i ja próbowaliśmy ją chronić. Naprawdę cię lubimy, kuzynie Knight, ale mamę przede wszystkim. Możesz nas zapewnić, że nie zmuszasz jej, by za ciebie wyszła?

Mój ty Boże, pomyślał Knight, żeby tłumaczyć się przed dziewięciolatkiem! Nie mógł i nie zamierzał odpowiedzieć na to pytanie. Zapytał natomiast: - Czyżbyś nie chciał mnie za ojca?

- Jesteś za młody, by być naszym tatą - orzekła Laura Beth, odwróciwszy się, by spojrzeć mu w twarz. Kciuk znowu wrócił do buzi. Dlaczego? Czyżby wystraszyła się tym, co sama powiedziała, a może tak podziałały na nią jego słowa?

- Niezupełnie. Mam dwadzieścia siedem lat. To chyba wystarczy, bym mógł spłodzić was wszystkich.

Dostrzegł błysk bólu w oczach Theo i pospiesznie dodał: - Mieliście wspaniałego ojca. Tris był moim kuzynem i bardzo go lubiłem. Niestety, musiał was opuścić. Zostanę waszym przybranym ojcem i mam nadzieję, że pozwolicie mi się wami zaopiekować. Choć nieźle z was diabełki, kompletne dzikusy, bardzo was lubię. No, przeważnie.

- Lubisz nam rozkazywać - oskarżył go Sam.

- To prawda. Zwłaszcza tej aktorce, twojej siostrzyczce.

Laura Beth wyjęła paluszek z buzi i obdarzyła Knighta anielskim uśmiechem.

- Czy będziemy musieli wyjechać do Eton? - zapytał Sam swym najbardziej wojowniczym tonem, ale nie patrzył Knightowi w oczy.

- Oczywiście. Ja też tam spędziłem szkolne lata, tak jak mój ojciec. To tradycja wśród Winthropów.

- A tata chodził do Eton?

- Owszem. Był tam prawdziwym postrachem. Wręcz dopustem bożym. I jak mi wiadomo, miał tam wielu przyjaciół.

- Kiedy mamy wyjechać, sir? - zapytał Theo.

- Być może w styczniu. Zobaczymy.

- Czy skrzywdzisz mamę?

- Ależ, Sam! Oczywiście że nie. Zaopiekuję się nią i wami. To znaczy, jeżeli obiecasz trzymać się z dala od nóg rozdrażnionej klaczy.

Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu. Theo wstał i wyciągnął dłoń. Knight ujął ją, zaskoczony. - O co chodzi, Theo?

- Pozwolimy ci ożenić się z mamą - wyjaśnił Sam.

- Dziękuję - odrzekł Knight. - Jestem wam wdzięczny za zaufanie.

Laura Beth wyciągnęła paluszek z buzi i uśmiechnęła się do Knighta. - Teraz jesteś naszym tatusiem.

Jeżeli Knight nie poczuł się całkowicie zaskoczony, z pewnością na takiego wyglądał. Patrzył na dziecko, myśląc: ja ojcem? To idiotyczne, absurdalne. O Boże, oni są teraz moi i jestem za niech odpowiedzialny.

- Przestań, Laura Beth - powiedział Theo i Knight zauważył, że chłopiec nerwowo pociera ręce. - Kuzyn Knight nie nawykł do dzieci. Na pewno nie chce...

- Uspokój się, Laura Beth - skarcił ją energicznie Sam. - Kuzyn Knight jest naszym opiekunem, nie tatą.

Knight powoli podniósł się, postawił Laurę Beth na nóżki. - W istocie, gdybyście zechcieli nazywać mnie tatą, bardzo bym się cieszył.

- Tata - powiedziała Laura Beth.

Sam nagle wysunął dolną wargę. Potrząsnął głową. - Nie - rzucił agresywnym tonem. - Mój tatuś nie żyje. Nie zapomnę go. Nigdy.

- Mam taką nadzieję - odrzekł Knight. Na chwilę pogubił się i już sam nie wiedział, czy dobrym pomysłem była rozmowa z dziećmi pod nieobecność Lily. Głęboko nabrał powietrza. - Przemyśl to, Sam. Ja naprawdę nie próbuję zająć miejsca waszego taty. - Ale tak w istocie było i w tym momencie uświadomił to sobie wyraźnie. Pragnął tych dzieci i chciał, by go kochały i do niego zwracały się z kłopotami, które, pomyślał, w krótkim czasie mogą przyprawić go o siwiznę.

- Przemyślimy twoją propozycję, sir - oświadczył Theo.

- Och, zamknij tę twoją niewyparzoną buzię, Theo.

- Sir, Sam nie czuje się w tej chwili najlepiej i... Zanim Sam miał okazję dalej zaprotestować.

Knight powiedział: - Rozumiem. A teraz Theo i Laura Beth, zostawmy Sama, by nabrał sił. W przyszłym tygodniu musi już chodzić o kulach - przerwał i potarł czoło. - O Boże, już sobie wyobrażam, jak ty napsocisz o kulach. Może powinienem ostrzec sąsiadów i zawiadomić sędziego

pokoju?

* * *

- Co takiego zrobiłeś?

- Odbyłem z dziećmi rozmowę i wyraziły zgodę na nasz ślub.

- Laura Beth nie pisnęła nawet słowem. Sam spał, a Theo nie mogłam znaleźć...

- Prosiłem, żeby nic nie mówili. Jestem pod wrażeniem Laury Beth. Naprawdę się nie wygadała?

Lily była wyraźnie zaniepokojona. Teraz nie ma wyjścia, musi złożyć broń, pomyślał Knight i ukroił sobie spory kawałek filetu z cietrzewia.

- Nic mi nie powiedziała. Przekupiłeś ją, Knight. Pozwoliłeś jej wyjść z pokoju na długo przed kolacją. To nie w porządku.

Uśmiechnął się do niej bezwstydnie. - Nie cofnę się przed niczym, Lily, dopóki nie zostaniesz moją prawowitą małżonką. Po ślubie znów będę taki, jak poprzednio: nieprzyjemny, apodyktyczny, głuchy na potrzeby innych.

- Nic podobnego - zaprotestowała, a w jej głosie pobrzmiwał smutek i rezygnacja. - Nie stanie się tak, bo nie posiadasz żadnej z tych wad. Będziesz znów miły.

Uniósł brwi. - Miły? Jesteś pewna? W końcu przekonałaś się, że jestem delikatny i wspaniały?

- Nie powinieneś był rozmawiać z dziećmi za moimi plecami.

- Dlaczego nie? Uznałem ten pomysł za wyśmienitą strategię. I wreszcie cię mam bez reszty, na dobre złapałem cię w sieć. Poddaj się, Lily. Jak chcesz, możemy powiedzieć dzieciom o klejnotach. Jeżeli są gdzieś wśród ich rzeczy, znajdziemy je. Możesz sobie wyobrazić Sama obarczonego podobnym zadaniem?

- Nie. Wolalabym, by nic nie wiedziały o kosztownościach. Cokolwiek im powiemy, będą tak długo drażnić, aż poznają całą prawdę. Nie chcę, by dowiedziały się, że ci okropni mężczyźni zabili Trisa.

Mimo bólu głowy wciąż gorączkowo zastanawiała się nad sposobem ucieczki z Castle Rosse i od Knighta Winthrop. Teraz rzeczywiście ją dopadł. Nawet nie zauważyła, jak powiedziała na głos: - Nie wiem, co począć.

- Powiedz mi, jaki masz problem, a spróbuję pomóc.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona.

- Mówiłaś na głos, Lily.

- Chyba nieświadomie. A może, Knight, po prostu przeznaczyłbyś jakąś sumę na wychowanie dzieci? Odejdziemy stąd i nie będziemy już wprowadzać zamieszania do twojego życia. Proszę...

Kieliszek Knighta z resztką wina przefrunął tuż przy głowie Lily.

Znieruchomiała, wbiła w niego wzrok.

- Czemu patrzysz na mnie z takim oburzeniem? Ty sama wysyłałaś w moją stronę więcej pocisków niż zdołałbym zliczyć.

- Tylko dwukrotnie.

- Z morderczymi intencjami.

- Zasłużyłeś sobie.

- Ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie zamierzałem cię uderzyć. Chciałem jedynie oblać ci piersi czerwonym winem. Nieźle to nawet wygląda. Może cię powycierać, Lily?

Spojrzała w dół. Suknia, którą miała na sobie, nie sięgała tak wysoko pod szyję jak inne, ale też nie była przesadnie wydekoltowana. Lily poczuła nagle, jak wino ścieka jej między piersi. -

Zniszczyłeś mi suknię - powiedziała, nie patrząc na niego. - A jak wiesz, mam tylko trzy.

- To bez znaczenia. Kupię ci nawet sto.

- Nie potrzeba mi stu sukienek - odrzekła mocno urażona. - Nie chcę, byś kupował mi cokolwiek.

Odchylił się na wysokie oparcie krzesła. W milczeniu uważnie na nią spoglądał. W końcu głosem przypominającym ton Sama powiedział: - Nie dbam o to, czego chcesz. Masz braki w garderobie, ujmując to skromnie. Dopilnuję, byś była odpowiednio ubrana. Słuchaj no, zamierzasz mi coś jeszcze powiedzieć? Uważaj, mam pod ręką butelkę wina.

- Żenisz się ze mną, kierowany niewłaściwymi pobudkami, Knight. Nie widzisz tego?

- Bądź cicho, Lily. A oto twoja ślubna obrączka. - Wyjął z kieszeni pierścione i pokazał jej.

Zachwyciła się: otoczony brylancikami olbrzymi szmaragd, osadzony w delikatnej, złotej obrączce. Najpiękniejszy klejnot, jaki w życiu widziała.

- Błyskotki Billy'ego?

- Zabawne, prawda? Ten pierścień należał do mojej matki, a przed nią do babki.

- A więc musi być bardzo stary, zważywszy że mężczyźni Winthropów nie żenią się przed czterdziestką.

- O nie, ten nonsens zapoczątkował i zakończył mój ojciec. Ja mam dwadzieścia siedem lat i już niemal jestem mężem bardzo pięknej kobiety i przybrany ojcem trójki dzieci. Zdumiewające! Przyznaję, sam jestem zaskoczony, ale takie są fakty, Lily. Pojutrze zostaniesz wicehrabiną. Poza tytułem posiadam także olbrzymi majątek. Czy moje bogactwo nie robi na tobie wrażenia? Nie działa na chciwość, ukrytą głęboko w twojej duszy?

- O tak! - Uśmiechnęła się. - Rzeczywiście. Poślubię cię dla pieniędzy, dla tego wszystkiego, co możesz mi dać. Miałaś rację co do moich powodów przyjazdu do Londynu na wieść, że zostałeś ranny. Liczyłam na ślub na łożu śmierci i zagarnięcie całego twego majątku.

- Wspaniale! - Opadł na oparcie z czarującym uśmiechem. - Tak lepiej, nie sądzisz? Będiesz miała całe złoto, jakiego zapragniesz, a także moje pożądlive męskie ciało, i to tak często, jak wytrzymasz.

Nie zdołała znaleźć odpowiednich słów.

Dopiero trzy godziny później, gdy bezsennie leżała w łóżku, przypomniała sobie, że nawet nie zapytała Knighta, jak dzieci przyjęły jego rewelacje.

Prawdopodobnie wrzeszczały z radości.

Zaraz jednak zmieniła zdanie. Zbyt mało czasu minęło od śmierci Trisa, by w jego miejsce mogły zaakceptować Knighta. Rano powinna z nimi porozmawiać.

I nagle uświadomiła sobie, że pogodziła się z sytuacją. W końcu, jaki miała wybór poza poślubieniem

Knigha?

I szczerze nie mogłaby powiedzieć, że uważa go za odstręczającego.

Ani za człowieka złego i antypatycznego jak Paskudny Arnold.

Tylko że on jej nie kocha. A to było bardzo bolesne. Co jej z tytułu i pieniędzy; z jego przedsiębiorczości; co z tego, że jest najcudowniejszym mężczyzną, jakiego w życiu poznała.

Przestała się nad sobą użalać, usłyszawszy głośny huk. Z pokoju Sama. Jakby coś upadło. Wyskoczyła spod przykrycia i już wybiegając z sypialni, narzuciła na siebie szlafrok.

Rozdział 18

Krzyk zamarł jej w gardle. Ledwie przekroczyła próg sypialni Sama, stanęła jak wryta. Patrzyła, nie wierząc własnym oczom.

Sam i Knight splątani ze sobą szamotali się na podłodze wśród rozrzuconych koców.

Stolik nocny leżał przewrócony na bok, a z pękniętego i prawie już pustego dzbanka w stronę ręki Knighta sączyła się strużka wody.

Umocowana w szynie noga Sama wznosiła się niemal prostopadle do jego ciała. Chłopiec śmiał się.

Knight, klnąc pod nosem, próbował utrzymać mu nogę pionowo.

- Mogę dowiedzieć się, co tu się dzieje?

- Mamo... - zaczął Sam i znów przerwał mu atak śmiechu.

- Widzę, że nic ci się nie stało.

Knight przestał przeklinać. - Nie, to znaczy oczywiście z Samem wszystko w porządku, bo trzymam mu nogę w powietrzu. A co do mnie... Ta diabelska szyna waży co najmniej tyle, co pięć kamieni. Nie waż się śmiać, Lily, pomóż mi go podnieść. Bo nasz kochany malec pod działaniem laudanum niczego nie czuje.

Lily zachichotała, ujrawszy, że szlafrok, który miał na sobie Knight, rozsunał mu się do pasa, odsłaniając nagość wicehrabiego. Nerwowo przełknęła ślinę, nie mogąc oderwać wzroku. Zauważył jej spojrzenie i nawet zażenowanie - gdyby je poczuł - nie zdołałoby powstrzymać reakcji jego ciała, które zdradzało go całkiem wyraźnie. Dzięki Bogu w pokoju panował chłód, co trochę pomagało, a ona, na szczęście, przeniosła wzrok na Sama.

- A niech to! - wybuchnęła śmiechem. Z rozbawienia złapała się za brzuch.

Sam zachichotał.

Knight obrzucił go surowym spojrzeniem. - Dość się zabawieś moim kosztem, ty fałszywy szczeniaku. Idź spać i śnij o tych wszystkich weselnym smakołykach, którymi zapewne będziesz się napychał. - Klepnął chłopca po buzi, wygładził mu przykrycie i cofnął się o krok. Spojrzał na Lily, która wreszcie przestała się śmiać.

Zauważył, gdzie znów powędrował jej wzrok i to go dobiło. Choćby temperatura w pokoju obniżyła się nawet o pięćdziesiąt stopni, i tak nie miałyby to znaczenia. O Boże! Znów czuł, jak twardnieje mu męskość. I do tego Lily miała go teraz jak na dłoni; rzeczywistość nie pozostawiła niczego wyobraźni. Zapragnął pochwycić ją, sprawić, by ujęła go w dłonie i pieściła, czuć przy sobie jej cudowne piersi, podczas gdy jej usta...

- Kuzynie Knight, mógłbyś jeszcze chwilę ze mną zostać? Wyjdiesz, mamusiu?

- Wyjść? A to czemu?

- Muszę się wysikać.

- Aha - odetchnęła z ulgą. - Nie bądź niemądry, Sam.

- Nie powinnaś tu być, mamó. Kuzyn Knight mi pomoże. Prawda, sir?

Knight klepnął Lily po ramieniu. - Jesteś boso, moja droga. Wracaj do łóżka. Zajmę się tym smarkaczem. No idź.

Odeszła, ale po tym jak Sam ponownie zachichotał.

Właściwie nie była zaskoczona, gdy po chwili drzwi do jej pokoju cicho się otworzyły.

- Z Samem wszystko w porządku?

- Oczywiście. Chyba mu się spodobała nasza wywrotka. Rzucił mnie, jak to mówią, na kolana.

Pod tym względem chyba przypomina swoją mamusię.

- Ale ja nie zamierzam rzucać cię na kolana, ja...

- Lily. - Był teraz bliżej, stał koło jej łóżka, patrzył na nią z góry. - Jak już się pobierzemy, będziesz mnie miała na kolanach. Przede wszystkim zamierzam rozebrać cię do naga, bardzo, bardzo powoli, a potem staniesz oczywiście przy kominku. Nie chciałbym, byś się przeziębiła. I będę całować każdy skrawek twego ciała - uniosę ci włosy nad karkiem i ustami powędruję aż do twych miękkich warg. Aha, potem twoje piersi, Lily. Możesz sobie wyobrazić, jak będziesz się czuła, gdy będę je pieścił dłonią i ustami? Następnie przesunę językiem po twym brzuchu i niżej, aż dotrę do kwintesencji twojej cudownej kobiecości i... - Słyszając jej przyspieszony oddech, urwał i zmarszczył czoło. - Chyba masz niezłe doświadczenie we wszelkich cielesnych sprawach?

- Nie mam żadnego.

- Daj spokój, Lily. - Usiadł obok niej; w przyćmionym świetle wylawiał jej rysy. - Nigdy mnie nie okłamuj. Nie dbam o twoją przeszłość, musisz mi uwierzyć. Zależy mi tylko na tobie, na nas obojgu i na dzieciach, na naszej wspólnej przyszłości.

- A co z przeszłością? Przecież cię obchodzi. Stajesz się nader niemiły, gdy tylko wyobrażasz mnie sobie z innymi mężczyznami. Mówiłam ci, Knight, nie żyłam z Trisem, ja tylko mieszkałam w jego domu. A to olbrzymia różnica, chyba sam ją widzisz.

Ale ci dwaj wiedzieli o tobie, miał ochotę krzyknąć. Nazwali cię luksusową zabaweczką Trisa, jego dziwką...

- Pragnę cię, tu i teraz, Lily. - Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyciągnął się obok niej. - Pocałuj mnie.

Nie mogę na to pozwolić, pomyślała. Zrobiła unik, odwróciła twarz i jego wargi wylądowały na jej lewym uchu. Gdyby pocałował ją w usta, uległaby natychmiast.

Prawą ręką przytrzymał ją za nadgarstki, lewą głaskał szyję, potem niżej, aż końcami palców dotknął jej piersi. Wciągnęła gwałtownie powietrze, zapała się i oderwała od niego. Przetoczyła się na drugą stronę łóżka. - Odejdź, Knight. Nie pozwolę ci na to.

Leżał obok niej, po części czując śmieszność sytuacji, swoją bezradność i wściekłość na Lily. Wreszcie się roześmiał. - Masz rację. To tylko dlatego, że tak bardzo cię pragnę, zapominam, że jestem dżentelmenem, człowiekiem cywilizowanym. - Wstał, obciągnął szlafrok i powiedział już spokojnie: - Dobranoc, kochanie. Jutro odszukamy błyskotki Billy'ego. Śnij o mnie, Lily.

- Dobranoc, Knight. Roześmiał się i już go nie było. Nie śniła o nim. W sennym koszmarze nawiedzili ją Monk i Boy. I poznała strach. Koniecznie trzeba odnaleźć te kosztowności.

* * *

Nie znaleźli ich. Knight, w ramach zabawy, włączył do poszukiwań także dzieci. Obiecał im nagrodę, jeżeli znajdą w swych rzeczach coś niezwykłego. Dokładnie zbadali każdą sztukę

dziecięcych ubrań, każdą zabawkę naciskali, rozbierali na części. Nic.

- Miałaś rację - zwrócił się Knight do Lily, gdy siedzieli przy lunchu. - Ani śladu. - Dzieci zajęte były jedzeniem, a Lily bez słowa tylko kiwnęła głową. Knight zamilkł i, jak sądziła, zastanawiał się, co począć w sprawie Monka i Boya.

Już miała odejść od stołu, gdy powiedział nagle: - Lily, proszę, przyjdź do salonu, powiedzmy za dziesięć minut. Mam coś dla ciebie.

- Co takiego, co takiego? - dopytywała się Laura Beth.

- Nie twoja sprawa, drobinko - odrzekł Knight. - Siedź spokojnie i jedz swój śliwkowy pudding.

- Co?

- Laura Beth, kuzyn Knight chce, byś była cicho, bo inaczej odeśle cię do dziecięcego pokoju.

Dziecko zaśmiało się. - No to pójdę odwiedzić Sama.

Dokładnie dziesięć minut później Lily weszła do salonu i zamknęła za sobą drzwi. - Chciałeś mnie widzieć?

Knight wyjął zza pleców olbrzymie pudło. Spojrzała na nie z ciekawością. - Co to takiego?

- Otwórz i sama zobacz.

Powoli podeszła bliżej. - Jeżeli spodoba ci się to, co znajdziesz, może dostanę całusa.

- Być może - obiecała i wzięła od niego pudło. Zaniósła je na inkrustowany stolik na cienkich nóżkach. Zdjęła pokrywę i rozwinęła srebrną bibułę.

- Knight! - westchnęła z zachwytem.

Nic nie powiedział, tylko patrzył, jak wyjmuje z pudełka cudowną, jedwabną suknię. Zaokrąglone wycięcie pod szyję zdobiła koronka, którą także były wykończone długie, obcisłe rękawy i kraj sukni. Gdy tylko ujrzał to cudo, wiedział, że zostało jakby specjalnie uszyte dla Lily.

- To twoja ślubna suknia - powiedział po długiej chwili milczenia.

Wyglądała na oszołomioną. - Jest precudowna, ale...

- Żadnych ale, proszę. Po wizycie u biskupa Mor-leya wpadłem do salonu krawieckiego i zasięgnąłem rady. Ta szmatka powinna pasować jak ulał, przymierzyłem ją na pannie z magazynu, była podobnej budowy... - Urwał uświadomiwszy sobie, że się rozpędził, a Lily siedzi cicho jak myszka.

Z opuszczoną głową.

- Lily?

Potrząsnęła tylko głową i odwróciła się do niego plecami.

Zmarszczył czoło. - Nie podoba ci się?

- Ależ bardzo, głupcze.

Uśmiechnął się. - Już zaczynałem mieć obawy, że zaraz rzucisz we mnie nocnikiem. Wiem, że pan młody nie powinien widzieć narzeczonej w sukni ślubnej przed ślubem, ale...

- O nie, ty też nie zobaczysz. - Odwróciła się do niego twarzą. I ku jego zdumieniu była całkowicie opanowana i spokojna. - Dziękuję, Knight. Jesteś bardzo miły.

Patrzył na nią z napięciem. - Może wreszcie w to uwierzysz, Lily. Gdyż o tej porze jutro będziesz moją żoną i wszyscy staniemy się rodziną. Czy to taka odpychająca myśl?

Potrząsnęła głową. - Nie zdołaliśmy odnaleźć klejnotów - powiedziała z żalem, a on miał ochotę ją udusić.

- Rozumiem - powiedział swym sardonycznym tonem. - Gdyby ci się udało, uciekłabyś z tego

okropnego więzienia o świcie, tak jak wymknęłaś się z Damson Farm.

- Tak - przyznała. Uczynił krok w jej stronę, a skręcenie jej karku wydało mu się teraz najbardziej właściwym rozwiązaniem.

Przycisnęła suknię do piersi i pospiesznie się cofnęła. - Czy moglibyśmy zawrzeć małżeństwo dla zachowania konwenansów?

Zatrzymał się jak sparaliżowany. - Co takiego?

- Małżeństwo z rozsądku. Może na trzy dni?

- To byłby niezwykle krótkotrwały związek. A po trzech dniach zdecydujesz, czy chcesz mnie w swoim łóżku?

- Proszę, Knight. Tylko trzy dni. To nie tak długo, a byłabym ci bardzo wdzięczna.

- Zaczynam rozumieć. Wciąż masz nadzieję na odnalezienie tych kosztowności, tak? Trzy dni darowane na poszukiwania, bez obawy, że zrobię ci dziecko?

Milczała.

Był wściekły. Chwycił suknię, zwinął i rzucił przed siebie. - Jak sobie pani życzy, madam. Dam pani trzy lata, nawet trzydzieści, ile tylko pani chce, nie dbam o to. Dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy funtów i możesz sobie odejść. Ale od dzieci wara! Rozumiesz, co mówię? - Pochwycił Lily za ramiona, potrząsał nią i krzychał: - Nie zabierzesz moich dzieci! Nie pozwolę na to.

Nie walczyła z nim. Słuchała go uważnie. - Znasz je dopiero niecały miesiąc. Chyba tak bardzo ci na nich nie zależy?

Teraz już całkowicie wyprowadzony z równowagi, warknął: - Spróbuj tylko jakichś sztuczek, by usunąć je spod mej opieki, a osobiście...

- Co zrobisz osobiście?

Patrzył na nią bez słowa, wiedząc, że go pokonała. I nienawidził jej za to. Odkąd się pojawiła i wywróciła jego uporządkowane życie do góry nogami, stracił zwykłą pewność siebie. Dostawał szału na myśl, że nie panuje nad sytuacją.

- O Boże, gdybym tylko mógł wyrwać cię z serca! Uśmiechnęła się i objęła go w pasie. Zesztywniał, ale nie bronił się. Przytuliła się mocno.

- Knight?

- Co takiego, ty doprowadzająca mnie do szału diablico?

- Naprawdę jest dla mnie miejsce w twym sercu?

- Nie to miałem na myśli. Zwykle przejęzyczenie. Chciałem powiedzieć, że mocno tkwisz w dolnych częściach mego ciała. W sprawach seksu mężczyzna nie kieruje się logiką.

- Och!

Trzymał ją za ramiona i miarowo, w górę i w dół, masował plecy. - Czyżbyś była rozczarowana, a może rzeczywiście ci na mnie zależy?

- Przyznaję, nie jesteś całkowicie odstręczający.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak.

- I żadnych trzech dni małżeństwa dla konwenansu?

- Ani godziny. Już o tym nie myślę. Poczul się lekki niczym motyl. Pochwycił ją wpół i unosił wysoko. - Najwyższy czas, ty niemądra kobieto. Pocałuj mnie. Tak jak potrafisz, jak jutro w nocy będziesz mnie całowała, gdy znajdziemy się razem w łóżku.

Powoli opuszczał ją na ziemię, a ona, całując go, czuła jego twardą męskość, jego delikatność i

siłę. Całowała go z wielkim entuzjazmem i - powinien był to dostrzec - z niewinnością.

* * *

Ślubna ceremonia Knighta Cardena Pageta Win-thropa, ósmego wicehrabiego Castlerosse z panną Lily Ophelią Tremaine przebiegła całkiem zadowolająco. Mimo że obecne były tylko dzieci i służba z Castle Rosse.

Kuzyn biskupa Morleya, szanowny notariusz pan Drake St. John przyprowadził narzeczoną panu młodemu. Gdy delikatnie podawał dłoń Lily lordowi Ca-stlerosse, przyszło mu do głowy, że pan młody jest najszcześniejszym mężczyzną na świecie.

I Knight przyznałby mu rację, gdyby w tym momencie zapytano go o zdanie. Dzieci natomiast nie kryły zachwyty.

- Mama jest aniołem - szepnęła Laura Beth do Mimms.

- Cicho! - syknął Theo.

Sam obrzucił brata zniecierpliwionym spojrzeniem i na tyle głośno, by do Knighta dotarły jego słowa, oświadczył: - Mama jest ładniejsza nawet od pawy w Castle Rosse.

Obecnie w Castle Rosse rezydował tylko jeden z tych ptaków i zaiste wyglądał raczej żałośnie. Lily parsknęła śmiechem.

- Mama jest ładniejsza od Violet. - Laura Beth nie zamierzała dać się przegadać.

Sam spojrzał na biskupa. - Violet to klacz mamy - wyjaśnił.

Laura Beth, w nastroju dzielenia się informacjami, pociągnęła za czarną szatę biskupa. - Proszę spojrzeć na pierścionek mamusi. To klejnot rodowy; bardzo stary, bo wszyscy tatusiowie kuzyna Knighta byli starzy, gdy się żenili.

- Lauro Beth!

- Ale kuzyn Knight tak mocno kocha mamusię, że żeni się naprawdę młodo.

Theo próbował uciszyć siostrę. - Lauro Beth, proszę... - powiedział zduszonym głosem.

- W porządku, Theo - włączył się Knight, ledwo powstrzymując śmiech. - Laurze Beth po prostu wszystko się trochę pomieszało, w każdym razie sporo. Po skończonej ceremonii zapytam ją, gdzie zdobyła te wiadomości.

- A jakże, od...

Lily wyciągnęła dłoń i mocno przycisnęła buzię Laury Beth. - Lepiej ssij paluszek, dobrze?

- Przecież nie lubisz, gdy to robię, mamusiu. Lily uniosła oczy, a Knight skarcił małą: - Cicho, Lauro Beth, bo nie dostaniesz ani kawałeczka tortu, który przygotowała Mimms. Groźba załatwiła sprawę.

Knight skinieniem głowy dał znać biskupowi Mor-leyowi, dżentelmanowi wyposażonemu na szczęście w niezwykle poczucie humoru.

Do Lily docierały słowa Knighta, jego donośny, głęboki głos i poczuła, że ściska jej dłoń. Jej odpowiedzi zabrzmiały równie zdecydowanie.

- ... Ogłaszam was mężem i żoną. Milordzie, może pan pocałować piękną pannę młodą.

- Będą się ściskać - mruknął Sam i przeszedł go dreszcz.

- A nawet więcej - dodał Theo. - Tylko popatrz.

- Czy ci to przeszkadza? - Knight szepnął Lily do ucha.

- To nasze głośne audytorium? Owszem, trochę, ale jakoś sobie z nimi poradzę. Jeszcze nie wiem, jak...

Wargami opadł na jej usta i przez dłuższą chwilę nie była w stanie już nic powiedzieć; musiała z

całych sił powstrzymywać się, by nie rzucić się na niego, nie pchnąć go na podłogę.

Wreszcie oderwał się od niej, spojrzał jej w oczy i uradowało go, co w nich zobaczył. Uśmiechnął się do niej jak wielce zadowolony z siebie mężczyzna. - Pomyśl o dzisiejszej nocy, Lily. Lub o popołudniu. A może już za godzinę uda mi się...

Lily promieniała. Uśmiechnięta, przyjmowała gratulacje, choć słowa do niej nie docierały.

Theo i Laura Beth trzymali się blisko młodej pary. Sam, umieszczony na krzeselku pośrodku pomieszczenia, zapytał: - Mamo, czy wciąż będziemy musieli na to patrzeć?

- Na co, Samie?

- Jak kuzyn Knight cię dotyka, całuje całą twoją twarz.

- Owszem, Samie, tak właśnie będzie. A teraz John zanieś cię do jadalni. Byłeś dzielny, więc czas na nagrodę.

- Ja chcę do Mimms! - zawołała Laura Beth i próbowała ująć Johna za rękę.

- Zajmę się nimi - zaoferował się Theo i pobiegł za swym wielce obleganym nauczycielem.

- Masz wspaniałe dzieci, milady - pochwalił biskup, ściskając jej dłoń.

Milady! O Boże, zapomniała o tym wątku sprawy. - Miło to słyszeć. Dziś rano były nader podekscytowane. Panie St. John, bardzo dziękuję, że zechciał pan przyjść.

Pan St. John właśnie w wyobraźni próbował ożywić ten wspaniały przywilej „pierwszej nocy”, ale cóż, musiałby zdegradować wicehrabiego do poziomu prostego wieśniaka. Westchnął: niektóre rzeczy nie były możliwe.

Mimms przeszła samą siebie. Trzy kondygnacje tortu wykończone najśłodszym ze słodkich lukrów. Trochę zaciążył Lily na żołądku, zmieszany z szampanem i zaprawiony świadomością, że stała się kobietą zamężną, żoną mężczyzny, który najwyraźniej pragnął jej ciała bardziej niż czegokolwiek, co mogłaby mu oferować. Na razie musi jej to wystarczyć, pomyślała. Zresztą być może, co bardziej się dla niej liczyło, zależało mu także na dzieciach. I tym całkowicie ją zaskoczył, tak zresztą, jak i samego siebie, pomyślała z uśmiechem, wycierając resztki lukru z buzi Laury Beth.

- Myślisz o tych wszystkich okropnościach, które staną się za moją sprawą twym udziałem, gdy tylko uda mi się pozbyć gości?

- Ale skądże znowu!

Udał dotkniętego. - Oczekiwałem, że teraz, gdy już się pobraliśmy się, okażesz się bardziej uległa, Li-ly. Rozczarowujesz mnie.

- Niech ci będzie, miałeś rację: tak właśnie snułam rozważania.

- To znaczy?

- Zastanawiałam się... - Urwała, nachyliła się do niego i szepnęła mu do ucha: - Tak naprawdę milordzie, myślałam o tych okropieństwach, które cię spotykają za moją sprawą.

Zaskoczony, odsunął się gwałtownie i aż prychnął do trzymanego w ręce kieliszka z szampanem. Widział ją z ustami na jego brzuchu, potem przesuwające się w dół dłonie, a w ślad za nimi jej delikatne wargi, i omal nie jęknął na głos.

- Przestań!

Przechyliła przekornie głowę. - Należało ci się.

Nic nie odpowiedział, tylko usiadł i skrzyżował nogi. Popijał szampana i starał się nie patrzeć na żonę. Przyglądał się Samowi, który pałaszował drugą porcję weselnego tortu.

Jego żona. Brzmiało nieźle. Mimo że miał zaledwie dwadzieścia siedem lat. I chociaż jego najstarsze dziecko miało dziewięć. I chociaż...

- A gdzie to błędzisz myślami, milordzie? - zagadnął biskup Morley, siadając obok wicehrabiego. Gdy Knight dalej się uśmiechał, biskup, bez najmniejszego wahania, skłamał: - Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Poślubiłeś piękną i dobrą kobietę, pogodnego usposobienia. Jesteś szczęśliwcem, bez dwóch zdań.

- Mój ojciec - odrzekł Knight, patrząc prosto w zasnutę mgiełką oczy biskupa - wsadziłby mnie na statek do Afryki z nadzieją, że albo nabiorę rozumu, albo przepadnę. Wiesz przecież, biskupie, że nie miał wyrozumiałości dla słabej płci ani dla męskich romantycznych kapryśków.

- Twój ojciec bardzo się mylił - odrzekł biskup. - Ale był tak interesującym i dowcipnym człowiekiem, że niemal nie dostrzegało się jego braków. Myślę, że on sam także ich nie zauważał. Jakie to dziwne, że odziedziczyłeś po nim poczucie humoru, choć nie spędzał z tobą więcej niż dwa tygodnie na rok.

- Cóż, pewnie się teraz ze mnie śmieje, a może i wścieka... jak to tam reagują ojcowie w niebie, gdy synowie na ziemi nie słuchają ich rad. Tak jak lord Chesterfield, wciąż przysyłał mi listy, w których wyrażał swe poglądy na życie.

- To już nie ma znaczenia. Powtarzam ci, chłopcze, twoja pani to wspaniała dama. A teraz muszę już zabrać drogiego St. Johna. Chyba zauważyłeś, że wpatruje się w twoją żonę jak w świętą relikwię lub placek ze śliwkami. Ale to dobry człowiek, chyba wiesz.

Knight westchnął. - Owszem. Większość mężczyzn nie może oderwać od niej wzroku. Nic się na to nie poradzi. Na szczęście Lily na ogół nie zauważa admiracji okazywanej jej przez dżentelmenów.

- Nie jesteś więc zaborczym mężem?

- Tak naprawdę, jeszcze nie wiem - powiedział Knight w zamyśleniu, spoglądając na St. Johna, dżentelmena w słusznym wieku, który mógłby być ojcem Lily, jak klepie ją po ręce, potem nadgarstku, wreszcie łokciu. Tu się zatrzymał.

Ów dżentelmen najwyraźniej nie marzył o batach. Laura Beth pociągnęła Knighta za nogawkę spodni. - Tatusiu - powiedziała radośnie uśmiechnięta.

- Gdzie caryca Katarzyna? - zapytał Knight; nagle ścisnęło go w gardle.

- Nie miała dość ładnej sukienki, by przyjść na wesele mamusi. Kazałam jej zostać w łóżku.

- Powinienem być o tym pomyśleć. Chodź, drobinko i powiedz coś miłego i mądrego biskupowi Mor-leyowi.

- Nie lubię czarnego koloru - oświadczyła Laura Beth i wsunęła paluszek do buzi.

* * *

Noc poślubną powinno się pamiętać do końca życia, pomyślał Knight, obserwując Lily przemawiającą kolejno do każdego z służących. Jego żona musi zapamiętać tę noc, i to szczególnie, tak, by wspomnienie wywoływało uśmiech na jej twarzy jeszcze za pięćdziesiąt lat.

Wyjrzał przez wykuszowe okno olbrzymiej jadalni, przeznaczonej do przyjmowania gości. Na dworze musiało być zimno, grube, deszczowe chmury zasłaniały niebo. Odwrócił się i przechwycił wzrok obserwującej go Lily. Uśmiechała się nieśmiało.

Odwzajemnił jej uśmiech z myślą, że każdej nocy będzie szła z nim do łóżka, a każdego ranka będzie się przy nim budzić.

O szóstej wieczorem zajrzał do dzieci, by powiedzieć im dobranoc, potem zszedł do małej jadalni, gdzie z Lily sami zjedli kolację. Drogi John, niech go Bóg błogosławi, zajął się chłopcami aż do pory spania, a nieoceniona pani Crumpe tego wieczora okazała się najbliższą przyjaciółką Laury Beth.

A teraz, Lily, pomyślał, nadeszła twoja pora, i moja także.

Rozdział 19

Jakim cudem jesteś jeszcze piękniejsza niż zaledwie godzinę temu? To zapewne metafizyczne pytanie i pozostanie bez odpowiedzi. - Knight uniósł kieliszek z szampanem. - Za pani zdrowie, wicehrabino Castle-rosse, moja pani, moja żono, moja towarzysko, moja...

- Szybko podążasz w dół listy mych pozycji.

Delikatnym, kryształowym kieliszkiem lekko stuknęła o pucharek męża. - Za nas - powiedziała z uśmiechem. - To dziwne - ciągnęła, patrząc jak Knight nakłada jej jedzenie na talerz - ale nigdy nie myślałam, że mogłabym zostać wicehrabiną czy jakąkolwiek lady. Widzisz, po wyjeździe z ojcem z Anglii nie mieliśmy pieniędzy, a zawsze mi mówiono, że dżentelmeni żenią się tylko z posażnymi damami.

- Ty wnosisz mi o wiele więcej majątku, Lily. Posag, jakim dysponujesz, to prawdziwe bogactwo.

- Tak? Co takiego mam, powiedz, proszę. Uśmiechnął się i odrzekł po prostu: - Dajesz mi nie tylko siebie, ale także rodzinę. Jedno i drugie stanowiło dla mnie mocną zachętę.

Nie była pewna, czy Knight mówi serio. Tak jej się zdawało, ale wciąż nie знаła go na tyle dobrze. - No tak, dzieci są cudowne.

- A ty nie?

- Ja jestem całkiem przeciętną niewiastą, Knight.

- Nie pozwolę tak mówić o mej żonie, Lily. Boże, jak dobrze, że już mamy to za sobą. Chyba ty też odczułaś ulgę, gdy wreszcie za mnie wyszłaś?

- Sama nie wiem - powiedziała wolno, obracając w palcach kieliszek. - To wszystko stało się tak szybko i... naprawdę nie bardzo wiem, co mam myśleć.

- Ja odetchnąłem wystarczająco za nas oboje - przyznał. - Teraz jesteś moja i przysięgam, że dobrze się tobą zaopiekuję.

Gdy mówił, patrzyła mu na usta; potem opuściła wzrok na jego mocne dłonie, teraz zajęte nakładaniem jej marchewki i wyobraziła sobie, jak by to było poczuć je na...

Knight ucichł. - Przestań patrzeć na mnie w ten sposób albo rzucę cię między półmisek pieczonego zająca i misę z ostrygami i zajmę się tobą.

- Dziwnie stawiasz sprawę - stwierdziła, próbując nie zdradzić się wyrazem twarzy.

- Masz rację. Prawdopodobnie powinienem zasugerować, że to ty, moja kochana, zajmiesz się moim biednym ciałem. - Znów na jej twarzy pojawiło się pożądanie i Knight jęknął. - Proszę, jedz! - Podsunął jej pełny talerz.

Mimms spisała się znakomicie.

Ze swego miejsca po drugiej stronie stołu uśmiechnął się do Lily i zapytał: - Jak sądzisz, uda ci się cokolwiek zjeść? Choć dwanaście kęsów. Będziesz potrzebowała sił.

Widelec lekko zadrżał jej w palcach, i Knight uśmiechnął się jeszcze radośniej. Zona - prawdziwa zona - która jest damą i pragnie seksu z mężem. Co za podniecająca myśl! Całej reszty starał się do siebie nie dopuścić: czy to był tylko Tris, czy też spała z kilkoma mężczyznami, nie miało to dla niego znaczenia. Wierzył w to, co już jej powiedział. Przeszłość nie jest ważna.

Jedli w milczeniu. Oczy Knighta błyszcząły równie jasno, jak płomień świec w lichtarzu na stole.

- Lily.

Uniosła wzrok i zamarła na widok jego miny.

- To nasza noc poślubna.

- Tak, wiem.

- Chyba się nie denerwujesz?

- Ależ skąd. A ty?

- Nie!

- Co za głupie pytanie. Przecież jesteś mężczyzną.

- Co do tego muszę przyznać ci rację. Ale to nasza noc poślubna i chcę, byś mi zaufała. Dobrze?

- Znalazłam się w zupełnie nowej sytuacji, całkiem innej niż życie, do którego nawykłam. Teraz, jako mężatka, stałam się odpowiedzialna nie tylko za siebie i dzieci, ale także za ciebie.

- A może to ja przejmę odpowiedzialność za nas wszystkich? Masz okazję trochę odpocząć i przyzwyczać się do faktu, że jesteś moją żoną.

- A czy ty także nie musisz nawyknąć do posiadania żony?

- Mówię tylko, że będziemy dzielić troski. Nie staraj się wciąż być taka niezależna, Lily. Teraz masz mnie.

- To prawda. Właściwie już nie jestem głodna, Knight.

- Ależ jedz. Jeszcze tylko dziesięć kęsów. A teraz posłuchaj mnie: pamiętasz to popołudnie, które spędziliśmy razem w dębowym lesie?

Nie chciała się przyznać, jeszcze bardziej upewnić go w poczuciu męskiej wyższości, lecz nie mogła się powstrzymać. Tamte chwile wryły się w jej pamięć. Aż przełknęła ślinę na wspomnienie szaleńczych emocji, jakie ją wtedy ogarnęły. Skinęła potakująco głową.

- Pamiętasz, co robiliśmy?

- Proszę, Knight. Jedz te swoje tłuczone kartofle.

- Stałaś oparta o dąb, prawda? Miał taką niezwykle grubą, wiekową korę. Całowałem cię, a ty nie kryłaś pożądaną. Pochyliłem się i włożyłem ci dłoń pod spódnicę do konnej jazdy.

Urwał i przez chwilę patrzył, jak Lily nerwowo przekłada widelec z ręki do ręki. Wreszcie odłożyła go i nie bardzo wiedząc, czym zająć dłonie, uniosła serwetkę.

- Dzięki Bogu, ręce mam długie. Pamiętasz, jak gładziłem cię pod kolanem, a potem, bardzo powoli, przesuwałem dłonią w górę, po twym cudownym udzie? Drżałaś, Lily, wydawałaś te ciche, tak typowo kobiece, gardłowe dźwięki, a ja całowałem cię, wreszcie uniosłem palce jeszcze wyżej i niemal sięgnąłem twej kobiecości.

- Knight...

- Gdy me palce dotarły do celu, ty... och, zapragnęłaś mnie, Lily. Pamiętasz, jak cię pieściłem, gładziłem, aż krzyczałaś mi prosto w usta, pragnąc mnie tak, że niemal odchodziłaś od zmysłów? - Knight mówił teraz chrapliwym głosem; tracił nad sobą panowanie na samo wspomnienie tamtego popołudnia sprzed tygodnia. Ona wciąż milczała.

- O czym myślisz, Lily?

Przesunęła językiem po dolnej wardze. Na moment zamknęła oczy. - O twoich palcach. O tym dziwnym wrażeniu nisko, w dole brzucha, gdy mnie dotknąłeś. I o twoich ustach i dotyku twego ciała, gdy na mnie nacierało.

Omam nie spadł z krzesła. A już sądził, że panuje nad sytuacją. I co teraz? Pożądał jej chyba jeszcze bardziej niż ona jego, niemal do bólu. W końcu jest mężczyzną i ma prawo dotkliwiej odczuwać erotyczne potrzeby. Po prostu nie spodziewał się, że będzie tak szczerą.

- Wiesz, co zamierzam zrobić z tobą dzisiaj wieczór? Potrząsnęła głową, niezdolna logicznie myśleć, nie umiała znaleźć właściwych słów. Uwiódł ją teraz tak bez reszty, jak zrobił to tamtego popołudnia w lesie.

- Tyle że w domu nie mamy dębu. A jest za zimno, by zabierać cię do lasu. Ale Lily... Zresztą nie, nic nie będę mówił. Po prostu ci zademonstruję. Nie denerwuj się, proszę, nie ma się czego lękać.

Ze zdeterminowaną miną, szurając, odsunął krzesło od stołu. Potem, przez chwilę, ku jej zaskoczeniu i zakłopotaniu, zdawał się zmagać sam ze sobą. Wreszcie odwrócił się od niej i rzucił przez ramię: - Zagrałabyś mi coś na pianinie?

Spojrzała na jego plecy. - Oczywiście. Z największą radością. - Tak naprawdę pragnęła, by mąż wyznał jej miłość. Ale on pożądał tylko jej ciała. Wciąż dawał jej to wyraźnie do zrozumienia. Lily nie była hipokrytką. Musiała przyznać, że pożąda go równie szaleńczo jak on jej. Tylko że ona, u diabła, kocha go! Naprawdę go kocha!

Wyszli z jadalni, zostawiając na stole niemal tyle samo jedzenia, ile zastali, przychodząc na posiłek.

Lily jako realistka wiedziała, że tego wieczoru jej palce poradzą sobie tylko z najprostszym utworem. O co mu chodzi? Myślała o tym, że tej nocy stanie się kobietą i ta perspektywa była tak cudownie ekscytująca, że zapragnęła rzucić mu się w ramiona natychmiast, na samym środku salonu.

Powstrzymawszy się jednak, zagrała mu irlandzką balladę, bardzo wolną i nieskomplikowaną.

Knight patrzył na nią, na jej gęste, jasne włosy, którym okalająca jej głowę srebrna poświata świec nadawała złote refleksy. Suknia ślubna przeszła jego wszelkie oczekiwania. Delikatna koronka wokół szyi podkreślała biel ramion Lily, sugerowała delikatność osłoniętych jedwabiem piersi. Zadumany, potrząsnął głową. Jeżeli pozwoli biec swym myślom w tym kierunku, będzie do szczytu zgubiony. Poprosił, by mu zagrała, aby móc nabrać trochę dystansu, ale nie udało się.

Za wszelką cenę winien zachować panowanie nad sytuacją! Okiełznać te niezwykle i wysoce niepokojące emocje, których w związku z nią doznawał. Nie pozwoli, by kierowała nim ta najbardziej męska część jego ciała. Z drugiej strony przecież tylko o to tu chodzi, czyż nie?

- Wystarczy, Lily.

Podniósł się i ujął świecznik. Jej palce wykonały ostatni minorowy akord. Uniosła wzrok z pewnym zaskoczeniem, ale także - był tego pewien - z ulgą. Domyśliła się, że prowadzi wobec niej jakąś grę i pragnęła ją zakończyć. Chciała, by się z nią kochał. Liczyła, że gdy wreszcie zazna tego, co dzieje się między kobietą i mężczyzną, jej szanse zostaną w jakiś sposób wyrównane; przynajmniej do pewnego stopnia.

Powoli wstała, nieśmiało się do niego uśmiechając. Wyciągnął rękę, a ona złożyła na niej dłoń.

- Kazałem wszystkie twoje rzeczy przenieść do mojej sypialni - oznajmił, gdy ramię przy ramieniu szli schodami.

- To miłe z twojej strony.

- Miłe? Po prostu chcę mieć cię przy sobie. W przyszłym tygodniu uzupełnimy ci garderobę.

- Nie zależy mi na strojach, Knight. - I zaraz dodała: - Nie chciałabym, byś uznał mnie za niewdzięcznicę. Suknia ślubna jest wspaniała, pierścioneł także.

- Wdzięczność nie ma tu nic do rzeczy, Lily. Zresztą i tak jej nie pragnę. Chcę cię, niczego więcej.

- Przecież mnie masz.

- Jeszcze nie - w jego głosie zabrzmiała nutka cierpienia, jakby dokuczał mu dotkliwy ból.

Gdy dotarli do obszernej sypialni w końcu korytarza, Knight otworzył drzwi, uśmiechnął się do swej młodej żony i poprosił: - Przytrzymaj lichtarz, dobrze?

Odebrała od niego świece i weszła do środka, on zaś zamknął ciężkie, dębowe drzwi. Potem znów stanął do niej twarzą, wsparty o framugę. - Przez chwilę pozostań nieruchomo, chcę na cię popatrzeć.

Poczuła się jakoś nieswojo, i choć całkiem ubrana, miała wrażenie, że jest naga. Świece drżały w jej dłoniach. Knight wziął od niej lichtarz i postawił na kominku.

- Całkiem tu ciepło - zauważył. Schylił się jednak i dorzucił polano do ognia. - Powiedziałem Throm-binowi, że tak właśnie sobie życzę.

- Nie ma tu parawanu, Knight, a ja...

Uniósł dłoń. - Ja będę twoją pokojówką, Lily, ale jeszcze nie teraz. Poczekaj. - Podeszedł do niej, bardzo wolno, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - Jakże jesteś piękna - powiedział, zatrzymując się tuż przed nią. Zamknęła oczy, a on delikatnie pogłaskał ją po policzku, po brodzie, po uszach.

- I ty także, milordzie. Żadna kobieta nie mówiła ci jeszcze, żeś urodziwy?

- Nie więcej niż z tuzin. Nie uwierzyłem im.

- A mnie uwierzysz?

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę. - Zobaczymy. Rano. A teraz chcę cię całować, aż zadźwięczy mi w uszach.

Zażenowana spuściła głowę, on jednak natychmiast ujął ją pod brodę swymi długimi palcami i uniósł ku sobie jej twarz. - Lily! - Poczuła ciepły oddech na ustach. Położyła mu dłonie na ramionach i przysunęła się bliżej. Przez długą chwilę pożerał wzrokiem jej wargi, potem złożył na nich pocałunek, delikatnie, lekko kęsając, aż uśmiechnęła się i otworzyła oczy.

Końcem palca pogłaskał jej usta. - Rozchyl wargi.

Zareagowała, a on zanurzył się w niej głębiej. Smakowała go, czuła słodycz szampana, cierpkość cytrynowego deseru i bijące od niego ciepło; żar Knighta, najwspanialszego na świecie mężczyzny. Uczucie cudowne i już dozwolone. Po raz pierwszy w życiu mogła być sobą, miała prawo okazać mu, co do niego czuje. Językiem dotknął jej języka i aż podskoczyła z zaskoczenia. I wchłonęła go.

Teraz należała do niego, była całkowicie w jego władzy; mógł zrobić z nią, co tylko zechciał. Wziął ją na ręce i przeniósł przez pokój, przed kominek. Przycisnął ją plecami do ściany i natarł na nią. Gdy pocierał ją twardniejącym członkiem, wyczuł jak drżą jej drobne piersi. Westchnęła.

- Podoba ci się, prawda?

Nie potrafiła znaleźć słów i w odpowiedzi oddała mu pocałunek, jeszcze namiętniej, palcami wczepiona w jego ramiona.

Oparta plecami o ścianę, przyciskana napierającym na nią ciałem, poddawała mu się, prężyła się ku niemu. Nagle wspomniła jego słowa o dębie i o tym, jak pieścił ją tamtego dnia. I w jednej chwili poczuła równocześnie wstyd i podniecenie, i niemal oszalała z oczekiwania.

Nagle gdzieś zniknął. - Knight? - Szukała go niespokojnym wzrokiem.

- Chwilkę, Lily.

Kłęczał przed nią, unosił jej ślubną suknię. - Jest bardziej delikatna niż spódnica do konnej jazdy i należy się z nią ostrożniej obchodzić. Nie chcę jej podrzeć.

Poczuła na nogach powiew chłodnego powietrza. I już stał przed nią, pochylając głowę; całował ją ponownie, na udzie poczuła jego dłoń. Westchnęła, opłótła mu ramionami plecy i wygięła się ku niemu cała.

Bardzo, bardzo powoli przesuwiał dłonią do góry, w dół i zaraz znów ją całował. - Podoba ci się, Lily? - szepnął tuż przy jej ustach. - Już prawie dotarłem do celu, zaraz cię dotknę. O Boże, czy masz pojęcie, co czuję?

Końcami palców lekko musnął kędziorki i przedarł się przez nie. Krzyknęła i zadrżała, zupełnie bezradna.

- Tym razem nie będzie żadnego przerywania, o nie!

Głęboko wpił się w jej usta, językiem muskał język, równocześnie pieścił ją palcami, doprowadzając niemal do utraty zmysłów: krzyczała, przeżyła się, naciskała mu na palce, błagając o więcej i...

Wsunął w nią palec, a ona opadła do przodu, skłaniając mu głowę na ramię. - Już nie mogę, Knight, ja...

Wsunął palec głębiej. - Czego to nie możesz? Jakaś ty ciepła, Lily, jaka ciasna, i...

Niemal stracił nad sobą panowanie; wysunął palec. Chciał, by przeżyła orgazm, zanim ją weźmie.

Jego palce podążyły w górę, aż znów ją odnalazły. Uśmiechnął się, gdy uniosła usta do pocałunku. - Podoba ci się, prawda, Lily? Jestem tego pewien. Takaś miękka i ja... - Sięgnął językiem głęboko w jej usta.

Teraz nawet szalejący wokół nich pożar nie zwróciłby jej uwagi.

Jęknęła i odrzuciwszy głowę do tyłu, podsunęła mu szyję i piersi. Jego palce szperały, drażniły. Wyczuwał rosnące w niej napięcie i wiedział, że jeszcze chwila, a będzie mógł obserwować jej twarz w chwili szczytowania. Choć zamierzał powstrzymać się jak najdłużej, jeszcze bardziej ją podniecić, wiedział, że już niewiele czasu mu zostało.

Pchnął więc palcami głęboko, doprowadzając ją do szaleństwa. Odrzuciła do tyłu głowę, zamknęła oczy i krzyknęła.

- Patrz na mnie!

Uniosła powieki i gdy jej ciało eksplodowało rozkoszą, dostrzegł w jej źrenicach zdumienie, zaskoczenie i całą rzekę emocji, które ją ogarnęły i których nie zdołałaby, nawet gdyby chciała, przed nim ukryć.

Dalej ją pieścił, teraz delikatnymi ruchami, łagodniej, aż powoli zaczęła się uspokajać. Potem szybko zdjął pludry, uniósł ją i ochryplym głosem polecił: - Opleć mnie nogami w pasie.

Posłuchała, nie rozumiejąc i nie dbając o nic. Uniósł suknię, obnażył jej nogi i biodra. - Knight - szepnęła i zaraz umilkła, gdy palcami rozsuwał jej delikatne ciało. Poczuła go, gwałtownie wciągnęła powietrze. Napierał na nią członkiem, pchał mocno, a ona próbowała się odsunąć, uciec. Nagle objął ją dłońmi pod pośladki, uniósł i wepchnął się w nią. Zesztywniała i krzyknęła z bólu.

Choć wąska i ciasna, ale przecież wilgotna - bez wątpienia pragnęła go. Był już w środku i doznawał niewiarygodnych emocji. Ale co to? Usłyszał jej krzyk.

Wyraźnie krzyczała bólu i walczyła z nim. Nic nie rozumiał. Jeszcze mocniej pchnął ją na ścianę,

by poskromić jej szalone ruchy.

Trzymając ją mocno w talii, uniósł ją i ponownie nasadził na siebie. Boże, jaka ona ciasna! Ale coś było nie tak, coś... Przerwał jej błonę dziewiczą. Wyczuwał jej wnętrze.

Uderzała w niego pięściami, płakała, drżała z bólu, jej długie nogi konwulsyjnie zaciskały mu się na biodrach.

Była dziewicą, a on potraktował ją jak kobietę doświadczoną. Jak to się mogło stać? Tkwił głęboko w jej ciele, czuł jej ból, jej zaciskające się mięśnie; na moment się opanował. - Lily, wybacz mi. Przepraszam. Nie ruszaj się, bądź spokojna.

Ona jednak dalej próbowała się uwolnić, a jej ruchy do końca pozbawiły go samokontroli.

Przez dłuższą chwilę pozostawał jak ogłuszony, oddychał ciężko i nierówno, przycisnąwszy twarz do ściany, tuż obok niej. Odgłos jej szlochu przywrócił mu przytomność.

A więc była dziewicą!

Jej nogi ześliznęły się z niego, opadły bezwładnie. Delikatnie wysunął się z niej i aż drgnął, gdy jęknęła z bólu. Uniósł ją w ramionach i zaniósł na łóżko. Jej piękna ślubna suknia przypominała pomietą chmurkę jedwabiu. Próbował ją rozprostować, ułożywszy Lily na plecach. Oczy miała zamknięte, na policzkach ślady łez. Wyglądała jak złożona w ofierze dziewica.

- Lily - powiedział, siadając obok niej. - Proszę, otwórz oczy.

- Nie - odrzekła bardzo wyraźnie. - Nie chcę.

- Nie mam ci tego za złe. Ja... - Już zaczynał się tłumaczyć, że nie wiedział, że nie wierzył w jej dziewictwo, ale w porę ugryzł się w język. - Przepraszam, wszystko dlatego, Lily, że doprowadziłaś mnie do szaleństwa, tak bardzo cię pragnąłem.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. - Strasznie bolało, a myślałam, że będzie przyjemnie.

- Przepraszam - powtórzył. - Już nigdy nie poczujesz bólu, przysięgam. Następnym razem zespolimy się całkowicie, Lily i będziesz pragnąć mnie w sobie.

Choć mówił z wielką pewnością, nie do końca ją przekonał. - Tak właśnie postąpiłbyś ze mną wtedy w lesie, gdyby John się nie pojawił?

- Nie miałem takiego zamiaru, tylko ciebie chciałem zadowolić. Twoja rozkosz jest cudowna, Lily.

Spojrzała na niego uważnie. - Mógłbyś mnie teraz zostawić samą, Knight?

- W żadnym razie. Pomogę ci, Lily. Nie sprzeczasz się ze mną. Wiesz przecież, że sama nie poradzisz sobie z tymi wszystkimi guziczkami.

Pomógł jej się podnieść i zabrał się do rozpinania sukni na plecach. Robił to wprawnie i szybko. W końcu została już tylko w koszuli. Spojrzała w dół i na widok kropli krwi na miękkim, białym materiale, westchnęła. Uniosła ku mężowi przerażone oczy. On tylko uśmiechnął się do niej bezradnie.

- Nic się nie stało, Lily, to normalne. Połóż się, obmyję cię.

- Ależ Knight, ja krwawię.

- Tylko troszkę. To dlatego, że przerwałem ci błonę dziewiczą. Nie ruszaj się, proszę.

Całkowicie zagubiona, zamilkła. Milczała nawet wtedy, gdy podniósł jej koszulę do pasa i mył ją miękką, moką szmatką. Czowała na sobie jego wzrok, ale nawet nie drgnęła. Przycisnął szmatkę ponownie do obolałego ciała i piekło już mniej.

Spoglądał na nią, na swoje ręce rozsuwające jej nogi. Obmył ją z krwi i swego nasienia, a teraz pragnął patrzeć na nią, dotykać jej, i mokra szmatka dostarczała mu pretekstu. Boże, jakaż ona piękna!

Te długie, cudownie białe nogi, delikatnie umięśnione i rozkosznie gładkie; znów czuł, jak go oplatają, i na nowo jej zapragnął. Na lekkie dotknięcie zareagowała wzdrygnięciem. - Wciąż boli?

Uniósł wzrok i przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Położył na niej swą ciepłą dłoń. - Następnym razem, Lily, będziesz się śmiać i żądać, bym nie przestawał.

- Trudno w to uwierzyć.

Nie mógł mieć jej za złe, pomyślał z uśmiechem. Zachował się jak kompletny prostak. - Wiesz co, zdejmuj koszulę.

- Nie! - zaprotestowała. I ku jego zaskoczeniu osłoniła ramionami piersi. Leżała z szeroko rozwartymi udami, a zasłaniała piersi! Uśmiechnął się. - Jesteś cudowna, moja pani. - Pochwycił kraj koszuli i zdarł ją z niej. - Odsłoń piersi!

Miał ją całą przed oczami, nagą, rozłożoną na łóżku. Wciąż jeszcze nad sobą panował. Lekko położył dłoń na jej brzuchu, nachylił się i pocałował pierś.

Poczuła gwałtowną, szaloną rozkosz. Wyprężyła plecy, całkowicie świadoma palącego ją pożądania.

- Chciałabyś więcej, Lily? Nie wejść w ciebie na nowo, gdyż jesteś zbyt obolała, ale mogę sprawić ci rozkosz.

Już miała spytać, dlaczego jest wciąż ubrany; chciałaby przecież zobaczyć go w całej okazałości, dotknąć, ale poczuła ciepło jego oddechu, gdy zsuwał się w dół jej ciała.

Całował jej brzuch, rozsunął nogi, uniósł biodra i gorącymi ustami zanurzył się w niej głęboko. Krzyczała z rozkoszy, oszołomiona siłą doznania; krzyczała, a jej wyprężone ciało drżało za każdym kolejnym spazmem.

Zdawała się oddalać od niego, a równocześnie jakby stawała się jego częścią; coś w niej wirowało, zespałało ją z nim, aż zapomniała o całym świecie poza magią jego ust i doznaniem, które zawładnęły jej ciałem. I trwało to, i trwało.

Gdy doszła do siebie, wysunęła się spod niego i natychmiast zasnęła, choć on jeszcze, wpatrzony w nią, się uśmiechał. Z triumfem.

Zasnęła naprawdę, nie miał co do tego wątpliwości. Chyba powinien być całkiem z siebie zadowolony. Wyczerpał ją rozkoszą. Delikatnie zsunął się z łóżka i wstał. Popatrzył na nią z góry. Splątane włosy wiły się wokół jej głowy, leżała nie zasłaniając żadnego ze swych wdzięków, pozwalając mu się nimi napawać do syta. Nawet jej wąskie stopy były cudowne. Pomyślał, że jest prawdziwym szczęściarzem; czy czegoś więcej mógłby pragnąć mężczyzna? Jakaż ona namiętna i kochająca!

Nawet nie mógł sobie teraz wyobrazić, że jeszcze niedawno hołdował pogładowi, iż rozsądny mężczyzna czeka do czterdziestki, by nacieszyć się kobietą, która jest jego żoną.

Ściągnął z siebie ubranie i rzucił je na podłogę. Choć zazwyczaj schludny i systematyczny, teraz wręcz się nie mógł doczekać, by znów ją do siebie tulić, poczuć jej ciepły oddech na swym ramieniu, dotyk jej gładkiej dłoni na swej piersi. Ułożył się obok niej i naciągnął kołdrę.

Zamruczała coś niezrozumiale.

Pocałował ją w czoło i przytulił do siebie. Życie jest cudowne. Niczego by nie zmienił, ani jednej rzeczy.

* * *

Knight budził się powoli, z przeczuciem, że coś jest nie tak. Ale zanim jeszcze otworzył oczy,

pomyślał o Lily i uśmiechnął się. Ale nie, przecież...

Uniósł powieki i ujrzał nie Lily, lecz Laure Beth. Leżała zwinięta między nimi, z rączką na jego szyi.

Zdumiał się, ale pozostał nieruchomo. W tym momencie Lily otworzyła oczy. Spojrzała na Laure Beth, potem na męża.

Uśmiechnęła się i szepnęła: - O Boże! Skąd tu ta smarkuła?

- Powinienem był zamknąć drzwi na klucz.

- Przynajmniej ułożyła się między nami. Czasami kładzie się po prostu na mnie tak, że ledwie mogę oddychać.

- Dzień dobry mamusiu, dzień dobry tatusiu.

O mały włos srocza szturchnęłaby go w jabłko Adama. Poczul na policzku bardzo mokry pocałunek.

- Lauro Beth... - zaczęła Lily, ale parsknęła śmiechem. Odwróciła się na plecy i śmiała się do rozpuku.

- Mamusiu, ty nie masz ubrania. Co się stało z twoją nocną koszulą?

- O Boże - jęknęła Lily ponownie i usiadła.

- Tatuś chyba też nic na sobie nie ma.

Knight podłożył sobie ramiona pod głowę. Spojrzał na Lily leniwie. - Ciekawe, jak teraz rozwiążesz ten problem czteroletniego dziecka.

Lily ledwie udało się rzucić okiem na nagą pierś męża. Miał tak piękne ciało, jak zapamiętała z tamtego popołudnia, gdy rozebrał się, by wykąpać Laure Beth. A on pragnął, by wstała z łóżka i paradowała przed nim naga. Przygryzła dolną wargę i poprosiła Laure Beth: - Podaj mi ten ręcznik. Jest tam, koło parawanu.

- Zimno mi! - jęknęła dziewczynka i przytuliła się do piersi Knighta.

Parsknął pod nosem i rozburzył małej czuprynkę. - Słuchaj no, drobinko...

Laura Beth uniosła główkę. - A dlaczego jesteś tu razem z mamą? To nie jej pokój. Wystraszyłam się, gdy nie mogłam jej znaleźć.

- Twoja mamusia wczoraj mnie poślubiła, a to oznacza, że zawsze będzie przy mnie, przez cały czas, bez wyjątku, a zwłaszcza gdy śpi.

- Aha. - Mała włożyła paluszek do buzi.

Lily zawołała ponownie: - Daj mi ten ręcznik. Knight postanowił ulitować się nad nią. Przechylił się, sięgnął i pociągnął za sznur zwisający obok łóżka.

- A teraz leż cicho, bo zaraz ktoś przyjdzie. Pora już nie jest całkiem wczesna.

Tym kimś okazał się Stromsoe, który poczerwieniał niczym wschód słońca na oceanie. Przybył do posiadłości dopiero przed dwoma dniami i trzymał się z daleka od wszystkich poza Knightem.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Stromsoe - rzucił niewinnie Knight, rozkoszując się skonsternowaną miną kamerdynera. Dobrze mu tak, nadętemu zarozumialcowi! - Podaj mi szlafrok, potem idź do kuchni i powiadom Mimms, że prosimy o śniadanie do sypialni, powiedzmy za trzydzieści minut. Ma być solidne.

- Tak jest, milordzie.

Stromsoe, odwróciwszy wstydliwie oczy, podszedł ze szlafrokiem Knighta w rękach. Rozumiał problem jego lordowskiej mości: mała dziewczynka w łóżku! To by nigdy się nie zdarzyło, zanim ona... Kątem oka spojrzał na świeżo upieczoną wicehrabinę. I nagle ujrzał ją już niejako intruza, lecz

kobietę i niemal nie przygryzł sobie języka. Na Boga, ona rzeczywiście jest oszałamiająco piękna! Szybko cofnął się i uciekł z sypialni.

- Zdaje się, że Stromsoe był trochę zażenowany.

- Też tak myślę. Chyba mu wybaczę te fomy, których nam nie szczędził. A swoją drogą, straszny z ciebie kpiarz.

Knight założył na siebie szlafrok. Laura Beth chciała koniecznie mu pomóc, w końcu z westchnieniem zwrócił się do Lily: - Przytrzymaj to maleństwo, proszę. O tak, dziękuję.

Podniósł się z łóżka i usłyszawszy chichot Laury Beth, starannie zaciągnął poły szlafroka.

- Knight, podaj mi, proszę, moją nocną koszulę i szlafrok.

Uśmiechnął się do Lily przekornie, ale spełnił jej prośbę.

Pół godziny później jedli już śniadanie. Smarując masłem kromkę ciepłego jeszcze chleba, oświadczył: - Za dwie godziny wyjeżdżamy do Brighton.

- Co takiego?

- Uważam, że w śniadaniu po nocy poślubnej nie powinna uczestniczyć dziewczynka, która swojemu nowemu tatusiowi wbija łokieć w szyję, chichocze i dziwi się, czemu śpimy razem.

- Ale Brighton? To przecież zima, Knight.

- Wiem. I nie powinno tam być żywej duszy. Tylko ty i ja. Każdą chwilę, gdy nie będziemy zajęci w łóżku, będziemy mogli poświęcić rozważaniom o naszych miłosnych igraszkach, śpiewać o nich, a nawet układać ballady.

Roześmiała się, poczerwieniała i znów każdy skrawek jej ciała ogarnęło cudowne uczucie rozkoszy.

- Oszałałeś - usiłowała jeszcze protestować. - Już za dwie godziny?

Rozdział 20

Dzień był zimny i jasny, a niebo stalowe. Knight z promiennym uśmiechem wychylił się z okna powozu i po raz ostatni pomachał dzieciom, które stały w rzędzie przed schodami frontowymi; Theo trzymał w ramionach Laurę Beth, Sama podpierali dwaj służący.

- Słuchajcie poleceń Johna - zawołał Knight. - I Thrombina. I wszystkich dorosłych.

- Lauro Beth - dodała Lily, wciskając się obok Knighta - trzymaj paluszek z dala od buzi, a rączki od ciastek Mimms.

- Dopilnuję, by byli posłuszni - odkrzyknął Theo.

Knight pokręcił głową. - Ten chłopiec albo zostanie pastorem, albo fanatycznym rewolucjonistą. Nic pośredniego.

Lily rzuciła mu przekorny uśmiech, który zawsze działał na niego podniecająco. Posadził ją sobie na kolanach i powóz wyruszył długim, krętym podjazdem z Castle Rosse.

Knight pogłaskał miękkie gronostajowe lamówki. - Ojciec podarował ci to futro pewnie w epoce, gdy dopisywało mu szczęście.

- Tak, peleryna pochodzi z Rosji. Książę Jakiśtam kupił ją dla swojej żony, a potem ojciec ją od niego wygrał.

Wtuliła się w jego ramiona i przyłożyła mu policzek do twarzy. - Ciepło ci?

- Boże, Lily, gdybyś tylko wiedziała. Ruszaj dalej swoją śliczną pupcią, a doczekasz się!

Zachichotała. Na ten nieoczekiwany dźwięk, słodki i czysty, Knight aż poczuł drgnienie w sercu. Jakże jej pragnął! Tak piękna kobieta i do tego jego żona - istna mieszanka piorunująca, działająca mu na zmysły jak nikt dotąd.

- Siedź spokojnie. Nie żartuję, Lily.

- Dobrze - obiecała. - Mam się przesunąć na tamto miejsce?

- Nie, podzielimy się twoim ciepłem. Wtulona w niego, umościła mu się na kolanach.

Nakrył jej nogi derką.

- A teraz chcę porozmawiać.

- Zabrzmiało poważnie. Chyba nie zamierzasz się zmienić, Knight?

- A po co, u diabła, miałbym się zmieniać? Może bardziej spodobałbym ci się jako nikczemnik?

Pokręciła głową, potem złożyła mu ją na ramię. - Przed tobą nie miałam żadnych mężczyzn, Knight.

- Wiem. Byłem głupi. Ignorant, wstrętny i ślepy. Największy dureń na świecie...

- Lepiej przestań. Dostarczasz mi przeciwko sobie amunicji na co najmniej dziesięć lat.

- Wybaczysz mi?

Pocałowała go w brodę. - Tak. Ale powiedz mi, mężu, o czym chciałeś rozmawiać.

Jeszcze mocniej ją przytulił i musnął ustami w czoło. - Tak sobie myślałem, czy w drodze

powrotnej z Brighton nie odwiedzilibyśmy Burke'a i Arielle Drummondów. Burke i ja znaleźliśmy się jeszcze jako chłopcy, razem spędziliśmy lata w Oksfordzie, potem wstąpiliśmy do wojska i służyliśmy w Hiszpanii i Portugalii. W zeszłym roku w czasie bitwy pod Tulużą byłem w Paryżu. Oczywiście po abdykacji Napoleona odsprzedaliśmy nasze nominacje. Nastąpiła najwyższa pora, by wrócić do cywila. Zwłaszcza dla Burke'a.

- Nie wiedziałam, że byłeś żołnierzem.

- Nie mów o tym dzieciom. Zamęczą mnie żądaniami, bym opowiadał o moich przygodach, a według mnie większość zdarzeń, w których uczestniczyłem, można by określić jako nad wyraz ohydne. A co do Burke'a i Arielle: obie jesteście w podobnym wieku. Pobrali się niedawno i oboje są wyjątkowo mili.

- Nie będą zaskoczeni? Wiedzą o nas?

- Nie mają pojęcia. Już sobie wyobrażam minę Burke'a.

- Aha, ta osławiona filozofia Knighta Winthropa: więzy małżeńskie po czterdziestce, a dzieci trzymane jak najdalej od kaprysów ojca.

- Właśnie. Ale wystarczy, by Burke cię zobaczył, a zrozumie, że w tej sprawie nie pozostawiono mi najmniejszego wyboru.

- Opowiadasz głupstwa - zachnęła się Lily. Mimo że jej głos wydobywał się przytłumiony spod peleryny, Knight nie usłyszał w nim nawet nutki fałszu. - Zapewne ożeniłeś się ze mną z powodu dzieci.

Roześmiał się, potem powiedział poważnie: - Chyba nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, Lily.

Znów ją pocałował. - Myślę, że późnym popołudniem zatrzymamy się „Pod Człapiącą Gęsią”. To przytulna, stara gospoda w Godalming. A jutro, moja droga, ruszamy dalej do Brighton. Będzie zimno i pochmurnie, i przyroda nie okaże nam wiele gościnności, ale będziemy mieli tyle prywatności, ile tylko zechcemy.

Perspektywa wydała się Lily nader przyjemna. - I żadnych czteroletnich dziewczynek tulących się między nami?

- O nie, kwestie tulenia pozostaną wyłączną domeną dwudziestosiedmioletniego męża.

* * *

Pan Turnsil, gospodarz zajazdu „Pod Człapiącą Gęsią” powitał gości osobiście. Niestety ani Knight, ani Lily nie byli w nastroju do odwzajemniania mu przesadnych uprzejmości. Ostatnią godzinę spędzili na pocałunkach i pieścizotach. Knight dziękował Bogu, że jest zima i jego ciepły płaszcz dobrze przysłania wszelkie zdradliwe oznaki. Pomagając żonie wysiąść z powozu, spoglądał na nią niczym człowiek umierający z głodu, a Lily trzymała głowę opuszczoną. Wiedziała, że ktokolwiek spojrzałby na nią, dostrzegłby w jej oczach szaleńczą żądzę; zauważyłby intensywną czerwień jej ust i nie miałby wątpliwości, czym zajmowali się w powozie.

Szła na górę po wąskich schodach, przytrzymując się starej, drewnianej balustrady, Knight kroczył tuż za nią. Aż podskoczyła, gdy poczuła jego dłoń gładzącą ją po pośladku.

- Knight.

- Lepiej unieś spódnicę i biegnij, Lily, bo lada chwila dojdzie do czegoś poważnego.

Bez słowa zastosowała się do jego rady: uniosła pelerynę i skraj swej długiej spódnicy i pobięła na górę.

- Na prawo - zawołał jeszcze.

Gdy znaleźli się w dużym, przewiewnym pokoju, którego szerokie okna wychodziły na wiejski plac, Knight, by się uspokoić, przez chwilę głęboko wdychał powietrze. Odkąd dorósł, nigdy nie doznał jeszcze podobnych emocji. Spoglądał na swe palce, próbujące uporać się z kluczem.

- Kolację zjemy później - oświadczył, wolno odwracając się twarzą do Lily. Zdjęła już pelerynę i właśnie odpinała długi rząd guziczków przy staniku sukni.

- Lily!

Na chwilę znieruchomiała, uśmiechnęła się niepewnie, i w następnej sekundzie już była w jego ramionach. - Do czego ty mnie doprowadzasz! - jęknęła mu do ucha. Ująwszy dłońmi jego twarz, zaczęła pokrywać ją pocałunkami: podbródek, nos, brwi. - Naprawdę, Knight, ja nie mogę...

Sięgnął dłońmi pod jej pośladki, uniósł ją, a ona wyprężyła plecy, przyciskając do niego brzuch. - To ponad moje siły, nie wytrzymam...

- Wiem - udało mu się powiedzieć między pocałunkami. - Na Boga! Wiem, ukochana.

Zaniósł ją do łóżka, ułożył na plecach. - Te piekielne ubrania! - zaklął pod nosem i odsunął się o krok, gorączkowo odpinając guziki koszuli.

Lily próbowała się uspokoić. To szaleństwo, pomyślała o nieprawdopodobnej mieszaniu emocji, jakich doznawała, ledwie jej dotknął. Po godzinie pieszczot w powozie, gdy szeptem zapowiadał jej, co z nią uczyni, zapragnęła...

- Knight?

Nie przerwał swego zajęcia. - Tak?

- Jeszcze nie widziałam cię całkiem bez ubrania.

Na te słowa uśmiechnął się i zastanowił. - To prawda. I bardzo dziwne. Zeszłej nocy... cóż, to było raczej niecodzienne. Jestem tylko mężczyzną, Lily. Nie będziesz się mnie bala, prawda?

- Mogę ci pomóc, milordzie? Dłonie drżały mu przy guzikach spodni.

- Oczywiście, czemu nie.

Lily, z odpiętym już staniczkiem, skupiła się na mężu. Jego koszula leżała na podłodze, on sam szamotał się z paskiem spodni.

- Dotknij mnie, Lily.

Zafascynowana owym okazałym wybrzuszeniem, przesunęła palcami w dół, objęła palcami członek męża. Zaskoczył ją nagłym ruchem do przodu, aż wciągnęła powietrze. - Nie wiem, czy to najlepszy pomysł - rzucił przez zaciśnięte zęby, a ona miała wrażenie, że słyszy głos człowieka zmagającego się z niemożliwym do zniesienia bólem.

- Pomogę ci. - Opadła przed nim na kolana. Pospiesznie odpinała guziki. Potem, już wolniej, zsunęła mu spodnie. Gdy oswobodziwszy się z nogawek stał wreszcie przed nią nagi, przysiadła na piętach. W tym samym momencie, gdy spojrzał w dół, Lily uniosła wzrok.

- Jesteś niesamowity! - Obserwował jej palce przesuwające się w górę, lekko muskające go po udach, dążące do upragnionego celu. Jęknął, jeszcze zanim tam dotarła. Dłużej już nie wytrzyma!

- Lily, nie mogę czekać, to straszliwe napięcie przerasta moje możliwości.

- Wiem! - Pragnęła go tak mocno, że jej ciało niemal śpiewało pożądaniem. - Wiem, mój ukochany, ale jeszcze chwileczkę. Tylko chwilę. - I pod dotykiem jej ciepłych, delikatnych palców oszalał do szczętu, zapragnął natychmiastowej ulgi. Choć marzył, by musnęła go ustami, gdy na kolanach przysunęła się bliżej, cofnął się. - Nie, Lily, nie mogę, przynajmniej nie teraz.

Rzuciła mu pytające spojrzenie, ale nic nie wyjaśnił. Lekko zmarszczyła brwi, potem podniosła się i nerwowo zaczęła zrzucać z siebie suknię. Knight roześmiał się i pomógł jej. Gdy już była naga,

uniósł ją na rękę, przeniósł przez pokój, na łóżko. W następnej chwili leżał na niej. Zamknęła oczy, poczuwszy na sobie jego ciało.

- Na świecie chyba nie istnieje nic lepszego!

- Ależ tak, poczekaj tylko.

Wsunął się dalej na nią, ścisnął jej biodra, obserwował twarz. Jego słynne opanowanie należało do przeszłości. Wszedł w nią głęboko, jednym, potężnym pchnięciem. Usłyszawszy jej krzyk, zamarł w bezruchu. - Boże, czy sprawiłem ci ból? - Starał się leżeć nieruchomo, cały aż drżał z napięcia.

- Nie, och nie!

To wystarczyło. Ujął ją za ramiona, a ona uniosła ku niemu biodra. - Poruszaj się, Lily. Ruszaj biodrami razem ze mną.

Do końca nie rozumiała, czego od niej chce, ale zastosowała się od instrukcji. Jęknął, odrzucił głowę do tyłu.

Była mała i tak gorąca, że tracił do szczętu zmysły. To Lily, która go pożąda, a może i troszkę kocha; nade wszystko pragnął sprawić jej rozkosz. Powiedział ochryłym, gardłowym głosem: - Lily, ja...

Sięgnął palcami między ich ciała, odnalazł ją. Natychmiast na niego naparła. Przewrócił się na bok, potem przetoczył na plecy, a Lily, siedząc na nim, spoglądała na niego, nic nie rozumiejąc, dopóki dłońmi nie objął jej w talii i uniósł nad siebie, a sam, sięgnąwszy w nią głęboko, wyczuł jej łono.

Rozpuszczone włosy splotły się wokół jej twarzy; spoglądała w dół, na męża, na jego rękę unoszącą jej piersi. Wyprężyła się do tyłu, a on wszedł w nią jeszcze głębiej.

- Lily, poruszaj się, podnoś się nade mną. Cokolwiek chcesz, co sprawia ci przyjemność.

Uniosła się, czując, jak wolno wysuwa się z niej; potem nieoczekiwanie opadła na niego gwałtownie i mocno, aż jęknął z rozkoszy. Pieścił jej piersi, pocierał sutki, a ją opanowała jedna myśl: czy on wie, że za jeden krótki moment jej ciało eksploduje?

Ale jego doświadczony dłoń zsunęły się z jej piersi i jej ciało, znów na krawędzi, pulsowało, domagało się więcej. Sięgnął w dół i wprawny palcami odnalazł ją i pieścił, a ona prężyła się jak oszaląca. Spoglądał na jej piękną twarz, otoczoną teraz płataniną włosów, gdy drżała i wiała się nad nim, przyjmując rozkosz, i podążył w tę podróż razem z nią.

Lily osunęła się, twarz wtuliła mu w szyję. - Nie przeżyję tego!

Nie odpowiedział. Po prostu nie mógł uwierzyć w to, co mu się przydarzyło. Bez reszty oddał się innej istocie, odrzucił wszelką kontrolę, zapomniał o sobie. A to powinno napawać go lękiem, jako mężczyznę, który zawsze uważał się za pana i władcę kobiety, tego, który panuje nad biegiem spraw, który wie, kiedy i jak dać kochance rozkosz, a sam tylko obserwuje i ocenia swe umiejętności, sprawność i przewagę.

I swą wspaniałomyślność.

Powoli, bezwiednie gładził Lily po plecach. To, co właśnie się między nimi wydarzyło, nie miało nic wspólnego z przewagą, wspaniałomyślnością czy panowaniem. Na chwilę powstrzymał dłonie. Wtem pocałowała go w ramię, a on, wciąż w niej, poczuł jak ponownie twardnieje i znów ją wypełnia. Zareagowała opadając na niego, naciskając i wchłaniając go głębiej.

- Lily, jesteś obolała, a my... - jęknął, przesuwał dłońmi po jej delikatnych pośladkach. Nie pozwolił, by ponownie doznała rozkoszy ujeżdżając go, lecz przewrócił ją na plecy i ulokował się nad nią.

Oplotła go nogami, gdy napierał na nią mocno, coraz mocniej, aż krzyczała, chwytając go za biodra, obsypywała pocałunkami. A zamierzał tym razem działać powoli, delikatnie, spokojnie. Nic z tego! Akt okazał się gwałtowny niczym burza, szalona i gwałtowna.

- Lily!

Nie mogła, nie chciała się poruszyć. Rozkoszowała się dotykiem jego ciała, śliskiego od potu, gorącego, twardego i tak cudownego, że miała ochotę zagrzebać się w nim, stać się jego częścią. Westchnęła. Dotknie go, będzie dotykać już do końca świata. Po prostu nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy...

- Knight? Wiem, że już miałeś doświadczenia z innymi damami...

Uśmiechnął się, ale powiedział tylko: - I? Jego wygadana Lily teraz szukała słów. Interesujące. - Tak?

- No... czy im się podobało tak jak mnie?

- Nie wiem. Powiedz mi, co ty czułaś, a postaram się odpowiedzieć.

Opuścił głowę, by pocałować jej zaciśnięte usta.

- Jesteś jedyną damą, jakiej pragnę, i to dopóki nie dokończę żywota. Inne należą do przeszłości. Nie liczą się.

- A więc sprawiam ci przyjemność?

- Jeszcze trochę, a umarłbym z rozkoszy. Słyszając jego poważny ton, zachichotała.

- Czy one też tak szalały jak ja?

A więc o to chodziło: czy prawdziwa dama może posiadać temperament ladacznicy. To ją niepokoiło. - Nie - uspokoił ją. - W każdym razie nie w ten sam sposób. Ty jesteś wspaniałomyślna, szczerza i kochająca. Niewiele znam kobiet równie cudownych jak ty, Lily, tak naturalnych. - Zsunął się z niej, na bok i leżeli zetknięci nosami. - Jesteś moja, Lily. - Znów zaczął ją całować. - Moja na zawsze.

Zasnęła, zapamiętując jego ostatnie słowa, które napełniły ją niewyobrażalną radością. Gdy się obudziła otrzymała następną porcję pocałunków. Uśmiechnęła się, a on językiem odnalazł drogę do jej ust. - Knight - szepnęła i wyciągnęła do niego ramiona.

- Nie, Lily. Zamówiłem kolację. Musimy się posilić. Oto twój szlafrok.

Pan Turnsil dostarczył piezzonego zająca, skowronki w cieście, paszteciki z małżami i dwa rodzaje jarzyn. Była to prawdziwa ucztą. Lily, spojrzawszy na te kulinarne cuda, zaatakowała je jak osoba od dawna dręczona głodem. Knight obserwował swą żonę. - Ależ z ciebie żarłok - stwierdził, dolewając jej wyśmienitego wina. Przełknęła kęs zająca i uśmiechnęła się do niego szeroko. - Żarłoczna kobieta musi odbudować siły.

- Czy chociaż masz pojęcie, jak piękna jesteś w tej chwili?

Przechyliła głowę na bok i spoglądała na niego tym swoim przekornym spojrzeniem. - Gustujesz w rozczochranych włosach?

- Właśnie. Do tego sposób, w jaki szlafrok rozpina ci się na piersiach...

Spojrzała w dół i ku jego ogromnemu zdziwieniu i rozbawieniu zaczerwieniła się. - Niesłychane, naprawdę niesłychane! A teraz wnieśmy toast, Lily, jeżeli możesz na moment powstrzymać się od jedzenia.

Stuknęli się kieliszkami.

- Za dzisiejszą noc! Uniosła brwi.

- Za pobicie rekordu.

Mrugnęła.

- Za to, żebym rano czuł się wykończony do cna. - No, no...

- Co za żarłoczna kobieta - zwrócił się do samotnego pasztecika na jej talerzu. - Jeszcze jeden toast. Niech ta pożądliva niewiasta dręczy mnie do końca mych dni!

- Na zdrowie!

* * *

Tej nocy jednak Knightowi nie było pisane pobicie rekordu. Trzymał Lily w objęciach, szeptał coś uspokajająco, pieścił delikatnie, gdy nagle okno wykuszowe stanęło otworem i zabrzmiał znajomy głos: - A więc nie śpisz, mój ty fireyku.

Knight zamarł.

- Ani jednego ruchu, milordzie. Spójrz no, Boy, on wciąż leży na tej małej, popatrz tylko. Przynajmniej daliśmy ci czas, byś sobie pomachał tym twoim drążkiem. Chyba jednak przeorałeś panienkę więcej razy, niż ci się należy.

- Knight? Co...

Szybko odwrócił się, przyłożył jej palec do ust. - Nic nie mów i nie ruszaj się.

- Co się dzieje?

- Mamy towarzystwo. - Skamieniała z przerażenia, nawet nie drgnęła. Knight naciągnął kołdrę i czekał na rozwój sytuacji.

- Zamknij okno, Boy. Cholernie tu zimno. Nadeszła pora, by uciąć sobie pogawędkę z naszymi przyjaciółmi. Najwyższy czas. Zapal tę cholerną świecę. Cóż, jaśnie oświecony, już załatwiłeś się z tą twoją dziwką. I po co to przykrycie? Widzieliśmy z Boyem wszystkie jej wdzięki, gdy ją orałeś.

Lily wciągnęła powietrze. To ci mężczyźni, których już widziała, zabójcy Trisa. Ależ z niej idiotka. Do szczętu zapomniała o tych przeklętych klejnotach.

Knight nie zareagował na drwiny. Nie mógł sobie na to pozwolić. Leżeli z Lily nadzy w łóżku, a pistolet tkwił w kieszeni jego płaszcza, po drugiej stronie sypialni.

- Jezu, ale ona piękna, Monk, lepsza niż zapamiętałem. Spójrz tylko na te włosy.

- Wiem, ale teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie, Boy.

- Sądziłem, że wysłałem cię do piekła, Monk. Potężny typ tylko wyszczerzył się drwiąco i rozsiadł się przy stoliczku, przy którym Knight i Lily zaledwie kilka godzin wcześniej rozkoszowali się obiadem. - Staraleś się jak mogłeś, milordzie. A teraz dawaj błyskotki i wyniesiemy się. Boy zostawi tę kurewkę w spokoju, załatwimy to elegancko. Wiesz, nawet cię lubię. Biedny Tris. Jego własny kuzyn skacze sobie po brzuchu tej dziwki, a on zaledwie trzy miesiące pod ziemią. Zaprawdę, żadnej lojalności na tym świecie.

- Ona jest moją żoną - obruszył się Knight.

- Co takiego? Słyszysz, Boy? Nasz śliczniutki lord ożenił się z zabaweczką Trisa. No cóż, to nie nasza sprawa. Gdzie błyskotki?

- Powiem wam, jeżeli wypuścicie moją żonę.

- Przykro mi, ale dama zostanie tutaj. Pomoże utrzymać cię w ryzach.

- Wypuście ją. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Absolutnie nic.

- O nie, Knight, nie zostawię cię.

- Lily, cicho.

Potrząsnęła głową i wyprostowała się, sięgając wzrokiem Monka. - Słuchajcie no, wy dwaj. My nie orientujemy się, gdzie są klejnoty. Szukaliśmy i szukaliśmy. Mówię prawdę. Tris nigdy nic mi nie

wyjawił, nie zdradził się nawet słowem. Ani ja, ani jego lordowska mość nic nie wiemy o kosztownościach.

- Tak samo przebiegła jak stary Tris - skomentował Boy. - Tylko o wiele ładniejsza. Choćby te cycki, Monk. Jezu!

Piersi miała przykryte, leżała bez ruchu. Poczowała dłoń Knighta zaciskającą się na jej ramieniu. - Proszę, bądź cicho. Nie ma sensu apelować do ich rozsądku. Błagam, rób co mówię.

Spojrzała na niego odrętwiała. Ogarniał ją lęk.

O Boże, a jeżeli skrzywdzą Knighta? To wszystko jej wina. To ona ściągnęła tych dwóch do jego życia.

- Ona nie kłamie, nie mamy ich - powiedział Knight. - Sądźmy, że dalej są gdzieś w domu Trisa w Brukseli. Tu szukaliśmy już wszędzie.

Boy podrapał się po uchu i zwrócił do kompana: - Może mówią prawdę, Monk. Czy sądzisz, że...

- Nie masz pojęcia o tym świecie, Boy; jesteś zbyt niewinny i ufny. Mężczyźni to mężczyźni, ich chciwość zawsze w końcu wychodzi na wierzch. Jedno spojrzenie na błyskotki, i nasz wytworny lord sprzedaje tę kurewkę, swoją żonę. Wstawać z łóżka oboje i ubierać się!

- Nic z tego - odrzekł z całym spokojem Knight. - Zabierzecie mnie jako zakładnika na korytarz, wtedy żona się ubierze. Nie będziecie się jej przypatrywać, panowie.

Może to jego żołnierski, nawykły przez wiele lat do wydawania rozkazów ton podziałł na złoczyńców. Monk podrapał się po brzuchu, Boy ruszył w stronę drzwi. - Dobra - zgodził się Monk i wstał. - Daj mu szlafrok, Boy, i jego też tu dawaj. A co do ciebie - spojrzał na Lily - masz dwie minuty, nie więcej, inaczej wejdziemy tu, żeby się napatrzyć.

Skinęła głową, nie znajdując słów. Patrzyła jak Knight, w swej cudownej nagości, wysuwa się spod przykrycia, wstaje z łóżka i wyciąga rękę po szlafrok. Odprowadzała go wzrokiem, dopóki drzwi sypialni nie zamknęły się za całą trójką. Wtedy natychmiast wstała i błyskawicznie naciągnęła na siebie suknię.

Rozpaczliwie rozglądała się za czymś do obrony, za czymkolwiek, gdy drzwi otworzyły się i do środka zajrzał Monk z obojętnym wyrazem twarzy.

- Co za szkoda - powiedział. - Teraz pańska kolej, milordzie.

- Siadaj, Lily - rzucił Knight, wskazując jej krzesło obok stolika. Nie zamierzał dopuścić do tego, by wyprowadzili ją na korytarz. Gdzie, u diaska, podziewa się Turnsil? Czy w gospodzie przebywają także inni podróżni? Czyżby byli tu sami? A może Monk zapłacił karczmarzowi, by trzymał na kłódkę buzię i drzwi. To, co przed chwilą powiedział ten typ, w większej części było całkowicie prawdziwe. Ludzkim rodzajem rządzi chciwość.

Na gwałt potrzebował swego pistoletu, na szczęście odzyska go, gdy założy płaszcz. A potem zaczeka na odpowiednią okazję. Rzucił Lily uspokajający uśmiech, zdjął szlafrok i ubrał się. Po dziesięciu minutach cała czwórka cicho zeszła po schodach i opuściła gospodę.

Stary Kenny, woźnica Knighta, gdy rano zauważył zniknięcie swych państwa, natychmiast podniesie alarm. Tylko co będzie miał do powiedzenia?

Na dworze panowały absolutne ciemności. Księżyc i gwiazdy ukrywały się za nisko rozpostartymi, ciemnymi chmurami. Jak na tę porę roku, panował dotkliwy chłód, w powietrzu wisiała zapowiedź śniegu.

W ciągu pięciu minut powóz, teraz prowadzony przez Monka, podskakiwał już na drodze. Nie jechali w stronę Brighton, uświadomił sobie Knight, lecz na północny wschód.

Boy siedział naprzeciwko nich, po uszy opatulony brudnym, wełnianym szalem. Trzymał pistolet wymierzony w pierś Lily. To tylko kawałeczek - poinformował po chwili. - Mamy z Monkiem własną chatkę. Wynajęliśmy ją sobie, żeby było jak trza. Jak już tam będziemy, dacie się przekonać.

Ani Lily, ani Knight nie zareagowali na tę wiadomość.

Kilka godzin później powóz wjechał na pokryty koleinami trakt i pozostał na nim przez dziesięć minut, potem znów skręcił. Knight nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. W końcu Monk zatrzymał konie przed niewielkim, rozpadającym się domkiem, pokrytym bluszczem.

- Miłe miejsce, nie? - rzucił Boy. - Monk je dla nas załatwił. Ma elegancki gust, ten nasz Monk.

Knigha zdumiewał ten mężczyzna. Przyglup przypominający chytre zwierzę i morderca. Obaj byli mordercami. Nie należy o tym zapominać.

Monk otworzył drzwiczki powozu. - Wszystko w porządku, Boy?

- Taa, Monk. Nasz elegancik nie sprawiał kłopotu. Dom tonął w ciemnościach. Knight i Lily czekali na wąskiej, zapadającej się werandzie, a Boy ich pilnował, podczas gdy Monk wszedł do środka i zapalał świece.

- Dawaj ich tu! - zawołał.

Wnętrze domku prezentowało się równie przygnębiająco, jak jego fasada. Lily ujrzała pomieszczenie o niskiej powale; z jednej strony mieściło się palenisko, zasłona rozwieszona po drugiej prawdopodobnie odgradzała łóżko i może stół. Kuchnia, cała pokryta rdzą, była chyba od dawna nieużywana.

- Idź, rozpal ogień - rzucił Monk Knightowi, wskazując sztyletem w stronę kominka. - A ty, moja elegancka paniusiu, zabierzesz się za kolację.

Lily nie odezwała się ani słowem. Weszła do kuchennej części i wzdrygnęła się na widok panującego tam brudu. - Nie ma wody - stwierdziła.

- Zaraz ci przyniosę. Wiktuały znajdziesz na kontuarze. Pospiesz się, chcemy herbaty.

Zrzuciła z ramion swą piękną pelerynę i starannie przewiesiła przez oparcie krzesła. Kątem oka obserwowała, jak Knight zdejmuje płaszcz, dyskretnie wyjmując z kieszeni pistolet i kryje w fałdach materiału. A więc w odpowiednim czasie robi, co należy. Muszę mu zaufać, pomyślała.

Właśnie smażyła dwa grube kawały wołowiny, gdy poczuła na karku gorący oddech mężczyzny. Nie przerywała zajęcia, nie reagowała.

- To prawda, Tris pragnął ciebie bardziej niż czegokolwiek. Wyrządziliśmy ci przysługę, co? Pozbyłaś się go i złapałaś sobie bogacza. Wciąż masz przy sobie tych smarkaczy? Tego małego, co mnie kopnął w nogę? Bachor zasługuje na łomot.

Lily zamknęła oczy. Słowa nic nie znaczą; nie ranią ani nie zabijają. Nagle Monk objął ją ramionami i szarpnął do tyłu, ku sobie.

- Puść ją - usłyszała lodowaty głos Knighta. - No już, Monk, albo, przysięgam, zabiję cię, i to powoli, byś cierpiał tak, jak sobie nawet nie możesz wyobrazić.

Drab zaśmiał się jej do ucha. Uniósł dłoń, przesunął po jej piersiach, potem puścił ją i się cofnął. - Poczekamy sobie, co? Wiemy, że to naprawdę lubisz. Napatrzyliśmy się na te twoje zapasy z lordem. Jezu, przez ciebie obaj mieliśmy niczym konary drzew...

Lily podała smażoną wołowinę i trochę rozgotowanych ziemniaków. Czowała na sobie szacujący wzrok Monka, ale zmusiła się do zachowania spokoju.

- Powziąłem decyzję - oświadczył wielki zbir z ustami pełnymi wołowiny. - Nie dajecie się przekonać ani logiką, ani perswazją. A więc, milordzie, weźmiemy sobie z Boyem twoją żoneczkę, i

to na twoich oczach, jeżeli nie powiesz nam, gdzie są błyskotki. Zrozumiałeś, eleganciku? Rozłożymy jej nogi i przeoramy ten mały brzuszek, a ty będziesz patrzył.

- Ja pierwszy, Monk?

- Nie jesteś dość dobry, by jej dogodzić, Boy. O nie, ja przeoram ją jak należy, potem ty się zabawisz. No więc, moje gołąbki, jak wam się podoba ten plan?

Rozdział 21

Lily zdrętwiała z przerażenia, ale nie zdradziła się nawet najdrobniejszym gestem; nie zamierzała dostarczyć im satysfakcji.

Bądź silna, w milczeniu błagał ją Knight. Nie załam się. Gdybyż mógł znaleźć się na tyle blisko niej, by ją dotknąć, ująć jej dłoń! Przez chwilę odgrażał się, odgrywał świetne przedstawienie. Czy jego demonstrację przyjęła za słabość i czuła niesmak? Czy zrozumiała go? Po prostu nie wiedział.

W końcu, pozornie zrezygnowany, niby opanowując wściekłość, wypalił: - Dobrze, przekłete draby. Powiem wam, gdzie są klejnoty. Tylko łapy z dala od mojej żony. Kosztowności są ukryte w Castle Ros-se. Tuż przed ślubem znaleźliśmy je z Lily w jednej z zabawek dzieci. Schowałem je w stajni. Nie potrafię dokładnie opisać miejsca, muszę je wam osobiście pokazać.

- Aha. - Monk rozparł się na krześle. - Widzisz, Boy - ciągnął, demonstrując kompanowi swą mądrość - naszemu wytwornemu milordowi potrzeba było jedynie odrobinę właściwej zachęty. Taka już jest ludzka natura, Boy, a my wiemy, jak do niej zaapelować. A więc z rana jedziemy z powrotem do Castle Rosse, zabierzemy sobie błyskotki Bil-ly'ego i wreszcie sprawa się zakończy.

- Ale co z nią? - Boy zrobił nadąsaną minę, niczym dziecko, które nie dostało obiecane cukierka.

- Powstrzymaj się - powiedział Monk łagodnie. - Po prostu się powstrzymaj.

- Nie mam ochoty się powstrzymywać, chcę trzymać ją. Widziałem jej cycki, Monk. Jezu, jakie cudne i krągłe, a te jej białe nogi, rozwarte szeroko, wejść w nią jak...

- Jesteś zbyt chory, by się nią nacieszyć, Boy - przerwał mu Monk. Wstał i wyprostował się na całą swą imponującą wysokość. - Złapałeś przeziębienie, a dobrze wiem, że drażek ci nawet nie drgnie, gdy trzęsiesz się z zimna. - Boy ustąpił, ale dalej narzekał. Tyle że trochę ciszej.

By uspokoić skurcze żołądka, Knight przez chwilę głęboko wdychał powietrze.

- Wyjeżdżamy o świcie - poinformował go Monk. - Ty i twoja mała odpoczywajcie, chyba że znów masz na nią ochotę. Nie? W takim razie zwiążemy was, lepiej żebyś nie ryzykował, zważywszy na Boya i jego pistolet. Nie chcę, żeby cię zastrzelił.

- Tak jak zadzgał Trisa?

- To prawda. Popełnił błąd, ale dostał nauczkę. Za tamto zarobił ode mnie po łbie.

Po chwili Knight miał już ręce związane na plecach konopnym sznurem. Podsunął się do kominka i oparł o szorstkie kamienie paleniska.

Monk wstał, otrzepał dłonie. - A teraz, milady, pani kolej. Siadaj tu, obok milorda.

Związał ręce Lily złożone z przodu; więzy nie były zbyt ciasne, ale wzmocnione dużą ilością skomplikowanych węzłów, które zasłużyłyby na pochwałę nawet z ust wilka morskiego.

- Pilnuj ich uważnie, Boy, przez jakieś cztery godziny, a potem obudź mnie. Tylko nie zaśnij, żadnego chrapania. Jego lordowska mość to nie byle ciał, żeby go zostawiać bez opieki.

Jedyne ciepło w domu pochodziło od gasnącego ognia na kominku. Knight skinął do Lily, by przysunęła się bliżej. - Tylko żadnego macania jego lor-dowskiej mości! - rzucił Boy, zupełnie niepotrzebnie, zważywszy na więzy wokół nadgarstków Lily.

Oparła się o ramię Knighta. - Wiem - zapewniła go. - Wszystko rozumiem. - Przytuliła się do męża z ufnością.

Nie odezwał się słowem, żalując, że nie ma do siebie tyle zaufania, jakim ona zdawała się go darzyć. Wreszcie rozległo się obrzydliwe chrapanie Monka. Jeszcze tylko Boy, pomyślał.

- Bądź gotowa - szepnął Lily do ucha i pocałował ją w czoło.

Były dwa pistolety: jeden tkwił w dłoni Boya, drugi upchany w fałdach płaszcza Knighta. Niestety płaszcz wisiał na oparciu krzesła po drugiej stronie pokoju. Wkrótce jednak Boy z pewnością zaśnie, pomyślał Knight, a wtedy przyjdzie jego kolej. Powoli, ostrożnie, tarł związanymi nadgarstkami o wystające, ostre krawędzie obudowy kominka.

- Słuchajcie no, Monk nic nie wspomniał, żebym sobie nie mógł jej pomacać, prawda?

Lily zeszywniała.

- Jeżeli to zrobisz - powiedział Knight obojętnym tonem - nie wskażę wam, gdzie ukryłem klejnoty. Li-ly nic nie wie, tylko ja umiem pokazać to miejsce, więc beze mnie, Boy, nic z błyskotek. I kto wie, czy Monk nie zrezygnuje z waszej przyjaźni? A tym razem mógłby zrobić coś więcej niż tylko dać ci po głowie. Może wsunąć ci w serce swój sztylet.

Boy zmrużył oczy. Knight zauważył, że łotr ma rozterki. Modlił się w duchu. Jego modlitwa została jednak wysłuchana w sposób, jakiego nie przewidział.

- Dobra. To ty ją weź. Niech rozsunie spódnicę i włazi na ciebie. Wsadzisz jej, a ja sobie popatrzę.

- Wykluczone - zaprotestował Knight. - Zapominasz Boy, że mężczyzna musi doznać podniecy, by mógł cokolwiek działać swoim kijaszkiem. Mam ręce związane na plecach i jest mi cholernie niewygodnie, ramiona bolą mnie, jakby wyciągnięto je ze stawów. I trochę mi zimno, a kijaszek ani drgnie, jest bardziej martwy od egipskiego skarabeusza.

- A to ki diabeł?

- Czarny chrząszcz gnojowy, żyjący przed tysiącami lat.

- Mam nadzieję, że nie żyje już od dawna. Boy zrezygnował z rozrywki. Położył się i owinał gardło swym brudnym szalem. Ale nie zasnął, co zresztą nie miało dla Knighta większego znaczenia, gdyż więzy wciąż nie poddawały się ostrym krawędziom. Ręce mu ścierpły, stracił czucie w palcach. Chciało mu się wyć z rozpacz.

Gdy Boy obudził Monka, Knight udał śpiącego. Olbrzym usadowił się naprzeciw niego i Lily, z pistoletem Boya na kolanach.

Knight wiedział, że teraz musi być bardziej ostrożny.

W końcu zasnął i dręczyły go okropne koszmary. Znalazł się zupełnie sam, przykuty za nogi i ramiona do nagiej skały. Słyszał krzyki Lily, ale nie widział jej i nie mógł jej pomóc. A ona krzyczała i krzyczała. W końcu, przerażony, przebudził się ze strasznego snu. Jeszcze potrząsał głową, by oczyścić się z pozostałości kosmaru, gdy usłyszał chichot Monka. Zły sen w istocie okazał się błogosławieństwem, zerwał

Knighta ze snu i nie pozwolił mu już zasnąć. Teraz ze wzmożoną energią zabrał się za więzy.

Lily spała tuż obok niego, od czasu do czasu rzucała się niespokojnie. Monk nie odzywał się, tylko obserwował oboje. Niemal świtało, gdy Knightowi udało się wreszcie przerwać sznur i

uwolnić ręce. Nie ruszał się z miejsca. Odczeka, odzyska czucie w dłoniach i dopiero wtedy spróbuje obezwładnić Monka i Boya.

Monk rozwiązał Lily i polecił jej zrobić kawę.

- Potrzebuję wody, skończyła się.

Monk wyszedł przed dom, ale skąd czerpał wodę, Knight nie wiedział. Miał nadzieję, że studnia znajduje się dość daleko.

I już ruszył, i to szybciej, niż kiedykolwiek w życiu. W jednej chwili był na nogach i siedział na Boyu. Pięścią wymierzył mu mocny cios w brzuch, potem w nos, wreszcie odsunął się, by wzięwszy zamach, z całej siły kopnąć go w pachwinę.

Boy wrzasnął z bólu i padł na kolana.

- O rany, bądź przeklęty! Zabiję cię za to... Ach! Knight przyłożył mu pistolet do głowy i wtedy Boy osunął się na brudną posadzkę.

Knight podbiegł do okna, wyrztał na zewnątrz. Dzięki Bogu, ani śladu Monka.

- Szybko, Lily!

W ciągu minuty wybiegli z domu i dotarli do stajni.

Knight z trudem próbował rozprostować sztywne, zakrwawione od otarć palce. Lily pomogła mu osiodłać olbrzymiego, wychudłego ogiera z zaprzęgu powozu. - Poniesie nas oboje. Pozostałe konie wypuścimy. Teraz cicho, Lily, nie ruszaj się.

Wyrztał zza drzwi stajni. Zobaczył, jak Monk, usłyszawszy krzyk Boya, rzuca wiadro na ziemię.

- Idziemy, szybko!

Pochwycił cugle ogiera i wyprowadził go na dwór. Lily machała peleryną, przeganiając pozostałe konie jak najdalej od stajni.

Uniosła wzrok i zamarła z przerażenia.

- O Boże, Knight, on ma pistolet!

Knight błyskawicznie odwrócił się, rzucił cugle i wyciągnął spod płaszcza broń. Zanim on i Boy wystrzelili - niemal w tym samym momencie, Lily rzuciła się przed męża z okrzykiem: - Nie! - I padła na niego z impetem, gdy jej ciało przyjęło przeznaczoną dla niego kulę Boya.

- Wielki Boże! - Podparł ją, otoczywszy w pasie ramieniem. - Na Boga, Lily!

Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. W uszach Knighta rozległy się odgłosy czyjegoś cierpienia, ale zdawały się dochodzić z daleka, z dala od niego; wreszcie, gdy mgła opadła mu z oczu, ujrzał Boya chwytającego się za pierś i padającego na ziemię. Monk zawył wściekle, pędząc do przyjaciela. Knight spojrzał na bezużyteczny już, pozbawiony naboju pistolet; szybko uniósł Lily w ramionach, pochwycił cugle konia i wciągnął się na siodło.

Kula świsnęła mu koło ucha. Opuścił nisko głowę i osłaniając ciało Lily, kopnięciem obcasów zmusił zwierzę do galopu.

- Przeklęty draniu! - wrzeszczał za nim Monk. - Zabiję cię za to, łotrze. O Boże, Boy!

Następna kula rozdarła Knightowi płaszcz, o włos mijając ramię. Jeszcze jedna? Czyżby Monk miał jeszcze jeden pistolet? Knight trzymał głowę nisko, Lily przyciskał do piersi.

W końcu zapanowała cisza. Żadnych świszczących kul, żadnych przekleństw Monka. Na nos opadł mu płatek śniegu, potem następny. Knight spojrzał na jaśniejące brząskiem niebo. Najpierw straszliwy chłód, teraz śnieg. Niemal czarne chmury nabrzmiwały zimową bielą.

Spojrzał w dół na spokojną twarz Lily. Jakaż ona blada! Trzeba wnet się zatrzymać, powstrzymać krwawienie. Wsunął dłoń pod jej pelerynę i przycisnął do serca. Biło powoli i rytmicznie.

Nie słysząc żadnych odgłosów kopyt, odetchnął z ulgą - przynajmniej Monk ich nie ściga. Zatrzymał konia przy kępie ogołoconych z liści klonów. Najdelikatniej jak mógł zsiadł, wolnym ramieniem podtrzymując Lily.

Położył ją na ziemi, rozsunał pelerynę. Jej pierś czerwieniła się od krwi. Ujrzał otwór po kuli wysoko na lewym ramieniu, w miejscu gdzie przeszła przez pelerynę i suknię. Delikatnie podniósł Lily i dzięki Bogu okazało się, że kula przeszła na wylot. Jednak krwawienie było spore. Knight rozdarł suknię rannej, rozsunał koszulę. Nabrał śniegu w dłoń, delikatnie przycisnął krwawiące miejsce. To powinno zatrzymać krwawienie, a także oczyścić ranę. Ten sam zabieg powtórzył na jej plecach. I kolejny raz, teraz dłużej, aż dłoń zdrętwiała mu z zimna, palce posiniały od mrozu. Krew przestała ciec. Wtedy uniósł jej suknię, oderwał falbanę koszulki. Dokładnie obwiązał jej ramię, mocno zacisnął węzeł. Boże, daj, by przeżyła!

Postanowił jej nie cucić. Gdyby się przebudziła, ból stałby się nie do zniesienia. Rozejrzał się wkoło, starając się zorientować, gdzie się znajdują. Zupełnie nie poznawał okolicy. Przegapił moment wschodzącego słońca, a teraz coraz obficiej sypiący śnieg zasłaniał wszelkie znaki, które pozwoliłyby na określenie ich położenia.

Muszą znaleźć jakieś ciepłe schronienie, Lily potrzebuje lekarza, a on, jej wspaniała obrońca, nie ma pojęcia, w jakim kierunku powinien jechać. Wsiadł na konia, Lily posadził przed sobą i ruszył dalej. Znajdowali się na drodze, zapewne wiejskiej, ale przynajmniej uczęszczanej. Wcześniej czy później pojawią się jakieś znaki. Muszą tu być farmy i domy zamieszkałe przez ludzi, którzy nie są złoczyńcami.

Poczuł przenikający przez grubą materię płaszcza chłód. Śnieg padał gęsty i obfity, prawie go oślepił. Nagle Lily poruszyła się, próbowała uwolnić się, rękami uderzała go w ramiona i krzyczała: - Nie, Knight! On nie może cię zabić. O nie! Nie pozwól na to. O Boże, Knight!

- Już wszystko w porządku, naprawdę, Lily, nic mi nie jest. Cicho, leż spokojnie. Nie dam rady utrzymać ciebie i prowadzić konia. - Znów ucichła. Przemawiał do niej dalej, a choć plótl głupstwa, działały na nią dziwnie uspokajająco.

Nie zauważył, ile czasu minęło, zanim ujrzał rozwalającą się, starą szopę, której dobre czasy minęły już pewnie przed dwudziestoma laty. Mogła jednak dostarczyć schronienia i stała z dala od drogi. W gęsto padającym śniegu nie widział, czy w pobliżu jest jakaś farma. Cóż, mają coś na początek.

W stodole hulał wiatr; jego podmuchy nawiewały do środka śnieg przez potężne szpary w ścianach, w miejscach gdzie poodpadały deski. W kącie stodoły dostrzegł coś przypominającego stertę suchego siana. Nieźle, pomyślał. Ogrzeją się i przeczekają śnieżycę. Potem odnajdzie farmę, która musi być gdzieś w pobliżu.

Poważnie lękał się o Lily. Ubranie miała wilgotne, a on nic nie mógł na to poradzić. Zaniósł ją do osłoniętego kąta i delikatnie położył na klepisku. Zdjął płaszcz, owinał ją, potem przysypał jeszcze suchym sianem. Koń parował, boki mu drżały. Należało zająć się zwierzęciem, to w końcu ich jedyny środek transportu. Klepał konia po szyi, przemawiał do niego, chwalił, wycierał garściami siana, aż zwierzę uspokoiło się i trąciło go chrapami.

- W porządku, staruszkule, chodź tu i najedz się do syta. I odpocznij; będziesz potrzebował sił.

Gdy już skończył z koniem, powrócił do Lily. Dzięki robocie, jaką wykonał, nie odczuwał specjalnie chłodu. Usiadł obok żony i mocno ją przytulił, by oddać jej całe swe ciepło. Dzięki przykrywającej ich stercie siana mogli przynajmniej trochę się ogrzać. Knight, nieco odprężony, na

chwilę zasnął; nagle obudził się, z bijącym sercem, z czołem zroszonym kroplami potu.

Monk! Znów ten hałas. Boże, odnalazł ich. Knight, napięty niczym łuk, gotował się do błyskawicznego działania. I nic, cisza.

Byli sami, to koń zarżał, nic więcej.

Przeleciał ptak. Nic poza tym.

W pobliżu nie było żywej duszy.

Knight usiadł, ostrożnie, by nie zbudzić Lily. Przez wielki otwór w ścianie po drugiej stronie stodoły wciąż widział sypiący gęsto śnieg. A niech to! Nie miał pojęcia, ile minęło czasu. I nic nie mógł zrobić, absolutnie nic.

Położył się ponownie, popatrzył na żonę. Była przeraźliwie blada. - Lily - szepnął i czubkami palców pogłaskał ją po policzku.

Ku jego zdziwieniu zatrzepotała rzęsami i otworzyła oczy. Spojrzała na niego i, niesłychane, uśmiechnęła się. - Dzień dobry.

- Nie śpisz?

- Już nie. Nic ci się stało? Gdzie jesteśmy?

- Cicho, zaraz powiem ci wszystko. Jestem we wspaniałej formie i nie mam bladego pojęcia, gdzie dotarliśmy. Widzisz, w śnieżycy nie zauważyłem żadnych znaków. Jesteśmy w przewiewnej szopie, w jedynym jej kącie, gdzie deski trzymają się ściany. Czy jest ci ciepło?

- O tak. - Nagle do jej mózgu dotarł wysłany przez ciało sygnał, że nie wszystko jest w porządku. - Knight!

- Poczawszy w ramieniu dotkliwy ból, jakiego sobie nigdy dotąd nawet nie wyobrażała - palący, wręcz rozdzierający, przytuliła do męża głowę. Już miała krzyknąć, by zagłuszyć cierpienie, ale Knight otoczył ją ramieniem. Opanowała się, nie pozwoliła, by ból zwyciężył.

- Oddychaj powoli, nabieraj małe ilości powietrza - usłyszała jego słowa, poczuła na policzku ciepły oddech. - To pomoże na ból. Powoli, Lily, oddychaj bardzo powoli. Spróbuj, no już.

Posłuchała. Musiała przywołać całą swą siłę woli, ale udało się. Powoli, płytko.

- O tak, teraz panujesz nad bólem. Wiedziałem, że ci się uda. Wszystko będzie dobrze, Lily, przysięgam. Jak tylko śnieg przestanie padać, dotrzemy w bezpieczne miejsce i do lekarza. O tak - powoli i głęboko.

Wciąż do niej mówił, radził, zachęcał, aż wreszcie znów omdlała.

Sam nie wiedział, czy powinien odczuwać ulgę, czy spodziewać się najgorszego. Przynajmniej choć na chwilę nie odczuwała bólu. Uniósł wzrok i przez szparę w ścianie ujrzał kaskady sypiącego śniegu.

Minęło kilka godzin, zanim Lily znów otworzyła oczy. Knight wpatrywał się w nią i modlił, by nie dostała gorączki, gdyż wtedy byłaby zgubiona. Widział zbyt wielu poległych na wojnie, których śmierć dopadła nie z powodu ran, lecz wyniszczającej, wysysającej życie gorączki. Dotknął Lily - była chłodna.

- Knight?

- Tak, Lily. Teraz oddychaj powoli, lekko. O tak.

- Jest ciepło, ty też jesteś ciepły.

- To siano utrzymuje temperaturę naszych ciał. Na dworze wciąż szaleje śnieżycy. Ale już niedługo, Lily. Chyba się przejaśnia. A przynajmniej Monk nie może nas ścigać w taką pogodę.

- Zabijeś Boya?

- Nie wiem. Widziałem jak łapie się za pierś i pada. Mam nadzieję, że żyje. Wtedy Monk nie zostawi go samego.

- W przeciwnym wypadku będzie nas gonił.

- Nie znajdzie nas, Lily.

- Panuję na bólem, Knight. Wciąż tam jest, no wiesz, jak zwierzę zamknięte w klatce, szarpiące się z kratą, by się uwolnić, ale nie wypuszczę go, wykluczone.

- Jesteś cudowna, Lily. Zawsze o tym pamiętaj. - Delikatnie pocałował ją w czoło. - Ocaliłaś mi życie i dziękuję ci, ale zapłaciłaś wysoką cenę. Przrzeknij, że wyzdrowiejesz.

Już jej nie uspokajał, lecz błagał. Zmusiła się do uśmiechu. Jest cudowny, pomyślała. - Obiecuję, Knight. I nie opuszczę cię. Przenigdy.

- Wiem. Spróbuj się zrelaksować. Nie, nie walcz z bólem. O tak, spokojnie, powoli. Chcę ci powiedzieć, dokąd się wybierzemy, jak to wszystko już minie. Gdy wyzdrowiejesz, pojedziemy do Włoch. Zabiorę cię do Wenecji. Zatrzymamy się w Palazzo di Contini w pobliżu Placu Świętego Marka, nad Canale Grande. Powita nas, moja droga, Contini we własnej osobie; będą celebrować twoje przybycie, spełniać wszystkie twe kaprysy i psuć cię, aż staniesz się nie do zniesienia. Potem wrócimy do Anglii, bo oboje będziemy sobie wyobrażać usychające z tęsknoty dzieci. A te diabelki, gdy tylko nas zobaczą, zaraz zapytają o prezenty.

I oczywiście przywieziemy im mnóstwo rzeczy. Dla Theo jakiś cudzoziemski traktat na temat maszyny latającej. A dla Sama chyba całą flotyllę gondoli - tak się podróżuje po kanałach Wenecji - a dla mojego najmniejszego diablątka zdobędziemy specjalną lalkę Medici, taką, co to w pierścieniu na lewej ręczce nosi truciznę. - Czyżby Lily parsknęła śmiechem? Nie był pewien. Miała zamknięte oczy, spokojną twarz. Mówił więc dalej. - Potem zostaniemy w Ca-stle Rosse aż do późnej wiosny. O tej porze będziesz już nosić nasze dziecko. I żadnych porannych mdłości, na to nie pozwolę. Nasze dziecko, Lily. Chcesz chłopca czy dziewczynkę?

- Chłopca, i to bardzo podobnego do ciebie - zadeklarowała, nie otwierając oczu. - Będzie miał lisie oczy, złotobrazowe, a gdy się rozzłości, żółte, dokładnie takie. Wiesz, Knight, całkowicie odpowiada mi ta perspektywa. Jak sądzisz, kiedy będziemy mogli wyruszyć w podróż?

Przytulił ją mocno. - Wkrótce, Lily. Naprawdę niedługo. - Pocałował w czoło i wyciągnął się tuż przy niej. Podobnego uczucia nie doświadczył nigdy wcześniej; ogarniała go fala ciepła i niewiarygodnego wręcz zadowolenia. Oczy zapiekły od wzbierających łez. Tak strasznie się bał i czuł się całkowicie bezradny. Zaklął pod nosem.

Tylko koń stęknął w odpowiedzi.

Lily znów zasnęła. Albo była nieprzytomna. Nie miał pewności. Wciąż nie ustawał w modlitwie.

Śnieg przestał padać późnym popołudniem. Knight odsunął się od żony i podszedł do wrót stodoły. Jeszcze przez jakąś godzinę powinno być jasno. Musi się zorientować, gdzie są. I znaleźć pomoc.

Po chwili siedział już wraz z Lily na końskim grzbiecie i podążał wiejskim traktem. Zrobiło się okropnie zimno, wiatr wył wśród drzew, wirował śniegiem wokół końskich kopyt. Gwizdał w uszach i nic sobie nie robił z grubego materiału płaszcza, przedostawał się pod spód i smagał ciało. Knight niemal zeszywniał z zimna. Trzymał Lily jak najbliżej siebie, by oddać jej całe swe ciepło.

Ujrzał spiralę dymu unoszącą się nad kępą drzew. Farma. Ciepło i pomoc. Ściągnął cugle, skierował w tę stronę konia, i nagle ujrzał rozstaje dróg, a przy trakcie odbijającym w prawo tablicę: „Crawley, dziesięć mil”. Mój Boże, ucieszył się wielce, przecież Burke Dummond mieszka pięć mil

przed Crawley. Jeszcze trochę, a dotrą do Ravensworth, rezydencji Burke'a. Poczł tak ogromną ulgę, że ledwie powstrzymał się od radosnego okrzyku.

Ravensworth leżało na południowym wschodzie. A więc Monk i Boy wieźli ich okrężną drogą z powrotem do Londynu.

- Lily - szepnął - już prawie jesteśmy bezpieczni.

Pociemniało. Gwiazdy znikły za ciężkimi od śniegu chmurami. Knight starał się nie zjechać z coraz szerszej teraz drogi, ale o mały włos byłby przeoczył znak. Byli już naprawdę bardzo blisko.

Nie miał pojęcia, która godzina. Śnieg znów zaczął sypać, za to wiatr nieco przycichł. Ale gdy zapadła noc, zrobiło się jeszcze bardziej zimno.

Nagle, ku olbrzymiej radości Knighta, wyłoniły się przed nimi olbrzymie, żelazne wrota Ravensworth i domek odźwiernego.

Nigdy przedtem nie zauważył nawet dystansu, jaki należało pokonać podjazdem prowadzącym do rezydencji. Tej nocy zdawał się ciągnąć bez końca. Wreszcie z mroku wyłonił się potężny, dwupiętrowy gmach - w kilku oknach paliło się światło. Dzięki Bogu, hrabia i hrabina byli w domu.

Zatrzymawszy znużonego konia przed szerokimi, kamiennymi schodami, Knight krzyknął co sił w płucach.

Drzwi frontowe zaskrzypiały i stanęły otworem. Montague, kamerdyner w Ravensworth, wystawił głowę.

- Pospiesz się, człowieku! - zawołał Knight, schodząc z konia. - Wezwij stajennego, by zajął się moim wierzchowcem.

W następnej chwili, z Lily w ramionach, wielkimi krokami przemierzał hol.

Burke Drummond, hrabia Ravensworth, usłyszał odgłosy zamieszania i natychmiast pojawił się w drzwiach biblioteki. Niezmiernie zaskoczył go widok Knighta trzymającego na rękach nieprzytomną kobietę.

- Witaj, Knight. Co się, u licha, dzieje? Wicehrabia nie marnował czasu. - Wyślij kogoś po lekarza, Burke. Pospiesz się, proszę. Jest ranna. Została postrzelona i nie najlepiej z nią.

Burke Drummond nawet nie mrugnął okiem. Wydał odpowiednie polecenia i poprowadził Knighta do biblioteki.

Arielle Drummond, hrabina Ravensworth, stała obok krzesła i spoglądała w stronę drzwi.

- Knight! Na miłość boską, co się stało? Kto to?

- Szybko, Arielle. Ma ranę postrzałową i jest przemoknięta do suchej nitki. Mogłabyś przynieść coś do ubrania?

- Także dla Knighta - dodał hrabia.

O nic nie pytając, Arielle wyszła z biblioteki. Knight ułożył Lily na długiej, wąskiej kanapie i przysunął ją jak najbliżej gorącego kominka. Zdjął płaszcz, a potem delikatnie wyswobodził Lily z peleryny. Jaka to piękna rzecz, pomyślał ni stąd, ni zowąd, odkładając futro na krzesło. Widniał w niej teraz osmolony otwór, a gronostaje zbryzgała krew.

Suknia, a także bandaż przemokły. Knight zabrał się do odpinania niezliczonych guziczków. - Wszystko ci wyjaśnię, Burke, jak tylko jej dopilnuję.

- Masz, wypij.

- Zaraz.

Burke Drummond patrzył, jak przyjaciel delikatnie opuszcza do pasa staniczek podartej sukni. Na widok prowizorycznego, przesiąkniętego krwią opatrunku aż zachnął się - musiała nieźle krwawić.

Rzeczywiście postrzelono ją i zdaniem Burke'a nie rokowała najlepiej. Usłyszał jak Knight bez końca powtarza szeptem: - Już dobrze, Lily. Przysięgam, już wszystko jest dobrze. Doktor wnet przybędzie.

Knight odwinął opatrunek, odrzucił szmatkę; głęboko wciągnął powietrze na widok wolno ciekącej krwi.

Poczuł dłoń przyjaciela na ramieniu.

- Doktor Brody wnet tu będzie, Knight. Nic jej się nie stanie. Wypij brandy. Na Boga, widać, że potrzebujesz czegoś mocniejszego.

Knight jednym haustem przełknął rozgrzewający płyn. - Dzięki, Burke. Ona jest ranna przeze mnie. Uratowała mi życie, zasłaniając mnie w chwili, gdy Boy wystrzelił. Ja...

- Oto Arielle z suchym ubraniem - przerwał mu Burke spokojnie. - Jak sobie życzysz, może przebrać damę.

- O nie. Ona należy do mnie, jak wiesz.

Burke nie miał o tym najmniejszego pojęcia. W jego oczach pojawiło się zaskoczenie, ale zaraz odwrócił się i skinął na żonę. Kim, u diabła, jest ta młoda kobieta? Nawet w stanie, w jakim się znajdowała, widać było jej urodę. Czyżby to ostatnia metresa Knighta? Ale co się stało?

Arielle i Knight rozebrali Lily z wilgotnej odzieży i owinęli szlafrokiem hrabiego. Arielle podała Knightowi złożoną w kostkę czystą chustkę i w milczeniu patrzyła, jak przyciska ją do ramienia rannej damy.

- Poprosiłam panią Pepperall o przyniesienie koców. O, są. Dziękuję, Burke. Przygotuję także sypialnię.

Nakrywszy Lily pod samą brodę grubymi kocami, Knight się wyprostował. - Tak się bałem - powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności i stanął przed ogniem, rozcierając dłonie. - I nagle ujrzałem strzałkę do Crawley. Nie zdołacie sobie wyobrazić mojej ulgi.

- Kim ona jest, Knight? - zapytał hrabia. Knight wolno odwrócił się do przyjaciela i powiedział z uśmiechem: - Moją żoną.

- Twoją...?

- Żoną - powtórzył Knight, z widoczną przyjemnością smakując słowo. - Mam wam mnóstwo do opowiedzenia. Nie wiecie jeszcze o wielu sprawach.

Arielle położyła mu dłoń na ramieniu. - Zrobisz to wkrótce, Knight, ale najpierw koniecznie przebierz się w coś ciepłego. Będzie potrzebowała cię zdrowego, a nie zakatarzonego.

- Zaczekam na doktora. Ubranie mam tylko gdzieś tam wilgotne.

Arielle ponownie spojrzała na nieprzytomną damę, żonę Knighta, i powiedziała: - Przyniosę gorącą herbatę i coś do jedzenia.

Doktor Michael Brody pojawił się jakieś piętnaście minut później. - Witaj, milordzie - zwrócił się do hrabiego, potem spojrzał na Knighta. - To lord Castlerosse, czyż nie?

- Tak. Szybko, doktorze, oto moja żona. Została postrzelona.

Jeżeli nawet lekarz uznał sytuację za dość niezwykłą, zwłaszcza we wspaniałej rezydencji miejscowego arystokraty, nie dał po sobie niczego poznać. Usiadł obok rannej i podniósł koc. Rozsunął szlafrok, usunął z rany chustkę.

Pochylił się nisko nad Lily, nasłuchiwał bicia jej serca, dokładnie zbadał otwór po kuli. - Nabój wciąż tkwi w ciele?

- Nie, wyszedł przez plecy.

- No to jej szanse rosną. Kiedy to się stało?

- Wczesnym rankiem. Potem rozszalała się śnieżycą i nie widziałem, dokąd jedziemy. Na szczęście trafiliśmy na stodołę i przeczekaliśmy w niej, dopóki śnieg nie ustał. Przez większość dnia moja żona była nieprzytomna.

- Jak na razie, nie ma gorączki. Tb wspaniały znak. I krwawienie prawie ustało.

Doktor Brody skinął na Knighta i razem unieśli ranną, by lekarz mógł zbadać jej plecy. Otwór wylotowy nie był tak czysty jak wlotowy. Nie obędzie się bez kilku szwów.

- Obmyję ranę, wetrę w nią nieco proszku Bacil-lus, milordzie, i założę na plecach kilka szwów. Potem zobaczymy.

- Dziękuję - odetchnął Knight. - Zaniosę ją na górę.

- Dobrze. - Doktor Brody zamilkł na chwilę, potem zapytał: - Jak to się stało? Rozbójnicy?

- Chyba można tak nazwać tych złoczyńców. Ona uratowała mi życie. Przyjęła kulę przeznaczoną dla mnie.

- Knight?

Natychmiast ukląkł przy kanapie. Palcami głaskał czoło żony, jej nos, wargi. - Teraz już wszystko będzie dobrze, Lily. Jesteś bezpieczna. Muszę zanieść cię na górę.

- A ty, nic ci nie jest? Przysięgasz?

- Przysięgam. - Gdy ją podniósł, jęknęła.

- Oddychaj wolno, Lily. Pamiętaj jak.

Burke Drummond i doktor Brody wymienili spojrzenia.

Gdy Knight niósł Lily szerokimi schodami Ravens-worth, czuł na plecach uważny wzrok przyjaciela. Zamierzał opowiedzieć hrabiemu całą historię, ale jeszcze nie teraz. Teraz Lily nie była do końca bezpieczna, zagrożenie jeszcze nie minęło.

- Tutaj, do komnaty diamentowej - poinstruował Burke, otwierając przed Knightem drzwi. Już rozpalono w kominku, przy łóżku stała pani Pepperall i odchyłała kołdrę.

Chora nie chciała rozstać się z mężem. Gdy położył ją na plecach na łóżku, przywarła do niego ze szlochem. - Nie odchodź, Knight, proszę! Obiecałeś mi podróż do Wenecji. I powiedziałeś: na zawsze. Nie odchodź!

- Nie zostawię cię - zapewnił ją uspokajającym tonem, miękkim niczym masło. - Ale teraz powinnaś zasnąć. Potrafisz, Lily?

- Nie odchodź.

Pochylił się i pocałował ją w usta. - Już wszystko jest dobrze, kochana. Nie wierzysz swojemu mężowi? Nie okłamałbym cię, przecież wiesz. Wszystko jest w porządku.

- Nie, nie okłamałbyś mnie - przyznała i aż zeszywniała, gdy przeszył ją wyjątkowo dotkliwy ból. Wyprężyła plecy, krzyknęła. Potem, równie nagle, jęknęła cicho i opadła na poduszki.

Doktor Brody odsunął Knighta od łóżka.

Rozdział 22

Doktor powoli się wyprostował. - Wszystko w porządku, milordzie. Straciła przytomność z bólu. Zamierzałem podać jej laudanum, ale jej własne ciało na jakiś czas uwolniło ją od cierpienia. Jak pan wie, sen jest najlepszym lekarstwem, i ona tego właśnie potrzebuje.

Knight wyglądał, jakby z ramion zdjęto mu cały świat. - Dzięki Bogu! - westchnął i usiadł na łóżku.

- Powinieneś zdjąć ubranie, Knight - zauważył Burke, podając przyjacielowi szlafrok. - Arielle, kochanie, zniknij na chwilę, dobrze?

- Oczywiście. - Klepnęła Knighta po ramieniu i wyszła z sypialni.

Jednak Knight nie poruszył się, dopóki doktor Brody nie skończył zakładać szwów na plecach Lily i nie zmienił jej opatrunku na ramieniu, i dopiero potem zrzucił z siebie jedną po drugiej części wilgotnej odzieży.

- Wie pan, milordzie - powiedział w zamyśleniu doktor Brody, spoglądając na Lily - jest coś, czego nie rozumiem. Jeżeli zasłoniła pana i przyjęła przeznaczoną dla pana kulę, to gdzie ów nabój się podział?

Knight uniósł głowę i ze zdziwieniem spojrzał na lekarza.

- To znaczy, czy rzeczywiście pańska żona stała przed panem, a może kula poszła bokiem?

Nagle, niespodziewany, ostry ból szarpnął Knigh-ta w okolicy żeber.

- Przedarła się przez nią - kontynuował doktor Brody. - Ale dokąd poszła? Zdaje się, mówił pan, że żona stała przed panem.

- Tak, przede mną. - Knight ściągnął koszulę i zdumiony spoglądał na krew na klatce piersiowej.

- A niech to - wycedził, powoli unosząc głowę i ze zdumieniem patrząc na Burke'a i lekarza. - Tajemnica rozwiązana, doktorze Brody. Wygląda na to, że jednak dostałem. Ale dziwne, niczego nie poczułem.

Wicehrabia jeszcze uśmiechnął się niepewnie i osunął się na ziemię.

Gdy doszedł do siebie, pochylała się nad nim zatroskana twarz Arielle. - Witaj, Knight.

- Lily?

Nawet przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że w malignie mylą mu się osoby. - Lily śpi, naprawdę, już nie jest nieprzytomna. Obudziła się na moment i doktor Brody zaaplikował jej laudanum. Znajdujesz się w komnacie obok niej. Jakże się cieszę, że znów jesteś z nami. I zapewniam cię, Lily czuje się dobrze. A co do ciebie, milordzie, doktor Brody wyjął ci kulę. Znalazł ją pod zębem. Nic nie strzaskała ani nie uszkodziła, nie doznałeś poważnego uszczerbku. Dzięki Bogu, utkwiała bardzo płytko, wnet się pozbierasz. - Arielle zamilkła, potem uniosła dłonią lewą rękę Knighta, obandażowaną w nadgarstku. - Nadgarstki masz obtarte i zakrwawione, dlatego je opatrzone. A oto Burke. Mogę się założyć, że jest gotów pytaniami doprowadzić cię do szaleństwa.

- Nic podobnego, mam tylko kilka - zaprotestował hrabia. - Zżera mnie ciekawość, Knight. Związano cię. I postrzelono. I jeszcze do tego jesteś żonaty! I przyznaję, to ostatnie szokuje najbardziej.

- Tak zgłodniałem, że mógłbym pochłonąć nawet twoją ciekawość, Burke. Jest jakaś szansa na kawałek wołowiny czy czegoś innego?

- Oczywiście, dopilnuję tego, ale tylko pod warunkiem, że wszystko mi opowiesz. Jak już zjesz. Hrabia dotrzymał słowa. Nie zadawał więcej pytań, tylko rozmawiał o pogodzie, dopóki Knight nie dokończył posiłku. - Napij się jeszcze brandy.

Knight, syty, westchnął głęboko i na chwilę przymknął oczy. - Tak, ożeniłem się. Nie, Lily nie spodziewa się dziecka, nie była moją kochanką, ale, nie uwierzysz, ale zostałem także ojcem. Mam troje dzieci, istne diablątka, i kocham je tak bardzo jak ich matkę.

- Mój Boże!

- Lily była narzeczoną mojego kuzyna Trisa Win-thropa. To jego dzieci. Nie widziałem go od pięciu lat. Wszystko na to wskazuje, że stał się mistrzem złodziejskiego fachu i w końcu popełnił idiotyczny błąd: oszukał swych dwóch kompanów, prawdziwych łotrów, którzy go zabili. A to jeszcze nie wszystko. Mianowicie Lily zabrała dzieci i wyjechała z Brukseli, mając zaledwie pięćdziesiąt funtów w kieszeni. Czy mówiłem ci o Brukseli?

Hrabiemu nasuwało się wiele pytań, ale w końcu, poznawszy fakty, poukładał je we właściwym porządku.

- Nie masz pojęcia, gdzie podziały się te przeklęte klejnoty? - zapytał przyjaciela.

- Nie. Rozkręciliśmy z Lily każdą zabawkę dzieci, sprawdziliśmy wszystkie ich rzeczy, i nic. Błyskotki Billy'ego muszą być w Brukseli. Po prostu nie ma innej możliwości.

- Błyskotki Billy'ego? - zdziwił się Burke. - Brzmi interesująco. Czy za tą nazwą kryje się jakaś historia?

I Knight, choć już tak zmęczony, że ledwo klecił zdania, opowiedział Burke'owi o Billym i jego narzeczonej Charlotte, która w końcu zerwała zaręczyny i odesłała klejnoty, a gdy te zdążyły do Brukseli, zostały przejęte przez Trisa i jego ludzi.

- Billy i Charlotte - powtórzył Burke. - Aha, to zapewne William i Charlotte. No tak, Bruksela.

Knight przyznałby przyjacielowi rację, gdyby wystarczyło mu na to energii, ale znużony, zapadł w głęboki sen.

- Naprawdę interesujące - dodał jeszcze hrabia i wstał. Spojrzał na przyjaciela, którego znał przez całe życie. - Rzeczywiście, niezwykle.

* * *

Lily powoli się budziła. Chciało jej się pić, język miała opuchnięty. Udało jej się powiedzieć: - Wody. Proszę, wody.

Niemal natychmiast poczuła przy wargach szklanke, czyjeś ramię uniosło jej głowę. Zimny płyn pociekł jej do ust, spłynął po brodzie. - Dziękuję.

Arielle uśmiechnęła się, spoglądając na gęste, ciemnoblonde włosy Lily, splecione i rozpostarte na poduszce; pomimo bladości dziewczyna była prześliczna, w idealnych rysach jej twarzy nie można było się dopatrzeć żadnej usterki. - Proszę bardzo, pewnie jesteś głodna?

Lily zastanowiła się chwilę i pomyślała, że zjadłaby nawet szklanke. - O tak, proszę!

- Coś cię boli?

Ból wciąż jeszcze krążył wokół niej, ale jakby gdzieś w oddali. - Już da się wytrzymać, w

każdym razie przez jakiś czas.

- Świetnie. Laudanum nadal działa.

Arielle nakarmiła swego gościa owsianką osłodzoną miodem i podsunęła szklanę z gęstym kakao. - Wnet znów będziesz tańczyć, Lily.

- Kim jesteś? Skąd znasz moje imię? Gdzie Knight?

- Ojej, tak wiele musisz się dowiedzieć. Przede wszystkim, twój mąż czuje się dobrze. Tak jak ty, przebywa w łóżku i dochodzi do siebie. Widzisz, moja droga, gdy przejęłaś tę przeznaczoną jemu kulę, przebiła cię na wylot i utkwiała mu pod zębem. A on niczego nie poczuł. Ale już jest dobrze. Doktor Brody powiedział, że znajdowała się bardzo płytko. Nie ma powodów do niepokoju. Zdaniem doktora Kni-ght niczego nie poczuł, gdyż zbyt bał się o ciebie. A co do mnie, nazywam się Arielle Drummond. Znajdujesz się w Ravensworth w bardzo pretensjonalnej sypialnej komnacie zwanej „diamentową”. Chyba na razie wystarczy ci rewelacji. Oczy same ci się zamykają. Zaśnij, Lily, i niczym się nie martw.

I Lily znów zapadła w sen. - Masz piękne włosy - usłyszała jeszcze własny głos. - Co za wyjątkowy kolor... Nie rudy, a także nie całkowicie złoty, podobne widziałam na obrazach starych mistrzów włoskich, ale nie jestem pewna...

Arielle uśmiechnęła się do niej i pogłaskała ją po ręce. - A ty, moja droga, dokonałaś cudu. Wyszłaś za Knighta Winthropa, gdy jeszcze tyle lat zabrakło mu, by mógł ogłosić światu swoje czterdzieste urodziny. Postaram się powstrzymać ciekawość, dopóki nie będziesz w stanie powiedzieć mi, jak ci się to udało.

- Cóż to, rozmawiasz sama ze sobą?

- Och, Burke! Mówiłam do Lily. Oczywiście, ona mnie nie słyszy, ale i tak...

Mąż uściskał ją, delikatnie pocałował w usta. - Zdaje się, nasi ranni czują się całkiem nieźle.

- Ta tutaj, owszem. Zjadła owsiankę i wypła kakao, mocno posłodzone, zgodnie z zaleceniem Michaela. Wiesz co, Burke - mówiła dalej - to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam.

Spojrzał w dół na śpiącą Lily. - No, ujdzie. Myślisz, że usidliła Knighta urodą? - Ledwie wypowiedział te słowa, już potrząsnął głową. - Chyba to nie to. Knight wprawdzie potrafi docenić piękno, ale Bóg jeden wie, ile już miał urodziwych kobiet. Żeby się żenił z tego powodu? Nie sądzę.

- A te dzieci? Czyż nie mówiłaś, że jest ich troje? - Hrabia przytaknął i Arielle pokręciła głową.

- Kompletnie nic nie pojmuję. Knight Winthrop z żoną i trójką dzieci! Pamiętasz go na weselu Lannie i Percy'ego? Wił się jak piskorz, by uniknąć konwersacji z tymi wszystkimi mamusiami, które wręcz połykały go wzrokiem, i przyrzekał, że się nie ożeni, dopóki nie przekroczy czterdziestki.

- Rzeczywiście. I ta dezaprobata, jaką okazywał Percy'emu i Lannie. Nazwał Percy'ego głupcem i durniem. - Burke uśmiechnął się pod nosem, potem wybuchnął śmiechem.

Kilka minut później hrabia już się nie śmiał. Wrzeszczał na swego lokaja, Joshuę. - Co on robi? To szaleństwo, na Boga, nie wolno mu!

Pospieszył do pokoju Knighta i gwałtownie zatrzymał się w progu. Wicehrabia właśnie się ubierał, wprawdzie powoli, z trudem, ale dawał sobie radę. Tuż nad pasem był owinięty szerokim bandażem, węższe widniały wokół nadgarstków. Powinien się ogolić, jego ubranie też należałoby doprowadzić do porządku, ale wyglądał na całkowicie zdeterminowanego.

- Dość tego, Knight!

Ten uniósł wzrok i potrząsnął głową. - O nie, Burke. Prawdopodobnie zabiłem Boya. Jeżeli tak, to Monk albo będzie przeszukiwał okolicę, chcąc dopaść mnie i Lily, albo wróci do Castle Rosse po

dzieci. Powiedziałem mu, że klejnoty znajdują się w stajni. Nie wie, gdzie szukać, ale spróbuje. I będzie usiłował porwać któreś z maluchów. Nie mogę ryzykować. Muszę się upewnić, że są bezpieczne.

- Jesteś całkowicie zdecydowany? Nie pozwolisz, bym ja je tu przywiózł?

- Nie wchodzi w rachubę, nie ty za nie odpowiadasz. Jeżeli dopilnujesz bezpieczeństwa Lily, to wyruszę po nie. Powinniśmy wrócić jutro wieczorem.

- Nie mogę na to pozwolić, Knight. Nie jesteś jeszcze zdolny do podróży.

Ten oświadczył przyjacielowi niezwykle zwięźle i wyraźnie, co może sobie uczynić ze swoją opinią.

Burke przez chwilę nie spuszczał z niego wzroku. Potem, gdy Knight właśnie naciągał spodnie, hrabia zrobił krok do przodu i rąbnął przyjaciela pięścią w szczękę. Wicehrabia padł na ziemię bez jednego jęku.

- Wybacz, stary - powiedział Drummond, pocierając obolałe knykcie - ale już wystarczy tej twojej szlachetności. Jeszcze trochę i zrobi mi się niedobrze.

- O Jezu!

Burke z uśmiechem odwrócił się do lokaja. - Jego lordowskiej mości nic nie będzie, Joshua. Po przebudzeniu z pewnością obrzuci mnie przekleństwami; będzie mu doskwierała szczęką, ale dojdzie do siebie. Słuchaj uważnie, Joshua. Oto, czego od ciebie oczekuję.

* * *

- Niesłychane, absolutnie nadzwyczajne. - Doktor Brody podniósł się i uśmiechnął do Lily. - Brak gorączki, rumieńce na policzkach, rany ładnie się goją. Gdybym mógł powiedzieć to samo o cierpliwości pani męża...

Lily pobladła. - Gdzie jest Knight? Co się z nim stało?

Arielle rzuciła Michaelowi Brody surowe spojrzenie. Pospiesznie mruknął: - Przepraszam - i szybko odsunął się od łóżka.

Arielle powiedziała uspokajająco: - Lily, twój mąż jest tylko... No cóż, jest tylko...

- Po pierwsze, wściekły, Arielle.

- Knight!

- Witaj, Lily. - Na oczach Arielle wyraz twarzy Knighta całkowicie się zmienił. Nagle znikło wszystko poza czułością i delikatnością. - Wyglądasz wspaniale. Zupełnie nie rozumiem, czemu mnie umieścili w innej sypialni. Przecież moje miejsce jest przy tobie. - Pocałował ją w czoło, ujął jej dłoń i spojrzał na Arielle. - A co do twojego małżonka, jak dopadnę piekielnika, zamierzam poznać go z moją pięścią...

- Bądź cicho, lordzie Winthrop. - Ku swemu absolutnemu zdumieniu Knight zamknął się w jednej chwili. Arielle Drummond, ta smukła, szczupła osóbka stała ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i sprawiała wrażenie, że ma ochotę wymierzyć mu kopniaka w czułe miejsce. - Ty także, Lily. Po prostu bądźcie cicho, oboje. I słuchajcie, co mam wam do powiedzenia. W stanie, w jakim się znajdował, Knight wybierał się do Castle Rosse po dzieci, Lily. Burke tylko na jakiś czas uczynił go niezdolnym do podróży...

- Zaczekał do chwili, kiedy zająłem się wciąganiem spodni i rąbnął mnie w szczękę.

- O tym właśnie mówię - ciągnęła Arielle cierpliwie. - A więc Burke przywiezie tu dzieci. Co więcej, wysłał wiadomość do policjanta z Bow Street, który kiedyś dla nas pracował, do niejakiego Olliego Trun-ka. Razem z dziećmi zostaniecie pod bezpiecznym dachem Ravensworth, dopóki nie

złapią tego Mon-ka. Czy ktoś ma jakieś pytania?

- Ja, chciałbym... - rozległ się nieśmiały głos.

- Tak, co takiego? - zapytała ostrym tonem Ariel-le, odwróciwszy się do doktora Brody'ego.

- Czy mógłbym upewnić się co do stanu żeber wicehrabiego?

Lily wybuchnęła śmiechem i śmiała się aż do łez. - Och, Knight, zostałeś obezwładniony gładko i skutecznie. I mnie przyda się ta lekcja.

Nie odpowiedział, tylko skinął doktorowi głową i usiadł na łóżku obok Lily. - W porządku, proszę mnie zbadać.

- Jesteś nieznośnym mężczyzną.

- Twoim mężem. Nie możesz mnie wyrzucić. Zamierzam pozostać tu i pozwolę, żeby Arielle matkowała nam obojgu. Gdy tylko przybędą dzieci, we dworze zapanuje straszliwy chaos i pożałujesz swej gościnności, hrabino. Te diabła rozniosą ci dom do szczytu. Żeby nie zwariować, będziesz musiała sobie zatkać czymś uszy. I wiesz, jak już będziesz bliska wystrzelania ich co do jednego, uśmiechną się do ciebie lub popatrzą wzrokiem, który stopiłby nawet kamień, i będziesz zgubiona, a one, znowu górą, zaczną wszystko od nowa. Służący już nie tobie będą okazywać lojalność, tylko im. Zobaczysz.

Arielle w milczeniu zastanawiała się nad tym, co usłyszała. I to Knight mówi podobne rzeczy? O dzieciach?

- Zamierzam opowiedzieć im o wszystkich tych prezentach, jakie przywieziemy im z Wenecji, Knight - włączyła się Lily.

- Myślę, że... Oj, to boli, do diabła!

- Proszę się nie ruszać, milordzie - poinstruował go doktor Brody i dalej naciskał ciało w okolicy żeber.

- Teraz przynajmniej mam was oboje w jednym miejscu. Jak zaczniecie sprawiać kłopoty, po prostu zamknę drzwi na klucz - zapowiedziała Arielle, a Knight zaklął pod nosem.

- Jak już skończysz, Michaelu, może zostawimy ich, by odpoczęli, jak myślisz? Wicehrabina jest bardzo rozsądną osobą. Bez wątpienia będą odpoczywać.

Gdy Knight i Lily wreszcie zostali sami, wicehrabia uniósł się na łokciu i spojrzał na żonę z góry. - Udało się nam.

- To prawda. Ale wciąż trudno mi pojąć, jak mogłeś nie poczuć kuli, którą dostałeś.

- Chyba lekarz ma rację. Tak strasznie się bałem o ciebie, że ciało jakby samo postanowiło nie obciążać bardziej mózgu. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w usta, brodę, nos. - Spójrz na dwór, Lily. Znowu sypie. Niech to! Jak Burke znieśie podróż w taką pogodę? A dzieci?

- Hrabia jest człowiekiem pomysłowym. Sam mi tak mówiłeś. Nie, nie irytuj się na nowo. Połóż się, trzymaj mnie za rękę i opowiedz mi o tym agencie z Bow Street.

- Poznałem Olliego Trunka latem zeszłego roku - powiedział Knight, ze wzrokiem utkwionym w nagich cherubinkach, uśmiechających się do nich ze sztukaterii sufitu. - Arielle chyba o nim zapomniała. W każdym razie jest wyśmienity, zażarty jak bulterier. On pomoże. Może nawet dotrze do sedna tej historii Williama i Charlotte.

- Tak bardzo cię kocham - powiedziała całkowicie przytomnie, a w następnej chwili już spała głęboko, oddychała równo i spokojnie.

Knight poczuł się, jakby znów dostał kulkę.

Serce mu załomotało.

Ta niezwykła kobieta go kocha? Dobry Boże, tak sprytnie zmusił ją do ślubu; wziął ją, jakby miał do niej naturalne prawo, jako jej mąż, nie zwracając uwagi na to, czego ona pragnie; naraził ją na śmiertelne niebezpieczeństwo - a ona go kocha. A niech to wszyscy diabli, był wręcz niesamowicie szczęśliwy! Uśmiechnął się szeroko. Chciało mu się śpiewać i tańczyć. Mrugnął do cherubinków nad głową.

Chyba Burke'a nie zaskoczyło, że on także kocha swą żonę. Miłość przyszła nocą, po cichu, niczym złodziej. Jego ojcu nie było to dane. A więc jedna generacja nie zaznała tego uczucia. Musi się postarać, by już nie ominęło żadnego pokolenia jego rodziny. - A więc dotyczy to nas obojga - powiedział do śpiącej Lily. - Ale założę się, że ja kocham cię bardziej., W końcu jestem o siedem lat starszy. Mam więcej doświadczenia, więcej rozeznania co do spraw... powiązanych z tą dziedziną. O tak, nałożę się, że nawet w przybliżeniu nie czujesz tego co ja, Lily Winthrop. Ale pozwolę ci nad tym popracować. Zrobimy test za jakieś dziesięć lat i zobaczymy. Ale ja wciąż będę górą. - Uśmiechając się niczym wiejski głupek, pocałował żonę w lewe ucho, potem odwrócił się na plecy, wciąż idiotycznie uśmiechnięty, i po chwili już chrapał.

Gdy Lily obudziła się następnego ranka, Knighta nie było w łóżku. Zawołała go po imieniu. Nie było odpowiedzi. Nie chciała alarmować swej gospodyni, ale niepokój w końcu kazał jej pociągnąć w końcu za sznur dzwonka.

Jakieś dziesięć minut później pojawiła się Arielle. Nie wyglądała na zbyt zadowoloną. W istocie miała wściekłą minę. - Twój mąż - zaczęła powoli, jakby z całej siły powstrzymując furię - wyjechał dwie godziny temu, niemal o świcie. Zostawił dla ciebie list. - Podała Lily kartkę.

Lily.

Jadę do Castle Rosse. Wnet powrócę wraz z dziećmi. Nie martw się i nie rób niczego nierozsądnego.

Knight

Lily zacisnęła pięści. Zwinęła papier w kulkę i rzuciła przed siebie na drugą stronę pokoju, i natychmiast jęknęła z bólu, przeszywającego jej ramię. - Zabiję go. Niech go szlag, Arielle. Jest ranny.

- Wiem - przyznała hrabina i pożałowała, że zdradziła się przed Lily ze swym gniewem. Ta pacjentka błyskawicznie wpadała w depresję. - Nie martw się, Lily, nic mu nie będzie. Według Burke'a Knight potrafi o siebie zadbać. Jest urodzonym zwycięzcą; udało mu się pewnego lata przebyć góry w Portugalii w takim upale, że skały niemal topniały, i dotrzeć do morza, choć deptało mu po piętach dwóch francuskich szpiegów. Rana nie jest poważna, Lily. Nic mu się nie stanie.

- Gdy wróci, będzie musiał jeszcze przeżyć mój gniew. Akurat w tej chwili chyba jestem nawet gorsza i silniejsza od tamtych dwóch Francuzów.

- To nie byli Francuzi, ale Francuzki.

- Aaaaa!

* * *

Przynajmniej wreszcie śnieg przestał padać. Dzięki Ci, Boże, chociaż za tyle! Teraz już mógł prowadzić konia stałym galopem. Knight znał skrót prowadzący do Castle Rosse od północnego wschodu. Burke o nim nie wiedział. Będzie zdumiony, gdy spotkają się jeszcze w drodze.

Ból żebra trochę mu doskwierał, cały niemal zeszywniał z zimna. Gdy w Ravensworth, dręczony niepokojem, leżał obok swej pięknej żony, w końcu uznał, że po prostu nie może pozwolić, by Burke pojechał sam i narażał się na całkiem prawdopodobne niebezpieczeństwo. Hrabia nie zdawał sobie

sprawy, co może spotkać go ze strony tego łotra Monka.

Zmienił konie na trzech kolejnych stacjach pocztowych. W Netherfield gospodarz zajazdu „Pod Dziką Gęsią” nie miał mu do zaoferowania nic poza przygarbionym wałachem, który - jak się okazało - posiadał więcej zapału i wytrzymałości od niejednego konia wyścigowego. Podróż do Castle Rosse trwała zaledwie sześć godzin.

Ani śladu Monka.

Było wiele zamieszania, gdy Knight wszedł przez wielkie dębowe wrota do wyłożonego włoskim marmurem holu w Castle Rosse.

Nie zdążył przed przyjacielem, ale Burke był przecież wyjątkowo doświadczonym żołnierzem i zwiadowcą.

- Tatusiu! - Laura Beth potknęła się na schodach i spadła z trzech stopni, lądując na podłodze u stóp Knighta. Podniósł ją, podrzucił w powietrze i tak mocno przytulił do piersi, że aż zapiszczała.

Burke Drummond wyszedł z salonu i na widok tego powitania stanął jak wryty.

Theo wysunął głowę zza jego pleców. - Och, kuzyn Knight jest tutaj. Zdaje się, mówił pan, że przebywa w Ravensworth, sir. O Boże, nie wygląda najlepiej. A Laura Beth zaraz udusi go na śmierć.

Chłopiec biegiem minął Burke'a i wpadł w natychmiast uwolnione ramię Knighta. - Och Theo, Theo, tęskniłem za tobą jak diabli.

- Jesteś ranny. Hrabia mówi, że ten okropny człowiek cię postrzelił. Czy to ten sam, który próbował porwać Sama w Londynie?

- Tak, to on. Nie jestem poważnie ranny, Theo. Nie trzęś się tak. Laura Beth, dość tych pocałunków w ucho. Jest już całkiem zaślinione. O, i Sam się pokazał. Chodź no tu, chłopcze i powiedz, że zachowywałeś się niczym święty.

- Gdzie mama?

- Hrabia wam nie powiedział? - Knight ostrożnie przytulił Sama, którego trzymał w ramionach lokaj Charlie. Ujął w dłonie twarzyczkę chłopca. - Mamusi nic się nie stało. Leży w łóżku, bo jest strasznie leniwa. Pogania służbę w Ravensworth i kłóci się ze wszystkimi, którzy mają inne zdanie niż ona. Ale w sumie czuje się świetnie.

Sam zachichotał, Theo odetchnął z ulgą.

Knight uniósł wzrok i spojrzał wprost na Burke'a.

- Nie mogłem pozwolić, byś ty miał tylko zabawę.

- Ano, widzę.- Mimo to wyglądasz nietęgo.

- Tak milordzie, zaiste okropnie - włączył się Thrombin.

- O tak, rzeczywiście - zawtórował im Charlie. Knight spojrzał po twarzach służących, do tej pory zachowujących milczenie. Pani Crumpe stała z rękami założonymi na pokaznym biuście. Nawet Mimms zamarała w drzwiach, przytrzymując półmisek ze smakołykami. Jednak prawdziwie przejęty był

Thrombin. Spoglądał na wicehrabiego wielce krytycznym wzrokiem. A wargi zacisnął do tego stopnia, że niemal nie było ich widać.

- Jego lordowska mość - relacjonował - oświadczył nam jakoby przybył po dzieci i zabierze je do Ravensworth. Zapewnił nas także, że z panem wszystko dobrze i, jeśli pan pozwoli, milordzie, dodał także, że bezpiecznie przebywa pan w łóżku.

- Już dobrze, Thrombin, teraz ty mnie posłuchaj, słuchajcie wszyscy. Laura Beth, przestań żuć

moje ucho. Sam, nie kręć się, albo Charlie upuści cię, na co zasługujesz. Theo, przestań załamywać dłonie niczym żałobnicy w greckim chórze. Pani Crumpe, będziemy w salonie. Umieram z głodu. Proszę przynieść coś do jedzenia, co tylko uzna pani za stosowne. Chodź, Burke. Mamy wiele spraw do omówienia.

- Tatusiu! - Laura Beth ścisnęła go za szyję. - Czy przywiozłeś prezent dla carycy Katarzyny?

- Tak, siebie.

Małej niezbyt spodobała się odpowiedź, ale uwagę jej zwróciło coś innego. - Twoja buzia drapie - zauważyła.

- Owszem, i także jestem brudny jak koza zimą. Nie, Betty - zwrócił się do nowej piastunki Laury Beth - przez chwilę zatrzymam smarkatą. Ale pod jednym warunkiem. Jeżeli będziesz grzeczna, drobinko.

- Dobrze, tatusiu - zapewniła Laura Beth. Aż jęknął, poznając ten słodki, niezwykle niewinny uśmiech.

Minęło pół godziny, zanim Burke i Knight zostali sami; dzieci marudziły i narzekały, ale w końcu poszły spać. W kominku wesoło szumiał ogień, a Burke wyjął butelkę brandy.

- Twoje dzieci są cudowne.

Knight uśmiechnął się sennie. - To prawda, te małe demony są faktycznie wyjątkowe. A caryca Katarzyna to lalka Laury Beth.

- Dziękuję. Cały czas mnie to dręczyło.

- Ani śladu Monka?

- Nie, zupełnie nic. Jednak przybyłem zaledwie trzy godziny przed tobą. W każdym razie uczuliłem całą służbę, zwłaszcza stajennych. Są przygotowani, Knight.

Ten z aprobatą skinął głową. - A teraz musimy wymyślić pułapkę na naszego łotra.

- Masz jakiś pomysł?

Knight pochylił się w stronę kominka i rozcierał dłonie nad wysoko strzelającymi płomieniami. - O tak, mam. - Zmrużył oczy. - I przynęta powinna natychmiast zwabić tu tego drania Monka.

Rozdział 23

Następnego ranka Arielle wraz z George'em Curlew i doktorem Brody przyszli z wizytą do sypialni Lily na filiżankę herbaty.

- Pomyślałam, że chętnie zobaczyłabyś jeszcze czyjaś twarz, oprócz mojej - wyjaśniła hrabina.

Lily skinęła głową, napiła się herbaty. - Jakie to dobre - zachwycła się.

- Może odrobinę laudanum? - zaproponował doktor Brody.

Potrząsnęła głową. Ból wciąż pulsował, głęboko i uporczywie, ale nie chciała patrzeć na swych gości przez mgłę. - Jeszcze nie, dziękuję.

Arielle bawiła towarzystwo lekką rozmową, nie spuszczać oka z Lily, która wydała jej się zbyt cicha i spokojna. Mimo że chora, wciąż nie opuszczała łóżka, hrabina wyszczotkowała jej włosy, a ramiona okryła pięknym, jasnobłękitnym peniuarem. Zauważyła, że George Curlew i Michael Brody patrzą na Lily, jakby zobaczyli ją po raz pierwszy, jakby dostrzegli w niej kobietę, którą teraz wręcz zarzucali komplementami. Arielle uśmiechnęła się pod nosem. Gdyby to na nią tak patrzyli przed rokiem, pewnie uciekłyby przerażona.

A Lily była piękna, co Arielle zauważyła bez odrobiny zazdrości. Miała coś więcej poza idealną regularnością rysów; coś jeszcze, coś promieniującego, łagodnego, cudownego. Arielle podejrzewała, że za to coś w dużej części był odpowiedzialny Knight Winthrop. Spojrzała na Lily ciekawa, jak ona radzi sobie z obfitością męskiego podziwu.

Lily nawet niczego nie zauważyła. Arielle obawiała się, że zranione ramię boli bardziej, niż chora daje to po sobie poznać, ale ponieważ doktor nie zabierał w tej sprawie głosu, ona też się nie wtrącała. Gdy Lily pokruszyła już drugą bułeczkę, Arielle zwróciła się do niej z lekkim uśmiechem: - Pewnie myślisz teraz, Lily, o mężu i się zamartwiasz. Ale przecież wiesz, że on i Burke służyli w wojsku, byli oficerami. Obaj są bardzo pomysłowi, znają wiele forteli...

- To idioci.

- No wiesz, to mężczyźni, więc chyba masz rację.

- Zamorduję Knighta.

- Zapewne ucieszysz się, że się o niego martwiłaś. Ale już przestań się zadreć. To niewskazane przy rekonwalescencji.

- Zdaje się wspomniałaś coś o dwóch Francuzkach?

- Były szpiegami, Lily, francuskimi szpiegami. Nie do końca kobietami, lecz wrogami.

- Ha, ha. Jak długo przebywał z nimi sam w tych gorących, wysuszonych górach Portugalii?

- Niezbyt długo. Nie więcej niż dwa, trzy tygodnie. Nie pamiętam. To nieważne. Miał zadanie, niezwykle trudne, ale tylko zadanie.

- Sądzę - włączył się George Curlew, aż paląc się do dostarczenia informacji tym czarującym istotom - że lord Castlerosse przebywał sam z owymi szpiegami tylko przez tydzień. Potem, milady -

zwrócił się do Arielle - zdaje się dołączył do niego hrabia i razem przyprowadzili je do angielskiego dowództwa w pobliżu Oporto.

Arielle odwróciła się do nieszczęsnego zarządcy. - Chce mi pan powiedzieć, że Burke też eskortował te nędznicę?

- Daj spokój, Arielle - rzuciła Lily - one były szpiegami, wrogami. To tylko jeszcze jedno zadanie, niezwykle trudne, ale tylko zadanie.

- Zamorduję go. - W tym momencie barwa włosów Arielle zmieniła się we wręcz ognistą. - Jeszcze herbaty, Michaelu?

Lily roześmiała się na widok przerażonej miny lekarza, i natychmiast jęknęła, gdy ból przeszył jej ramię.

Doktor od razu podniósł się i podszedł do niej. - Wnet będę się żegnał, milady. Jedna z tutejszych mieszanek właśnie rodzi i muszę pomóc. Czy mógłbym panią zbadać?

Jak dziwnie zabrzmiał ten tytuł. Lily skinęła głową. Arielle i pan Curlew wyszli z sypialni. Doktor Brody sprawnie odsłonił ranę. - Bardzo boli?

- Tak, ale przez większość czasu potrafię opanować ból. Tylko jak się roześmieję, zaraz płacę wysoką cenę.

Doktor pomógł jej położyć się na boku i zsunął stanik jej koszuli, by obejrzeć plecy.

Wyprostował się wreszcie i uśmiechnął się do chorej. - Jesteś, pani, najbardziej nadzwyczajną pacjentką, jaką kiedykolwiek miałem. Ani śladu gorączki czy objawów zakażenia krwi, rana zaróżowiła się i dobrze się goi. Jednak musi pani, milady, dalej odpoczywać i nie robić nic wymagającego wysiłku, dopóki na to nie pozwolę. Przez wysiłek rozumiem wszystko poza podniesieniem filiżanki z herbatą. Jeżeli dalej tak szybko będzie pani dochodzić do siebie, usunę szwy z pleców w przyszły wtorek lub w środę. Potem... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Pojadę na bal - powiedziała Lily. - A potem wyruszę do Wenecji. To znaczy - dodała mrużąc oczy - jak już zamorduję męża. - Ale wnet znów jej myśli popłynęły do osoby Monka i zastanawiała się, czy Theo, Sam i Laura Beth są bezpieczni; próbowała przekonać samą siebie, że Burke i Knight potrafią zapobiec zagrożeniu.

Powinni wrócić już dzisiaj wieczorem.

Strasznie ich jej brakowało. Ciekawe, jak powitały przybranego ojca.

Ból ramienia wzmógł się późnym przedpołudniem, więc Lily chętnie zażyła dawkę laudanum. Przespała resztę dnia. Arielle zjadła z nią obiad w sypialni; obie damy cały czas wyteżały słuch, czy znajome głosy nie zabrzmiały pod bramą Ravensworth. Niczego nie usłyszały.

Nikt też nie pojawił się następnego dnia.

- Przestań się wiercić, Arielle - Lily w końcu ofuknęła nową przyjaciółkę, która tam i z powrotem przemierzała sypialnię, a co kilka minut rozsuwała ciężkie zasłony, by wyrzeć na zewnątrz.

- Nie podoba mi się to. Ten nieszczęsny rozpustnik może mieć kłopoty.

- One były szpiegami, Arielle, wrogami - zachichotała Lily.

- Znowu pada śnieg - zauważyła Arielle. - Jak oni mogą podróżować w taką pogodę? Czy nie mówiłaś, że Sam ma zwicniętą nogę? Jak oni sobie poradzili?

Lily sama nie wiedziała. Od rozmyślań głowa rozboleła ją niemal równie mocno jak ramię.

Późnym popołudniem zdrzemnęła się. Nie miała miłych snów. Monk wciąż ścigał ją i Knighta wąskimi kanałami wypełnionymi stęchlą wodą. Płynęli długimi, wąskimi łodziami, które Knight

nazwał gondolami. Nagle ich łódź, uderzona wiosłem Monka, przewróciła się i Lily poczuła czarną wodę zamykającą się nad jej głową i usłyszała przeraźliwy krzyk Knigh-ta. Jęknęła i gwałtownie się przebudziła.

Nie była sama. Znow spoglądała w bardzo rzeczywistą i bardzo groźną twarz Monka. Olbrzymia dłoń przyciskała jej usta. Zanim zdążyła zareagować, wepchnął jej w usta brudną chustę, potem szybko zawiązał drugą z wierzchu i umocował ciasnym węzłem z tyłu głowy.

Nie powinien tu być, pomyślała tępo. Miał szukać klejnotów w Castle Rosse.

Wyglądał na nad wyraz z siebie zadowolonego. - A więc żyjesz i wreszcie cię mam. Dlaczego leżysz włożku?

Lily nie mogła wydobyć słowa i tylko patrzyła na niego.

Monk potrząsnął głową, złapał ją za rękę i postawił na nogi. Stłumiła bolesny okrzyk. Drab skrzywił się i rozdarł stanik jej koszuli, nie zwracając uwagi na odpadające guziki. Zobaczył bandaż.

- A więc kula Boya trafiła w gniazdko, choć nie to właściwe. Nie miałem pewności. - Na ile ta rana jest poważna?

Tylko zdołała potrząsnąć głową. Tym razem Monk wyciągnął jej knebel z ust. - Moje ramię - szepnęła. - Boli, proszę!

Puścił głośną i długą wiązankę. - Na razie nie zamierzam cię zabijać - oświadczył. - Niech to szlag, jego miłość nie da mi błyskotek za trupa. O niech to! Jeżeli cię stąd wyciągnę, wykrwawisz się na śmierć, choćby mnie na złość, czyż nie?

Pomyślała, że pewnie tym by się to skończyło, ale nie wyjaśniła, że złośliwość nie miałyby nic wspólnego z jej prawdopodobnym zejściem z tego świata. Ramię pulsowało dotkliwie i z bólu aż przymknęła oczy. Poleciały następne przekleństwa.

- Cóż, nie mam wyboru.

Przerzucił ją przez ramię, nie zwracając sobie głowy pętaniem jej rąk i nóg, wiedział bowiem, że jest zbyt osłabiona, by z nim walczyć. - Nie ruszaj się, to nie będziesz krwawić, przynajmniej mam taką nadzieję. - Znow zaklął. - Na dworze jest zimno, pada śnieg i w ogóle. - Pochwycił z łóżka dwa koce, narzucił na Lily i ruszył ku szerokim wykuszowym oknom, wychodzącym na wschodni trawnik.

Już prawie wydostał się na zewnątrz, gdy nagle drogę zagroził mu nieznany mężczyzna o małych rysach twarzy. Człowiek wyglądał na kompletnie zaskoczonego i wielce zmartwionego spotkaniem.

I wrzasnął Monkowi prosto w twarz: - Mam cię, stary łotrze! Puszczaj damę, bym mógł dać ci to, co ci się należy!

Monk odskoczył od okna. - Kim ty, u diabła, jesteś?

- Nazywam się Ollie Trunk i reprezentuję prawo. Zabieram cię do Londynu, aresztuję za morderstwo. Uważaj no, kładź milady ostrożnie!

- Spotkamy się w piekle! - wrzasnął Monk i rąbnął przybysza pięścią w twarz. Lily usłyszała ryk, jej niedoszły zbawca zatoczył się i nieprzytomny padł na ziemię. Na zewnątrz słychać było kroki biegnących ludzi i ich zaniepokojone głosy.

Monk przez chwilę stał przy oknie niezdecydowany. Wyrzwał na zewnątrz i zobaczył sześciu mężczyzn krążących wokół domu, a także dostrzegł, że mikrus o małej twarzy podnosi się z ziemi i otrzepuje. - Nie rozumiem - powiedział raczej do siebie niż do Lily. Najwyraźniej dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż trzyma ją na ramieniu. Zaniósł ją z powrotem do łóżka i położył,

następnie bez zastanowienia naciągnął na nią przykrycie. Ramię bolało ją okrutnie.

- Przecież wszyscy mieli być w Castle Rosse: hrabia, co jest właścicielem tej rudery, twój mąż, dzieciaki, Bóg wie, kto jeszcze, wszyscy. Dlatego się tu zjawiłem. I powiedz mi, w jaki sposób ten agent tak szybko się pojawił? Coś tu mi kompletnie nie pasuje.

Lily było wszystko jedno. Po prostu miała ochotę umrzeć.

- Hej, co jest? Ramię? - Pochylił się i potrząsnął nią. Jęknęła. - Tylko mi nie zemdlej, jesteś moją zakładniczką. Och, niech to szlag!

Jednak zemdląca. Nie miała pojęcia, jak długo pozostawała nieprzytomna, zdawało jej się, że bardzo krótko. Usłyszała odgłosy uderzeń. Jakby rozbrzmiewały gdzieś daleko, potem coraz intensywniej, wreszcie rozległ się cudowny głos Knighta.

- Otwórz drzwi, Monk. Jeżeli skrzywdzisz moją żonę, pokroję cię na kawałeczki.

- Co tu robisz? - Monk podniósł głos, niemal wył. - Mam twoją żonę! Przestań bajdurzyć, bo już ja jej wygodzę!

Za drzwiami nastąpiła cicha wymiana zdań, potem głos zabrał Burke Drummond: - Słuchaj, Monk. Jestem hrabią Ravensworth. Puścisz milady, a ja dam ci klejnoty.

- Błyskotki Billy'ego, masz je?

- Nie akurat te, ale rodowe klejnoty, które od setek lat są w posiadaniu mej rodziny. Albo pieniądze. Cokolwiek sobie zażyczysz. I odjedziesz stąd wolny.

- O nie, milordzie, nie możesz tego uczynić. Ten typ to kryminalista, którego muszę zabrać do Londynu. - Lily rozpoznała głos mężczyzny o twarzy małpy.

- Zamknij się, przeklęty idioto! - W korytarzu przed drzwiami sypialni Knight złapał policjanta za kołnierz koszuli i uniósł w górę. - Ten człowiek to morderca i może zamordować moją żonę.

Ollie zamilkł i zaraz zaczął się tłumaczyć: - Nigdy jeszcze nie znajdowałem się w podobnej sytuacji - powiedział rozprostowując kołnierz. - Nie chcę śmierci tej damy, ale nie możemy pozwolić, by Monk odszedł stąd jako wolny człowiek.

- Nie mamy takiej intencji, Ollie - powiedział Burke i gestem nakazał mu milczenie.

Knight przycisnął twarz do drzwi sypialni. - Lily! - zawołał.

Monk pochylił się, wyciągnął pistolet. Odwrócił się do Lily: - Nie próbuj żadnych sztuczek, to się dogadamy. Możesz mu odpowiedzieć, to już bez znaczenia.

- Knight? Nic mi nie jest, naprawdę - ale głos jej się załamał. Dobry Boże, modliła się w duchu, nie pozwól, by popełnił jakieś głupstwo.

- Chcę kamyczków - wrzasnął Monk. - Żądam tego, co moje i Boya.

Knight głęboko zaczerpnął powietrza. Pozostała jedynie prawda, pomyślał. Dlaczego wreszcie mu nie powiedzieć? - Słuchaj no, Monk. Nie kłamałem. Nie mogliśmy znaleźć kosztowności. Najwyraźniej nigdy nie znalazły się w Anglii. Nie będę cię nabierał, gdy masz moją żonę>.

O Boże! Teraz ją zabije. Lily poczuła pustkę w głowie. Ramię pulsowało bólem, którego nade wszystko pragnęła się pozbyć, ale nic nie mogła zrobić, tylko leżeć i pozwalać, by ją pochłaniał.

Nagle Monk pochylił się nad nią. - Jesteś strasznie blada, ale to nic. Jeszcze mi tu nie umieraj. Czy on mówi prawdę? Nie znaleźliście kamyczków? Powiesz mi, albo wymyślę sposób na ukatrupienie jego lor-dowskiej mości, i to na dobre.

- Proszę, błagam, nie udało nam się ich znaleźć. To prawda.

- Nie było ich w stajniach w Castle Rosse? Lily bez słowa potrząsnęła głową.

- Tak też podejrzewałem. Dlatego przybyłem tu i nie pojechałem za twoim mężem do Castle

Rosse. Zresztą wywahałem, że dotarliście do Ravensworth Abbey, a że on odjechał sam, więc musiałaś tu pozostać. Ty jesteś najważniejsza, wiedziałem o tym. Twój mąż zrobiłby wszystko dla twego bezpieczeństwa. Ale te cholerne błyskotki. Przeklęty Tris. Przeklęty zdrajca. Gdyby tylko Boy nie dał mu nożem w plecy. Gdyby ten policjant wtedy nie nadszedł. - Monk przeklinał, wściekał się i rozglądał po przestronnej sypialni. Czego szukał, nie domyślała się. A więc przyjechał tu za nimi i wypatrzył wyjazd Burke'a, a następnie Knighta.

Zapanowała całkowita cisza. Niezwykła. Lily zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że ma dość siły, by obezwładnić Monka. Zrobić cokolwiek, by zakończyć ten koszmar raz na dobre. Poczula lepką wilgoć i zorientowała się, że z rany na ramieniu znów sączy się krew. Ciekawe, czy umrze. Nie chciała umierać, nie teraz, nie gdy jest taka szczęśliwa.

Gdzie są dzieci? O Boże, co Knight zrobił z dziećmi? Muszą być bezpieczne. Po prostu muszą.

Gdyby umarła, przynajmniej pozostałby im Knight. Poczula łzy palące jej oczy. Nie chciała odchodzić. Nie chciała opuszczać Knighta ani dzieci. Poczula w ustach słoną łzę.

- Monk. Głos Knighta.

- Pozwól mi wejść. Muszę się upewnić, że mojej żonie nic się nie stało. Możesz zatrzymać mnie jako zakładnika, ale ją wypuść.

- Wykluczone!

Lily nawet nie wiedziała, skąd wzięła siły, by wykrzyknąć to jedno słowo. Leżała na plecach, ciężko oddychając, czekała i modliła się, by Monk nie pozwolił Knightowi wejść do pokoju. - Nie - powiedziała jeszcze szeptem.

- W porządku - zawołał Monk. - Ale bez sztuczek albo twoja mała natychmiast spotka się ze stwórcą.

- Nie - zaprotestowała ponownie Lily, tak cicho, że sama ledwie się usłyszała. Patrzyła, jak Monk przekręca klucz w zamku i powoli otwiera drzwi. Do środka wszedł Knight. Boże, jak dobrze wyglądał, pełen życia, wigoru, siły. Monk wycelował do niego z pistoletu i kazał mu podnieść ręce. Ob-szukał go, potem wyprostował się i skinął głową. - Jesteś czysty.

Knight spojrział na człowieka, który od miesiąca był jego prześladowcą. Jezu, jak bardzo pragnął zabić drania. Natychmiast podszedł do łóżka. - Kochanie - powiedział łagodnie i usiadł obok niej. - Wszystko będzie dobrze, Lily. Tylko wytrzymaj, najdroższa. Wytrzymaj, proszę. - Pocałował ją w policzek. - Zaufaj mi, Lily - powiedział ciszej.

- Tak - szepnęła w odpowiedzi. - Jesteś cudowny, Knight. - Posiał jej uśmiech i zobaczyła coś jeszcze w tych jego złocistych, lisich oczach: determinację. - Proszę, bądź ostrożny. - Skinął głową, wyprostował się i powoli się podniósł.

Monk stał na środku pokoju niczym górujący nad wszystkim olbrzym, z rozstawionymi nogami, z pistoletem w prawej dłoni. - Unieszczęśliwiłeś nas już zbyt długo, Monk - powiedział Knight. - Dam ci tyle pieniędzy, ile dostałbyś za tamte klejnoty. Chcę, byś zniknął. Natychmiast.

- Ją zabieram ze sobą.

- O nie. Jest o wiele za słaba. Tylko by ci przeszkadzała. Gdybyś ją zabrał, podążyłbym za tobą. I choćby miało to trwać wieki, wytropiłbym cię i zabił. Chyba wolisz żyć i nacieszyć się swym łupem.

- Ty zabiłeś Boya, ja zabiję ją, wyrównamy rachunki.

- Odejdź, Monk. Zostaw nas w spokoju. Pieniądzy wystarczy ci do końca życia.

Nagle, nieoczekiwanie, od strony okna rozległ się straszny hałas. Drummond, obwiązany liną w pasie, wskoczył do pokoju, przetoczył się i zaraz poderwał na nogi, z pistoletem gotowym do strzału.

Lily usłyszała męski głos z zewnątrz: - Jest bezpieczny! Opuściłem go i udało się!

Burke zignorował te odgłosy, pistolet szczęknął mu w dłoni i już by wystrzelił, ale Monk także celował z broni, i to nie w Burke'a ani w Knighta, lecz w Lily. - Tylko spróbuj! - wrzasnął. - No już, zrób to, a pochowamy tę małą już teraz.

Burke splunął i rzucił głosem przepelnionym pogardą: - Twoja matka, ta kurwa przesiąknięta dżinem, powinna była udusić cię przy narodzinach.

Ogarnięty furią Monk aż podskoczył i wycelował w pierś Burke'a.

Knight zrezygnacyjnie wyciągnął sztylet z rękawa, namierzył cel i rzucił. Sztylet niczym strzała trafił Mon-ka, zanim jego pistolet wystrzelił.

Stal zatopiła się w szyi złoczyńcy. Burke padł na podłogę, a kula przeleciała wysoko, minęła go z dala. Monk wbił wzrok w hrabiego, a potem, odwracając się wolno, spojrział na Knighta. - Sztylet! Utknęłaś mnie sztyletem, takim samym, jaki dała mi matka. - Próbował powiedzieć coś więcej, ale już bełkotał, słowa wtapiały się w bulgot krwi.

Lily ujrzała ostrze sztyletu wylaniające się z szyi Monka. Widziała, jak łotr powoli upuszcza pistolet i wolno się osuwa; olbrzymie ciało zdawało się składać. I dziwne, prawie bezdźwięcznie uderzyło o podłogę. Widziała, jak Burke podnosi się i stoi nieruchomo, a jej mąż nie opuszcza wyciągniętego ramienia. Powoli otwarła usta. Wyrwał się z nich tylko szloch.

Knight pospieszył do niej. - Lily, to już koniec, wreszcie mamy to za sobą.

Patrzyła na niego, niezdolna unieść dłoń i pogłaskać go po twarzy. - Nie mogłam ci pomóc. Nie byłam w stanie nic zrobić, tylko leżeć tu chora i bezsilna, i patrzeć, jak Monk cię krzywdzi.

- Nic nie zdołał mi zrobić. On nie żyje, Lily. Kochana, już w porządku, nic mi się nie stało.

Powoli w pokoju zapadała coraz głębsza ciemność. Lily próbowała z nią walczyć, ale nie udało się jej. - Knight - szepnęła i zapadła w pustkę.

* * *

Trzy dni później przed południem w komnacie diamentowej przy łóżu Lily zebrali się jej najbliżsi: trójka dzieci, mąż, hrabia i hrabina.

Sam z dumą demonstrował sprawność w poruszaniu się o kulach. Theo chodził za nim krok w krok, gotów złapać brata w razie upadku. Laura Beth tuliła się do Lily na łóżku z carycą Katarzyną w ramionkach.

- Znajdzie się trochę miejsca dla mnie? - zapytał Knight. - Może byś sobie poszła, Lauro Beth. Nie pobawisz się z wujkiem Burke? Wygląda na strasznie osamotnionego, nie sądzisz?

Dziecko wyjęło paluszek z buzi i uśmiechnęło się do Knighta. - Tatuś! - I pokiwało główką, wyraźnie zadowolone z dźwięku tego słowa; paluszek wrócił na swoje ulubione miejsce.

- Przypuszczam, że to odpowiedź. Ostrożnie, Sam, jeszcze wypadniesz przez okno. Usiądź, Theo. Mogę prosić o filiżankę herbaty, Arielle? Całe to ojcostwo wykańcza mnie doszczętnie.

Lily uśmiechnęła się i dotknęła rękawa żakietu męża. - Jesteś wspaniałym tatą.

- Ale jeszcze nie całkiem wspaniałym mężem. - Miał nadzieję, że nikt poza nią go nie usłyszał.

- Pamięć mi jeszcze nie szwankuje, milordzie.

- Podobnie i mnie. Zadałem ci ból, Lily. A może byś się trochę postarała i szybciej doszła do zdrowia? W końcu kula zaledwie musnęła cię w ramię. Takie tam zadrapanie. Czyżbyś była całkowicie pozbawiona wytrzymałości?

- Siadaj na krześle, Knight, i pozwól Lily bawić się z Laurą Beth i jej laleczką - zgromiła go Arielle. - Oto twoja herbata. Zachowuj się, jak należy. Wiercisz się jak dzieci.

Knights pokornie przyjął reprimendę.

- Ty także, Arielle - zwrócił się Burke do żony. - Lily właśnie chciała się dowiedzieć czegoś o planie Knighta.

- O tym, co nie zadziałał - domyśliła się Arielle.

- Cóż, trzeba było spróbować - tłumaczył się Knight. - Pomysł całkiem prosty. Rozesłałem z pół tuzina ludzi, by rozprawiali wśród karczmarzy i sklepikarzy o niezwykłych klejnotach, jakie rzekomo pojawiły się w Castle Rosse; i o tym, że jako prawomyślni obywatele postanowiliśmy odesłać je do Londynu. Oczywiście mieli podać datę i godzinę wyjazdu posłańca.

Całkiem niezły plan, nawet jeżeli nie zadziałał, bo w końcu Monk był tu, a nie tam.

- Czy naprawdę wysłałeś kogoś do Londynu? - zaintrygowała się Lily.

- O tak. Posłańca udawać miał lokaj Burke'a, Jo-shua, wspierany przez dwóch ludzi na wypadek, gdyby Monk poczynił jakiś ruch. Joshua nie mógł przeboleć, że ominęła go cała rozrywka.

- Był moim ordynansem, gdy służyłem w armii - włączył się Burke. - To dla niego pierwsza okazja przygody od wielu miesięcy i szykował się do porozbijania kilku łbów. A odkąd wrócił, wciąż narzeka.

W tym momencie wszedł Montague, kamerdyner w Ravensworth, i szepnął coś swemu panu do ucha. Ten zmarszczył czoło, potem skinął głową. Montague wycofał się z pomieszczenia.

- Dziwna sprawa - stwierdził Burke. - Z Londynu właśnie przybył Ollie Trunk. Chce rozmawiać z tobą, Knight.

- Przecież mu zapłaciłem!

- Rzeczywiście - zgodził się Burke. - Może wrócił po więcej.

- Nic podobnego, sir - powiedział wielce urażonym tonem Ollie, wchodząc do pokoju. - My, agenci z Bow Street mamy swój honor, nie jesteśmy naciągaczami.

- Tylko żartowałem, Ollie. Proszę, wejdz. Co masz do powiedzenia jego lordowskiej mości?

Policjant rozejrzał się po twarzach zgromadzonych, na końcu z niejakim przerażeniem spojrzął na dzieci. Odkaslnął. - Błyskotki Billy'ego - powiedział wreszcie.

Wszyscy popatrzyli na niego.

- Błyskotki Billy'ego - powtórzył. - Te przekłete klejnoty, nie rozumiecie państwo?

- Nie - odrzekł Knight.

- Billy, czyli Wilhelm - tłumaczył Ollie przesadnie cierpliwym tonem. - Wilhelm, czyli książę Wilhelm Orański, oto nasz Billy. Był zaręczony z Charlotte, księżniczką angielską Charlotte. Zeszłego lata zerwała z księciem, nie chciała go poślubić. Klejnoty odesłano do Brukseli, ale po drodze zostały skradzione. Miałem się po cichu rozpytać, lord Kittaker wiedział wszystko o tej sprawie. Gdy klejnoty znikły i nie pokazały się w Anglii, nikt nie potrafił nic o nich powiedzieć.

- O mój Boże! - westchnęła Lily. - Coś takiego. Nic dziwnego, że były dużo warte.

- Na Boga - zawtórował jej Knight. - A ja uznałem, że ten Billy to jakiś bogaty kupiec czy coś w tym rodzaju.

- Księżniczka angielska - zdumiała się Lily. - Klejnoty godne królewskiej krwi.

Arielle pokręciła głową. - Mniejsza z tym, do kogo należą. Wciąż nie mamy pojęcia, gdzie mogą się znajdować.

Na to nikt nie miał odpowiedzi.

Za informację Ollie otrzymał w nagrodę sto funtów.

* * *

Następnego popołudnia pani Pepperall, gospodyni Ravensworth, weszła do salonu z zakłopotaną miną. Knight zniósł Lily na dół i troskliwie otuliwszy, położył na kanapie obok kominka.

Dzieci były na dworze i szalały na świeżym śniegu.

Pani Pepperall odchrząknęła. - Milady, wydarzyło się coś dziwnego. - Trzymała przewieszoną na rękach piękną niegdyś, podbitą gronostajami pelerynę Lily.

- Tak, pani Pepperall? Och, peleryna.

- No właśnie, milady. Staralam się ją wyczyścić, ale krew... Jedna z dziewcząt próbowała usunąć poplamione części futra, aby mogła je pani jeszcze nosić i stało się coś przedziwnego. Proszę spojrzeć, co znalazła pod podszewką.

Pani Pepperall uniosła błyszczący naszyjnik, kolczyki, bransoletkę. Brylanty, szmaragdy i rubiny wysypały się na jej dłoni, migocząc w popołudniowym słońcu.

- Moja peleryna! Były w niej przez cały czas i nigdy nie przyszło mi do głowy...

- Ani mnie - przyznał Knight. - Na Boga, spójrz na rozmiar tych kamieni!

- Są prawdziwe? - zapytała gospodyni głosem przypominającym pisk i natychmiast wysypała klejnoty na ręce Knighta.

- Jeszcze jak! - Przesypywał kamienie między rozsuniętymi palcami. - Dziękujemy, pani Pepperall. Wyjaśniła pani zagadkę.

- Ależ skąd, milordzie - certowała się gospodyni z rozjaśnioną zadowoleniem twarzą. - To nic takiego, naprawdę.

- Co za ironia - stwierdził Knight. - A ja już mam dość ironii losu.

Epilog

Wenecja, Włochy, kwiecień 1815 roku

Pewnego słonecznego popołudnia z początkiem kwietnia lord i lady Castlerosse stali na balkonie swej sypialni w Palazzo di Contini, z widokiem na Canale Grande.

- Dzięki Bogu, że to dopiero wczesna wiosna, a nie środek lata - zauważył Knight, wsparty o wypolerowaną drewnianą balustradę. - Jakies sześć lat temu nieszczęśliwie odwiedziłem Wenecję w sierpniu. Smród był nie do zniesienia. Ale teraz - przerwał i przez chwilę wdychał chłodne, wiosenne powietrze.

- Co też mogą kryć te czarne Wody? - Lily spojrzała w dół, z perspektywy drugiego piętra. - Wyglądają groźnie i mrocznie.

- Aż dreszcz mnie przeszywa na myśl, co tam może się znajdować.

Lily zadrżała i odwróciła się, wsparła plecami o balustradę. - Brak ci ducha romantyczności, Knight.

Uśmiechnął się do niej, czym sprawił, że zapragnęła rzucić mu się w ramiona i zmusić, by padł na podłogę. - I zrobić z tobą, co zechcę - zakończyła rozważania na głos.

- Co takiego? - Natychmiast dotknął jej warg koniuszkami palców. - Nie, nie powtarzaj, co powiedziałaś. A nuż źle zrozumiałem? Wolę wierzyć, że masz ochotę rzucić mnie na ziemię, zerwać ubranie i pieścić mnie, dłońmi i ustami i...

- Jesteś okropny. Ale masz rację, dokładnie o tym myślałam. Przez cały dzień zdawałeś się jakiś nieobecny, Knight. Sam przyznaj.

Uśmiech mu nieco przygasł. Przyciągnął ją w ramiona, dokładnie tam, gdzie pragnęła się znaleźć, z głową na jego ramieniu, dłońmi obejmując go w pasie. - Zupełnie jakbyśmy byli razem przez całe życie - stwierdził, całując ją w czubek głowy. - Czujesz się już całkiem dobrze, na pewno?

- Na pewno - potwierdziła.

- Jesteśmy tu od trzech tygodni. Byliśmy na dziewięciu balach, z czego trzy wydano na twoją cześć, przegraliśmy pięćset funtów...

- Ja tylko pięćdziesiąt! W rouge et noir, a ty twierdziłaś, że oszukiwałam.

- W każdym razie wiedziałem, że to jakaś pokaźna kwota. I pływaliśmy gondolami, aż niemal zrobiło ci się niedobrze; karmiliśmy chyba każdego cholernego gołębia na Placu Świętego Marka, z trzysta razy przemierzaliśmy most Rialto, a nawet omal nie zamknęłaś mnie w lochach Pałacu Dożów...

Odpowiedziała chichotem. - Tak naprawdę, wcale cię nie zamknęłam.

- Ale udało ci się mnie nabrać. Następnego ranka znalazłem u siebie siwy włos. O czym to mówiłem. Aha, jedyna rozrywka, której w żadnym razie nie mam dość, to kochanie się z tobą.

Uśmiechnął się, gdy na jego słowa zareagowała lekkim drżeniem.

- Sądzę, że jeszcze długo ci się nie znudzi.

- Pięćdziesiąt lat, Lily?

- Co najmniej. Ale powiedz mi, o co naprawdę ci chodzi?

Knight westchnął. Dobrze go zna ta jego żona. - Tęsknię za dziećmi. Opuściliśmy je już niemal dwa miesiące temu. I chociaż było cudownie...

Lily zaśmiała się i pocałowała go. - Co tak naprawdę próbujesz powiedzieć?

- Czy nie zastanawiałaś się, czy Castle Rosse jest wciąż wspaniałą rezydencją, a nie nędzną pozostałością z przeszłości? Czy nasi służący pozostali rozsądnymi ludźmi i nie zmienili się w zdzieciniałych kretynów? Czy pokojówki nie uciekły z wrzaskiem po jakiejś psocie Sama?

Lily śmiała się tak mocno, że nie mogła wydobyć słowa. - Och, przestań! - udało jej się wreszcie. - Jesteś strasznie zabawny, Knight. Jak mogłam tak długo żyć bez najdowcipniejszego, najprzystojniejszego, najcudowniejszego i...

- Najwspanialszego kochanka?

- Tak, najlepszego kochanka i niemal najmłodszego na całym świecie męża.

Knight jęknął. - I wszystkie te moje wspaniałe zasady, porwane na strzępy, uleciały z dymem. Ja, tak młody mężczyzna, złapany w samym rozkwicie, pochwycony w niewolę i zmuszony do służenia kobiecie o niekończącym się apetycie na moje młode, jurne ciało. Jakże można to znieść?

- A więc, o co chodzi, milordzie? - Teraz moja kolej.

- Rzucenia mnie na ziemię? Ja, młoda dama, pochwycona w apogeum rozkwitu?

Roześmiał się i mocno ją do siebie przycisnął. - A teraz dość gadania. Czas na miłość.

I kochali się: słodko i gwałtownie, powoli i szaleńczo, i niezwykle, niewiarygodnie cudownie. Słońce roztopiło się w zmierzchu, zanim Knight był w stanie sklecić jakieś sensowne zdanie. - Gdybym poznał cię po ukończeniu czterdziestki, wykończyłabyś mnie w ciągu tygodnia. Mam cholerne szczęście, że jestem młody; tylko dlatego uda mi się przeżyć jako twemu mężowi.

Lily pocałowała go w ramię.

Zrewanżował się, muskając ustami koniuszek jej nosa. - Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

Lily właśnie ziewnęła. - Powiedzieć ci, o czym?

- Że jesteś w ciąży.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. - W przyszłym miesiącu, tak sobie myślałam. No, nie zymaj się. Chciałam mieć pewność. Jak się dowiedziałeś? Jesteś przecież mężczyzną.

- Nawet mężczyzna zauważy, gdy jego żona nie ma swych miesięcznych przypadłości. To i twoje piersi. Są pełniejsze, bardziej wrażliwe i delikatne. Czyż nie zauważyłaś, jak ostrożnie ostatnio je pieszczę?

- Nie - odrzekła całkiem szczerze. - Gdy mnie dotykasz, czuję tylko żar i wilgoć, i szaleńcze pragnienie ciebie.

- Ach! - Powędrował dłonią do jej brzucha, rozłożył na nim palce. - To bardzo miłe, co powiedziałaś. Kiedy mam się spodziewać przyjścia na świat mego czwartego potomka?

- Sądzę, że pod koniec listopada.

- Czujesz się dobrze?

- O tak, wyśmienicie. Nawet nie mam porannych mdłości.

- Zapewne za przyczyną wyjątkowej opieki twego męża. - Spojrzał na lekko wypukłą bliznę na jej ramieniu. Przeszłość wciąż przyprawiała go o dreszcz, lecz szybko się otrząsnął. To już było bardzo, bardzo dawno temu. - Co mówiłem? Aha, postanowiłem oddać ci nagrodę, nie zatrzymywać

jej dla siebie, choć jestem pewien, że to ja na nią zasłużyłem. Lily zmrużyła oczy. - O czym ty mówisz?

- O nagrodzie za zwrot błyskotek Billy'ego.

- Jaka nagroda? Od Wilhelma Orańskiego?

- Oczywiście. Dziś rano dostałem list od Burke'a. Billy, moja droga, chce, byśmy przyjęli, w dowód jego szacunku i głębokiej wdzięczności za zwrot kamyczków, dar w postaci niewielkiego siedemnastowiecznego dworu w Kornwalii, w pobliżu Lostwithiel.

- Dom za marne kamyczki?

- Nie takie znowu marne. Ich wartość oszacowano na sześćdziesiąt tysięcy funtów.

- Ojej! - wykrzyknęła Lily. - I cały czas były zaszyte w podszewce mojej gronostajowej peleryny.

A gdybym ją zgubiła lub sprzedała? O Boże...

Knight dotknął palcami jej ust; potem pochylił się i złożył pocałunek na jej wargach. - Kiedy wreszcie przejdzie mi ta ciągła ochota na ciebie?

Delikatna pieśczoła Lily sprawiła, że zapomniał o całym świecie poza dotykiem jej ciepłej dłoni i gorących ust.